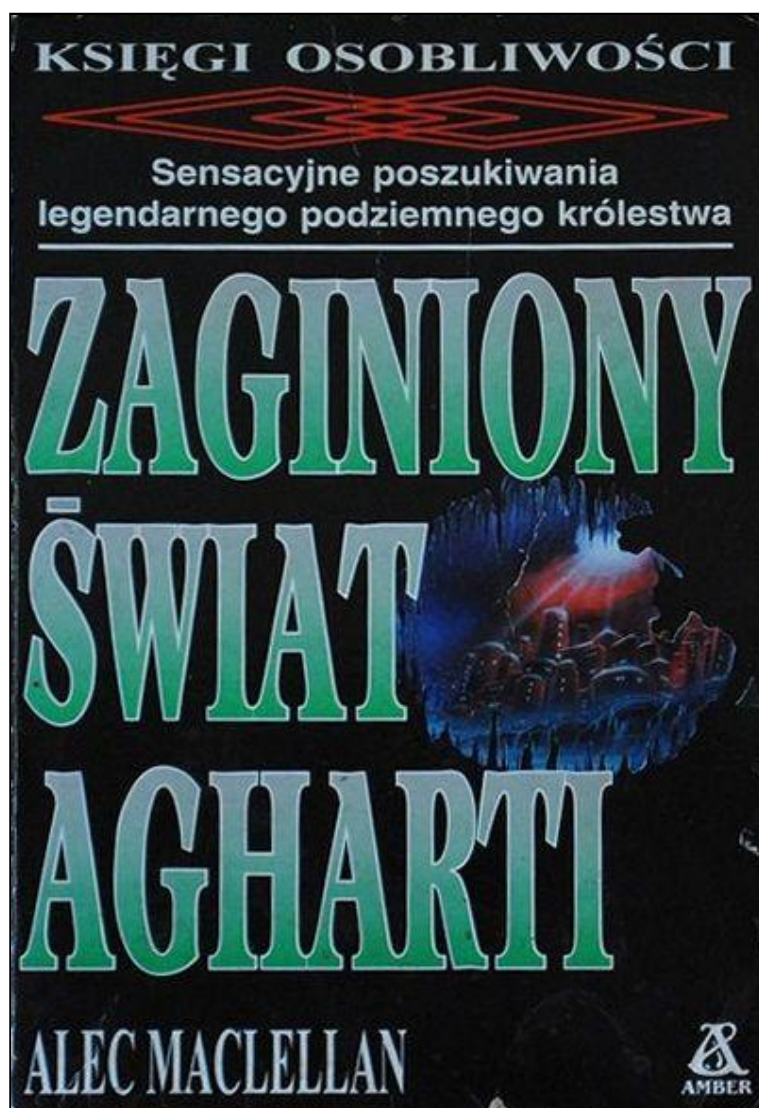


# Zaginiony świat Agharti

**Autor:** Alec MacLellan

Wydawnictwo AMBER

**Tytuł oryginału:** *The lost word of Agharti*



## Spis treści:

### Prolog

1. Niesamowite doznania pod powierzchnią ziemi
2. Legenda Agharti
3. Poszukiwacze zaginionego świata
4. Przedziwna wyprawa poszukiwacza Ferdynanda Ossendowskiego
5. Poszukiwania miasta Szambala
6. Zagadka podziemnego świata lorda Lyttona
7. Adolf Hitler i „rasa nadludzi”
8. Tajemnicze tunele Ameryki Południowej
9. Brazylia a ogniwo atlantyjskie
10. „Podziemia” Nowego Jorku
11. Tajemnica mocy *Vril*
12. Odnalezienie Shangri-la
13. Państwo Króla Świata

Mogę oto potwierdzić,  
iż wyprowadziłem rzecz z kompletnej ciemności  
i doprowadziłem do tego, że jest okryta jedynie lekką mgiełką;  
zaszedłem więc dalej niż ktokolwiek przede mną.

Jogn Aubrey  
*Miscellanies*

## Prolog

„Tunele i labirynty odgrywały zawsze tajemniczą rolę wśród starożytnych cywilizacji w rejonach, które zwie się, być może niesłusznie, starym światem Azji, Europy i Afryki. Któż może powiedzieć, co było znane pradawnym władcom Peru, a co odziedziczyli oni po owych minionych cywilizacjach, po których nie pozostały dziś nawet nazwy, nie więcej niż mglisty i nierzeczywisty cień? Starożytny przekaz bramińskiego Hindustanu mówi o wielkiej wyspie „niezrównanej piękności”, która istniała w pradawnych czasach pośrodku bezkresnego morza w Azji Środkowej, na północ od obszaru znanego obecnie jako Himalaje. Rasa nephilim, lub inaczej ludzi Złotej Ery, zamieszkiwała ową wyspę, nie było jednak innego rodzaju komunikacji pomiędzy nią a lądem stałym, jak tylko za pośrednictwem tuneli, rozbiegających się we wszystkich kierunkach i na wiele mil długich. Tunele te, jak mówiono, miały ukryte wejścia w starych zrujnowanych miastach Indii – takich jak starożytne pozostałości Elury, Elefanty – a także w jaskiniach Adzanta w paśmie górskim Czandoru.

Wśród plemion Mongolii Środkowej nawet dziś jeszcze można usłyszeć przekazy o tunelach i podziemnych światach, nie brzmiące wcale bardziej fantastycznie niż wątki, zawarte we współczesnych powieściach. Jedna taka legenda – jeżeli to istotnie legenda! – twierdzi, iż tunele te prowadzą do podziemnego świata, pochodzącego sprzed potopu, a znajdującego się w którymś z zakątków Afganistanu lub w rejonie Hindukuszu. Jest to Shangri-la, miejsce, gdzie nauka i sztuka, nigdy nie zagrożone wojnami światowymi, rozwijają się w atmosferze pokoju, pielęgnowane przez rasę o nieograniczonej wiedzy. Miejsce to ma nawet nazwę: Agharti. Legenda dodaje, iż labirynt

tuneli i podziemnych przejść rozwija się w sieć, łączącą Agharti ze wszystkimi podobnymi podziemnymi światami. Lamowie tybetańscy zapewniają nawet, że w Ameryce – nie powiedziano jednak, czy w Ameryce Północnej, Południowej czy Środkowej – w bezkresnych podziemnych jaskiniach, dostępnych poprzez tajemne tunele, żyją starożytne ludy, które uniknęły w ten sposób skutków olbrzymiego kataklizmu sprzed tysiący lat. Zarówno w Azji, jak i w Ameryce, uważa się, iż owe fantastyczne i prastare narody, sążone są przez dobrotliwych władców, czy też królów-przywódców. Podziemny świat, jak mówią, jest oświetlany dziwną zielonkawą poświatą, która pozwala rozwijać się roślinom oraz umożliwia ludziom życie zdrowsze i dłuższe niż wszędzie”.

(Fragment oświadczenia, złożonego w 1945 roku w Londynie przez Harolda T. Wilkinsa (1891-1959), badacza, historyka, będącego jednym z największych światowych autorytetów w dziedzinie podziemnych tuneli i korytarzy).

## 1.

### **Niesamowite doznanie pod powierzchnią ziemi**

Dzień, który miał mi przynieść jedno z najdziwniejszych, najbardziej przerażających, a zarazem absolutnie fascynujących doznań w życiu, rozpoczął się całkiem zwyczajnie.

Przebywałem na wakacjach w okolicy West Riding w hrabstwie Yorkshire. Zatrzymałem się u krewnych w nieciekawym, ale przyjemnym mieście Keighley, w pobliżu słynnych Moczarów Ilkley. Był letni dzień; ogromna połać czystego, błękitnego nieba i silne światło słoneczne czyniły z rozciągających się na północy łańcuchów i wzgórz ostro zarysowaną płaskorzeźbę. Owe wypukłości terenu ledwie zasługują na miano gór, są bowiem rozległe i łagodne, najwyższa zaś z nich, Great Whernside, ma zaledwie siedemset pięć metrów wysokości.

Tamtego ranka wyruszyłem oczywiście w kierunku Great Whernside. Wstałem wcześniej rano i pojechałem do Grassington, skąd zamierzałem powędrować wzdłuż przyjemnej doliny rzeki Wharfe. Z moim zamiłowaniem do historii starożytnej, nie mógłbym wybrać lepszego miejsca do rozpoczęcia wycieczki, ponieważ właśnie tutaj, w pobliżu miejscowości Lea Garden, znajdują się pozostałości wsi z epoki żelaza, zamieszkiwanej od około 200 r. p.n.e. do około 400 r. n.e. Niewielkie koliste kopce i porośnięte trawą konstrukcje kamienne, stanowią milczący dowód na to, iż okolica ta była w epoce żelaza jednym z najgęściej zaludnionych rejonów dolinnych, pokazując zarazem, dlaczego jest ona uważana za jedną z najbardziej fascynujących siedzib prehistorycznych w Anglii. Jak pisze Lettice Cooper w książce *Yorkshire West Riding* (1950):

„Grassington było zawsze metropolią doliny Wharfe. Istnieją tu ślady prehistorycznej miejscowości, powstałej jeszcze przed odkryciem przez Rzymian złóż ołowiu, które nadały okolicy znaczenie i przyniosły jej mieszkańcom pracę. Grassington i położone w niższej dolinie Linton są szczególnie bogate w dzikie kwiaty i legendy. Opowiada się tu o okropnym psie-uchu dolin zwanym „Barguest”, którego pojawienie się zwiastowało katastrofę, płytkiemu zaś wgłębieniu w skale wapiennej nadano nazwę Jaskinia Wróżek”.

Kiedy rozpoczynałem wędrówkę, wszystko dookoła mnie tchnęło spokojem i ciszą. I nie wiem z jakiego powodu przychodziły mi wciąż na myśl słowa, przeczytane poprzedniego wieczoru: słowa napisane przez Daniela Defoe o jego wyprawie w okolice West Riding we wczesnych latach osiemnastego wieku. Mając na myśli góry Upper Wharfedale, leżące teraz przede mną w ciepłych promieniach słońca, Defoe napisał: „Są one, a szczególnie Wzgórze Pingent, bardziej przerażające niż jakiegokolwiek inne góry w Monmouthshire czy Derbyshire”. Zerknąłem na lewo i spojrzałem na płaski wierzchołek Wzgórza Pingent, znanego obecnie jako Penyghent, dziwiąc się, dlaczego widok

ten tak zaniepokoił Daniela Defoe. Wiedziałem, że w jego czasach nie zachwycono się dzikim pięknem, lecz ta jego niechęć wypływała ze strachu. Nagle po kręgosłupie przebiegł mi dreszcz. Powinienem był sobie wtedy uświadomić, że jest to znak...

Powędrowałem dalej przez Moczary Grassington i ujrzałem pierwsze ślady kopalni, które po części przyciągnęły mnie do tej okolicy. Przeczytane przed przyjazdem do Yorkshire książki powiedziały mi, że wydobywanie ołowiu wzdłuż doliny Wharfe, odbywało się na przestrzeni wielu wieków, przy czym kopalnie działały raczej opierając się na systemie szybów i chodników, niż tradycyjnych odkrywek, co czyniło je dość łatwo dostępnymi, zarówno dla ciekawskich, jak i dla górników. Turyści byli nawet zachęceni do odwiedzania kopalni przez księdza Bailly'ego Harkera w jego pionierskim przewodniku pod tytułem *Rambies in Upper Wharfedale* („Wycieczki po Górnym Wharfedale”), wydanym w roku 1869. „Polecałbym odwiedzającym podróż pod ziemię – pisał – mimo iż zejście w dół może ich nieco zatrwożyć. Dno niektórych szybów osiąga się za pomocą drabin, innych za pomocą lin”.

Kopalnie są już oczywiście nieczynne od ponad wieku, chociaż od czasu do czasu można natknąć się na wytrwałą osobę, rozgrzebującą pozostawione przez dawnych górników hałdy odpadów w poszukiwaniu kawałków barytu lub rudy ołowianej. Moja wędrówka poprowadziła mnie obok wielu takich hałd; na podstawie poczynionych przez siebie zapisków, potrafiłem zidentyfikować kopalnie o tak oryginalnych nazwach jak Moss (Mech), Sara, Beaver (Bóbr), Turf Pits (Torfowe Doły) i Peru. Wyczuwało się, że krajobraz ów niegdyś tętnił życiem, kiedy górnicy wydobywali tu ołów o wartości tysięcy funtów rocznie. Teraz jednak wszystko stało nieruchome i milcząco w porannym słońcu.

Gwoli uczciwości trzeba jednak przyznać, że do doliny Wharfe przyciągnęły mnie nie tylko kopalnie. Moja ciekawość została także rozpalona opowieściami o jaskiniach i prastarych tunelach, w które, jak mówiono, obfituje tutejsza okolica. Kilka dni wcześniej złożyłem wizytę w Pig Yard Club Museum w pobliskim Settle; oglądając zbiór relikwii tego muzeum można zrozumieć, dlaczego tutejsze jaskinie nazwano „vadamecum życia w dawnych czasach”. Patrząc na tę godną uwagi kolekcję, przypomniałem sobie komentarz G. Bernarda Wooda w jego książce *Secret Britain* („Tajemnicza Brytania”), stwierdzający: „każdy z nas może sobie dzięki niej uświadomić fakt, że mieszka w świecie prawie bezgranicznym, świecie wciąż pełnym tajemnic, z których niejedna opowiedziana jest zaledwie w połowie”.

Wśród eksponatów jest czaszka wielkiego niedźwiedzia skalnego, są dowody istnienia słonia o prostych kłach oraz nosorożca skałonosego, harpun do połowu ryb, wykonany z rogu jelenia, a także mnóstwo ozdób i starożytnych monet – wszystko to wydobyte z ziemi w tutejszych jaskiniach. Moje uczucia, gdy patrzyłem w zachwycie na owe eksponaty, były bardzo podobne do uczuć pana Wooda, który napisał też w swojej książce: „Problemy obecnych czasów szybko zaczyna się dostrzegać w odpowiedniej perspektywie, widząc takie oto świadectwa minionych zagrożeń, skromnych zajęć domowych, a może nawet domowego szczęścia”.

Nie potrzebowałem żadnych dodatkowych bodźców do zbadania doliny Wharfe. Wiedziałem jednak, że choć niektóre z jaskiń i tuneli datowały się z epok mezolitycznej, neolitycznej, brązu i żelaza, istniały inne jeszcze, daleko bardziej zagadkowe, daleko bardziej tajemnicze, niemal zupełnie nie zbadane. Przypomniało mi się też stwierdzenie niejakiego doktora Bucklanda, który badał jaskinię Kirkdale w roku 1882, po czym zaś w swojej książce „Relikty z czasów potopu” podjął dzieło udowodnienia, iż odnalezione przezeń pozostałości „należały do ludzi porwanych przez potop czasów Noego”.

Wędrówka w górę doliny nie była owego letniego dnia męcząca; wydawało się, że do cienia góry Great Whemside dotarłem w jednej chwili. Zdążyłem już zauważyć wiele oznak istnienia kotłów erozyjnych, tworzących rozległy układ podziemny w tutejszym wapieniu i przyciągających co roku coraz więcej badaczy. Mnie jednak bardziej interesowały jaskinie.

Znajdowałem się w punkcie położonym mniej więcej w połowie drogi pomiędzy małymi wioskami Kettlewell i Starbotton, gdzie dość strome łańcuchy wzgórz otaczają dolinę, kiedy mignęło mi wejście do jaskini, położone w górnej części zbocza. Patrząc z miejsca, w którym stałem, nie mogłem nawet być pewien, czy jest to w ogóle jaskinia. Chciałem jednak to koniecznie

zbadać, zwróciłem więc kroki w tym kierunku.

Zbliżywszy się, stwierdziłem, że mam rację, mimo iż wejście do jaskini było bardzo małe i wąskie. Wyjąłem latarkę, którą wziąłem ze sobą, i skierowałem jej promień do środka niepozornego otworu. Przede mną rozciągała się tylko ciemność, słychać też było delikatny plusk wody, kapiącej ze sklepienia jaskini.

Gdy wkroczyłem do wnętrza, uderzył mnie ciąg zimnego powietrza. Wahalem się chwilę, zastanawiając się, czy istotnie warto badać coś tak mało obiecującego. Czy jednak taki jest prawdziwy powód, zapytałem samego siebie, czy też jestem po prostu wystraszony?

Wreszcie się zdecydowałem. Przebyłem taką daleką drogę, żeby zobaczyć jaskinię, więc muszę wejść do środka. Podniosłem kołnierz koszuli i zapiąłem kurtkę, potem zaś podążyłem za mocnym promieniem latarki. Ściany jaskini zdawały się stopniowo obniżać, aby w końcu przekształcić się w niemal regularny tunel. Podłoże było twarde i kamieniste; co jakiś czas wchodziłem w małe kałuże.

Ciszę przerywał jedynie odgłos mojego własnego oddechu i moich kroków; przede mną światło latarki odsłaniało tunel, opadający wciąż stopniowo w dół i prawie pozbawiony zakrętów. Tylko raz odwróciłem się, aby spojrzeć za siebie, lecz ujrzałem jedynie nieprzenikloną ciemność.

Musiałem tak iść około dziesięciu minut, zanim się zatrzymałem. Ani wysokość, ani stopniowy spadek tunelu nie ulegały zmianie; zadałem sobie pytanie, jak długo jeszcze zamierzam iść przed siebie? Prawdopodobnie odnalazłem i przemierzałem jeden z dziwnych podziemnych tuneli okolic West Riding. Nie byłem badaczem kotłów erozyjnych ani speleologiem, cóż więc mogłem osiągnąć, idąc dalej? Mogłem się najwyżej znaleźć w niebezpiecznej sytuacji, gdyby coś poszło źle – myślałem niewesoło.

Zdrowy rozsądek, a może także uczucie niepokoju, zwyciężyły. Zwróciłem latarkę w odwrotnym kierunku i zamierzałem właśnie wyruszyć tam, skąd przyszedłem, gdy nagle coś sprawiło, że zastygłem w bezruchu. Jeszcze raz oświetliłem przestrzeń poza sobą i kątem oka uchwyciłem ulotny poblask daleko w dole tunelu. Najwyraźniej ostre światło mojej latarki czyniło go dotychczas niewidocznym.

Wyteńczyłem wzrok jeszcze bardziej, aby upewnić się, że nie jestem w błędzie. Nie, w pewnej odległości przede mną widać było wyraźnie nikły poblask. Zawahałem się. Czy mam zbadać, co to takiego, czy też wracać?

Stojąc w miejscu, odniosłem wrażenie, że światło w dole tunelu staje się bardziej intensywne, choć mogło to być złudzenie. Jeszcze raz zacząłem się ostrożnie przemieszczać do przodu, kierując teraz światło latarki pod nogi. Przeszedłem tak może pięćdziesiąt metrów. Zauważyłem, że światło jest zielonego koloru i zdaje się pulsować. Nie miałem najmniejszego pojęcia, co jest jego źródłem. Znowu się zatrzymałem.

Potem zaś wydarzyło się coś jeszcze bardziej niezwykłego. Początkowo myślałem, że słyszę swój własny oddech, wreszcie jednak wyodrębniłem cichy pomruk, który stopniowo stawał się coraz głośniejszy. Zarazem ziemia pod moimi stopami zaczęła wibrować, niezwykle delikatnie lecz ze stale narastającą intensywnością. Pomruk przerodził się w dudnienie, a zielone światło wydawało się pulsować jeszcze silniej. Poczulem, jak serce zaczyna mi walić w piersiach; w ciemności ogarnęło mnie nagłe przerażenie. Coś zdawało się zbliżać do mnie.

Co się, na Boga, tutaj dzieje? Co to za dziwne światło? I co powoduje dudnienie pod moimi stopami? Sądziłem, że jestem w tunelu jakiejś dawno zapomnianej kopalni w Yorkshire, wszystko jednak wskazywało, że trafiłem na coś daleko bardziej niezwykłego.

W ciągu następnych kilku chwil pulsowanie zielonego światła i wibracje ziemi narastały, aż w końcu odniosłem wrażenie, że tunel zaraz się zawali. Ta właśnie myśl przerwała moje osłupienie; bez dalszych rozmyślań odwróciłem się i popędziłem z powrotem w górę podziemnego korytarza.

Nie przestałem biec, dopóki nie wydostałem się poprzez wejście do tunelu na światło słońca i w ciepło letniego dnia. Wyczerpany opadłem na ziemię, usiłując złapać oddech. Panika stopniowo ustąpiła; zacząłem intensywnie myśleć, chcąc wyjaśnić to, co się wydarzyło.

Nie miałem wątpliwości co do zielonego światła, które na pewno widziałem, ani co do drżenia ziemi pod stopami. Gdyby kopalnie w tej części kraju wciąż były czynne, mógłbym próbować sobie wytłumaczyć, że znalazłem się nieco za blisko jakiejś podziemnej eksplozji. Gdyby chociaż jakaś

linia kolejowa biegła tunelem w tej części Yorkshire, mógłbym sobie powiedzieć, że w jakiś sposób trafiłem do szybu wentylacyjnego. Jednak żadne logiczne wyjaśnienie, które przychodziło mi do głowy, nawet w najmniejszym stopniu nie wyjaśniało realnych doznań, jakie dopiero co przeżyłem. [Przekonywano mnie, że to zielone światło mogło zostać spowodowane dziwnym fenomenem znanym jako *ignis fatuus* (ogień głupców) – określanym potocznie jako błędny ogień, wywoływanym przez zawarty w przegniłej glebie gaz błotny, wydzielający niewielkie płomyki pod ciężarem kroków. Dudniący dźwięk miał być spowodowany nagłym przemieszczeniem się podziemnych skał. Chociaż oba te wyjaśnienia są niezaprzeczalnie prawdopodobne, nie przekonują mnie jednak całkowicie.]

Budzące grozę zielone światło nie było podobne do żadnego, jakie widziałem dotychczas, huczący zaś dźwięk zdawał się pochodzić z jakiejś olbrzymiej maszynierii. Czy ten blask mógł być podziemnym sposobem oświetlenia, a dudnienie pochodzić z podziemnego środka transportu?

W owym momencie nie byłem pewien, dlaczego przyszły mi do głowy takie, a nie inne myśli. Teraz, dziesięć lat później, nie wiem, czy są one właściwym rozwiązaniem, mimo iż – jak będę chciał pokazać w mniejszej książce – nie są być może zbyt dalekie od prawdy. Muszę przyznać, że nigdy nie wróciłem w tamto miejsce, aby spróbować odszukać ów tunel; teraz natomiast wątpię, czy byłbym w stanie to uczynić.

Powróciwszy tamtego dnia do Keighley rozmawiałem z krewnymi i przyjaciółmi o moich doznaniach. To, czego się od nich dowiedziałem, pomogło mi utwierdzić się w przekonaniu, że nie przeżyłem snu ani złudzenia, lecz doświadczyłem tych samych przeżyć co inni, którzy stworzyli od dawna przekazywaną tradycję okolic West Riding w Yorkshire – tradycję, według której gdzieś wśród dolin górskich znajduje się wejście do podziemnego świata. Większość ludzi utrzymuje, że owo podziemne królestwo jest kryjówką wrózek, chochlików i skrzatów, znalazł się jednak ten czy ów, który twierdzi, iż jest ono w istocie siedzibą ludzi takich jak my, żyjących w ukryciu przed naszym wzrokiem od niepamiętnych czasów.

Mimo iż w trakcie badań, jakie podjąłem w celu rozwiązania tajemnicy mojego doznania, odnalazłem mnóstwo szczegółów na temat „podziemnego świata wrózek” [na przykład w książce księdza Johna Hottena *A Tour of the Caves* („Wycieczka po jaskiniach”) z 1781 roku, który napisał, że groty Wharfedale były „na zmianę mieszkaniem olbrzymów i karłów, zależnie od przeważającej w kraju mitologii”], to najbardziej uderzające dowody odnalazłem w dziele człowieka, który rzeczywiście żył kiedyś w dolinie Wharfe. Człowiek ten to Charles James Cutcliffe-Hyne (1865-1944), który, mimo że dziś pozostaje autorem praktycznie nieznanym, jest wciąż pamiętany przez co starszych czytelników jako twórca postaci twardego i bezwzględnego awanturnika, Kapitana Kettle.



C. J. Cutcliffe-Hyne (z lewej), badacz jaskiń hrabstwa Yorkshire, jeden z autorów, których prace przyczyniły się do powstania tej książki.

Początkowo zainteresował mnie fakt, że Cutcliffe-Hyne mieszkał w Kettlewell, zaledwie kilka kilometrów od owej dziwnej jaskini, do której trafiłem. Drugą ciekawą rzeczą było to, że wyrobił sobie reputację odważnego poszukiwacza przygód, uwielbiającego eksploracje, jego zaś obsesją była legenda zaginionej Atlantydy. [Cutcliffe-Hyne napisał doskonałą powieść na temat ostatnich dni Atlantydy pod tytułem *The Lost Continent* („Zaginiony kontynent”), która została wydana w 1899 r. i, choć niezmiernie rzadko dziś czytana, jest szeroko cytowana w opracowaniach na temat literatury fantastycznej.]

Wreszcie wydało mi się istotne, że napisał wyjątkowo dziś rzadką książkę pod tytułem *Beneath Your Very Boots* („Pod twoimi butami”), wydaną w roku 1889, a traktującą o podziemnym

królestwie, którego istnienie zgodne z pogłoskami z Wharfedale, potwierdzały jego własne odkrycia.

Zdobywszy i przeczytawszy egzemplarz tej książki stwierdziłem, że pewne opisane w niej fakty zgadzają się dokładnie z moimi własnymi doznaniem. Opowieść traktuje o przygodach niejakiego Anthony'ego Haltouna w podziemnym świecie, do którego bohater wchodzi przez jaskinię „w dolinie Wharfe niedaleko jej początku”. Wejście znajduje się „w północnym skrzydle doliny”, ów zaś młody człowiek wkracza doń mimo poważnych ostrzeżeń jednego z miejscowych: „Zostaw jaskinię w spokoju, bo inaczej złapią cię ludzie, którzy w nich mieszkają”.

Haltoun opowiada, że korytarz, jakim szedł, z całą pewnością nie był korytarzem kopalni ołowiu, „ponieważ kopalnie doliny Wharfe leżą prawie całkowicie na jednym poziomie”, podczas gdy ten podążał w dół po stopniowym spadku. Idąc nim, Haltoun spostrzega „jaskrawe światło, które nagle rozbłysło w mroku, ukazując grupę mężczyzn” zbliżających się w jego stronę. Podczas, gdy ludzie ci podchodzą do niego, ziemia poczyną trząść się i drzeć, przestraszony zaś Haltoun mdleje.

Odzyskawszy przytomność, narrator odkrywa, że został pojmany przez przedstawicieli bytującej pod ziemią rasy zwanej Nradami, jasnoskórych ludzi o blond włosach, żyjących w harmonii i pokoju od prehistorycznych czasów. Są oni przeciwni wojnie, i to właśnie „przede wszystkim nienawiść do walki, skłoniła ich do szukania schronienia pod powierzchnią ziem nękaną ogniem wojny”. Haltoun pyta swoich gospodarzy:

– Czy mam rozumieć, że w tej jaskini znajduje się wasza stała kolonia?

– W pewnym sensie. Jest to raczej państwo niż kolonia, i nie mieści się w jednej jaskini, lecz w nieskończonym labiryncie podziemnym. Nasze siedziby i łączące je tunele rozgałęziają się pod całymi Wyspami Brytyjskimi, a w wielu miejscach także pod przyległymi morzami.

Nradowie wyjaśniają, że są rządzeni przez Radoa, „który przewyższa wszystkich zarówno w sprawach przemijających, jak i w sprawach duchowych: jest zarazem Władcą i Bóstwem”. Radoa ma być majestatyczną figurą odzianą w złotą szatę, mieszkającą w pięknym podziemnym mieście. Liczba mieszkańców owej metropolii wynosi „nieco ponad dziesięć tysięcy... mimo iż w obrębie sześciu kilometrów wokół niej jest ich dwa razy tyle”.

Nradowie opowiadają też Haltounowi, jak wykorzystali strukturę Ziemi do stworzenia swojego podziemnego świata. „Po pierwsze, skorupa Ziemi ma postać pęcherzykową – pełną otworów, uformowanych albo przez jej skurcze, albo przez nieustanną erozję wodną; po drugie, prawie wszystkie owe wydrążenia są przewietrzane przez niewidoczne, naczyniowe szyby powietrzne”. Wiele z tuneli zostało uformowanych przez siły natury, podczas gdy „tu i ówdzie bardziej symetrycznie wydrążony tunel wskazywał na dzieło rąk ludzkich”. (Później Haltoun dochodzi do przekonania, że korytarze te zostały wydrążone za pomocą wiertel rotacyjnych, uzbrojonych diamentami, wydobytych pod powierzchnią ziemi). Aby oświetlić swój świat, a także napędzić pojazdy przenoszące ich przez tunele, Nradowie wykorzystują „wewnętrzną energię ziemi, wydobywaną poprzez głębokie odwierty”.

Wiele w opowieści Cutcliffe-Hyne'a jest czystą fantazją – aczkolwiek z pewnością fantazją przyjemną. Oprócz tego jednak wyczuwa się tutaj silną nić autentyzmu; polega to na poczuciu prawdziwości pewnych faktów oraz pewności, że nawet to, co wygląda na baśń, opiera się na starych tradycjach, w których zawsze można odnaleźć elementy prawdy. [Wiarę w istnienie wejścia do podziemnego świata w tej części hrabstwa Yorkshire wyraził też Joseph O'Neill w ponurej powieści *Land Under England* („Kraina pod Anglią”), wydanej w 1935 roku. O'Neill, który był długoletnim sekretarzem Wydziału Edukacji w Irlandii od 1923 do 1944 roku, opisuje starożytne, totalitarne społeczeństwo ludzi żyjących pod ziemią w jaskiniach i korytarzach, i stosujących telepatię do sprawowania kontroli nad umysłami swych obywateli. W swoim czasie książka zyskała duże uznanie jako alegoryczne potępienie faszystowskich Niemiec.]

Cutcliffe-Hyne niestety odmawia swoim czytelnikom dokładniejszych, niż przytoczone tu przeze mnie, szczegółów na temat podziemnego świata.

W swojej autobiografii, *My Joyful Life* („Moje radosne życie”), wydanej w roku 1935, Cutcliffe-Hyne powraca jednak do owej książki i legendy, na której jest ona oparta – dodając w ten sposób do



swej opowieści zupełnie nowy wymiar, co spowodowało, że zdecydowałem się ostatecznie na podjęcie badań, których końcowym rezultatem jest niniejsza książka.

W książce *My Joyful Life*, która jest dziś trudna do zdobycia, Cutcliffe-Hyne opisuje najpierw, jak będąc dzieckiem zainteresował się kopalniami Zachodniego Yorkshire:

„Wyobrażam sobie, że muszę posiadać cechy jakiegoś przodka-jaskiniowca, ponieważ moje upodobania zawsze były odrobinę troglodyckie. Mój ojciec był pastorem parafii Bierley, dużej, rozległej wsi w okolicy West Rodig, pełnej kopalni węgla. Jeden z członków Jego komitetu parafialnego, z którym utrzymywałem bardzo przyjacielskie stosunki, był nadzorcą takiej właśnie kopalni; z nim zwykłem schodzić do miejscowych wykopów za każdym razem, gdy zechciał wziąć mnie ze sobą. Jako że mój pierwszy kosz węgla „wydobyłem” w wieku lat dziesięciu, można powiedzieć, że wcześniej stałem się adeptem górniczego fachu. Kopalnie w Bierley były małe i, o ile pamiętam, dość prymitywne. Stare maszyny watawowe do wyciągu, pogłębiarki szybowe i wentylacja pieca, doprowadziłyby zapewne dzisiejszego inspektora rządowego do stanu lekkiego oszołomienia. Mnie jednak nauczyły odporności na mdłości i klaustrofobię, a także instynktownego zważania na bezpieczeństwo własnej skóry”.

Osobiste wstępowanie do świata „pod naszymi stopami” doprowadziło go także do zainteresowania niezliczonymi legendami o jaskiniach i kopalniach West Riding. Później, jako student na uniwersytecie w Cambridge, nauczył się wspinaczki; był nawet przewodniczącym Klubu Alpinistycznego Clare'a, którą to godność nadawano za „skok poprzez kanion dzielący naszą kaplicę od gmachu Trójcy Św., pozostawienie pustego słoika po dżemie na jego koguciej stopce i powrót na miejsce w stanie nienaruszonym”. Doświadczenia te okazały się dla niego bardzo pożyteczne, gdy jego późniejsze życie poszukiwacza przygód zawiodło go do miejsc takich jak Skandynawia, Afryka, Meksyk i Ameryka Południowa, na „szczyty urwistych skał i na dno głębokich wykopów i jaskiń”.

Poszukiwanie jaskiń stało się rzeczywiście głównym hobby Cutcliffe-Hyne'a; w swojej autobiografii opisuje badanie korytarzy podziemnych w Yorkshire, w wielu miejscach Europy kontynentalnej i Afryki oraz poszukiwanie jaskini ze skarbami Inków w Meksyku. Podczas tych właśnie ekspedycji po raz pierwszy usłyszał relacje o podziemnym królestwie, które zgodnie z przekazami miało przebiegać pod wszystkimi państwami świata. „W Ameryce Południowej słyszałem opowieści, że istnieją olbrzymie tunele przecinające kontynent, łącząc się ostatecznie z tym niedostępnym miejscem. Co ciekawsze, w Europie opowiadano podobne historie; niektórzy starzy ludzie w West Riding znali tę opowieść i wierzyli, że wejścia takie istnieją również w ich własnych jaskiniach. Mówiono, że królestwo to jest nazywane Agharti”.

Przeczytałem książkę Cutcliffe-Hyne'a całkowicie nią zafascynowany. Idea podziemnego królestwa połączonego ze wszystkimi kontynentami ziemi gigantyczną siecią podziemnych korytarzy była zdumiewająca, wręcz nie do przyjęcia dla umysłu. Gdyby ta legenda była prawdą, to pod naszym własnym musiałby istnieć świat, którego przez całe pokolenia nie zakłóciły ani czas, ani działania ludzkości!

Tak oto rozpocząłem poszukiwania owego zaginionego świata zwanego Agharti oraz danych na temat jego wyjątkowej i starożytnej historii, jakie opiszę na kolejnych stronach tej książki...

Idea istnienia ukrytego świata pod powierzchnią naszej planety jest rzeczywiście bardzo stara. Znane są niezliczone opowieści ludowe i tradycje ustne, występujące w wielu krajach i mówiące o podziemnych ludziach, którzy stworzyli królestwo pełne harmonii i radości, nie niepokozone przez resztę ludzkości. Także literatura może pochwalić się wieloma dziełami na ten temat – *Niels Klim's Journey Underground* („Podróż podziemna Nielsa Klima”), napisana przez Duńczyka, barona Ludwiga von Holberga (1714), stanowi tu być może przykład najwyraźniejszy. Motyw ów pociągał na przestrzeni lat wielu artystów i poetów.



Ilustracja z książki Niels Klim's Journey Underground, najbardziej znanej powieści o podziemnym świecie.

Na pierwszy rzut oka wiele sprawozdań wydaje się niczym więcej niż czystą fantazją, czarującymi opowiastkami o eterycznych istotach, zawsze obecnych u granic ludzkiej świadomości. Kiedy jednak zestawia się i porównuje owe opowieści, uwidaczniają się pewne wstrząsające podobieństwa pomiędzy nimi wszystkimi. Bez względu na ich pochodzenie, uderza leżący u ich podstaw wątek ciekawej i nieodpartej prawdy. Mikołaj Roerich, rosyjski badacz, artysta i uczonec, którego dzieło będziemy tu dość szczegółowo analizować, wyraził ten fakt najbardziej przekonująco w swojej książce *Abode of Light* („Uwięzieni w świetle”), 1947:

„Pomiędzy niezliczonymi legendami i baśniami różnych krajów można znaleźć opowieści o zagubionych plemionach lub mieszkańcach podziemnego świata. W jakimkolwiek kierunku się zwrócimy, ludzie opowiadają o identycznych taktach. Porównując je ze sobą dostrzegamy łatwo, że nie są one niczym innym, jak tylko rozdziałami tej samej historii. Początkowo wydaje się

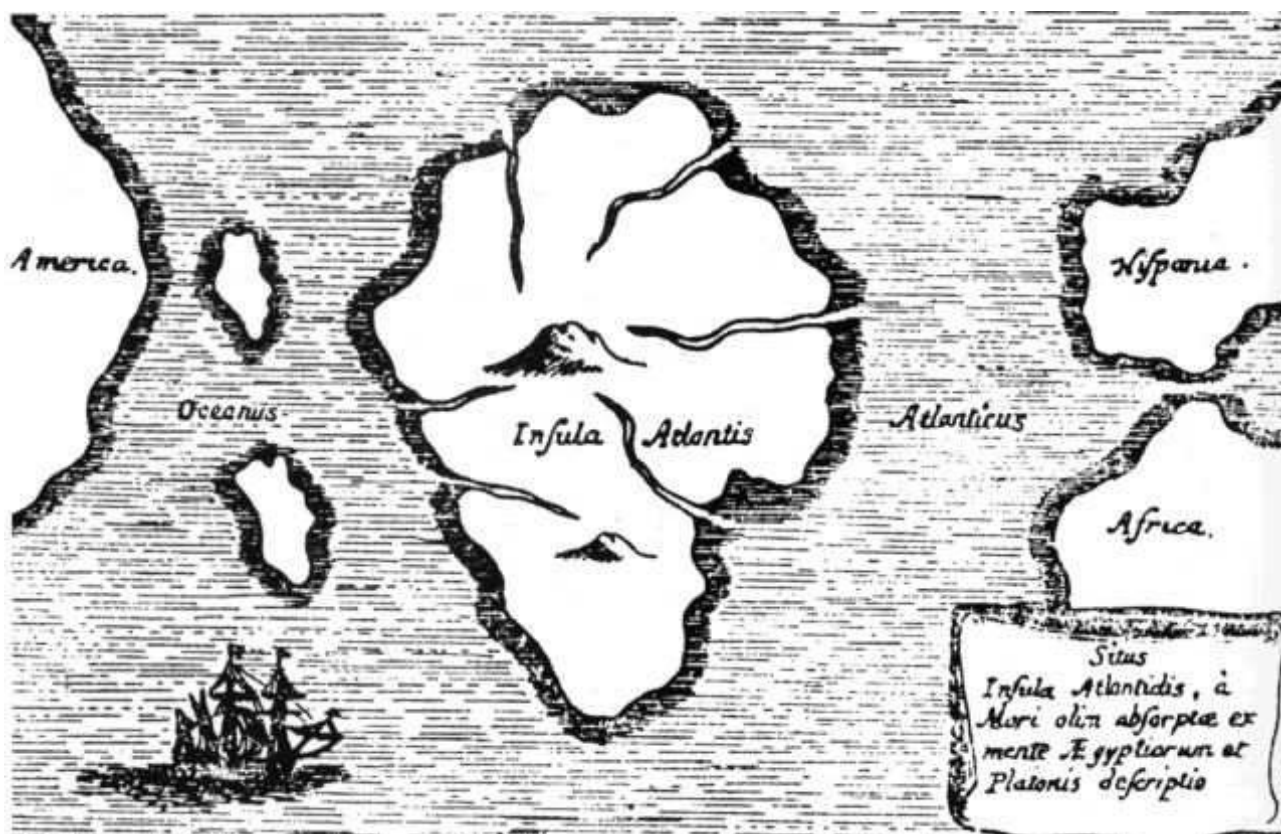
niemożliwe, żeby miało istnieć jakiegokolwiek powiązanie między owymi pogłoskami, potem jednakże zaczynamy odkrywać pewną szczególną zbieżność między różnorodnymi legendami, opowiadanych przez ludy nie znające nawet wzajemnie swoich nazw.

Rozpoznajemy tę samą relację w folklorze Tybetu, Mongolii, Chin, Turkiestanu, Kaszmiru, Persji, Altaju, Syberii, Uralu, Kaukazu, rosyjskich stepów, Litwy, Polski, Węgier, Francji, Niemiec...

Od najwyższych szczytów po najgłębsze oceany słyszymy, jak pewne święte plemię, prześladowane przez tyrana, nie chcąc paść ofiarą okrucieństw, zawędrowało pod ziemię wśród gór. Proponują nam nawet pokazanie wejścia do jaskini, przez którą zbiegł ów święty lud..."

W ciągu wieków królestwu, do którego uciekli wygnańcy, nadawano różne nazwy. Jeśli uważano je za siedzibę zła, było to Piekło, Hades czy Tartar. Jeżeli zaś – jak to zazwyczaj bywa – jest ono traktowane jako kraina dobra i światła, nazywa się wtedy Shangri-la, Szambala lub, najczęściej ze wszystkich, Agharti. (Powiniennem w tym miejscu zaznaczyć, że słowo Agharti można napotkać w różnych wersjach pisowni – jako Asgartha, Agartha lub Agarthi – ponieważ jednak występuje ono zazwyczaj w pierwszej formie, przyjąłem tę właśnie pisownię w niniejszej książce.)

Podstawowe elementy tej legendy głoszą, że Agharti ma być tajemniczym podziemnym królestwem, położonym gdzieś pod kontynentem Azji i połączonym z pozostałymi kontynentami ziemi gigantyczną siecią tuneli. Korytarze te, będące po części tworem naturalnymi, po części zaś dziełem rąk rasy, która stworzyła podziemne państwo, umożliwiają komunikację pomiędzy wszystkimi punktami, spełniając tę funkcję od niepamiętnych czasów. Zgodnie z legendą fragmenty tych bezkresnych tuneli istnieją do dziś; reszta została zniszczona przez kataklizmy. Dokładne położenie owych korytarzy i sposób dostania się do nich mają być znane tylko nielicznym wtajemniczonym, a szczegółów tych pilnuje się niezwykle dokładnie, ponieważ samo królestwo jest olbrzymim rezerwuarem tajemnej wiedzy. Pochodzi ona od zaginionej cywilizacji Atlantydy oraz od jeszcze wcześniejszego ludu, którego członkowie byli pierwszymi inteligentnymi istotami zamieszkującymi Ziemię.



Położenie starożytnej Atlantydy (siedemnastowieczna rycina).

Nie ma wątpliwości co do istnienia tajemniczych korytarzy pod powierzchnią ziemi. John Michell i Robert J.M. Rickard piszą w swojej książce *Phenomena* (1977):

„Szukając fizycznych dowodów prawdziwości tych sprawozdań, potykamy się nieuchronnie o największą i najgłębiej ukrytą tajemnicę archeologii: istnienie niezmiernych, niewytłumaczalnych układów tuneli, częściowo sztucznych, częściowo naturalnych, pod znaczną częścią powierzchni Ziemi...

Książka Baring-Gould, *Cliff Castles and Cave Dwellings of Europe* („Zamki skalne i siedziby jaskiniowe Europy”), zawiera zdumiewające dane o rozległej strukturze tuneli i jaskiń położonych pod Francją i innymi krajami. W książce Harolda Batleya, *Archaic England* („Anglia archaiczna”), zawarte są raporty dawnych podróżników, mówiące o wielkich tunelach, rozciągających się pod dużą częścią powierzchni Afryki; jeden z nich, pod rzeką zwaną Kaoma, jest »tak długi, że karawana potrzebuje całego dnia od wschodu aż do zachodu słońca na jego przebycie«.

Gdy piszemy tę książkę (jest lipiec 1976 roku), docierają do nas wiadomości o wspieranej przez armię ekspedycji rozpoczynającej się w Ameryce Południowej, która ma podwójne zadanie – zbadanie zagadki »niemożliwych z technologicznego punktu widzenia« kamiennych miast położonych w wysokich górach oraz olbrzymiej sieci tajemniczych tuneli, które mają ponoć przebiegać pod całym pasmem Andów. Chcąc udowodnić istnienie świata ożywionego pod naszym własnym, nie mielibyśmy żadnych trudności ze wskazaniem wejść do podziemnego państwa i nie brakowałoby nam historycznych potwierdzeń kontaktów pomiędzy ludźmi a mieszkańcami podziemnej sfery”.

Michell i Rickard czynią także takie oto interesujące spostrzeżenie:

„Jeżeli przypuścimy, jak czyniło to wielu pomyłków i wielkich ludzi przed nami, że w podziemnym świecie istnieje życie przenikające się niekiedy wzajemnie z naszym własnym, wiele ze znanych nam dziwnych zjawisk wyda się wtedy bardziej racjonalnymi”.

W buddyzmie napotykamy również interesujące fakty dotyczące Agharti. Zgodnie z owymi naukami królestwo to jest położone głęboko we wnętrzu planety i zamieszkane przez tysiące łagodnych, pokojowo nastawionych ludzi. Są oni rządzeni przez mądrą i niewiarygodnie potężną istotę znaną jako Rigden Jyepo, Król Świata, który mieszka we wspaniałej siedzibie w stolicy Agharti nazywanej Szambala. Utrzymuje on stamtąd kontakt z przedstawicielami „świata wyższego” i jest przez to w stanie wpływać na obyczaje „człowieka z powierzchni”. O Królu Świata mówi się też, że kontaktuje się on bezpośrednio z tybetańskim Dalajlamą.

Amerykański buddysta Robert Ernst Dickhoff, znany jako Czerwony Sungma Lama, w swojej intrygującej książeczce *Agharta* (1951) dodaje do owych informacji rzecz następującą:

„Historia Agharty zaczęła się około 60.000 lat temu, kiedy to pewne plemię pod przewodnictwem świętego człowieka znikło pod ziemią. Mówi się, że mieszka tam wiele milionów ludzi, nauka zaś przewyższa wszystko, co w tej dziedzinie znamy na powierzchni ziemi, i jest motorem wszelkich działań owych podziemnych obywateli w ich niezwykłym królestwie.

Mówiąc o Agharcie powinniśmy przedstawić sobie ogromne podziemne miasto, stanowiące zakończenie jednego z odgałęzień podziemnej, podoceanicznej sieci tuneli... Większość owych prastarych tuneli ma obecnie niewidoczne początki i wejścia, a to z powodu obsunięć mas ziemnych spowodowanych pradawnym potopem, a także pogrążenia się całych kontynentów. Tych kilka tuneli wciąż otwartych dla świata powierzchniowego znajduje się w Tybecie, na Syberii, Afryce, Ameryce Południowej i Północnej i na odległych wyspach, które stanowiły niegdyś szczyty górskie Atlantydy”.

Dr Dickhoff twierdzi, iż przedpotopowa cywilizacja, która stworzyła Agharti, kwitła po obu stronach Atlantyku, i dodaje:

„Lamowie tybetańscy są zdania, że w Ameryce, w olbrzymich jaskiniach, mieszkają ludzie, którzy przeżyli katastrofę Atlantydy, oraz że grotty te są ze sobą połączone poprzez tunele biegnące nieprzerwanie pomiędzy obydwoma kontynentami, Azją i Ameryką. Są też zdania, iż grotty te są oświetlane przez zielony blask, wspomagający podziemną wegetację i wydłużający czas życia ludzkiego”.

Inny Amerykanin, dr Raymond Bernard, wybitny badacz legend o podziemnym królestwie, także komentuje wzajemne korelacje buddyzmu i Agharti w swojej książce *The Subterranean World* („Podziemny świat”, 1960):

„W całym buddyjskim świecie Dalekiego Wschodu wiara w istnienie świata podziemnego, któremu nadaje się nazwę Agharti, jest powszechna i stanowi integralną część doktryny buddyzmu. Innym świętym słowem buddyzmu jest Szambala, nazwa stolicy podziemnego świata.

Przekazy buddyjskie podają, że Agharti skolonizowano po raz pierwszy przed wieloma tysiącami lat, kiedy to pewien święty człowiek był przywódcą plemienia, które znikło pod ziemią. Przypomina nam to o Noem, w rzeczywistości mieszkańcu Atlantydy, który ocalił grupę wartościowych ludzi przed nadejściem potopu, jaki zatopił ten kontynent. Wierzy się, że obecna populacja owego podziemnego królestwa dysponuje nauką, która przewyższa wszelką spotykaną na powierzchni ziemi wiedzę. Dzięki niej może władać siłami natury, o jakich nam nic nie wiadomo. Ich cywilizacja ma jakoby być kontynuacją cywilizacji Atlantydy, liczącą sobie wiele tysięcy lat (Atlantyda zatonała około 11.500 lat temu), podczas gdy nasza cywilizacja jest bardzo młoda. istnieje od niewielu wieków”.

Dr Bernard wierzy, że pod stolicą Tybetu, Lhasą istnieje tunel prowadzący do Szambali, nieustannie strzeżony przez lamów. Twierdzi też, iż buddyzm jest „filozofią aghartyjską, przyniesioną ludzkości zamieszkującej powierzchnię ziemi przez nauczycieli przybyłych ze świata podziemnego”. Dr Bernard pisze:

„Przeróżne gigantyczne posągi Buddy nie przedstawiają ludzkiej postaci Cotamy, lecz raczej owych podziemnych przedstawicieli wyższej kultury, którzy przybywali na powierzchnię, aby nauczać ludzkość i dopomagać jej w odległych okresach przeszłości. Wszyscy ci Buddowie nauczali uniwersalnej, naukowo zorientowanej religii jako emisariusze Agharti, podziemnego raj, będącego celem wszystkich prawdziwych buddystów”.

Najbardziej może godnym uwagi twierdzeniem wysuniętym przez tego niezwykłego człowieka – z którym spotkamy się ponownie w dalszej części niniejszej książki – jest teoria twierdząca, iż mieszkańcy podziemnego świata podróżują przez tunele w przedziwnych pojazdach, które wylatują niekiedy ponad powierzchnię ziemi i pojawiają się na naszym niebie – zjawisko znane jako UFO lub latające talerze. Według Bernarda są one napędzane przez owe tajemnicze „moce natury”, których sekret posiadają podziemni ludzie.

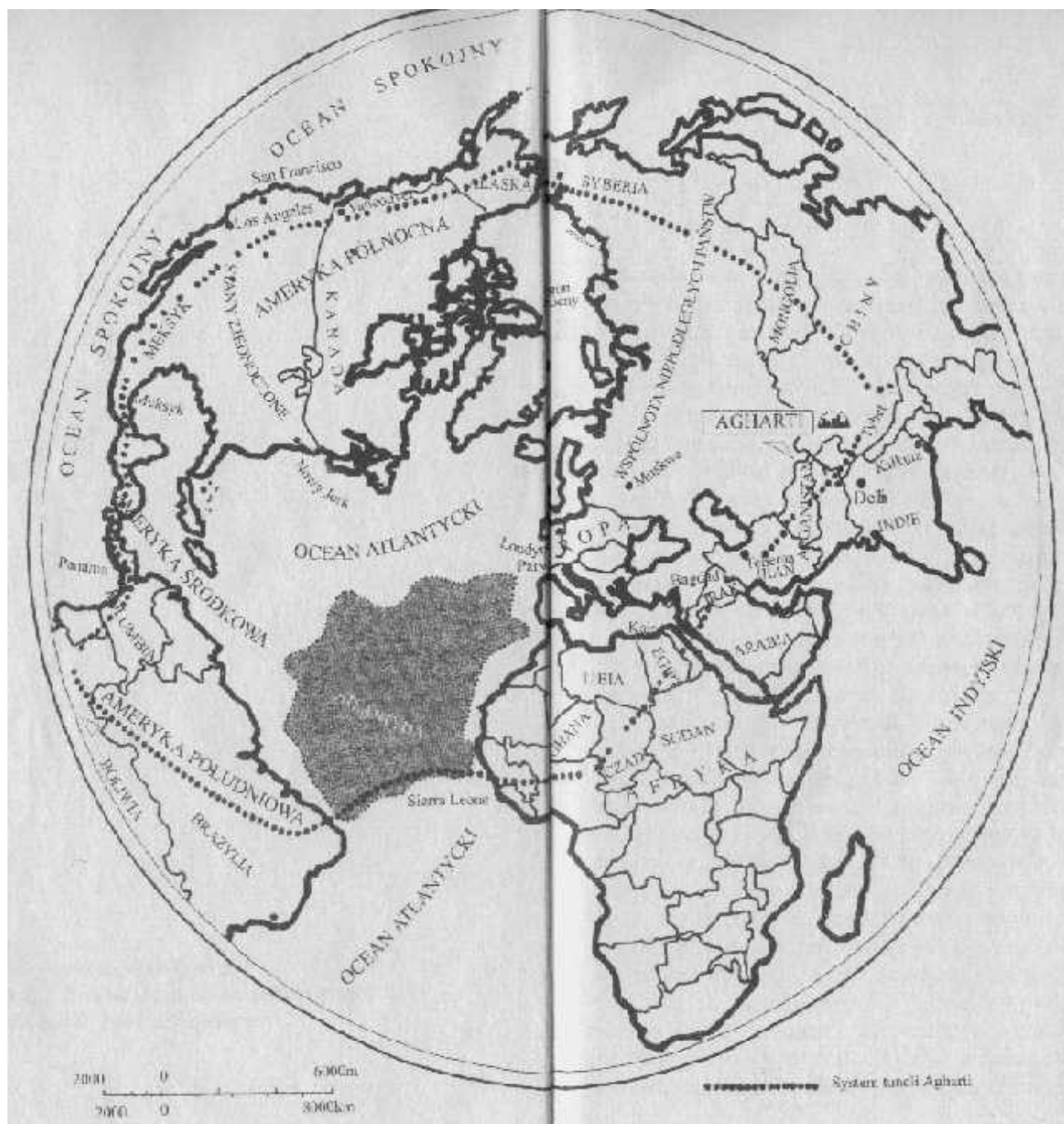


Czy UFO pochodzi ze świata podziemi, czy z przestrzeni Galaktyki?

Na podstawie wyraźnych spostrzeżeń doktora Bernarda i buddysty Roberta Dickhoffa, jak również opisanych przeze mnie powszechnych tradycji, czytelnikowi nie będzie trudno dostrzec, dlaczego legenda o Agharti stanowi źródło aż tak wielkiej fascynacji. Jednakże moim celem przy pisaniu tej książki było rozgraniczenie faktów i fikcji.

Upprzedzam czytelnika, że książka ta nie należy do typu dzieł o „wydrążonej Ziemi”. W ostatnich latach pojawiła się duża liczba nowych książek na ten temat, ale także wznowień klasyków, na przykład: William Reed, *The Phantom of the Poles* („Widmo biegunów”, 1906), Willis George Emerson, *The Smoky God or a Voyage to the Inner World* („Bóstwo Dymów lub podróż do Wewnętrznego Świata”, 1908) oraz Marshall B. Gardner, *A Journey to the Earth's Interior* („Podróż

do wnętrza Ziemi”, 1920). Wszystkie one usiłują dowieść, że wewnątrz naszego świata jest puste i że zamieszkują go ludzie.



System tuneli Agharti.

Nie zgadzam się z tą teorią. Twierdzenie, jakoby Ziemia była czymkolwiek innym niż spłaszczoną sferoidą masywną aż po swe jądro [Zgodnie z powszechnym przekonaniem Ziemia – której obwód na równiku wynosi około 40.000 km, a powierzchnia około 510 mln km<sup>2</sup> – składa się z niewielkiego jądra wewnętrznego zbudowanego z płynnego żelaza i niklu (o średnicy ok. 1300 km), jądra zewnętrznego z płynnego żelaza i niklu, litego płaszczka skalnego (szerokiego na ok. 2900 km), wreszcie zaś zewnętrznej skorupy ziemskiej o grubości od ok. 5 do 8 km. Zwolennicy koncepcji wydrążonej Ziemi twierdzą, że wewnątrz skorupy ziemskiej znajduje się nie lita materia, lecz świat oceaniczno-kontynentalny, do którego można się dostać otworami na biegunie północnym lub południowym, albo też poprzez głębokie zapadliny w powierzchni planety.], nie znajdzie dla siebie miejsca w tej książce. Wierzę jednak, że istnieje możliwość, iż naturalne

wydrążenia Ziemi mogły zostać wykorzystane – wraz z towarzyszącą im konstrukcją odpowiednich tuneli w celu stworzenia tajemniczego świata tuż pod naszymi stopami.

Jaka część owego świata wciąż jeszcze istnieje, czy jest on zaludniony, jak wygląda prawda o jego pochodzeniu – oto kwestie, które usiłowałem wyjaśnić. Badanie tych problemów poprowadzi czytelnika wstecz poprzez karty historii i zawiedzie do wnętrza niejednej najciemniejszej dziury w powierzchni ziemi. Wyniki badań doprowadziły mnie do niezwykłych wniosków dotyczących rozmiarów i przebiegu sieci tuneli oraz położenia samego Agharti – które obecnie niektóre autorytety uważają za legendarne Shangri-la, poszukiwane przez ludzi od najwcześniejszych wieków.

Opowieściom o Agharti towarzyszy też temat może jeszcze bardziej tajemniczy – przedziwnej mocy zwanej mocą *Vril*, którą przez długi czas łączono z istnieniem podziemnego świata. Owa zdumiewająca siła ma dawać niemal nieograniczoną potęgę każdemu, kto ją opanuje, a było to życzeniem wielu, włącznie z najbardziej złowieszczą i fatalną postacią dwudziestego wieku, Adolfem Hitlerem. Zbadamy jego rolę w poszukiwaniu mocy *Vril*, jak również samą tę siłę, na dalszych stronach tej książki.

Przedtem jednak, zanim spróbujemy ustalić, gdzie leży Agharti, czy istnieją podziemne korytarze, a nawet czym mogłaby być tajemnicza moc *Vril*, musimy przyjrzeć się bliżej historii tego szczególnego podziemnego królestwa oraz tajemnicy, jaka je otacza. Jest to opowieść, która cofnie nas w czasie o wieki, prowadząc przez kroniki i historię wielu różnorodnych państw i narodów...

## 2.

### Legenda Agharti

Legendę Agharti – wiarę w istnienie podziemnego królestwa połączonego z odległymi krańcami ziemi siecią tuneli – można prześledzić wstecz aż do czasów starożytności. Wzmianki o nim znajdujemy w najstarszych przekazach, wskazówki zaś dotyczące Agharti zapisane są w prastarych manuskryptach stworzonych przez najwcześniejsze cywilizacje. Większość owych zapisków mówi o tym, że jest ono zamieszkane przez ludzi, którzy osiedlili się tam długo przed początkami historii pisanej – przez kochającą pokój rasę, dbającą o czystość życia i w miarę możliwości wywierającą łagodzący wpływ na ludzi żyjących na powierzchni Ziemi.

Nietrudno zauważyć, jak głęboko ukryta jest owa idea, co stwierdzili Louis Pauwels i Jacques Bergier w ich godnym uwagi omówieniu wiedzy „zaginionej” i „tajemnej” pod tytułem *The Morning of the Magicians* („Poranek magów”, 1960):

„Najstarsze teksty religijne mówią o oddzielonych od siebie światach, usytuowanych pod warstwą skorupy ziemskiej; przypuszczano, iż to miejsce jest siedzibą duchów umarłych. Kiedy Gilgamesz, legendarny bohater starożytnej epiki Sumeru i Babilonu, udał się w odwiedziny do swojego przodka Utnapstima, opuścił się w głąb ziemi; tam również Orfeusz poszukiwał duszy Eurydyki. Odyseusz zaś, osiągnąwszy najdalsze granice świata Zachodu, złożył ofiarę po to, aby duchy starożytnych wzniosły się ku niemu z wnętrza Ziemi i udzieliły mu rady. O Plutonie mówiono, że rządzi podziemnym światem oraz duchami zmarłych ludzi. Pierwsi chrześcijanie zwykli spotykać się w katakumbach i wierzyli, że dusze potępionych bytują w jaskiniach pod ziemią”.

Aby otrzymać dalsze potwierdzenie tej kwestii, musimy zwrócić się do Sabine Baring-Goulda, która pisze:



„Cudowne jaskinie, wejścia do tajemniczego świata podziemi, występują powszechnie w wielu krajach. Niemieckie opowieści o Górze Wenus, gdzie wciąż spoczywa sławny poeta Tannhäuser, lub o Fryderyku Barbarossie wewnątrz Unterbergu, albo też opowieści walijskie o Królu Arturze widywanym niekiedy w sercu góry, duńskie baśnie o Holgerze Dansk w kryptach pod Kronenburgiem – wszystkie one odnoszą się do powszechnej wiary w świat podziemny zamieszkały przez duchy”.

W fascynującej książce archeologa Harolda Bailey, *Archaic England*, stwierdzamy, że autor przeniósł ten temat o jedną płaszczyznę wyżej, wskazując na to, iż pewna liczba legendarnych bohaterów ludzkości ma jakoby nawet pochodzić z podziemnego świata.

„Wszystkie właściwie wielkie postacie mitologii przedstawiono jako wywodzące się z jaskiń lub spod ziemi: Jowisz i Chi narodzili się i byli czczeni w jaskini; o Dionizosie mówi się, że został wykarmiony w jaskini; Hermes narodził się u wejścia do jaskini. Godne uwagi jest także, iż jako miejsce narodzin Jezusa Chrystusa w Betlejem wciąż wskazuje się jaskinię, a św. Jeremiasz narzekał w swoim czasie, że poganie w tejże samej jaskini celebrują kult Tamuza lub Adonisa, tj. Adona”.

Bailey wykazuje dalej, że w starożytnych tekstach można odnaleźć wskazówki co do uporczywej wiary człowieka pierwotnego we własne pochodzenie z jaskiń. W rozdziale zatytułowanym „Na dole” Bailey pisze:

„Zarówno etymologia, jak i mitologia wskazują na prawdopodobieństwo, o ile nie pewność, że u starożytnych jaskinia, naturalna lub sztuczna, była uważana za symbol i do pewnego stopnia odzwierciedlenie skomplikowanego »łona Stworzenia«, czy też Matki Natury. »Człowiek w stanie pierwotnym – mówi pewien współczesny pisarz uważa, że wyszedł z jakiejś jaskini, wręcz z wnętrza Ziemi. Niemal wszystkie amerykańskie mity o Stworzeniu twierdzą, iż człowiek wyłonił się w ten sposób z łona Wielkiej Ziemskiej Matki.« Wizerunek obłej figury kobiecej, reprezentujący najwidoczniej Wielką Ziemską Matkę trzymającą w dłoni zwykły róg, poprzednika późniejszego cornucopia albo rogu obfitości, przedstawia szkic na skale klifowej w Dordogne. Udowodniono, że pochodzi on ze Złotego Wieku i jest jedyną odkrytą dotychczas podobną wykonaną przez tak zwanych ludzi kultu Renifera”.

Nie powinniśmy zbyt zagłębiać się w dyskusję na temat człowieka pierwotnego, a raczej skupić wysiłki na co bardziej oryginalnych wzmiankach o podziemnym królestwie, znanym jako Agharti. Doskonale tu pasuje cytat z prac innego czołowego autorytetu w dziedzinie legend o świecie podziemnym, profesora Henrique Jose de Souza. W fascynującym artykule zatytułowanym „Czy Shangri-la istnieje?”, opublikowanym przez pismo *Journal* Brazylijskiego Towarzystwa Teozoficznego w roku 1960, napisał on:

„Wśród wszystkich ras rodzaju ludzkiego od zarania wieków istniała tradycja dotycząca Ziemi Świętej lub ziemskiego raju, gdzie najwyższe ideały ludzkości są rzeczywistością. Koncepcję tę odnajdujemy w najdawniejszych pismach i tradycjach narodów Europy, Azji Mniejszej, Chin, Indii, Egiptu i obu Ameryk. Poznanie owej Ziemi Świętej może być dane jedynie ludziom godnym, czystym i niewinnym; z tego powodu stanowi ona główny motyw marzeń dziecięcych.

W starożytnej Grecji, w misteriach Delf i Eleuzis, owa Niebiańska Kraina była określana jako Góra Olimp i Pola Elizejskie. Także we wczesnym okresie wedyjskim nazywano ją różnymi nazwami, takimi jak Ratnasanu (wierzchołek drogocennego kamienia), Hermadri (górze ze złota), oraz Góra Neru (górze bogów) i Olimp Hindusów. Szczyt owej świętej góry stanowi symbolicznie niebo, jej część środkową ziemia, podstawą zaś świat podziemny.

Skandynawskie Eddy wspominają również o tym niebiańskim mieście. Była nim także

podziemna Kraina Asar ludów Mezopotamii: Kraina Amenu w uświęconej *Księdze Zmarłych* starożytnych Egipcjan: Miasto Siedmiu Ptaków Wisznu, Miasto Siedmiu Królów w Edomie lub Edenie w tradycji judaistycznej. Innymi słowy, był to ziemski raj.

Na całym obszarze Azji Mniejszej, nie tylko w przeszłości, lecz także i dziś wierzy się w istnienie Miasta Tajemnic pełnego cudów, znanego jako Szambala gdzie znajduje się Świątynia Bogów. Jest ono zarazem Erdem Tybetańczyków i Mongołów.

Persowie nazywają je Alberdi albo Aryana, krainą swych przodków. Hebrajczycy nazywali je Kanaan, mieszkańcy Meksyku Tula lub Tulan. Aztekowie zaś Maya-Pan. Hiszpańscy konkwistadorzy, którzy przybyli do Ameryki, wierzyli w istnienie takiego miasta i organizowali liczne ekspedycje w celu jego odnalezienia, zwąc je Eldorado inaczej Miasto Złota. Dowiedzieli się o nim prawdopodobnie od tubylców, którzy z kolei nazywali je Manca lub »Miasto, Którego Król Nosi Złote Szaty«.

U Celtów owa uświęcona kraina znana była jako »Kraina Tajemnic« – Dust albo Danada. Chińska tradycja mówi o kraju Chi Win lub o »Mieście Tysiąca Węży«. Jest to Podziemny Świat, leżący u korzeni niebios. To Kraina Calcas, Calcis lub Kalki, osławiona Kolchida, której poszukiwali Argonauci udający się po Złote Runo.

W średniowieczu określano ją jako Wyspę Awalona, dokąd Rycerze Okrągłego Stołu pod przewodnictwem Króla Artura, prowadzeni przez czarodzieja Merlina udali się w poszukiwaniu Świętego Graala, symbolu posłuszeństwa, sprawiedliwości i nieśmiertelności. Kiedy króla Artura zraniono poważnie podczas bitwy, zażądał on, aby jego towarzysz Bediwer wyruszył łodzią do kresów ziemi: »Żegnaj, mój przyjacielu, idę do krainy, gdzie nigdy nie pada deszcz, gdzie nie ma chorób i gdzie nikt nie umiera.« To Kraina Nieśmiertelności lub Agharti, Podziemny Świat. To także Walhalla Germanów, Monte Salvat Rycerzy Świętego Graala Utopia Thomasa Moore'a, Miasto Słońca Campanelli, Shangri-la Tybetu i Agharti świata buddyjskiego”.

Nie wszystkie dowody dotyczące Agharti są jednak aż tak ogólne, w miarę zaś cofania się w czasie odnajdujemy sporo zastanawiających relacji, które pogłębiają szeroko rozpowszechnioną wiarę w podziemne królestwo.

Jedną z takich najdawniejszych i najciekawszych tradycji można napotkać na Wschodzie. Jedną z takich relacji twierdzi, że pierwszy człowiek, Adam, przybył na ziemię z podziemnego świata. Według starożytnego mędrca, św. Efrema, siedziba jego znajdowała się „w środkowej części ziemi”; na łożu śmierci święty powiedział, że „zbawca jego i jego pokoleń” nadejdzie z tego właśnie miejsca. Tradycja utrzymuje także, iż ciało Adama zostało zabalsamowane i bezpiecznie przechowane aż do momentu, kiedy kapłan zwany Melchizedekiem, mędrzec z podziemnego świata, przybył kilka lat później tunelem, aby zabrać je ze sobą i zapewnić mu należyty pochówek. Historię tę konkretyzuje dalej *Koran*, opisujący Adama jako przystojnego mężczyznę „wysokiego jak palma”, podczas gdy nauka Hindu mówi, że był on członkiem grupy Starszych, która udała się pod ziemię w czasie wielkiego kataklizmu, później zaś powróciła, żeby nadzorować przywrócenie życia na powierzchni.

W tekstach klasycznych istnieje wiele odniesień do podziemnego królestwa; przykładem mogą tu być pisma nawigatora kartagińskiego o imieniu Hanno, który przedsięwziął wyprawę wzdłuż zachodniego wybrzeża Afryki około 500 r. p.n.e. W swoim dziele *Periplous* opowiada, iż słyszał opowieści o mieszkańcach podziemnych krain, przewyższających inteligencją zwykłych ludzi i „umykających szybciej niż konie”, kiedy podejmowano jakiegokolwiek próby podążenia za nimi do tuneli. (Jak zobaczymy później, istnieje silnie zakorzeniona tradycja twierdząca, że jeden z tuneli prowadzących do Agharti bierze początek w Afryce).

Platon, ów wielki historyk zaginionej Atlantydy, również mówi o tajemniczych korytarzach wewnątrz i wokół tego potężnego kontynentu, „o tunelach zarówno szerokich, jak i wąskich we wnętrzu Ziemi”. Dalej zaś wspomina o wielkim władcy, „który przesiaduje w centrum, na pępku ziemi; jest on tym, który objaśnia religię całemu rodzajowi ludzkiemu”. Legenda Atlantydy jest nierozłącznie spleciona z legendą o Agharti, jak stwierdzimy dowiadując się o wczesnej historii Ameryki Południowej oraz „tunelowym pomoście” pomiędzy kontynentem amerykańskim a

Afryką.

Rzymianin Gaius Plinius Secundus (Pliniusz) wspomina w swojej „Historii Naturalnej” o mieszkańcach podziemnego świata, którzy zbiegli początkowo pod ziemię po zniszczeniu Atlantydy. Jednakże, odwrotnie niż jego poprzednicy, przypisuje im bardzo niewielką inteligencję, jako że od czasów kataklizmu „zdegenerowali się, że stoją poniżej poziomu cywilizacji ludzkiej, jeśli możemy wierzyć w to, co się powiada”. Pliniusz twierdzi jednak, że owi troglodyci ukryli w swoich tunelach „wielki, starożytny skarb”.

Wzmianki o ukrytym skarbie zwróciły uwagę wielu władców, nie sławny zaś cesarz rzymski Neron wysyłał nawet ekspedycje, aby podejmowały próby zlokalizowania owych utajonych kosztowności: Powszechnie wierzono, iż to Afryka jest kontynentem, w którym ukryto skarb – a dokładnie mówiąc, w sieci jej podziemnych korytarzy. Przez osiem lat, pomiędzy 60 rokiem n.e. a jego śmiercią w 68 roku. Neron niejednokrotnie wyprawiał armie legionistów w celu odnalezienia owych kryjących skarby tuneli. Obawiając się gniewu szalonego cesarza, żołnierze gorączkowo przeczesywali Afrykę od wybrzeży po rozpalone pustynie, wołąc raczej śmierć, niż powrót z pustymi rękami. Dopiero po otrzymaniu wiadomości o śmierci Nerona na wpół obłąkanym niedobitkom wolno było wreszcie powrócić do domu. Mimo że nie znaleźli ani tuneli, ani skarbu – być może przyczyniły się do tego umyślnie mylące wskazówki udzielane im przez tubylców – nie zdołało to zapobiec dalszemu rozkwitowi legendy o podziemnym królestwie.

Pierwsze szczegółowe sprawozdanie z wizyty w owym podziemnym świecie pojawia się w godnym uwagi zbiorze opowieści i wspomnień, *De Nugis Curialium*, zebranych przez dwunastowiecznego walijskiego poetę i historyka o nazwisku Walter Map lub Mapes. W swej książce przytacza on opowieść o wizycie króla Herli, „jednego z najstarszych królów na Wyspach Brytyjskich”, w takim właśnie miejscu. Niektóre autorytety sugerują, iż jest to zwyczajna fantazja na temat Krainy Wrózek, jednak bardziej prawdopodobne jest, że ów opis odnosi się do rzeczywistego tunelu zamieszkanego przez podziemnych ludzi.

W tej opowieści do króla Herli zwraca się pewnego dnia piękny mężczyzna, mówiąc mu: „Jestem władcą wielu królów i książąt, a także niezliczonych poddanych”. Obcy zaprasza Herłę, aby ten towarzyszył mu w wyprawie do jego królestwa, które, jak oświadcza, znajduje się pod ziemią. Oto jak mówi o tym opowieść Waltera Mapa:

Weszli do jaskini na wysokim klifie, po wędrówce zaś w ciemności udali się poprzez światło, jakie zdawało się pochodzić nie od słońca czy księżyca, lecz od olbrzymiej liczby lamp, do siedziby króla. Ta była w każdej swej części tak wspaniała, jak pałac słońca opisany przez Nasa [w *Metamorfozach* Owidiusza – przyp. autora].

Król Herla cieszy się gościnnością swego gospodarza przez, jak mu się wydaje, niedługi czas, następnie zaś, objuczony podarkami, otrzymuje pozwolenie na opuszczenie podziemnego świata. Zostaje odeskortowany do „miejsca w tunelu, gdzie rozpoczęła się ciemność”, po czym obydwaj monarchowie żegnają się ze sobą. Walter Map opowiada dalej:

„Po krótkim czasie Herla przybył ponownie na światło słoneczne i do swojego królestwa, gdzie spotkał pewnego starego pasterza i zapytał go o swoją królową, wymieniając imię. Wieśniak wytrzeszczył nań w zdumieniu oczy i odrzekł: »Panie, ledwie potrafię zrozumieć twą mowę, jesteś bowiem Celtem, a ja Saksonem: imienia tej królowej nigdy jednak nie słyszałem; mówią tylko, iż dawno temu królowa o tym imieniu panowała nad prastarymi Celtami, była zaś żoną króla Herli, który, jak mówi opowieść, zniknął na tym tutaj klifie i nie widziano go więcej na ziemi. Minęło już dwieście lat, od kiedy Saksoni wzięli w posiadanie ten kraj, wypędziwszy dawnych mieszkańców!« Słyszając te słowa król, który sądzi, iż spędził w gościnie nie więcej niż trzy dni, ledwie był w stanie ukryć swe zdumienie”.

W tym dziwnym sprawozdaniu oczywiste jest, iż król Herla przebywał pod ziemią o wiele dłużej, niż sobie wyobrażał, mimo, że można się spierać co do tego, jak dosłownie powinniśmy traktować podany okres – dwieście lat! Wzmianka o stosowanym w podziemnym królestwie sposobie oświetlenia zgadza się niemal dokładnie z innymi źródłami, należy jedynie żałować, iż

sprawozdanie nie mówi nam nic więcej o królu podziemi oraz o imponującym świecie, którym włada. Wierzę, że opisana historia opowiada o spotkaniu z ludźmi zamieszkującymi podziemny świat.

Innym legendarnym królem kojarzonym z Agharti jest Prezbiter Jan, który miał jakoby „władać w świetności gdzieś daleko na mglistym Wschodzie” w dwunastym wieku, zgodnie z twierdzeniem Sabine Baring-Gould i jej książką *Curious Myths of the Middle Ages* („Niezwykłe mity Średniowiecza”, 1894). Niektóre opowieści głoszą, że Prezbiter Jan był potężnym chrześcijańskim władcą, panującym nad dużą częścią Azji Środkowej, ale wszystkie próby nawiązania z nim kontaktu przez chrześcijańskich królów i kapłanów Europy spełzyły na niczym. Mimo to cudowne opowieści o jego królestwie, potędze i bogactwie były popularne w ówczesnej Europie; przez pewien czas krążył nawet list napisany ponoć przez samego mocarnego władcę. Choć list okazał się potem fałszywy, zawierał jednak dziwne zdanie, które zwróciło uwagę uczonych. Prezbiter Jan pisze: „W pobliżu dziczy, pomiędzy nagimi górami, jest podziemny świat, do którego można się dostać jedynie przypadkiem, gdyż tylko od czasu do czasu otwiera się ziemia. Ten zaś, kto schodzi w dół, musi to czynić w pośpiechu, zanim ziemia nie zamknie się znowu”.

Oświadczenie to, poparte twierdzeniem, jakoby Prezbiter Jan był „Panem Panów, przewyższającym wszystkich pędzących żywot pod niebiosami w cnoście, bogactwach i potędze”, przyczyniło się do powstania przekonania, iż był on istotnie osławionym Królem Świata z Agharti. Przekonanie to zostało po raz pierwszy wyrażone przez Atanazjusza Kirchera w jego dziele *Mundur Subterraneus* („Świat podziemny”, 1665), w którym umieścił on centrum królestwa Prezbitera Jana w Mongolii. Późniejsi zwolennicy tej teorii przytaczają dowody na to, iż imperium jego obejmowało „troje Indii i kraj, jaki rozciąga się poza Indiami”, aby poprzeć pierwotne twierdzenie. Już we współczesnych nam czasach André Chaleil zauważa w swojej książce *Les Grands Initiés de Notre Temps* („Najwybitniejsi wtajemniczeni naszych czasów”, 1978): „Ostatecznie ezoterycy na przestrzeni całych wieków rozprawiali o podziemnym królestwie Agharti, w średniowieczu zaś uważano, iż enigmatyczny Prezbiter Jan nie był nikim innym, jak tylko istotą rządzącą owym olbrzymim, niepoznawalnym królestwem”.

W jednej ze swoich późniejszych książek, *Cliff Castles and Cave Dwellings in Europe* („Zamki skalne i siedziby jaskiniowe Europy”, 1911), Baring-Gould przypomina inną, datowaną na sto lat później opowieść o zstąpieniu do tajemniczego podziemnego świata. Jest to zadziwiająca historia, na pewno warta powtórzenia:

„Opowiada się historię o Ojcu Konradzie, spowiedniku św. Elżbiety turyngijskiej, »barbarzyńskim, brutalnym człowieku, który został wysłany do Niemiec przez Grzegorza IX, aby palił i ćwiartował heretyków«. Papież nazywał go swoim *dilectus filius*. W roku 1231 wdał się on w spór z nauczycielem-heretykiem, który, pokonany w dyskusji, zgodnie z przekazem Konrada zaoferował się pokazać mu Chrystusa i Błogosławioną Dziewicę. Mieli oni własnymi ustami potwierdzić głoszoną przez niego doktrynę. Konrad zgodził się na to i został zaprowadzony do jaskini w górach. Po długim schodzeniu obaj weszli do jaskrawo oświetlonej sali, w której na złotym tronie siedział król. Heretyk upadł twarzą na ziemię w podziwie i nakazał Konradowi uczynić to samo. Ten jednak wy dobył poświęconą hostię i zaklął owo zjawisko, w wyniku czego wszystko znikło”.

Jest oczywiście sprawą wyłącznie domyślną, czy ów „król na złotym tronie” mógł być osławionym Królem Świata, czy też cała historia była po prostu snem.

Jeżeli poszukamy na wcześniejszych kartach historii, okaże się, że niemiecka legenda o Pstrym Grajku z Hamelin także łączy się z legendą Agharti. Co najmniej dwa współczesne autorytety w tej dziedzinie, Harold Bayley i Robert Dickhoff, uważają, iż Grajek mógł w rzeczywistości być człowiekiem z podziemnego świata. Niech mi będzie wolno zacytować Dickhoffa, aby ukazać wspólne przeświadczenie obu pisarzy:

„Istnieje dobrze znana, opowiadana wciąż na nowo historia o mieście w Niemczech zwanym Hamelin, które zostało nawiedzone przez szczury; a także o pewnym obcym, który dźwiękiem swej kobzy tak oczarował te zwierzęta, że poszły za nim do miejsca, gdzie wszystkie zostały potopione. Opowiada się też, że Pstry Grajek, gdy odmówiono mu zapłacenia umówionej nagrody, raz jeszcze użył mocy swojej kobzy, wygrywając na niej inną melodię, którą tak oczarował wszystkie dzieci z Hamelin, że podążyły za nim. Gdy zważył swoje ofiary do stóp pewnej góry, ukazał się ukryty korytarz, w którym dzieci i grajek zniknęli na zawsze”.

Dickhoff pyta następnie: „Jaką wiedzę o korytarzu czy tunelu mógł mieć ten obcy, i gdzie wynurzył się ostatecznie ze swoimi towarzyszami?” Sugeruje on, że jego celem było Agharti, dodając: „Wszystkie te podobieństwa nie mogą ciągle pozostawać zbiegami okoliczności!”

W interesującym przypisie do owej historii Harold Bayley przypuszcza, że grajek wraz z dziećmi wszedł do korytarza w górze Kloppenburg w Niemczech, chociaż, jak mówi, „nie jestem w stanie powiedzieć na pewno, czy w górze Kloppenburg są tunele”.

Wielki odkrywca Krzysztof Kolumb, któremu przyznaje się honor odkrycia Nowego Świata, również występuje w naszej legendzie. Zgodnie z różnymi relacjami z jego podróży do Ameryki, słyszał on opowieści o olbrzymich korytarzach podziemnych nieopodal Indii Zachodnich. Prawdopodobnie dowiedział się o tym od plemion karaibskich w roku 1493.

Tubylcy twierdzili, że w starożytnym królestwie kobiet-wojowników, Amazonek – o którym mówi się, że leżało na Martynice – istniały tunele, wybiegające „poza granice wiedzy ludzkiej”. Amazonki używały ich jako schronienia, gdy atakowali je wrogowie lub gdy dokuczali im zbyt kochliwi konkurenci. Mogły się tam ukrywać, a także, jeżeli podchody nieprzyjaciół nie ustawały, godzić w nich strzałami, pozostając praktycznie niedostępne. Nie istnieją wzmianki o tym, czy Kolumb odkrył pochodzenie lub zasięg tych korytarzy.

Jak zobaczymy, istnieje spora liczba historycznych dowodów istnienia olbrzymich sieci tuneli podziemnych w Ameryce Północnej, Południowej i Środkowej. Nie zamierzam jednak przytaczać ich już w tym miejscu, gdyż uprzedziłoby to niektóre z wniosków, do jakich doszedłem; przejdę do tego w dalszych rozdziałach. To samo również dotyczy drugiej strony Atlantyku – Afryki, Europy i Azji, które również zostaną omówione. Na razie wystarczy powiedzieć, że dotyczące ich dowody weryfikują twierdzenie, iż legenda Agharti znana była na całym świecie od najdawniejszych czasów.

Jest jednak kraj, na który musimy zwrócić baczną uwagę, ponieważ głównie z jego starożytnych nauk i tradycji wynurzył się po raz pierwszy obraz Agharti. Krajem tym są Indie. To, że legenda podziemnego świata stała się przedmiotem tak intensywnych studiów i poszukiwań, jest – jak zobaczymy – bezpośrednim rezultatem prowadzonych tam badań.

Każdy, kto posiada choćby pobieżną wiedzę o Indiach, wie, że subkontynent ten jest kopalnią starożytnych nauk i legend kosmologicznych, a historia jego przedstawia się fascynująco i barwnie. Mimo iż owa historia jest udokumentowana dopiero od mniej więcej szóstego wieku p.n.e., wiele ze znacznie wcześniejszych wydarzeń, nawet prehistorycznych, przyczyniło się do ukształtowania cywilizacji indyjskiej i powstania wielkich systemów filozoficzno-etycznych, wciąż jeszcze wywierających wpływ na miliony ludzi Wschodu. Najstarszymi literackimi dziełami Indii są hymny *Rigwedy*, oparte z pewnością na znacznie starszych tradycjach ustnych i opisujące inwazję plemion aryjskich, których połączenie się z lokalną populacją pomiędzy latami 1700 i 1200 p.n.e. ostatecznie ukształtowało obecne państwo. Przedmiotem naszego największego zainteresowania są jednak czasy przed tymi udokumentowanymi wydarzeniami, z nich bowiem pochodzą pierwsze opowieści o podziemnym królestwie.

Owe przedhistoryczne czasy znane są jako przedwedyjskie (tj. przed powstaniem tekstów *Rigwedy*). Zdaniem wielu autorytetów Indie zajmowały wtedy znacznie większy obszar niż dzisiaj. Zgodnie z poglądem wielkiego anglo-niemieckiego orientalisty, profesora Friedricha Mara Mullera (1823-1900), wyrażonym w jego ogromnym dziele *Sacred Books of the East* („Święte księgi

Wschodu”), rozpoczętym w roku 1875 i zawierającym pięćdziesiąt jeden tomów, istniały Indie Wysokie, Niskie i Zachodnie. „W owych starożytnych czasach – pisze on – kraje znane nam teraz pod innymi nazwami wchodziły w skład Indii”. Twierdzi też, że Indie Zachodnie leżały tam, gdzie dziś Iran, a granice tego państwa obejmowały również Tybet, Mongolię oraz tatarskie obszary Rosji.

Według profesora Mullera istnieją ważne podstawy do przypuszczeń, że wielkie cywilizacje dawnego świata, mianowicie Egipt, Grecja i Rzym, odziedziczyły swe prawa po owych przedwedyjskich Indiach, zamieszkiwanych niegdyś przez liczne rasy, od których pochodzą dzisiejsi ludzie. Pisze on: „Jedną z powszechnych tradycji przyjmowanych przez wszystkie starożytne ludy, jest istnienie wielu ras ludzkich, poprzedzających naszą własną. Każda z nich różniła się od poprzedniej: każda zanikała, gdy pojawiała się następna”. Profesor Muller przytacza też prastary manuskrypt bramiński, *The Code of Manu* („Reguła Manu”), mówiący o trzech rasach poprzedzających naszą, i cytuje z niego: „I oto powstało ze Swadźambhuwy, lub inaczej Bytu Samoistnego, sześciu innych Manu, z których każdy dał narodziny jednej rasie ludzi. Każdy z owych Manu, wszechpotężnych, z których pierwszym jest Swadźambhuwa, w swoim czasie tworzył ten świat, złożony z istot ruchomych i nieruchomych, i kierował nim”.

Profesor Muller oznajmia także, iż w sercu tej „kolebki ludzkości” znajdowała się wyspa położona pośrodku wielkiego śródziemnego morza. Morze to zajmowało tereny obecnych słonych jezior i pustyń Azji Środkowej na północ od Himalajów. Sama wyspa była bardzo piękna, mieszkały zaś na niej pozostałości rasy, jaka bezpośrednio poprzedzała naszą własną. Ludzie ci byli według profesora Mullera narodem doprawdy godnym uwagi:

„Rasa ta potrafiła żyć z jednakową łatwością w wodzie, powietrzu lub ogniu, posiadała bowiem nieograniczoną kontrolę nad żywiołami. Byli to Synowie Bogów. Oni to podzielili się z ludźmi najbardziej niezwykłymi sekretami Natury i zdradzili im niewypowiedziane, teraz zaś zaginione »słowo«. Słowo to podróżuje dookoła globu, pozostając wciąż jako dalekie, gasnące echo w sercach niektórych uprzywilejowanych ludzi”.

Mimo iż dysponowali tak wybitną mocą, ludzie ci nie byli w stanie zapobiec ani ostatecznemu wyginięciu swego narodu, ani też pogrążeniu się ich wyspy, Shangri-la, w morzu. Manuskrypt sugeruje, że spowodował to jakiś kataklizm.

Najbardziej jednak interesującą informację stanowi być może sugestia, iż owa zatopiona wyspa była ze wszystkich stron połączona z lądem tajemniczymi tunelami.

„Nie istniała żadna komunikacja morska z ową szlachetną wyspą – pisze profesor Muller – łączyły się z nią za to ze wszystkich stron podziemne przejścia znane tylko naczelnikom. Tradycja wskazuje, że owe podziemne trakty łączyły ją z wieloma majestatycznymi ruinami Indii, Elury, Elefanty, oraz z jaskiniami Adżanty (w paśmie Czandoru)”.



Jaskinie Adzanta w paśmie górskim Czandoru.

Sam profesor, a także niektórzy jego następcy zastanawiali się, czy ten opis zaginionej wyspy nie mógł być wersją legendy o Atlantydzie. Naukowcy usiłowali dojść, czy tradycja wyspy pogrążającej się w wodzie, nie została w jakiś sposób, może za pośrednictwem ustnego przekazu, przeniesiona z Oceanu Atlantyckiego na subkontynent indyjski. Nie jest to jednak teoria, która wytrzymałaby dokładniejszą analizę.

Podczas, gdy profesor Muller pisał i publikował swe znakomite dzieło, pewien mieszkający w Indiach francuski prawnik uległ fascynacji tajemniczą tradycją Indii, zwłaszcza historią o światach leżących pod nami. Tak samo jak ten słynny orientalista, prawnik z Indii natknął się na wzmianki o zaginionym królestwie oraz o sieci podziemnych przejść, jakimi było połączone. Postanowił dowiedzieć się więcej o tej legendzie, aby rozstrzygnąć, czy jest ona tylko legendą.

Nazywał się Louis Jacolliot, jego zaś badania miały zapoczątkować rozwiewanie się mgły okrywającej tajemnicę Agharti.

### 3.

## Poszukiwacze zaginionego świata

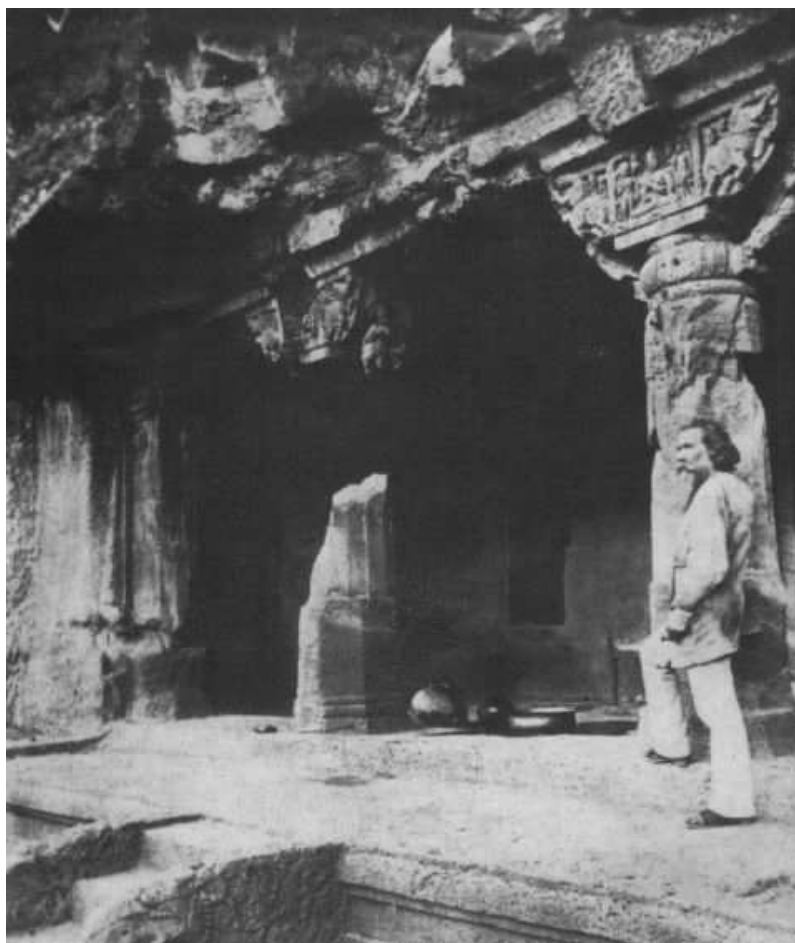
Przedzierającego się między stojącymi jeden obok drugiego straganami bazaru w Kalkucie mężczyzną, mało kto z napierającej nań ludzkiej masy obdarzyłby powtórnie spojrzeniem. Hałas i odór tego miejsca zdawały się nie przeszkadzać niepozornemu człowieczkowi, chociaż zaniedbany

europijski ubiór i blada cera od razu dawały poznać, że nie jest Hindusem. Niezbyt czysty biały kapelusz częściowo zasłaniał jego brodatą twarz, a jasna marynarka miała plamy od potu na plecach i smugi brudu na przodzie od przeciskania się przez wąskie szczeliny między straganami i ocierania się o brudnych, gestykulujących krajowców.

Chociaż cudzoziemcy pojawiali się niekiedy na bazarze kipiącej życiem indyjskiej stolicy w połowie dziewiętnastego wieku, to ich zachowanie cechowała zazwyczaj władczość i pewność siebie. Nie przejawiał tych cech ów niezbyt pociągający, niewielki mężczyzna. Miasto było siedzibą rządu Indii Brytyjskich i dzięki temu to naturalne ujście rzeki Ganges stało się wielkim centrum handlowym i przemysłowym. Nikogo nie dziwno, że wspaniałe pałace wybudowane przez indyjskich książąt, wyniosłe budynki administracyjne wzniesione przez brytyjskiego gubernatora, a także najbardziej odpychające w całych Indiach slumsy, sąsiadują w tym mieście ze sobą. Wciąż jeszcze panowały tu niemal tak samo straszliwe warunki, jakie doprowadziły do wydarzeń w „Czarnej Dziurze Kalkuty” przed stu laty.

Zarówno wspomnienia tych wydarzeń, jak i to nędzne otoczenie, zdawały się nie robić na przybyszu najmniejszego wrażenia. Wydawał się tak pogrążony w myślach, że aż nieświadomy tego, co się wokół niego dzieje.

Mężczyzną tym był Louis Jacolliot, francuski urzędnik konsularny pracujący w stolicy, całym sercem i duszą oddany zbieraniu informacji z dziedziny wiedzy tajemnej. Nie był on typem badacza teoretycznego, przesiadującego w bibliotekach, aby w spokoju poszukiwać uporządkowanych faktów. Wolał polować na nie znane dotychczas materiały, ustne przekazy, jakie można znaleźć tylko wśród tubylców. Aby trafić na takie opowieści, musiał przemierzać całe miasto, poznając wszystkie klasy społeczne. Bywał zarówno w pałacach Hindusów wyższych kast, jak i na gnębionych chorobami ulicach slumsów i bazarów, gdzie biedacy Kalkuty z trudem wiązali koniec z końcem pędząc swe nędzne życie.



Louis Jacolliot, pisarz francuski, który pierwszy opisał świat Agharti.



Niewiele mogło ująć uwagi kręcącego się po bazarze Jacolliota, mimo jego zamyślenia. Dawno temu nauczył się nie być natrętnym, co pomagało mu w zdobywaniu zaufania ludzi w miejscach takich jak to. Potrafił zachowywać się grzecznie i z godnością, gdy wymagała tego sytuacja. Swoją czujny i dociekliwy umysł wyćwiczył tak, aby służył zaspokajaniu jego palącej żądzy wiedzy o prastarej historii Indii.

Jacolliotem kierowało proste i nieodparte przekonanie. „Studiować Indie – twierdził – to posuwać się tropem ludzkości aż do jej źródeł”. Pisząc pierwszą z dwudziestu jeden książek, które miał stworzyć w ciągu swego życia, *La Bible dans L'Indie* („Biblia w Indiach”, 1868), doszedł do tych samych wniosków dotyczących wpływu tego potężnego subkontynentu na inne cywilizacje, co profesor Friedrich Muller i jego współcześni. Jacolliot pisał:

„Tak samo, jak dzisiejsze społeczeństwo na każdym kroku napotyka starożytność, jak nasi poeci naśladują Homera i Wergiliusza, Sofoklesa i Eurypidesa, Plotusa i Terencjusza; jak nasi filozofowie czerpią inspirację z Sokratesa, Pitagorasa, Platona i Arystotelesa; jak historycy biorą za wzór Tytusa Liwiusza, Salustiusza lub Tacyta; mówcy Demostenesa lub Cyncerona; jak nasi lekarze studiują Hipokratesa, nasze zaś kodeksy są transkrypcją kodeksu Justyniana – tak sama starożytność miała swoją jeszcze dawniejszą starożytność służącą jako przykład do naśladowania.

Cóż prostszego i bardziej logicznego? Czy narody nie następują jedne po drugich? Czy wiedza z trudem zdobyta przez jeden lud ogranicza się do zajmowanego przezeń terytorium i ulega zapomnieniu wraz z pokoleniem, które ją stworzyło? Czy rzeczywiście absurdalny jest pogląd, że Indie sprzed sześciu tysięcy lat, błyskotliwe, cywilizowane, gęsto zaludnione, pozostawiły na kulturze Egiptu, Persji, Judei, Grecji i Rzymu tak wyraźne piętno, że wywarły na nie taki sam olbrzymi wpływ, jak te kultury na nas?”

To przekonanie było motorem dużej części badań Jacolliota. Fakty, które zebrał i przedstawił w dwudziestu dziełach, umacniają te poglądy. Do dziś pozostaje zagadką, dlaczego został on tak zupełnie zapomniany i jest dziś tak rzadko cytowany. Nie mamy bowiem powodu wątpić o znaczeniu jego prac, jak twierdzą jego „uczniowie” Pauwels i Bergier w książce *The Morning of the Magicians* („Poranek magów”; 1960), chociaż poświęcają mu nie więcej niż jedną stronę. Stwierdzają oni:

„Jacolliot napisał kilka ważnych, proroczych dzieł, porównywalnych, a może nawet przewyższających dzieła Juliusza Verne'a. Pozostawił po sobie liczne książki traktujące o wielkich tajemnicach rasy ludzkiej. Bardzo wielu pisarzy okultystycznych, proroków i cudotwórców czerpało z jego pism, które, choć całkowicie zapomniane we Francji, są dobrze znane w Rosji”.

Madame Helena Bławatska, rosyjska emigrantka, która – jak zobaczymy dalej w niniejszym rozdziale – obszernie i często bez zaznaczenia zapożyczeń czerpała swe tezy z dzieł Jacolliota, również doceniała ich znaczenie, chociaż była powściągliwa w pochwałach pod adresem autora. Oto jak pisze. ona w swej książce *Isis Unveiled* („Isis bez całunu”, 1877):

„Jego [Jacolliota] dwadzieścia lub więcej książek na tematy Wschodu stanowi zaiste ciekawy konglomerat prawdy i fikcji. Zawierają one ogromnie dużo faktów, dotyczących indyjskiej tradycji, filozofii i rachuby czasu, oraz wiele słusznych i odważnie wyrażonych poglądów. Wydaje się jednak, iż u tego autora filozof bierze stale górę nad romantykiem. To tak, jakby dwóch ludzi zjednoczyło się w autorstwie – jeden ostrożny, poważny, pełen erudycji, naukowo myślący, drugi zaś żądny sensacji, namiętny francuski romantyk, przedstawiający fakty nie takimi, jakimi są, lecz jak on je sobie wyobraża.

Jego tłumaczenia fragmentów z Manu są godne podziwu, jego kontrowersyjne zdolności wyraźnie widoczne; ale poglądy na temat moralności duchownych są niesprawiedliwe, a w

odniesieniu do buddystów wręcz oszczercze. Jednak w tych wszystkich książkach nie ma ani jednej nudnej linijki; Jacolliot ma oko artysty, pióro poety natury”.

Louis Jacolliot urodził się w pobliżu Charolles w Saone-et-Loire w roku 1837 jako syn małomiasteczkowego prawnika. Mimo iż otrzymał jedynie pobieżne wykształcenie, dzięki swojej chęci do nauki i zdolnościom do ciężkiej pracy, zdobył posadę we francuskiej służbie publicznej, ostatecznie zaś zrobił karierę w oddziale konsularnym. Ze skąpych szczegółów jego biografii w *Encyklopedii Larousse'a* wynika, że służył kilka lat w Indiach w okresie Drugiego Cesarstwa, następnie był sędzią w miejscowości Czandranagur, potem zaś piastował takie samo stanowisko na Tahiti. Powrócił do Francji w roku 1874 i poświęcił resztę życia pisaniu, umierając w stosunkowo młodym wieku pięćdziesięciu trzech lat w swoim domu w Saint-Thibaut-les-Vignes w 1890 r.

Fakty te maskują prawdziwą naturę Jacolliota. Objawiła się ona już podczas okresu spędzonego przezeń w Indiach. Mogło się tak stać pod wpływem tamtejszej kultury. Sam pisze, że był wtedy świadkiem wielu rytuałów i ceremonii okultystycznych, prowadził intensywne studia nad mistycznymi mocami fakirów, został przyjęty w szeregi wielu tajnych stowarzyszeń, a także odkrył mnóstwo prastarych dokumentów, rzucających nowe światło na najdawniejszą historię Indii. Jeśli trzeba było szukać informacji wśród tubylczej ludności, nie zważał na ewentualne niebezpieczeństwa. Zdobywał dzięki temu wiele wiadomości tak bardzo ożywiających karty jego książek, na przykład tomu *Occult Science in India* („Wiedza tajemna w Indiach”, 1884) – jednego z niewielu jego dzieł przetłumaczonych na język angielski. W późniejszej książce, *Le Indie Bralunanique* („Indie bramińskie”, 1887), Jacolliot wyznaje nawet: „Widzieliśmy rzeczy, jakich przeważnie nie opisuje się z obawy, żeby czytelnik nie zaczął wątpić w spójność umysłu autora... a jednak faktem jest, że je widzieliśmy”.

Badania Jacolliota zaprowadziły go poza granice Kalkuty; istnieją wzmianki o jego podróży do Indii Południowych, w okolice Pondicherry i, co ważniejsze, także w okolice Kamataku, gdzie dyskutował o starożytnej historii Indii z wieloma braminami w świątyniach Wilenor i Czelambram. Ci święci mężowie – których on nazywał „czcigodnymi mistrzami” – najwyraźniej pierwsi powiedzieli mu o podziemnym królestwie, leżącym gdzieś na północy Indii.

Historia ta miała związek z zasłyszczanymi przez niego na bazarach Kalkuty szeptanymi opowieściami o podziemnym królestwie, położonym przypuszczalnie na północy, za Himalajami. Jacolliot słyszał też relacje dotyczące sieci tuneli, o których mówiono, iż rozciągają się od Gangesu, przechodzą pod Himalajami i biegną w nieznanym kierunku. Zgodnie z opowieściami miał tam jakoby żyć największy ze świętych ludzi wraz ze wszystkimi swoimi wyznawcami.

Na podstawie takich właśnie ustnych informacji, popartych badaniami starożytnych zapisków sanskryckich w Kalkucie, Jacolliot był w stanie przekazać nam pierwszy współczesny opis podziemnego świata, który nazywa on Asgartha, a nam obecnie jest znany jako Agharti.

Badania te umocniły także wiarę Jacolliota w istnienie prastarych cywilizacji, kwitnących w najdawniejszych czasach. Pisze o tym w jednej z późniejszych książek, *Histoire des Vierges* („Historia dziewicza”, 1879):

„Jedna z najstarszych legend Indii, pielęgnowana w świątyniach na mocy ustnego i pisemnego przekazu, relacjonuje, iż kilka tysięcy lat temu istniał olbrzymi kontynent, który został zniszczony przez procesy górotwórcze. Według wierzeń braminów, kraj ten osiągnął wysoki stopień cywilizacji, a na półwyspie Hindustanu, powiększonym dzięki przemieszczeniom obszarów wodnych w czasie tego wielkiego kataklizmu, trwał i rozwijał się łańcuch powstałych tam prymitywnych przekazów. Tradycja indohellenistyczna, zachowana dzięki najbardziej inteligentnej części populacji, jaka wyemigrowała z nizin Indii, także przekazuje istnienie zaginionego w starożytności kontynentu i ludu”.

Jacolliot wyciąga z tego następujący wniosek:

„Niezależnie od zawartości tych przekazów i od miejsca, gdzie rozwinęła się cywilizacja

starsza niż cywilizacje Rzymu, Grecji, Egiptu i Indii, pewne jest, iż ona rzeczywiście istniała. Dla nauki niezwykle ważne jest odkrycie jej śladów, nawet nikłych i ulotnych”.

Nie w owym dziele jednakże, lecz w innym, opublikowanym rok później i zatytułowanym *Le Spiritisme dans le Monde* („Spirytualizm na świecie”, 1875), Jaccoliot zdradził nieco szczegółów, dotyczących ogromnego, starego podziemnego królestwa, o którym według własnych słów dowiedział się, „tłumacząc prastary manuskrypt zapisany na liściach palmowych, który pokazali mu świątynni bramini”. Najbardziej oryginalny opis odnaleziony przez Jaccoliota zawarty był w księdze pod tytułem *Agrouchada Parikshai* („Księga Duchów”), mówiącej o kwitnącym „wieki przed naszą erą” podziemnym rajem. Rajowi temu przewodniczył Brahma-atma – Najwyższy Przywódca, kierujący Wtajemniczonymi, czyli dużą grupą oddanych wyznawców, potomków wcześniejszej cywilizacji.

Ów arcykapłan, Brahma-atma, był jedynym, który znał magiczne zaklęcie, opisywane jako „symbol wszelkich sekretów nauk okultystycznych” i oddawanego przez litery AUM, oznaczające:

A Stworzenie	
U Zachowanie	M Przemiana

Zgodnie z *Agrouchada Parikshai*, „Brahma-atma objaśniał znaczenie tej formuły tylko w obecności wtajemniczonych trzeciego, najwyższego stopnia”.

Oto komentarz Jaccoliota:

„Ten nieznaną świat, którego otwarcia nie była w stanie spowodować żadna ludzka moc nawet wtedy, gdy kraj ponad nim został zmiądzony przez najazdy mongolskie i europejskie, znany jest jako świątynia Asgartha... Ci, którzy tam przebywają, władają wielkimi mocami i posiadają wiedzę o wszystkich sprawach świata. Mogą oni podróżować z miejsca na miejsce korytarzami tak starymi jak samo królestwo”.

Określenie, że kraina Asgartha leży pod ziemią „zmiądzoną przez inwazje” dowodzi, iż Jaccoliot był przekonany, zarówno na podstawie badań, jak i intuicji, że królestwo to znajduje się pod powierzchnią centralnej Azji. Odzwierciedlało to jego rozczarowanie, że nigdy nie miał okazji sprawdzenia swej teorii w praktyce, ponieważ nie mógł wybrać się w podróż do Azji; przydziały służbowe skierowały go do Indii Wschodnich, na Tahiti, a w końcu z powrotem do Francji. Opowieść o krainie Asgartha pozostała więc dla niego zagadką aż do końca. Nie można jednak nie docenić jego roli w udostępnieniu owych faktów opinii publicznej.

Zanim Louis Jaccoliot opuścił Indie, zdarzyła mu się jeszcze jedna dziwna przygoda. Doszedł on mianowicie do przekonania, że mieszkańcy krainy Asgartha byli potomkami jakiejś przedwedyjskiej cywilizacji oraz władcami tajemnych mocy. Wraz z pewnym starym fakirem obserwował kiedyś rytuał wywoływania ducha, który, jak sądził, mógł być duszą jednego z tych ludzi. Sam Jaccoliot nie twierdził tego stanowczo, natomiast co najmniej jeden komentator jego dzieł uważa to za bardzo prawdopodobne. Jaccoliot opowiada o tym w książce *Phénomènes et Manifestations* („Fenomeny i objawienia”, 1877), gdzie opisuje fakirów jako jedynych pośredników pomiędzy światem a Wtajemniczonymi, którzy rzadko przekraczają progi swego uświęconego miejsca pobytu. Oto jak Jaccoliot opisuje to zdarzenie, które miało miejsce w starożytniej świątyni:

„Podczas, gdy fakir śmiertelnie poważnie usiłował wywołać ducha nad małym koszykiem, do którego na żądanie Hindusa bez przerwy dokładałem żarzących się węgli, poczęta się unosić opalizująca, nieprzejrzysta chmura. Stopniowo przybrała postać ludzką, ja zaś ujrzałem widmo – inaczej bowiem nie mogę tego nazwać – starego bramińskiego kapłana ofiarnego, klęczącego obok naszego koszyka na węgle.

Na czole miał święte znaki Wisznu, a dookoła ciała owinięty potrójny sznur, oznakę

wtajemniczenia kasty kapłańskiej. Złączył ręce nad głową jak podczas ofiary, a jego usta pomazały się, jak gdyby recytował modlitwy. W pewnym momencie posypał węgle szczyptą aromatycznego proszku; musiała to być jakaś specjalna substancja, ponieważ wywołany przez nią dym w jednej chwili wypełnił obydwa pomieszczenia.

Gdy dym się rozwiął, oddalone ode mnie o dwa kroki widmo wyciągnęło ku mnie swą bezcielesną dłoń; ująłem ją w swoją, czyniąc gest pozdrowienia, i ku memu zdumieniu znalazłem ją ciepłą i żywą, choć kościstą i twardą.

– Czy naprawdę jesteś – zapytałem donośnym głosem – pradawnym mieszkańcem ziemi?

Zanim jeszcze dokończyłem pytanie, na piersi starego bramina pojawiło się i znikło słowo AM (tak), złożone z ognistych liter. Wyglądało to tak, jakby ktoś wypisał je w ciemności fosforową pałeczką.

– Czy nie pozostawisz mi nic na znak twej wizyty? – zwróciłem się do widma. Duch rozwiązał potrójny sznur, który opasywał mu łądzwie, dał mi go i znikł tuż obok mnie”.

Nic dziwnego, że Jacolliot był zdumiony i zaintrygowany. Napisał później:

„Jedyne wyjaśnienie, jakie mogliśmy uzyskać w tej kwestii od pewnego uczonego bramina, z którym znajdowaliśmy się na dość poufalej stopie, brzmiało tak: »Wy studiowaliście strefę materialną i uzyskaliście za pośrednictwem praw natury wspaniałe rezultaty – parę, elektryczność i tak dalej; my studiowaliśmy siły umysłowe przez dwadzieścia tysięcy i więcej lat, i odkryliśmy rządzące nimi prawa. Każąc im działać osobno lub we współdziałaniu z materią, uzyskujemy fenomeny o wiele bardziej zdumiewające niż te odkryte przez was«”.

Jeżeli uznamy prawdziwość tego, co Jacolliot widział i opisał, a brak dowodów wskazujących na to, że fantazjował – to okaże się, że przypuszczalnie doświadczył działania tajemniczej siły, znanej jako moc *Vril*, którą jakoby opanowali mieszkańcy Agharti. Odłóżmy jednak rozważania o owej tajemniczej sile na później.

Wzmianki Louisa Jacolliota o Agharti – choć bardzo zwięzłe, zwłaszcza w zestawieniu z ponad dwudziestoma tomami napisanej przez niego starożytnej historii Indii – okazały się jednak wystarczająco intrygujące, aby wzbudzić zainteresowanie dwojga współczesnych mu ludzi, tak odmiennych od Jacolliota i od siebie nawzajem, jak tylko można sobie wyobrazić. Pierwszą z tych osób był dziwaczny, pompatyczny okultysta francuski nazwiskiem Saint-Yves d'Alveydre, drugą zaś madame Helena Bławatska. Oboje, każdy na swój sposób, byli poszukiwaczami krainy Agharti i przyczynili się do rozwoju zainteresowania tym tematem.

Joseph Alexandre Saint-Yves d'Alveydre to postać wyjątkowa. Prawdopodobnie pozostałby nie znany potomności, nie mogąc zaspokoić swego obsesyjnego zainteresowania historią starożytną i pseudonauką, rozwijającą się w okresie jego młodości, gdyby nie to, że udało mu się ożenić z pewną bogatą damą. Urodzony w Paryżu w 1842 roku w skromnych warunkach, d'Alveydre z niewiadomego powodu spędził swe wczesne lata na wygnaniu na wyspie Jersey, po czym wrócił do Francji, osiedlając się raz jeszcze w stolicy. Tutaj zawarł małżeństwo z hrabiną Keller – „opatrnościowe małżeństwo”, jak stwierdza jedna z ówczesnych relacji, „które jednak rychło wywołało sporą liczbę oszczerstw”. Małżeństwo przyniosło mu tytuł markiza i niemałe bogactwo.

Wolny od zwykłych życiowych trosk, d'Alveydre poświęcił się studiowaniu starożytnych tekstów, języków i nauk tajemnych. Aby poszerzyć zakres swoich badań, nauczył się sanskrytu, hebrajskiego i arabskiego, a także zgromadził olbrzymią bibliotekę dzieł, zarówno starożytnych, jak i współczesnych. Zdecydowanie najbardziej pociągała go legenda Atlantydy; pod jej to wpływem markiz wystąpił z teorią, jakoby rasa biała – różna od wszystkich innych ras, pochodziła z tego właśnie zaginionego kontynentu, będąc ukoronowaniem rodzaju ludzkiego. Poza rozwijaniem owej rasistowskiej fantazji był d'Alveydre również wynalazcą. Wymyślił projekt wyżywienia ludzkości algami morskimi oraz skonstruował maszynę, zwaną archeometrem, która według niego stanowiła klucz do wszelkich nauk i religii starożytności. Zgodnie z opisem Andre Chaleila w *Les Grands Initiés de Notre Temps* („Wielcy wtajemniczeni naszych czasów”, 1978), był to:

„...instrument złożony ze znaków Zodiaku, symboli planet, nut, kolorów, liter arabskich, hebrajskich i sanskryckich oraz liczb, używających miary systemowi uniwersalnej interkomunikacji. W ten oto sposób pozwalał on jednostce wypracowywać kształty, zgodne z własnym zamiarem: poecie – pisać poezję, opartą na wzajemnym stosunku liter i kolorów, muzykowi – komponować utwory oparte na liczbach”.

Nasz markiz przedstawił też projekt nowego systemu socjopolitycznego zwanego synarchią, wysuwając tezę, iż społeczeństwo należy traktować jak żywy organizm, podobny ciału ludzkiemu. Definiując ową tezę pisze on: „Pierwsza z funkcji odpowiada odżywianiu się, czyli ekonomii. Drugą można określić jako wolę, a więc prawodawstwo i politykę. W końcu trzecia funkcja wyraża ducha, co odpowiada nauce i religii”. Komentując powyższe twierdzenia, Andre Chaleff pisze:

„Synarchia, jak ją rozumie Saint-Yves, jest dawnym marzeniem o spotkaniu lewicy i prawicy, robotników i kapitalistów, naukowców i księży, pod wspólnym sztandarem i w jednakowym duchu. Jest ona na swój sposób mitem obrony Zachodu przed nim samym w obliczu zagrożenia anarchią, czyli rządem pozbawionym zasad”.

Wiele teorii d'Alveydre'a z pewnością zdumiewało przeciętnych czytelników, niektórzy zaś sądzili nawet, że markiz jest szaleńcem włącznie z jego własnym ojcem, który zapewniał: „Ze wszystkich pomyleńców najniebezpieczniejszy jest mój syn!” Ze swej strony, markiz zdawał się umyślnie kultywować przekonanie o swej ekscentryczności – na przykład twierdząc, że wiele ze swoich idei odkrywa w stanie transu, dyktując je jednocześnie sekretarce.

Na pierwszy rzut oka łatwo jest uznać Saint-Yvesa d'Alveydre'a za osobnika pompatycznego i megalomana – u wielu ludzi taką miał zresztą opinię za życia. Byli jednak tacy, którzy uważali go za badacza sumiennego i oddanego, gotowego zawsze do eksploracji nieznanymi obszarów wiedzy i nie obawiającego się wyrażania swych poglądów. Jedynie dziwaczny tryb życia rzucał cień na wszystkie inne aspekty jego osobowości. Jak zauważył Jean Saunier w swej książce *La Synarchie* („Synarchia”, 1971): „Saint-Yves d'Alveydre nie był autorem aż tak dziwacznych, jak można by sądzić, wręcz przeciwnie. Czyż nie może się on wydać jednym z ostatnich utopistów dziewiętnastego wieku?”

Taki właśnie człowiek natknął się na wzmianki Louisa Jacolliota o krainie Asgartha, przedzierając się przez jego książki w niestrudzonym poszukiwaniu informacji, zwłaszcza tych dotyczących wszelkiego rodzaju społeczeństw „utopijnych”. Nie istniał zresztą lepszy opis tajemniczego królestwa od tego, jaki przytoczył Jacolliot. D'Alveydre natychmiast potraktował ów opis jako przyczynek do własnej teorii synarchii.

Saint-Yves najwyraźniej interesował się ideą tajemniczych jaskiń – gdzie, jak mówiono, odbywają się starożytne misteria – już od czasów swej romantycznej młodości; dopiero jednak wzmianki o wielkim podziemnym królestwie rozpały jego wyobraźnię. Teoria ta była podstawą do napisania książki, zatytułowanej z typową dlań kwiecistością – *The Mission of India in Europe and the Mahatma Question and its Solution* („Misja Indii w Europie oraz kwestia Mahatmy i jej rozstrzygnięcie”). Książka ta została wydana w roku 1886.

„Misja...” jest dziełem pod każdym względem wyjątkowym, między innymi dlatego, iż d'Alveydre twierdził, że duża część zawartych w niej informacji została mu udzielona przez emisariusza z Agartha. (Markiz jako pierwszy użył na określenie podziemnego świata drugiej z ogólnie dziś używanych nazw). Według współczesnych relacji d'Alveydre miał jakoby oświadczyć, że złożył mu wizytę „tajemniczy posłaniec”, książę afgański o nazwisku Hadzi Szarif, wysłany przez władcę owego królestwa, Króla Świata. Owa wyższa istota była najwyraźniej świadoma zainteresowania markiza krainą Agartha, a także gotowa zdradzić mu niektóre z jej sekretów. Pozostałe informacje, jak oświadczył markiz, uzyskał drogą telepatii od Dalajlamy z Tybetu, który również znał ów podziemny świat.

Prawdą zaś jest, że Saint-Yves nawiązał kontakt z osiadłym we Francji kapłanem bramińskim, zbiegłym ze swego rodzinnego kraju w wyniku rewolty. Człowiek ten pomógł mu już wcześniej

nauczyć się sanskrytu, następnie zaś, kiedy usłyszał o Agartha, zaofiarował się udzielić informacji. Nasz Francuz nie potrafił niestety oprzeć się chęci usensacyjnienia swego źródła informacji i – do pewnego stopnia także opartej na tych informacjach książki.

Bramin powiedział d'Alveydre'owi, że kraina Agartha jest wielkim centrum wtajemniczenia Azji i ma milion mieszkańców. Jest rządzona przez dwunastu członków Najwyższego Wtajemniczenia oraz Króla Świata, który „kieruje całym życiem planety w dyskretny i niewidoczny sposób”.

Stary Hindus zdradził też, iż przypuszczalnie istnieje wiele wejść do owego królestwa, wszystkie skrupulatnie ukryte przed wzrokiem ciekawych. Jedynie specjalnie wybranym mieszkańcom świata na powierzchni wolno odnaleźć jedno z nich i wejść do środka. Ludzie podziemi mają własny język, *wattan*, nie znany lingwistom i uczonym. Stworzyli oni również „tajemnicze archiwum ludzkości”, w którym umieścili „najdoskonalsze maszyny i okazy wymarłych istot; wszystko to stanowi zabezpieczenie ludzkości tak pod względem duchowym, jak i politycznym”. Wreszcie bramin opowiedział, że istnieją olbrzymie podziemne biblioteki, zawierające tomy pochodzące sprzed tysięcy lat. (Jakaż to musiała być zachęta dla takiego mola książkowego jak d'Alveydre!)

Podsumowując zebrane przez siebie informacje markiz dochodzi do – według niego – oczywistego wniosku, że Agartha jest modelem społeczeństwa synarchicznego, którego konstytucję tak oto opisuje:

„Tysiące dwijów i jogów zjednoczonych w Bogu tworzą wielki krąg. Poruszając się ku środkowi kręgu. znajdujemy dwa tysiące pundytów, których liczba odpowiada liczbie rdzeni hermetycznych w języku *Wed*. Dalej następuje dwunastu członków Najwyższego Wtajemniczenia i Bmhma-atma, »podpora duszy w duchu Bożym«. Całe królestwo Agharta jest wiernym wyobrażeniem Świata Wiekuistego na przestrzeni całego okresu stworzenia”.

D'Alveydre przedstawia także niezwykle twierdzenie, jakoby Indie odkryły starożytną sztukę jogi dzięki swym kontaktom z podziemnym królestwem.

Także modlitwa odgrywa według naszego markiza ważną rolę w życiu mieszkańców podziemnego świata:

„W godzinach modlitwy, podczas ceremonii Kosmicznych Misteriów, mimo iż święte formuły wypowiedane są jedynie szeptem pod olbrzymią podziemną kopułą, na powierzchni ziemi i w niebiosach mają miejsce dziwne zjawiska. Znajdujący się nawet w dużym oddaleniu podróżni i karawany przystają, tak zaś ludzie, jak i zwierzęta nasłuchują z niepokojem”.

Komentarz ten jest intrygujący i bardzo ważny; czytelnik uzna jego znaczenie, kiedy przejdziemy do rozdziału opisującego doświadczenia polskiego badacza, Ferdynanda Ossendowskiego, a także do ostatniej części tej książki, w której rozważa się związek Agharti ze zjawiskami powietrznymi, znanymi pod nazwą latających talerzy.

Saint-Yves twierdzi, że właśnie z królestwa Agartha przybywali „Boży wysłańcy” – Orfeusz, Mojżesz, Jezus i wielu innych – „w czasach, kiedy potrzebni byli ludzkości”. Wreszcie konkluduje: „Opierając się na historii świata wykazałem, iż synarchia, rząd oparty na zasadzie władzy trójdzielnej, pochodzący z głębin wtajemniczenia Mojżesza i Jezusa, stanowi obietnicę daną tak Izraelitom, jak i nam samym”.

Takie tezy przytacza markiz w *Mission of India in Europe*. Zgodnie jednak z relacją Andre Chalefla, natychmiast po ukazaniu się tej książki „d'Alveydre kazał zniszczyć cały jej nakład”. Chociaż ocalało kilka egzemplarzy, tajemnicą pozostaje pytanie, dlaczego resztę spotkał taki smutny los. Chaleil przyznaje, że nikt tego nie wie, ma jednak pewne podejrzenia: „Czyżby ujrzał on, za pomocą owego szóstego zmysłu widzenia – jaki według własnych twierdzeń posiadał – miejsca, które powinny raczej pozostać zasłonięte przed naszym wzrokiem? Czyżby nadużył przekazanych mu tajemniczych informacji, które miał obowiązek całkowicie zniszczyć?”

Wiemy tylko, że tuż przed planowanym wydaniem książki do Paryża przybył inny Hindus, poszukujący markiza. Jak twierdzi znany okultysta, Paul Chacornac, owa tajemnicza postać, o

której wiadomo bardzo niewiele, ostro skarciła Saint-Yvesa, zrobił on bowiem użytek z informacji przekazanej mu „nie w charakterze tradycyjnej wiedzy, którą należy przyjąć i przyswoić, lecz jako budulec przeznaczony do zespolenia z całością jego osobowości”. Człowiek ten oznajmił, że Król Świata niechętnie patrzy na jakiegokolwiek pospolitowanie opinii o królestwie Agharti poprzez kojarzenie go z rządami synarchii.

Nigdy nie dowiemy się, czy owa wizyta odegrała jakąś rolę w decyzji markiza zniszczenia jego pracy. Aż do swej śmierci w 1910 roku nigdy nie wspominał o tej kwestii. Co ważniejsze, nie napisał już ani słowa o królestwie Agartha. Jako badacz pozostał praktycznie nie znany. Dzisiaj nazwisko jego pojawia się najwyżej w formie przypisu w dziełach dotyczących historii wiedzy tajemnej – i zazwyczaj nie jest traktowane zbyt poważnie.

Trzecią autorką, która przedstawiła wieści o podziemnym królestwie szerokiej publiczności w ostatniej ćwierci dziewiętnastego wieku, była Helena Pietrowna Bławatska (1831-1891). Dawała często do zrozumienia, że to ona właśnie odkryła Agharti dla świata, ale w gruncie rzeczy z początku zajmowała się tylko dodawaniem szczegółów do informacji udostępnionych przez Louisa Jacolliota. Madame Bławatska była niezwykle osobowością, którą z uzasadnionych powodów można nazwać twórczynią nowoczesnego okultyzmu.

Córka rosyjskiego pułkownika, w wieku lat siedemnastu wyszła za mąż za wicegubernatora guberni erewańskiej na Ukrainie, Nikifiora Bławatskiego; po kilku tygodniach małżeństwa uciekła jednak od męża, zapisując w pamiętniku: „Miłość jest zmorą – złym snem: Kobieta znajduje prawdziwe szczęście, osiągając moce ponadnaturalne”. Helena Bławatska kierowała się najwyraźniej przekonaniem, które sformułowała jeszcze jako nastolatka:

„Istnieją i zawsze istnieli mędracy posiadający wszelką wiedzę świata. Panują oni całkowicie nad siłami natury i dają się poznać jedynie osobom, które uznają za godne tego, aby ich poznać i ujrzeć. Zanim jednak można będzie ich zobaczyć, trzeba w nich uwierzyć”.

Przez resztę życia madame Bławatska poszukiwała owych, jak ich nazywała, Władców Mądrości po całym świecie.



Helena Bławatska, która spopularyzowała legendę o zaginionym świecie.

Pierwszym jej celem po ucieczce od męża była Europa, gdzie przez kilka lat prowadziła szalone, cygańskie życie, nosząc egzotyczne stroje, paląc haszysz i wykazując zainteresowanie wszelkimi aspektami wiedzy tajemnej. Zainteresowanie to przerodziło się wreszcie w obsesję. Bławatska odbyła liczne podróże, o których wiadomości są skąpe i często mylące. Jak twierdzili jej uczniowie, podróżowała po niemal wszystkich krajach świata. Podobno będąc w Egipcie, wewnątrz Wielkiej Piramidy Cheopsa przeprowadziła o północy rytuał mający na celu wywołanie ducha zmarłego przed wiekami egipskiego kapłana. W Indiach zagłębiła się w magicznych praktykach kapłanów hindu, po czym udała się do Tybetu, gdzie przebrana w męską odzież zapewniła sobie wstęp do wielu odosobnionych klasztorów wyznawców lamaizmu. Dwuletni wypad do Ameryki Południowej zetknął ją z wieloma prastarymi tajemnicami tego kontynentu.

W roku 1873 przybyła wreszcie do Nowego Jorku, gdzie natychmiast porwała ją narastająca powszechnie fascynacja spirytualizmem. Spotkała tam pułkownika Henry'ego Steel Olcotta, uznanego badacza zjawisk psychicznych. Starzejącego się pułkownika oczarowała wyzwolona, szokująca dla współczesnych młoda kobieta. Zrobiła też na nim głębokie wrażenie jej olbrzymia wiedza na tematy okultystyczne. Po kilku miesiącach oboje mieszkali już razem – choć pułkownik twierdził uparcie i stanowczo, że nie ma między nimi miłości fizycznej.

Para ta poczęła organizować zebrania, na których dyskutowano o wszelkich aspektach sfery ponadnaturalnej. Na tych spotkaniach powstał pomysł stworzenia organizacji służącej pogłębieniu okultystycznych zagadnień. W rezultacie powstało Towarzystwo Teozoficzne – teozofia oznacza znajomość boskiej mądrości. Madame Bławatska postawiła przed sobą zadanie zapisania i porównania całej wiedzy zebranej przez nią osobiście i w rozmaitych źródłach; miała z tego powstać książka, która stanowiłaby podstawę działalności Towarzystwa. Rezultat tego przedsięwzięcia został opublikowany w 1877 roku pod tytułem *Isis Unveiled* („Isis bez całunu”). Książka natychmiast zdobyła szalone powodzenie, mimo iż w niektórych środowiskach skrytykowano ją jako „mieszaninę faktów i bajek w wielu dziedzinach”.

Wśród tematów poruszanych przez madame Bławatską znajdował się również tajemniczy świat Agartha. Zaledwie przelotnie wspominając Louisa Jacolliota, przytoczyła ona szczegóły dotyczące podziemnego świata i Brahma-atmy, najwyższego przełożonego Wtajemniczonych, który jako jedyny zna sekret mistycznej formuły zawartej w słowie AUM – te same szczegóły, jakie przytoczyłem wcześniej. Ponieważ jednak książki Jacolliota były poza Francją mało znane, a ich nakłady bardzo niewielkie w porównaniu z ogromną liczbą egzemplarzy dwóch tomów *Isis Unveiled* – to właśnie Bławatska uważana była przeważnie za osobę, która pierwsza ukazała Zachodowi ową niezwykłą tajemnicę”. [W analizie książki *Isis Unveiled* amerykański orientalista William Emmette Coleman stwierdził, że ponad 2000 jej fragmentów zostało przepisane z innych książek „bez umieszczenia odpowiedniej wzmianki”, oraz że Bławatska przytoczyła tytuły 1300 książek, z których sama przeczytała zaledwie 100. Oto konkluzja Colemana: „W ten sposób wielu czytelnikom *Isis...* narzucono błędne przekonanie, jakoby madame Bławatska była wyjątkowo czytana erudytka: faktem jednak jest, iż przeczytała ona niewiele, jej zaś ignorancja pod względem wszystkich dziedzin wiedzy była olbrzymia”. Z książek, co do których dopuściła się plagiatu, Coleman wymienia: Enne Moser, *History of Magic* („Historia magii”), C. W. King, *The Gnostics and Their Remains* („Gnostycy i pozostałości po nich”), jak również siedemnaście fragmentów z *Bible dans L'Indie* Jacolliota.]

Dodała ona jednak do rosnącego zbioru materiałów dotyczących królestwa Agartha jedną nową informację. Opisując legendę o połączeniu tego królestwa z całym światem podziemnymi korytarzami, pochwaliła się, że zwiedziła osobiście jeden taki tunel. Miał on być niezwykle długi (ponad tysiąc sześćset kilometrów) i przebiegać pod Peru i Boliwią. Podobno zdobyła plan tego tunelu podczas swych podróży po Ameryce Południowej w roku 1850. Chociaż korytarz ten był najwyraźniej używany przez starożytnych Inków do ukrywania skarbów przed chciwymi hiszpańskimi konkwistadorami, Bławatska uznała, że pochodzi on ze znacznie wcześniejszych czasów – i być może ma nawet połączenie z Atlantydą. W *Isis Unveiled* autorka pisze:



„Byliśmy w posiadaniu dokładnego planu tego tunelu, skarbcza, wielkiej komory na kosztowności oraz ukrytych obrotowych drzwi skalnych, przekazany nam przez pewnego starego Peruwianczyka. Gdybyśmy jednak zamierzali wyciągnąć jakąś korzyść z tej tajemnicy, wymagałoby to ścisłej współpracy rządów Peru i Boliwii. Pomijając przeszkody natury fizycznej, żadna jednostka czy niewielka grupa nie byłaby w stanie przedsięwziąć tego rodzaju ekspedycji nie natykając się na całą armię rabusiów i przemytników, stanowiących praktycznie całą ludność wybrzeża. Samo oczyszczenie przesiąkniętego trującymi wyziewami powietrza tunelu, do którego przez wieki nikt nie wchodził, byłoby poważnym zadaniem. Spoczywa tam skarb, przekaz zaś twierdzi, że będzie tam tak długo, dopóki ostatni ślad hiszpańskiego panowania nie zniknie z całej Północnej i Południowej Ameryki”.

Stary Peruwianczyk, który dał Helenie Bławatskiej mapę, twierdził, że zwiedził ten podziemny labirynt. „To przekracza moc wyobraźni – powiedział starzec. – To jakby się weszło w świat Aladyna. Starzy czarownicy i kapłani inkasy twierdzą, że tunele te istniały już wtedy, kiedy ich lud po raz pierwszy przybył do Ameryki”.

Do tej sieci tuneli i kolejnych dowodów na ich istnienie, zdobytych przez Bławatską podczas podróży do Ameryki Południowej, powrócimy jeszcze w dalszej części niniejszej książki.

Pomimo początkowego sukcesu *Isis Unveiled* i Towarzystwa Teozoficznego, zainteresowanie nimi szybko zmalowało, więc około roku 1879 madame Bławatska i pułkownik zdecydowali się opuścić Amerykę. Pojechali do Indii, tej wielkiej skarbnicy wiedzy tajemnej. Przywitano tutaj ciepło zarówno ich, jak i teozofię, a Bławatska już wkrótce zyskała nowych zwolenników swojej teorii. Przyciągała ich różnymi „cudami”, które demonstrowała dla udowodnienia swojej mocy. W 1882 roku oboje z pułkownikiem zakupili dużą posiadłość na brzegu rzeki Adżar, w pobliżu Madrasu, gdzie umieścili główną siedzibę Towarzystwa Teozoficznego. Kwitnie ono tam do dnia dzisiejszego, a wśród jego zbiorów pamiątek znajduje się kopia prastarej mapy tunelu, подарowanej Bławatskiej przez starego Peruwianczyka.

Na ostatnie lata życia tej zdumiewającej kobiety rzucił cień skandal: oskarżono ją mianowicie o „fabrykowanie” dokonywanych przez nią cudów. Ataki oskarżające ją o szarlatanerię i oszustwa, były tak natrętne, że madame Bławatska uciekła z Indii. Udała się do Anglii, gdzie dożyła swoich dni, tworząc dzieło uzupełniające *Isis Unveiled* tak samo oparte na mieszanke osobistego doświadczenia intensywnych badań teoretycznych. Dzieło to autorka nazwała *The Secret Doctrine* („Tajemna doktryna”); zapowiedziała, że będzie zawierało wszystkie podstawowe prawdy, będące początkiem religii, filozofii i nauki. Książka została wydana w roku 1888. Możemy w niej znaleźć niektóre z poglądów autorki na temat królestwa Agartha, szczególnie zaś wielkiego Brahma-atmy. Zwracając uwagę czytelnika na omówione przez siebie uprzednio w *Isis Unveiled* zagadnienia, dotyczące tajemniczego podziemnego królestwa w Azji oraz jego władcy, Bławatska pisze tak:

„Jest on tajemniczą (dla niewtajemniczonych – zawsze niewidzialną), a jednak zawsze obecną postacią, o której na Wschodzie krąży mnóstwo legend, szczególnie między okultystami oraz studentami Świętej Nauki. On to utrzymuje duchowy wpływ na wtajemniczonych adeptów na całym świecie. On jest wtajemniczającym. Przebywając bowiem na progu światłości, spogląda w nią z samego środka kręgu ciemności, którego nigdy nie przekroczy, bo nie może opuścić tego miejsca aż do ostatniego dnia swojego cyklu życiowego. To pod bezpośrednim, milczącym przewodnictwem owego Maha (Wielkiego) Guru wszyscy inni, mniej boscy nauczyciele rodzaju ludzkiego, począwszy od dni pierwszych przebłysków ludzkiej świadomości, stali się przewodnikami dawnej ludzkości. Dzięki tym właśnie Synom Bożym, ludzkość w swoim wieku dziecięcym otrzymała zaczątki sztuk i nauk, a także wiedzy; oni to położyli podwaliny pod fundamenty owych starożytnych cywilizacji, będących taką zagadką dla dzisiejszych naukowców.

Niech ci, którzy wątpią w powyższe twierdzenia, wyjaśnią tajemnicę niezwykłej wiedzy, posiadanej przez starożytnych – którzy jakoby rozwinęli się z niższych, podobnych zwierzętom dzikich ludzi jaskiniowych ery paleolitu – poprzez równie logiczne przesłanki. Niech zwrócić się

ku dziełom Witruwiusza, twórcy z dziedziny architektury w czasach Oktawiana Augusta, gdzie wszystkie reguły i proporcje są regułami nauczonymi w pradawnych czasach na obrzędach wtajemniczenia; niech zapytają, czy w inny sposób posiadłby on boskie umiejętności i czy zrozumiałby głębokie ezoteryczne znaczenie, ukryte w każdym kanonie i każdym prawie proporcji.

Żaden człowiek Pochodzący od paleolitycznego jaskiniowca nie byłby nigdy w stanie tak rozwinąć nauki bez pomocy, nawet w okresach rozkwitu myśli i ewolucji intelektualnej. To uczniowie owych Synów Bożych przekazywali swą wiedzę jednemu pokoleniu po drugim, Egiptowi i Grecji z jej zaginionym kanonem proporcji. To dzięki boskiej perfekcji owych proporcji architektonicznych, starożytni byli w stanie budować cuda zadziwiające ich potomków piramidy, jaskinne świątynie, tunele, kromlechy i ołtarze, udowadniając, że posiadali wiadomości z dziedziny techniki i mechaniki, wobec których dzisiejsze umiejętności są jedynie dziecięcą igraszką, a które my dzisiaj określamy jako »dzieło sturękiego olbrzyma«.

W dalszej części książki Bławatska powtarza swoją opinię o istnieniu sieci tuneli połączonych z królestwem Asgartha. „Faktem jest – stwierdza – i wiedzą o tym wtajemniczeni braminowie indyjscy, szczególnie zaś jogini, że w całym kraju nie ma choćby jednej jaskinnej świątyni, z której nie prowadziłyby przejścia podziemne, biegnące we wszystkich kierunkach, i że od tych nieskończonych korytarzy odchodzą dalsze jaskinie i tunele”.

Najważniejsze może dla tematu tej książki jest, iż madame Bławatska pozostawiła nam dość dokładne wskazówki co do położenia Agharti. W przypisie do swych rozważań na temat wtajemniczonych uczniów Brahma-atmy pisze ona, że w wyniku zaistniałej w dawnych wiekach katastrofy „wybrany przedstawiciel tej rasy” znalazł schronienie na „świętej wyspie”, owej osławionej Szambali, na dzisiejszej pustyni Gobi.

Wydawałoby się, że jedyną nowością w tym enigmatycznym fragmencie dzieła Bławatskiej jest inna nazwa podziemnego królestwa. W rzeczywistości jednak, jak już wspomniałem w pierwszym rozdziale i co wykażę dalej, Szambala jest nazwą nadawaną zazwyczaj stolicy Agharti, gdzie na tronie spoczywa Król Świata. Popęłniony przez nią błąd nie powinien zamykać nam oczu na fakt, iż ta niezwykła dama pierwsza określiła, choć w sposób bardzo ogólny, możliwe położenie tajemniczego podziemnego świata.

Trudno jednak odgadnąć, dlaczego nikt nie poszedł śladem jej sugestii, choćby po to, żeby udowodnić błąd. Bez wątplenia niesława, otaczająca Bławatską w ostatnich latach życia, oraz jej śmierć w 1891 roku, wkrótce po publikacji książki *The Secret Doctrine*, odegrały tu ważną rolę. Miało upłynąć prawie ćwierć wieku, zanim o królestwie Agharti ponownie stało się głośno. Okazało się wtedy, że informacje o jego lokalizacji, podane przez Bławatską, nie były tak dalekie od prawdy, jak – według twierdzeń krytyków – jej wszystkie pozostałe idee i wnioski.

## 4.

### **Przedziwna wyprawa poszukiwawcza Ferdynanda Ossendowskiego**

Aż do początku dwudziestego wieku legenda o Agharti pozostawała głównie... legendą. Dawne opowieści o tajemniczym podziemnym królestwie, zachowały się co prawda w niektórych zakątkach świata, jednak dowodów na poparcie owych twierdzeń wciąż nie było. Należałoby oczekiwać, że w racjonalnym i materialistycznie nastawionym wieku dwudziestym, historia taka ostatecznie ugrzęźnie w krainie fantazji jako barwna tradycja, taka sama jak inne starożytne tajemnice, choćby sprawa zaginionych kontynentów Atlantydy i Mu.

Gdyby tak było rzeczywiście, nie zdarzyłyby się chyba dwa godne uwagi odkrycia, dokonane przez dwóch śmiałych podróżników, którzy w roku 1920 udali się w nie zmierzone przestrzenie Azji. Znaleźli tam dowody istnienia Agharti, wykraczające daleko poza wszelkie wcześniejsze relacje. Ich raporty stały się kamieniem węgielnym naszej dzisiejszej wiedzy o tajemniczym królestwie.

O dziwo, ci dwaj ludzie byli sobie zupełnie obcy; z pewnością nigdy się nie spotkali, żaden z nich nie czytał też książek napisanych przez drugiego. Obaj urodzili się w Rosji, obaj byli ludźmi obdarzonymi odwagą i mądrością, i żaden nie dałby się łatwo przekonać fałszerstwu czy porwać zwariowanymi bajkami. Jeden z nich dokonał swych odkryć, kiedy ratując własne życie, uciekał przed terrorem Rewolucji Październikowej. Drugi niedługo potem przybył z dobrowolnego wygnania w Ameryce, pragnąc przeniknąć tajemnice Tybetu – owego dalekiego, dziwnego kraju, ukrytego głęboko w Himalajach, do którego udało się dotrzeć tak niewielu ludziom Zachodu. Nazywali się Ferdynand Ossendowski i Mikołaj Roerich, my zaś rozważymy teraz ich przyczynek do naszej historii.

Ferdynand Ossendowski był człowiekiem ze wszech miar godnym uwagi i trudno doprawdy wyjaśnić smutny fakt, że jest on dziś tak bardzo zapomniany; mało kto powołuje się na jego nazwisko, a jego książki są obecnie nadzwyczajną rzadkością. Jak zobaczymy, stanowi on pod tym względem skrajne przeciwieństwo współczesnego mu badacza legendy Agharti, Mikołaja Roericha.

Ossendowski urodził się w Witebsku w 1876 roku. W szkole był inteligentnym i bystrym uczniem, wykazującym wielkie zdolności do geografii i geologii. Doprowadziło to do podjęcia przezeń pracy w górnictwie; pod koniec wieku dziewiętnastego cieszył się już dużym uznaniem jako jeden z najlepszych ekspertów w dziedzinie górnictwa złota na Syberii. Ossendowski miał w sobie coś z rebelianta i idealisty. W roku 1905, rozczarowany postępowaniem władz w Moskwie, które zdawały się nie zwracać najmniejszej uwagi na potrzeby jego ukochanej Syberii, uwikłał się w próbę oderwania jej od reszty Rosji, występując jako przywódca grupy, nazywającej się Daleko wschodnim Rządem Rewolucyjnym, z kwaterą główną w mieście Harbin.

Była to pełna pasji, lecz źle przygotowana próba przeciwstawienia się potężnej carce, toteż została szybko zgnieciona. Ossendowski razem z trzydziestoma siedmioma buntownikami, został aresztowany. Mimo, iż przyjaciele proponowali mu pomoc w ucieczce, wolał stanąć przed sądem wraz z towarzyszami. Został skazany na karę śmierci za zdradę stanu. Jednak na skutek interwencji wpływowych znajomych oraz jego niewątpliwej użyteczności dla rządu ze względu na wiedzę górniczą, wyrok zredukowano mu do dwóch lat więzienia. Powrócił do normalnego życia we wrześniu 1907 roku, twardszy, ale i mądrzejszy życiowo, dzięki doświadczeniom z syberyjskiego więzienia. W następnych latach Ossendowski poświęcił się studiom w dziedzinie górnictwa; był profesorem geologii na uniwersytetach w Petersburgu i Omsku, pisząc jednocześnie obszernie artykuły o górnictwie złota i platyny dla gazet rosyjskich i polskich. W okresie pierwszej wojny światowej wysłano go jako członka „specjalnej misji badawczej” do Mongolii; krążyła opinia, że szpieguje na rzecz rządu.



Ferdynand Ossendowski, człowiek, który z dzikich obszarów Azji przywiózł wiadomości o Agharti.

W roku 1920, po zwycięstwie Rewolucji Październikowej, w życiu Ossendowskiego nastąpił dramatyczny zwrot. Będąc postacią dobrze znaną w rosyjskim życiu publicznym, przedstawicielem burżuazji i współpracownikiem rządu, stał się siłą rzeczy obiektem wrogości komunistów; kiedy rewolucjoniści zajęli Syberię, znalazł się na liście osób poszukiwanych. Nie czekał jednak po raz drugi w życiu na więzienie lub nawet śmierć: zbiegł w syberyjską głąsę, kierując się w kierunku Mongolii. Choć nie miał sprecyzowanego planu co do celu swej ucieczki, Ossendowski sądził, że po przebyciu rozległych, dzikich terenów Mongolii, prawdopodobnie przedostanie się do Chin.

Lewis Stanton Palen, który współpracował później z Ossendowskim przy powstawaniu książki zatytułowanej *Man and Mystery in Asia* („Człowiek a tajemnica w Azji”, 1924), opowiada, jak wytrwale żołnierze Armii Czerwonej podążali za swą ofiarą; nagle jednak przerwali pościg w przekonaniu, że Ossendowski nie żyje. W lasach nad Jenisejem znaleziono resztki szkieletu, noszącego ślady wilczych zębów, przy nim zaś paszport na nazwisko doktora Ferdynanda Ossendowskiego. Palen pisze:

„Ossendowski był dobrze znany bolszewickim przywódcom i bardzo chcieli go pojmać. Kiedy więc odnaleziono jego dokumenty i rozeszła się wieść o śmierci znanego wroga bolszewizmu, we wszystkich miejscach Syberii, opanowanych przez Czerwonych, nastąpiła wielka radość”.

W rzeczywistości jednak Ossendowski bynajmniej nie zginął, tylko sprytnie wyprowadził swych prześladowców w pole. Oto wyjaśnienie Palena:

„W trakcie zmagania z grupą bolszewików w lasach, dr Ossendowski w obronie własnego życia, potraktował pewnego komisarza tak samo, jak on zamierzał postąpić ze zbiegłym

naukowcem; potrzebując zaś dokumentów mniej kompromitujących niż te, które były wystawiane na jego własne nazwisko, zabrał po prostu komisarzowi z kieszeni jego papiery i pozostawił swoje, niebezpieczne, w miejsce tamtych”.

Mimo, iż Ossendowski był teraz wolny od prześladowań, zdawał sobie sprawę, że nie ma dłań powrotu na Syberię. Z wielkim trudem i desperacją, używając wszystkich swoich umiejętności, przedarł się do Mongolii. Ledwie uniknął śmierci z rąk poszukujących łupu chunchuzów, bandytów pogranicza, aż w końcu trafił na niezwykłego towarzysza, uciekiniera z Rosji, kapłana o imieniu Tuszegun Lama, który również zbiegł przed czerwoną rewolucją. Był to fascynujący człowiek; brał ze sobą wszędzie zatknięty za niebieską szarfę wielki rewolwer typu Colt i szczycił się osobistą przyjaźnią Dalajlamy, wówczas najwyższego władcy Tybetu.

W ciągu następnych miesięcy pomiędzy dwoma uchodźcami zawiązała się mocna nić przyjaźni; żywili dla siebie wzajemny podziw. To właśnie od Tuszegun Lamy Ossendowski miał usłyszeć pierwsze w swym życiu wzmianki o Agharti. Zainspirowało go to do zbadania tych opowieści i wreszcie do spisania pierwszej szczegółowej relacji na temat podziemnego królestwa. Przyczyniło się to do potwierdzenia ziaren prawdy, tkwiących w starych legendach. Raport ten, zatytułowany „Przez kraj zwierząt, ludzi i bogów” (1923), dziś jest bibliofilskim rarytasem.

Opowiadając o swym przyjacielu, Ossendowski tak pisze w swej książce:

„Tuszegun Lama! Ileż to niezwykłych opowieści o nim słyszałem! Jest to rosyjski Kałmuk, propagujący wśród swego narodu idee niepodległościowe. Za swoje poglądy i postępowanie zawarł za rządów cara znajomość z wieloma rosyjskimi więźniami; za to samo bolszewicy wciągnęli go na czarną listę. Zbiegł do Mongolii, gdzie natychmiast zdobył wielkie wpływy wśród Mongołów. Nie było to niczym dziwnym, jako że jest bliskim przyjacielem i uczniem Dalajlamy z Lhasy, sam również jest uczonym lamą, słynnym cudotwórcą i lekarzem. Wywierany przez niego wpływ był w dużym stopniu oparty na opanowanej przez niego znakomicie wiedzy tajemnej. Każdy, kto nie był posłuszny jego rozkazom, zniknął. Człowiek takt nigdy nie wiedział, kiedy potężny przyjaciel Dalajlamy pojawi się w jego jurcie czy obok jego galopującego po stepach konia. Pchnięcie nożem, kula albo silne palce, obejmujące kark, niczym obcęgi, wymierzały sprawiedliwość zgodnie z planami cudotwórcy”.

W trakcie wspólnych podróży Tuszegun Lama opowiadał nieco Ossendowskiemu o niezwyklej mocy tybetańskich lamów, szczególnie samego Dalajlamy. Mocy tej nikt obcy nie byłby w stanie docenić. Wreszcie kiedyś powiedział:

– Istnieje jednak człowiek jeszcze potężniejszy i bardziej święty... a jest nim Król Świata z Agharti.

Ossendowski nie wiedział, co jego towarzysz ma na myśli, więc poprosił go o bliższe wyjaśnienia.

– Tylko jeden człowiek zna jego święte imię – mówił powoli i zagadkowo lama. – Tylko jeden z żyjących obecnie ludzi był kiedykolwiek w Agharti. Tym człowiekiem jestem ja. Oto powód, dla którego Dalajlama obdarzył mnie względami, i dla którego obawia się mnie Żywy Budda z Urga. Niepotrzebnie jednak, ja bowiem nigdy nie zasiądę na tron lamów w Lhasie, ani nie wyciągnę ręki po to, co zwierzchnik nasz religii otrzymał od samego Dżyngis-Chana. Nie jestem mnichem. Jestem wojownikiem i mścicielem!

Ossendowskiego zafascynowała ta przemowa. Zamierzał właśnie zadać mnóstwo pytań, kiedy Tuszegun Lama sprawnie wskoczył na końskie siodło i oddalił się galopem, wykrzykując mongolskie słowa pożegnania: Sejin! Sejin–bajna!

Ossendowski został wśród opadających tumanów kurzu, sam na sam z kłębiącymi się w głowie myślami. Król Świata? Agharti? Co Tuszegun Lama chciał przez to powiedzieć? Gdzie może się znajdować to tajemnicze miejsce?

Dopiero po wielu miesiącach zaczął zdobywać odpowiedzi na pytania, które gnębiły go nieustannie w ciągu całej podróży przez Mongolię.

Wydarzenie, jakie tu opiszę, miało miejsce podczas przeprawy przez wielki step Czagan Lak. Ossendowski podróżował w towarzystwie niewielkiej grupy mongolskich przewodników, pozostawionych mu dla bezpieczeństwa przez Tuszegun Lamę. Nagle jeden z nich okrzykiem powstrzymał grupę. Zeskoczył z wielbłąda, który natychmiast, bez rozkazu położył się na ziemi. Pozostali Mongołowie uczynili to samo, wznosząc ręce w modlitwie i recytując: *Om mani padme hum*.

Zdumiony takim dziwnym zachowaniem Mongołów, które na pozór nie miało żadnej logicznej przyczyny, Ossendowski odczekał do końca modlitwy, po czym zażądał od przewodnika wyjaśnień. Po chwili wahania przewodnik odpowiedział:

„Czy nie widziałeś, jak nasze wielbłądy poruszają w trwodze uszami? I jak stado koni na stepie stoi skamieniałe z napięcia, i jak gromady owiec i bydła leżą skulone na ziemi? Czy zauważyłeś, że ptaki nie fruwać, świstaki nie biegają, a psy nie szczekają? Że powietrze drga lekko, przynosząc z daleka muzykę pieśni przenikającej do serc ludzi, zwierząt i ptaków? Ziemia i niebo przestają oddychać. Wiatr nie wieje, a słońce wstrzymuje bieg. W takich chwilach wilk skradający się po stepie przerywa swoje podchody, przerażone stado antylop nagle wstrzymuje swój dziki pęd, nóż pantera, podrzynający gardło owcy, upada na ziemię, a żarłoczny gronostaj porzuca trop nic nie podejrzewającej salgi. Wszystkie zatrwożone żywe istoty zostają mimowolnie wciągnięte w rytm modlitwy i oczekują swego przeznaczenia. Tak włościwie było teraz. I tak jest zawsze, gdy tylko Król Świata odbywa modły w podziemnym pałacu i odczytuje losy wszystkich ludów Ziemi”.

Ossendowski zrobił zdziwioną minę. Nie zauważył żadnego ze zjawisk, które opisał stary Mongoł. Jednak wzmianka o tajemniczym Królu Świata pobudziła jego zainteresowanie i spowodowała – jak wspomina w książce – że podjął poważne poszukiwania. Rozglądał się za informacjami o Tajemnicy Tajemnic, pod którą to nazwą legenda o Agharti znana jest w Azji Środkowej. Przeanalizował i opatrzył komentarzem wiele przypadkowych, mglistych i często kontrowersyjnych poszlak, podejmując próbę ukazania zwartego obrazu.

Na przykład na brzegu rzeki Amil starzy ludzie opowiedzieli mu o pradawnej legendzie, według której jeden z mongolskich szczepów, uciekając przed żądaniami wodza Dżyngis-Chana, ukrył się w podziemnej krainie. Nad jeziorem Nogan Kul dowiedział się o człowieku, który jakoby znalazł bramę prowadzącą do Agharti i zszedł na dół, a po powrocie lamowie polecieli uciąć mu język, aby nie mógł przekazać nikomu swoich wrażeń.

Pierwszą jednak naprawdę istotną relację o podziemnym królestwie przekazał mu stary Tybetańczyk, książę Chaltun Bejli, żyjący na wygnaniu w Mongolii w towarzystwie swego ulubionego kapłana, Gelong Lamy. Książę chętnie rozmawiał na ten temat z Ossendowskim, przekonawszy się, że jego zainteresowanie jest prawdziwe i szczere. Chętnie też mówił Gelong Lama:

„Wszystko na świecie zmienia się nieustannie i przekształca – ludy, nauka, religie, prawa i obyczaje. Jak wiele olbrzymich imperiów i kultur przestało istnieć! Jedną niezmienną rzeczą jest Zło, narzędzie Złych Duchów. Ponad sześćdziesiąt tysięcy lat temu pewien święty wraz z całym plemieniem ludzi, znikł pod ziemią, aby nigdy więcej nie pojawić się na jej powierzchni. Jednak wielu odwiedzało od tamtego czasu jego królestwo: Sakja Muni, Undur Ghegen, Pasma, Baber-Chan i inni. Nikt nie wie, gdzie leży to miejsce. Jedni mówią, że w Afganistanie, inni, że w Indiach.

Wszyscy przebywający tam ludzie są chronieni przed Złem; nie istnieją tam żadne zbrodnie. Panuje tam pokój, sprzyjający rozwojowi nauki; nic nie ulega zniszczeniu. Mieszkańcy podziemnego świata osiągnęli najwyższy stopień wiedzy. Teraz ich królestwo liczy miliony ludzi, a władą nimi Król Świata. Zna on wszystkie moce świata; czyta w duszach ludzi i w wielkiej księdze ich przeznaczenia. W tajemniczy sposób sprawuje władzę nad ośmiuset milionami ludzi na powierzchni ziemi, a oni wykonują każdy jego rozkaz”.

Do zdumiewającego opowiadania swojego lamy stary książę dodał dalsze szczegóły:

„Królestwo to zwane jest Agharti. Rozciąga się we wszystkich podziemnych przejściach istniejących na świecie. Słyszałem kiedyś, jak pewien uczony lama z Chin mówił Bogdo-Chanowi, jakoby wszystkie podziemne grotty Ameryki były zamieszkane przez starożytny lud, który zniknął pod powierzchnią ziemi. Jego ślady wciąż jeszcze znajduje się na powierzchni. Owi podziemni ludzie i ich państwo, czadzeni są przez władców, zobowiązanych do lojalności wobec Króla Świata. Nie ma w tym nic (sic!) cudownego. Wiesz przecież, że na dwóch wielkich oceanach, na wschodzie i zachodzie, istniały niegdyś dwa kontynenty. Zniknęły one pod wodą, ich mieszkańcy jednak podążyli do podziemnego królestwa. W podziemnych jaskiniach istnieje szczególny rodzaj światła, pozwalający rosnać ziarnu, warzywom i jarzynom, a ludziom dający długie, wolne od chorób życie. Żyje tam wiele różnych ludów, wiele różnych plemion.

Pewien stary kapłan buddyjski w Nepalu spełnił niegdyś wolę bogów, udając się w odwiedzinach do starożytnego królestwa Džen-gis (Syjam); dotarłszy tam, spotkał rybaka, który nakazał mu zająć miejsce w jego łodzi i wypłynąć z nim w morze. Trzeciego dnia dotarli do wyspy, gdzie kapłan spotkał ludzi o dwóch językach, mogących mówić jednocześnie dwoma dialektami. Ludzie ci pokazali mu też niezwykle zwierzęta – żółwie o szesnastu nogach i jednym oku, olbrzymie węże o bardzo smacznym mięsie i użębione ptaki, które chwytają w morzu ryby dla swych panów. Powiedzieli mu także, że przybyli na powierzchnię z podziemnego królestwa i opisali mu fragmenty tej podziemnej krainy”.

Jak łatwo się domyślić, Ossendowski znalazł w obu tych opowieściach wiele rzeczy zastanawiających obok wielu nonsensów. Był jednak przekonany, że trafił nie tylko na legendę lub przypadek zbiorowej hipnozy, lecz prawdopodobnie na potężną moc niejasnego pochodzenia, zdolną najwyraźniej do wywierania wpływu na życie tej części świata. A może nawet i do czegoś więcej, jeśli uwierzyłoby się w to, co powiedział książę Chaltun Bejli.

Teraz, kiedy droga prowadząca uciekiniera przez Mongolię, zbliżała się do granicy chińskiej, postanowił on przekroczyć tę granicę i pojechać pociągiem do Pekinu. Liczył, że stamtąd uda mu się przedostać na zachód i zacząć nowe życie; przypuszczał bowiem, że bolszewicka rewolucja odniesie w końcu zwycięstwo.

Zanim jednak Ossendowski rozpoczął ostatni etap swej ucieczki ku wolności, spotkała go niespodzianka, chyba największa w życiu. W mieście Urga napotkał bowiem starego lamę, który mimochodem uzupełnił jego zasób wiadomości na temat tajemnicy Agharti. A początek spotkania nie był zbyt obiecujący, jak wynika z książki „Przez kraj zwierząt, ludzi i bogów”:

„Podczas mego pobytu w Urga, próbowałem znaleźć wyjaśnienie legendy o Królu Świata. Oczywiście najwięcej mógłby mi powiedzieć Żywy Budda, czyniłem więc starania, aby usłyszeć od niego tę opowieść. Gdy w rozmowie wspomniałem o Królu Świata, stary dostojnik gwałtownie zwrócił głowę w moją stronę, skupiając na mnie spojrzenie swych nieruchomych, ślepych oczu. Mimowolnie zamilkłem. Milczenie trwało długo; potem lama poprowadził rozmowę w taki sposób, jakby nie życzył sobie poruszać tego tematu. Na twarzach pozostałych obecnych, zauważyłem wyraz przestachu i zdumienia, wywołanego moimi słowami: najbardziej przerażony był opiekun biblioteki należącej do Bogdo-Chana. Łatwo można się domyślić, że wywołało to we mnie tym większą chęć dalszych poszukiwań”.

Opuszczając pomieszczenie, w którym przyjmował go Najwyższy Lama, Ossendowski czuł się raczej zawiedziony. Razem z nim wyszedł ów bibliotekarz, bardzo wystraszony wzmianką o Królu Świata. Ossendowski zdecydował się podjąć jeszcze jedną próbę poszerzenia zasobu swych informacji o Agharti i jego władcy. Zwrócił się więc do starego bibliotekarza i poprosił o pozwolenie obejrzenia klasztornej kolekcji książek. Zastosował wobec niego coś, co sam nazwał „bardzo prostym, sprytnym trikiem”.

– Wyobraź sobie, drogi lamo – powiedział do towarzysza – że jechałem kiedyś po stepie o

godzinie, w której Król Świata rozmawia z Bogiem, i odczułem niezwykle majestat tej chwili.

Ku jego niemałemu zdumieniu, stary lama zareagował natychmiast:

– Niesłuszne jest, że buddyści oraz członkowie naszego Czerwonego Wyznania, utrzymują to w tajemnicy – powiedział prawie szeptem. – Sam fakt istnienia tego najświętszego i najpotężniejszego z ludzi, tego błogosławionego królestwa, tej wielkiej świątyni świętej nauki, jest tak wielką pociechą dla naszych grzesznych serc i mizernych żywotów, że skrywanie tego przed ludzkością jest grzechem.

Wykorzystując okazję, Ossendowski szybko zadał bibliotekarzowi pytanie o moce, jakimi dysponuje Król Świata:

– Znajduje się on w kontakcie z myślami wszystkich, którzy wywierają wpływ na los i życie całego rodzaju ludzkiego – odpowiedział zapytany. – Z królami, carami, chanami, wodzami, arcykapłanami, naukowcami i innymi potężnymi ludźmi. Jest on świadom wszystkich ich myśli i planów. Jeżeli są one miłe Bogu, Król Świata dopomaga im w niewidoczny sposób; jeżeli jednak są Mu one niemile, Król doprowadza do ich unicestwienia. Moc ta jest dana Agharti za pośrednictwem tajemniczej nauki zwanej Om, którym to słowem my rozpoczynamy wszystkie nasze modlitwy. Om jest imieniem starożytnego świętego, pierwszego Goro, który żył trzysta trzydzieści tysięcy lat temu. Był on pierwszym człowiekiem, jakiemu dane było poznać Boga; nauczał on rodzaj ludzki wiary, nadziewał i walki ze Złem. Potem zaś Bóg dał mu władzę nad wszystkimi siłami rządzącymi światem widzialnym.

Ossendowski pośpiesznie zadawał pytania, przechodząc ze starym lamą do zapełnionej książkami biblioteki. Interesowało go przede wszystkim, czy ktokolwiek widział kiedyś Króla Świata.

– O tak! – odpowiedział lama. – W pakcie starożytnych uroczystych świąt buddyjskich w Syjamie i Indiach, Król Świata pojawiał się pięć razy. Jechał we wspaniałym wozie ciągniętym przez słonie i ozdobionym złotem, drogimi kamieniami i najwspanialszymi tkaninami. Był odziany w biały płaszcz i czerwoną tiarę, z której zwisały sznury diamentów, zasłaniające jego twarz. Błogosławił ludzi za pomocą złotego jabłka, nad którym znajdowała się figura Baranka. Niewidomym wracała moc widzenia, niemym mowa, głuchym słuch, chromi poruszali się swobodnie, a umarli wstawali z martwych wszędzie tam, gdzie spoczęły oczy Króla Świata. Pojawił się także pięćset czterdzieści lat temu w Erdent Dzu, był w starożytnym klasztorze Sakkaj i w Narabanczi Kure.

Jeden z naszych Żywych Buddów i jeden z Tasz Lamów otrzymali od niego niegdyś wiadomość napisaną nieznanymi znakami na złotych tablicach. Nikt nie potrafił odczytać tych znaków. Taszi Lama wszedł do świątyni, położył sobie złotą tablicę na głowie i począł się modlić. Wtedy myśli Króla Świata przeniknęły do jego mózgu, on zaś, bez konieczności czytania zagadkowych znaków, zrozumiał zupełnie prastarego Króla.

Zadając kolejne pytanie Ossendowski czuł, jak z wrażenia mocno bije mu serce.

– Ile ludzi było kiedykolwiek w królestwie Agharti?

– Bardzo wielu – odpowiedział Lama. – Lecz wszyscy ci ludzie trzymają w tajemnicy to, co tam ujrzeli. Kiedy Oletowie zniszczyli Lhasę, jeden z ich oddziałów na południu przeniknął do obrzeży Agharti. Tutaj posiedli oni niektóre mniej sekretne nauki i przynieśli je ze sobą na powierzchnię ziemi. Oto dlaczego Oletowie i Kahnukowie są biegłymi czarownikami i jasnowidzami. Z krain wschodnich dostały się też do Agharti plemiona ciemnoskórych i żyły tam przez wieki. Potem zostali oni stamtąd wypędzeni i powrócili na ziemię, przynosząc ze sobą tajemnicę przepowiadania przyszłości z kart, źdźbeł traw i linii dłoni. Są to Cyganie... Daleko na północy Azji istnieje wymierające już plemię, które przybyło z jaskiń Agharti, biegłe w przywoływaniu duchów zmarłych, gdy te przepływają przez powietrze.

Ossendowski nie odzywał się przez kilka minut. Ciężkie milczenie zapadło w bibliotecznym pomieszczeniu o wysokim suficie. Stary człowiek powiedział już dużo; jeśli miałby ochotę powiedzieć coś więcej, uczyniłby to bez pytania, wyłącznie z własnej woli. Przeczucie Ossendowskiego okazało się słuszne.

– Niejeden raz przywódcy duchowi Lhasy i Urgi wysyłali posłańców do Króla Świata –



powiedział po chwili lama-bibliotekarz – ci jednak nie potrafili go odnaleźć. Jedyne pewien przywódca tybetański po bitwie z Oletami natrafił na jaskinię z napisem: „Oto brama do królestwa Agharti”. Z jaskini wyszedł mężczyzna o przyjemnej powierzchowności, obdarował go złotą tablicą z tajemniczymi znakami i rzekł: „Król Świata pojawi się przed wami, gdy przyjdzie czas, kiedy poprowadzi wszystkich dobrych ludzi Ziemi przeciw złym; ale dzień ten jeszcze nie nadszedł – najgorsi bowiem wśród rodzaju ludzkiego jeszcze się nie narodzili”.

Zaledwie starzec skończył mówić, do biblioteki weszli dwaj inni lamowie. Zanim Ossendowski zdążył zadać następne pytanie czy choćby podziękować bibliotekarzowi, ten oddalił się pośpiesznie w milczeniu. Podróżnik już nigdy nie widział się, ani nie rozmawiał z owym lamą, który rzucił tak wiele światła na tajemnicę Agharti.

W rok później, już w Paryżu, Ossendowski dokończył swoją książkę i doczekał się wreszcie jej publikacji. W związku z tą pracą trzeba wspomnieć o dwóch sprawach ważnych dla naszej historii. Po pierwsze – książka Ossendowskiego ukazała się w tym samym czasie, co inne dzieło, które tak bardzo zaciążyło na historii świata, choć na zupełnie innej płaszczyźnie. Obie prace miały jeszcze jedną wspólną cechę – dziwaczny, poplątany styl. Ta druga książka – to *Mein Kampf*, napisana przez młodego Niemca, Adolfa Hitlera, który sam marzył o staniu się królem świata. Do owego dziwnego zbiegu okoliczności powrócimy w jednym z następnych rozdziałów.

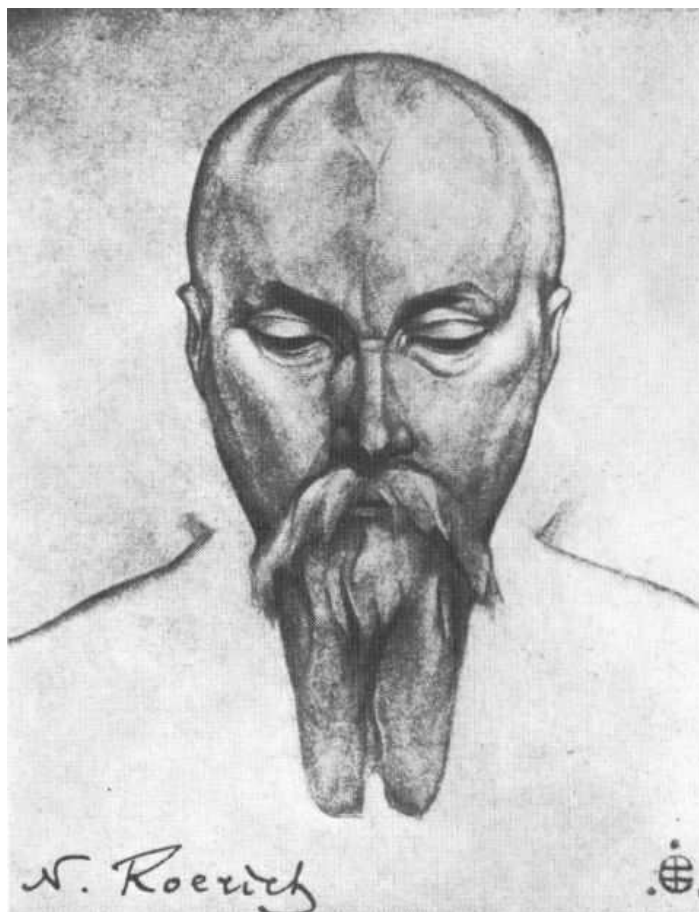
Druga sprawa to opisanie przez Ossendowskiego w jego publikacji potężnych mocy, jakie zgodnie z istniejącymi wierzeniami kontrolują ludzie z królestwa Agharti. Według niego mogliby oni używać tych sił w celu zniszczenia wielkich obszarów naszej planety lub też jako napędu dla najbardziej nawet zdumiewających środków lokomocji. Niektórzy sugerowali, że mogłaby to być przepowiednia wykorzystania energii nuklearnej i pojawienia się latających talerzy. (Książka „Przez kraj zwierząt, ludzi i bogów” została wydana w roku 1923, na długo zanim te tematy w ogóle się pojawiły.) Możliwe jest też, że miało to coś wspólnego z tajemniczą siłą, zwaną mocą *Vril*. Tą fascynującą i intrygującą możliwością zajmiemy się nieco później.

Teraz zainteresujemy się odkryciami innego człowieka, który swego czasu wyruszył na poszukiwania Agharti. Był to światowej sławy podróżnik i artysta, Mikołaj Roerich, który tak jak Ossendowski, przemierzał dzikie i zapomniane rejony Azji – dzięki czemu zbliżył się nieco do wyświetlenia tej wielkiej tajemnicy.

## 5.

### Poszukiwania miasta Szambala

Konstanty Mikołaj Roerich był człowiekiem niezwyklego charakteru, a jego imię zajmuje poczesne miejsce w historii mistycyzmu. Dzięki znaczeniu jego filozofii, niezwyklej umiejętności jasnowidzenia oraz wybitnym zdolnościom artystycznym, jego biografia znalazła się wśród życiorysów ludzi najbardziej znaczących w dwudziestym wieku. Mimo iż Roerich zmarł wiele lat temu, jego dzieła ponownie wydaje się drukiem, obrazy wystawia w galeriach na całym świecie, a jego filozofia stanowi inspirację dla wielu pokoleń myślicieli. W Nowym Jorku poświęcono mu całe muzeum, aby złożyć hołd jego niewątpliwemu geniuszowi.



Mikołaj Roerich, artysta i mystyk, poszukiwacz miasta Szambala.

Dzieło tego niezwykłego człowieka, urodzonego w St. Petersburgu w roku 1874, jest obszerne i różnorodne; ograniczymy się tu jednak do Tych jego aspektów, które mają związek z legendą o Agharti, tematem, który – jak zobaczymy – absorbował i fascynował Roericha.

Pochodził ze znakomitej rodziny rosyjskiej, której drzewo genealogiczne sięgało aż do Wikingów z dziesiątego wieku. Było to odważne, żądne przygód plemię, ludzie zarówno myśli, jak i czynu; ciekawość wszelkiej nowej wiedzy przekazali młodemu Mikołajowi wraz z genami. Zafascynowała go archeologia, w niej zaś szczególnie wszystko, co dotyczyło Wikingów. W monografii autorstwa K. P. Tamy'ego *Nicholas Roerich* (1935) czytamy: „W wieku zaledwie dziesięciu lat Roerich odkopał kilka prastarych kurhanów datujących się z czasów Wikingów, a odkryte przedmioty zaprezentował Towarzystwu Archeologicznemu w blasku samodzielnie zdobytej chwały”. Tamy pisze także, że „Roerich był opanowany płomienną żądzą dotarcia do tego, co piękne, i wykorzystania tego dla pożytku swych bliźnich”. Może ta cecha charakteru pozwoliła mu rozwinąć własny, wybitny talent malarski; kiedy miał piętnaście lat, jego prace wystawiano już publicznie i reprodukowano w wielu czasopismach artystycznych.

Pomimo skłonności artystycznych Roericha wysłano na studia prawnicze na uniwersytecie w St. Petersburgu; kiedy jednak stało się oczywiste, że jego wrodzone zdolności rozwijają się w zupełnie innej dziedzinie, rodzice pozwolili mu przenieść się na Akademię Sztuk Pięknych. Po uzyskaniu dyplomu pogłębiał swe umiejętności w Paryżu; następnie wrócił do Rosji, aby stać się wykładowcą i autorem publikacji z dziedziny historii sztuki. W 1906 roku zdobył prestiżową nagrodę, ufundowaną przez cara za wykonanie projektu nowej cerkwi, został także mianowany dyrektorem Akademii Rozwoju Sztuk Pięknych w Rosji. Wiódł życie pełne osiągnięć i zaszczytów, dopóki nad Rosją nie zawisły ciemne chmury Rewolucji Październikowej. Roerich, który przebywał w tym czasie w Ameryce, czuł, że bramy własnego kraju nieodwołalnie się przed nim zamykają. I rzeczywiście – nigdy więcej nie postawił już stopy na rodzinnej ziemi.

W Ameryce Roerich rozwinął swoje zainteresowanie buddyzmem oraz mistycznym światem

Azji, które zaczął studiować jeszcze w Rosji. Te tematy opanowały do tego stopnia jego wyobraźnię, że w roku 1923 zaplanował ekspedycję badawczą do Indii, Mongolii i Tybetu. Himalaje ekscytowały go najbardziej, wpływ zaś, jaki na niego wywarły, odcisnął się na całym jego dalszym życiu i pracy, do tego stopnia, że w 1927 roku osiadł w Indiach i zmarł tam w roku 1947.

Ekspedycja, w której Roerichowi towarzyszyło ośmiu Europejczyków oraz grupa miejscowych przewodników, wyruszyła w roku 1924 z Sikkim. Przemierzając Pendżab i, posuwając się dalej przez Kaszmir, Hotan, Urumczy, Góry Ałtaj, rejon Ojrotycki, Mongolię, środkową pustynię Gobi i Czajdam, dotarła w końcu do Tybetu. Niewielka grupa badaczy wędrowała przez pięć lat po „dalekich, niebezpiecznych i rzadko odwiedzanych częściach Azji”, jak mówi jedna ze współczesnych relacji, napotykając w wielu miejscach „agresywne i wrogie nastawienie”. Prowadzenie wyprawy wymagało całych umiejętności, odwagi i inteligencji Roericha. Oprócz kierowania ekspedycją i szkicowania ludzi i krajobrazów, prowadził także dziennik podróży, pisany dosłownie „w siodle”.

Do świata cywilizowanego docierało niewiele wieści o grupie Roericha, dopóki nie dotarł z Tybetu do Indii długi telegram w maju roku 1928. Fragmenty tego telegramu dają nam pojęcie o trudnościach, jakie musieli pokonywać jej członkowie:

„Zaatakowani przez uzbrojonych rabusiów na terytorium Tybetu... Zatrzymani siłą przez władze tybetańskie 6 października, dwa dni drogi na północ od Nagczu. Ekspedycję internowano z niezwykle okrucieństwem na pięć miesięcy na wysokości 4570 metrów nad poziomem morza, w letnich namiotach, wśród srogiego mrozu wynoszącego około minus czterdziestu stopni Celsjusza... Brakowało paliwa i paszy dla zwierząt. W czasie pobytu w Tybecie zmarło pięciu mężczyzn, Mongołów, Buriatów i Tybetańczyków, i zdechło dziewięćdziesiąt zwierząt jucznych... Z rozkazu władz wszystkie listy i telegramy adresowane do rządu w Lhasie i do władz brytyjskich w Kalkucie konfiskowano. Zakaz rozmów z przejeżdżającymi karawanami. Zakaz kupowania żywności od ludności miejscowej. Koniec pieniędzy i lekarstw...”

Roerich miał później sam wyjaśnić rozmaite historie, jakie opowiadano o jego grupie w trakcie tej podróży.

„Podczas owych lat plotka uczyniła mnie »królem francuskim i amerykańskim«, »dowódcą korpusu rosyjskiego« i »królem wszystkich buddystów«. Udało mi się dwa razy zginąć, a także przebywać jednocześnie na Syberii, w Ameryce i w Tybecie. Jeżeli wierzyć Mongołom z Czajdamu, prowadziłem wojnę z Ambanem z Sining. Jeśli zaś wierzyć Taotai z Hotanu, przyprowadziłem ze sobą działo, które w ciągu dziesięciu minut byłoby w stanie zniszczyć całe to miasto wraz ze stu tysiącami jego mieszkańców. Przyzwyczailiśmy się do tego i nie zdumiewają nas już »autentyczne« pogłoski. Mongołowie pamiętają dobrze »Amen-Chana«; w taki oto sposób Amerykanin został tu przeobrażony w wojownika. Opowiadano nam różne bajki, które powstały w Lhasie na nasz temat; z trudnością mogliśmy siebie w nich zidentyfikować”.

Pomimo tych wszystkich kłopotów Roerich znalazł po drodze przyjaciół i informacje, wzbogacając swoją wiedzę o ludziach i ich tradycjach. Już na początku ekspedycji, po kilku tygodniach, po raz pierwszy zainteresował się legendą Agharti. Postanowił zająć się bliżej tym tematem. Pierwsze swoje rozważania na temat podziemnego królestwa zanotował podczas podróży, a notatki te zostały później wydane w interesującym opisie ekspedycji zatytułowanym: *Altai Himalaya: A Travel Diary* („Ałtaj-Himalaje: Dziennik podróży”, 1930). Oto, co wtedy zapisał:

„Jedna z legend Azji Środkowej opowiada o tajemniczym ludzie, o mieszkańcach podziemnego świata – Agharti. Zbliżając się do bram owego błogosławionego królestwa wszelkie żywe istoty milkną z szacunkiem, przerywając wędrówkę. Przypomnijmy sobie legendę rosyjską o tajemniczym »ludzie Czud«, który skrył się w podziemiach, uciekając przed prześladowającymi go złymi mocami. Do tego ukrytego miejsca prowadzi nas także legenda

poświęcona podziemnemu krajowi Kiteż.

Cały świat opowiada legendy o podziemnych miastach, skarbcach i świątyniach znikających pod wodą. Rosyjski i skandynawski wieśniak zdaje o tym relacje z jednakową pewnością. Tak samo mieszkaniac pustyni wie o skarbcach, jakie niekiedy błyszczą spod fal piasku, aby potem – aż do wyznaczonego czasu – na powrót skryć się pod ziemią.

Wokół takich światła przewodnich zbierają się ci, którzy pamiętają o wyznaczonych terminach. Nie chodzi tu o przesady, lecz o wiedzę – objawioną poprzez piękne symbole. Po co fantazjować, skoro prawda ma tak wiele twarzy? W głębinach La Manche nawet teraz jeszcze widzimy miasto, które zanurzyło się w wodzie.

Wiele źródeł wspomina o podziemnych siedzibach w rejonie Lhasy i Koko-noru. Pewien lama z Mongolii pamięta taką oto legendę: kiedy wznoszono fundamenty klasztoru Genden w czasach nauczyciela Tsong-kha-pa, w wieku czternastym, zauważono, iż przez szczeliny skalne unosi się dym kadzidlany. Wykuto w skale przejście i znaleziono jaskinię, w której siedział bez ruchu jakiś starzec. Tsong-kha-pa przerwał jego ekstazę, a stary człowiek poprosił go o kubek mleka. Następnie zapytał, jaka nauka panuje teraz na ziemi – i zniknął. Mówi się też o tym, że Potala, pałac Dalajlamy, ma ukryte przejścia z bardzo dawnych czasów. Niczego jednak nie da się wyczytać z twarzy lamów. Należy szukać innych dróg.

Wiele rzeczy spoczywa pod ziemią – prawie tyle co pod całunem milczenia. Naiwnością jest nalegać na więcej, gdy usłyszymy ostrożne napomknienia. Szacowny astrolog zapewnia nas, że nic nie wie – słyszał jedynie pogłoski. Inny, obeznany z historią dawnych wieków, teraz twierdzi, że nigdy nawet nie słyszał o podobnych rzeczach. Dlaczego mieliby właściwie odpowiadać inaczej? Nie wolno im dopuszczać się zdrady. Zdrada jest największym złem – a zdrajców jest wielu. Za prawdziwym poświęceniem lamów możemy dostrzec konstrukcję przyszłości”.



Wizja Szambali, dzieło mistycznego artysty malarza Mikołaja Roericha.

Jak przed nim Ossendowski, Roerich wkrótce zaczął działać metodą poszukiwań najmniejszych okrucich informacji, jakichkolwiek dodatkowych przesłanek na temat tego tajemniczego podziemnego świata. W Lamajuru-Hemis spotkał lamę buriackiego, który, choć niewiele chciał powiedzieć na ten temat, zdradził mu jednak, że serce Agharti stanowi wielkie miasto zwane Szambala, gdzie przebywa Król Świata.

– Istnieje wiele dróg prowadzących do tego zakazanego miejsca – zagadkowo powiedział lama.  
– Ci, których się tam zabiera, prowadzeni są przez podziemne przejście. Przejście to staje się

czasami tak wąskie, że ledwie można się przez nie przecisnąć. Wszystkie wejścia do tego miejsca są strzeżone przez lamów.



Zadziwiające miasto tybetańskie Shigatse, pod którym jest rzekomo ukryta Szambala, stolica Agharti.



Jeżeli człowiek ten powiedział Roerichowi coś więcej, to w dzienniku nie ma o tym wzmianki; istnieją dowody na to, że podróżnik uznał tę rozmowę za zniechęcającą, z wyjątkiem ważnej, nowej wiadomości o mieście zwanym Szambala. Inny incydent, zanotowany przez niego w dzienniku kilka dni później, musiał być równie denerwujący:

„Ktoś odwiedza nas wieczorem i szeptem mówi coś o rękopiśmie dotyczącym Szambali. Prosimy, żeby go przyniósł.

Trzeba być tu, na miejscu, aby móc zrozumieć, co to znaczy. Trzeba patrzeć w oczy tych ludzi, żeby uświadomić sobie, jak wielkie znaczenie ma dla nich Szambala. Czasy tych dawnych wydarzeń nie są dla nich błahą ciekawostką, lecz czymś, co ma związek ze strukturą przyszłości. Choć te dawne opowieści są niekiedy pokryte kurzem i przekrecone, zawartość ich jest wciąż żywa i pobudzająca. Śledząc rozwój myśli, uświadamiamy sobie własne sny i nadzieje. Z takich elementów składa się konstrukcja świata”.

Mimo zniechęcenia, mistyka tematu Agharti wyraźnie opanowała Roericha; z tego powodu jego notatki stają się enigmatyczne. Gdy jednak wraz ze swą grupą dociera do Turfan, tubylcy pokazują mu jaskinie, które, jak twierdzą, prowadzą do Agharti. Wtedy w swym dzienniku Roerich staje się nieco bardziej konkretny:

„W skałach górujących nad miastem Kurlyk ciemną barwą odznaczają się wejścia do jaskiń. Nikt nie zbadał, jak głęboko sięgają te jaskinie. Istnieją także tajne przejścia z Tybetu, przez Kuenlun, przez Ałtyn-Tag, przez Turfan. Iluż ludzi znalazło ocalenie w tych przejściach i jaskiniach! Rzeczywistość stała się baśnią. Tak samo, jak czarne wilcze ziele z Himalajów stało się Ognistym Kwiatem”.

Rosyjski badacz daje do zrozumienia, że zaczyna wierzyć w istnienie swego rodzaju centrum, z którym państwa świata są połączone tunelami – a złota stolica zwana Szambalą jest sercem owego centrum. Podczas kilkudniowego odpoczynku w Mongolii, Roerich chwytą za pędzel i maluje „Władcę Szambali”, barwne wyobrażenie postaci Króla Świata w jego królestwie. (Roerich podarował później to płótno rządowi Mongolii.)

Reszta dziennika Roericha usiana jest również wzmiankami o Szambali; wygląda na to, że wykorzystywał on każdą sposobność, by się czegoś o niej dowiedzieć. Podejrzewał, iż „lamowie mongolscy wiedzą bardzo dużo” oraz że „wiele z sąsiednich narodów także rozumie prawdziwe znaczenie Szambali”. Lecz dodał, że „niełatwo jest uzyskać ich zaufanie pod względem spraw duchowych”.

Jak gdyby dla potwierdzenia swoich przypuszczeń zaczął słyszeć jeszcze więcej tych opowieści, w miarę jak zbliżał się do granicy Tybetu. Możemy o tym przeczytać w najciekawszym fragmencie dziennika Roericha:

„Słyszymy legendy. Opowieść o odwiedzinach Władcy Szambali w klasztorach w Narabanczi i Erdeni Dzu jest potwierdzana w wielu różnych pałacach. Yum-bejse jest nieprzyjemnym, wietrznym miejscem. Sam klasztor nie sprawia zachęcającego wrażenia, a lamowie nie są zbyt uprzejmi. Z tyłu nad klasztorem, na górze, wzniesiono olbrzymi phallus...”

Kiedy wyprawa wkroczyła do Tybetu, Roerich napisał w dzienniku, że jest przekonany, iż tylko któryś z Wysokich Lamów może mu odpowiedzieć na wszystkie pytania. Problemem tylko byłoby znalezienie chętnego lamy. Zanotował: „Tybetańczycy opowiadają, iż w czasie ucieczki Dalajlamy w 1904 roku, na przejściu Czang-tang, ludzie i konie odczuli gwałtowne wstrząsy. Dalajlama wyjaśnił im, że znajdują się na uświęconej granicy Szambali. Czy Dalajlama wie coś więcej o Szambali?”, zastanawiał się Roerich.

Fascynujące sprawozdanie Roericha z jego transzajatyckiej podróży kończy się z dniem przybycia do Lhasy, pozostawiając czytelnika z uczuciem niezaspokojonej ciekawości na temat Agharti i Szambali i takiego samego niedosytu, jaki prawdopodobnie odczuwał sam autor. Nie na próżno jednak Roerich dzielnie pokonywał trudności i niedostatki, uporczywie poszukując informacji, w lecie bowiem 1928 roku natknął się wreszcie w Lhasie na pewnego Wysokiego Lamę o nazwisku Tsa-Rinpoche, który odpowiedział na najbardziej nurtujące podróżnika pytania. Roerich opisał swoją z nim rozmowę w kolejnej książce, którą zatytułował po prostu „Szambala”, a wydał

w roku 1930.

Najpierw Roerich musiał przekonać Wysokiego Lamę, że nie jest zwykłym ciekawskim, ale poważnym badaczem. Najwyraźniej święty mąż nie od razu mu uwierzył, opisał mu bowiem Szambalę jako położoną „daleko za oceanem”. Tsa-Rinpoche dodał jeszcze: „Jest to potężne niebiańskie państwo. Nie ma nic wspólnego z naszą ziemią. Dlaczego więc wy, zwyczajni ziemscy ludzie, interesujecie się nim?”

W całkowitym milczeniu dwaj mężczyźni przypatrywali się sobie wzajemnie. Roerich zdawał sobie sprawę, że jest kierowany na fałszywy trop, zależało mu jednak bardzo na tym, żeby nie obrazić Wysokiego Lamy i nie skłonić go do przedwczesnego zakończenia rozmowy. Gdy odezwał się znowu, dobierał słowa bardzo ostrożnie:

„Czcigodny Lamo, znamy wspaniałość Szambali. Wiemy, że ta niezwykła kraina istnieje rzeczywiście, nie tylko w wyobraźni ludzkiej. Wiemy o tym, że niektórzy z Wysokich Lamów udawali się do Szambali, i że szli zwykłą, realną drogą. Znamy opowieści lamy buriackiego; wiemy, że przeprowadzono go przez bardzo wąskie tajne przejście. Wiemy o tym, że inny poszukiwacz widział karawanę mieszkańców wyżyn z solą ze słonych jezior na samej granicy Szambali. Sami również widzieliśmy słup graniczny jednego z trzech przyczółków Szambali. Nie mów mi więc tylko o niebiańskiej Szambali, lecz także o tej ziemskiej, ponieważ wiesz tak samo dobrze jak ja, że Szambala na ziemi połączona jest z Szambalą niebiańską. Poprzez to połączenie oba światy są zjednoczone”.

Lama dalej milczał. Spod na wpół przymkniętych powiek badał twarz Roericha. Aż wreszcie, w półmroku wieczoru, rozpoczął wyjaśnienia:

„Zaprawdę nadchodzi czas, kiedy nauka Błogosławionego raz jeszcze przyjdzie z północy na południe – powiedział. – Słowo prawdy, które rozpoczęło swą wielką drogę z Bodhgaya, powróci znowu do tych samych miejsc. Musimy zaakceptować to po prostu takim, jakim jest: a jest tak, iż prawdziwa doktryna opuści Tybet i ponownie pojawi się na południu. Nadchodzą wielkie wydarzenia. Ty pochodzisz z zachodu, a jednak przynosisz wieści o Szambali. Zaiste musimy to przyznać. Prawdopodobnie promień z wieży Rigden-Jyepo, Króla Świata, dotarł już do wszystkich krajów.

Niczym diament żarzy się światło na wieży Szambali. On przebywa tam – Rigden-Jyepo, niestrudzony, zawsze czujny w służbie ludzkości. Jego oczy nigdy się nie zamykają. W swoim magicznym zwierciadle widzi wszystkie ziemskie wydarzenia. Moc jego myśli przenika do dalekich krain. Nie istnieje dla niego odległość; może natychmiast nieść pomoc ludziom tego godnym. Jego potężne światło potrafi przebić największą ciemność. Jego niezmiernie bogactwa są po to, aby wspomóc wszystkich potrzebujących, aby przysłużyć się sprawiedliwości. Wolno mu nawet ingerować w karmę istot ludzkich...”

Czując, że przełamał opór swego gospodarza, Roerich zapytał, czy prawdą jest, iż w podziemnym królestwie żyje wielu ludzi, i czy rzeczywiście dysponują oni wielką mocą.

– Niezliczeni są mieszkańcy Szambali – odpowiedział mu lama odziany w bogato zdobione szaty. – Liczne są też wspaniałe moce i osiągnięcia, jakie przygotowywane są tam dla ludzkości.

– W jaki sposób strzeżone są tajemnice Szambali? – spytał Roerich. – Mówią, że wiele sług Szambali, wielu posłańców, przebiega świat. Jak mogą zachować powierzone im sekrety?

Pełne ognia oczy Tsa-Rinpoche wpatrzyły się w zrenice gościa.

„Wielcy strażnicy tajemnic obserwują z bliska tych, którym powierzyli swe dzieło, i którym zlecieli ważne misje. Jeżeli stają oni w obliczu nieoczekiwanego zła, natychmiast udziela się im pomocy. Powierzony im skarb pozostaje pod strażą. Około czterdziestu lat temu pewnemu człowiekowi mieszkającemu na wielkiej mongolskiej pustyni Gobi, powierzono wielką tajemnicę. Powiedziano mu, że może użyć tej tajemnicy w specjalnym celu, kiedy jednak

poczucie, iż zbliża się chwila jego odejścia z tego świata, powinien znaleźć kogoś godnego przekazania mu tego skarbu.

Minęło wiele lat. W końcu człowiek ów zachorował, a podczas choroby ogarnęła go zła moc i stracił przytomność. W takim stanie nie mógł oczywiście znaleźć nikogo godnego przekazania mu skarbu. Lecz Wielcy Strażnicy są zawsze czujni i reagują szybko. Jeden z nich, znajdujący się w górnym Aśramie, pośpiesznie wyruszył w podróż przez pustynię Gobi, pozostając w siodle bez odpoczynku przez ponad sześćdziesiąt godzin. Dotarł do chorego na czas, aby wydobyć go z omdlenia – choć jedynie na krótko – i pozwolić mu znaleźć osobę, której mógłby przekazać posiadane przez siebie informacje”.

Roerich natychmiast zadał następne pytanie, pytanie, które od dawna go prześladowało:

– Czcigodny Lamo, w Turfanie i Turkiestanie pokazywano nam jaskinie o długich, nie zbadanych przejściach. Czy można dotrzeć do Szambali jednym z tych szlaków? Powiedziano nam, że czasami obcy ludzie wychodzili z tych jaskiń i udawali się do miast. Chcieli płacić za zakupy dziwnymi, starożytnymi monetami, których już się nie używa.

Subtelny cień uśmiechu pojawił się w oczach i na ustach starego Lamy. Upłynęła chwila, zanim odpowiedział:

– Zaprawdę powiadam ci, że ludzie zamieszkujący Szambalę wychodzą czasem na powierzchnię ziemi. Spotykają się z ziemskimi pomocnikami Szambali. Działając dla dobra ludzkości, przesyłają cenne podarunki, godne uwagi pamiątki. Mógłbym ci opowiedzieć wiele historii o tym, jakie cudowne dary otrzymywano. Nawet sam Rigden-Jyepo ukazuje się od czasu do czasu w ciele ludzkim. Pojawia się nagle w świętych miejscach, klasztorach, i o wyznaczonych porach wypowiada prorocтва.

Nie całkiem usatysfakcjonowany odpowiedzią lamy, Roerich uparcie zadawał pytania na jeden temat.

– Czcigodny lamo, jak to się dzieje, że ziemska Szambala wciąż pozostaje nie odkryta przez podróżnych? Na mapach można zobaczyć tak wiele tras wypraw. Wydaje się, że zmierzono już wszystkie góry i zbadano wszystkie doliny i rzeki Ziemi.

Na porytej zmarszczkami, wiekowej twarzy lamy pojawił się szeroki uśmiech – uśmiech politowania mędrca dla istoty niezdolnej do pojęcia prostych prawd.

„Zaprawdę wiele jest złota w ziemi, wiele diamentów i rubinów w górach, a każdy człowiek tak bardzo chciałby je posiadać. I tak wielu usiłuje je znaleźć! Jednak ludzie ci nie znaleźli jeszcze wszystkiego – niech więc ktoś spróbuje odnaleźć Szambalę bez wezwania. Słyszałeś zapewne o trujących strumieniach, jakie otaczają wyżyny. Być może widziałeś nawet, jak ludzie umierają od oparów po zbliżeniu się do nich. Widziałeś może, jak zwierzęta i ludzie zaczynają drzeć w pobliżu pewnych miejsc. Wielu ludzi próbuje dostać się do Szambali bez wezwania. Niektórzy z nich zniknęli na zawsze. Tylko niewielu z nich osiąga to święte miejsce, jeżeli ich karma na to pozwala...”

Niebezpiecznie jest bawić się ogniem – a jednak ogień ma dla ludzkości nadzwyczajną wartość. Słyszałeś zapewne o tym, że niektórzy podróżnicy usiłowali dostać się do zakazanych miejsc i że przewodnicy odmówili pójścia nimi. Mówili: – Lepiej nas zabijcie. – Nawet owi prości ludzie rozumieli, że sprawy tak doniosłe wymagają najwyższej czci”.

Roerich, chociaż lekko zakłopotany, trwał przy kwestii położenia Agharti i Szambali.

– Lamo, czy możesz mi coś powiedzieć o trzech wielkich klasztorach w pobliżu Lhasy – Sera, Ganden i Depung? Czy znajdują się pod nimi jakieś ukryte przejścia? Czy pod główną świątynią istnieje podziemne jezioro?

Tsa-Rinpoche znowu się uśmiechnął.

– Wiesz tak wiele, jakbyś był już w Lhasie. Nie wiem, kiedy tam byłeś. Jeżeli jednak widziałeś to podziemne jezioro, musisz być albo bardzo wielkim lama, albo też sługą dzierżącym pochodnię. Jednak jako sługa nie mógłbyś wiedzieć o tych wszystkich rzeczach, o których mi mówiłeś.



Wyczuwając, że stary lama nie ma zamiaru dać się wciągnąć w rozmowę o tunelach pod klasztorami, Roerich spytał go, czy wie cokolwiek o Azarach i Kutumpach, świętych ludziach, o których tradycja mówiła, że znają sekrety Szambali.

Raz jeszcze Tsa-Rinpoche udzielił mu wymijającej odpowiedzi:

„Jeżeli znasz tak wiele tajemnic, musisz zakończyć pomyślnie swoje dzieło. Tak duża wiedza o Szambali sama w sobie jest oczyszczającym strumieniem. Wielu naszych ludzi spotkało się w swoim życiu z Azarami, Kutumpami i śnieżnymi ludźmi, którzy im służą. Dopiero niedawno Azarów przestano widywać w miastach. Wszyscy pozostają w górach. Są bardzo wysocy, z długimi włosami i brodami, wyglądają podobnie jak Hindusi. Pewnego razu, idąc wzdłuż Brahmaputry, ujrzałem jednego z Azarów. Chciałem go dotknąć, on jednak szybko powrócił za skały i zniknął. Ale nie znalazłem tam żadnej groty ani jaskini – wszystko, co zobaczyłem, to mała szpara w skale. Ten człowiek zapewne nie życzył sobie, aby mu przeszkadzano.

Kutumpów już się nie widuje. Wcześniej pokazywali się całkiem otwarcie w dystrykcie Tsang i w okolicach jeziora Mannsarowar, kiedy pielgrzymi udawali się do świętego miejsca Kaffasa. Nawet śnieżnych ludzi rzadko się teraz widuje. Zwykli ludzie w swej niewiedzy biorą ich za zjawy...”

Głos ucichł. Stary lama, wyraźnie zmęczony, owinął się szczelniej w swoją czerwoną szatę. Ciemność zapadła już wokół klasztoru i tylko kilka małych świec rozpraszało mrok. Roerich, widząc znużenie gospodarza, zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie chciał mówić. Chciał jednak wyjaśnić pewne dziwne zjawisko, które napotkał podczas podróży przez Azję i bardzo go ono zastanowiło; wiedział, że musi zapytać o nie świętego męża, zanim go opuści.

– Czcigodny lamo – zagadnął starca – niedaleko Ułan-Bator, blisko naszego obozu, widzieliśmy olbrzymiego, czarnego, nisko lecącego sępa. Prostopadle do sępa przeleciało coś dziwnego – bardzo mocno świecącego i pięknego. Leciało od południa nad naszym obozem i skrzyło się w promieniach słońca.

Nawet w otaczającym go półmroku Roerich dostrzegł, jak nagle zabłyśły oczy lamy. Starzec spytał go cichym głosem, jakby mu nagle zabrakło tchu:

– Czy poczułicie na pustyni aromat podobny do zapachu świątynnych kadzideł?

Teraz z kolei Roerich wyglądał na zaskoczonego.

– No... tak – powiedział wolno. – Poczuliśmy. Na kamiennej pustyni, oddaleni o wiele dni drogi od siedzib ludzkich. Wielu z nas jednocześnie stwierdziło, że czuje powiew jakichś wyszukanych wonności. Było tak wiele razy. Nigdy przedtem nie zdarzyło nam się czuć tak cudownego aromatu. Przypominał on pewien rodzaj kadzidła, które podarował mi kiedyś przyjaciel w Indiach – skąd je miał, nie wiem.

Kiedy Tsa-Rinpoche przemówił znowu, jego słowa stały się dla Roericha największą niespodzianką tego zadziwiającego wieczoru. Wielki podróżnik uznał później, że była to najbardziej zdumiewająca wypowiedź z wszystkich, jakie usłyszał podczas niezwykle lat spędzonych przezeń w Azji.

– Tak jest! – starzec mówił coraz głośniejszym głosem. – Ciebie strzeże Szambala! Ten olbrzymi, czarny sęp to twój wróg, który bardzo chciałby zniszczyć twoje dzieło, lecz moc ochronna Szambali podąża za tobą w promiennej formie Materii! Siła ta jest zawsze w pobliżu ciebie, ty jednak nie zawsze jesteś w stanie ją odczuć. Tylko czasami manifestuje się, żeby umocnić cię i pokierować tobą. Zaprawdę, to największa ze wszystkich tajemnic Szambali!

Wspominałem już, że Mikołaj Roerich cieszy się obecnie światową sławą jako filozof i artysta. Choć wiele z jego obrazów i książek zyskało dużą popularność, to rewelacje, jakie wniósł do naszej wiedzy o Agharti – szczególnie zaś o Szambali – pozostają zazwyczaj nie zauważone. Zbyt małą wagę przywiązuje się do faktu, iż to, czego doświadczył Roerich na pustyni Ułan-Dawan, było najprawdopodobniej ową tajemniczą siłą, znaną jako moc *Vril* – i to w chwili jej działania!

Jesteśmy wdzięczni jemu oraz Ferdynandowi Ossendowskiemu za poszerzenie naszych

wiadomości o tajemniczym podziemnym królestwie. Najwyższy czas zbadać teraz dokładniej moc *Vril* – a przedtem zapoznać się z angielskim autorem, który opisał jej cechy w unikalnej i fascynującej książce, będącej obecnie wielką rzadkością. Autor ten to Edward George Bulwer Lytton, a jego dzieło nosi tytuł *The Coming Race* („Nadchodząca rasa”).

## 6.

### Zagadka podziemnego świata lorda Lyttona

Jedną z najtrudniejszych dzisiaj do zdobycia książek o tematyce mistycznej jest niewielki, wydany w 1871 roku tomik zatytułowany *The Coming Race*. Na stronie tytułowej czytamy „J. Hon. Lord Lytton” nazwisko autora popularnych powieści i opowiadań epoki wiktoriańskiej. Wciąż jeszcze pamiętana (choć niezbyt często czytana) jest dziś jego powieść historyczna pod tytułem „Ostatnie dni Pompejów” (1834), a wymienianą w wielu antologiach nowelę *The Haunted and the Haunters* („Nawiedzeni i nawiedzający”, 1859) autorytet tej miary co H.P. Lovecraft określa jako „jedną z najlepszych napisanych kiedykolwiek opowieści o nawiedzonych domach”.

*The Coming Race*, zapomniany biały kruk, nie pasuje jednak zupełnie do pozostałych dzieł lorda Lyttona. W niewielu księgozbiorach, z wyjątkiem największych bibliotek świata, znajdują się egzemplarze tej książki, a mnie jej poszukiwania zabrały wiele lat. W końcu wytropiłem dziwacznie oprawiony tomik w antykwariacie na jednej z bocznych ulic Londynu. Piszę „dziwacznie”, ponieważ oprawa jest ze skóry o niezwyklej fakturze, na grzbiecie zaś brak tytułu i nazwiska autora. Podejrzewam, że przeszedłbym obok tej książki, pozostawiając ją wśród innych pleśniejących na półkach, zakurzonych woluminów, gdyby nie jedno słowo, wyskrobane dużymi literami na górnej części grzbietu: *VRIL*.

Słowo to znaczyło wtedy dla mnie niewiele, zaintrygowało mnie jednak na tyle, że zdjąłem książkę z półki. Proszę sobie wyobrazić moje zadowolenie, kiedy otworzyłem ją na stronie tytułowej i odkryłem, że jest to właśnie przedmiot moich długoletnich poszukiwań, *The Coming Race*. Tak samo, jak omawiane w poprzednich rozdziałach prace Ossendowskiego i Roericha, książeczka ta miała się okazać kluczowym znaleziskiem dla moich studiów nad legendą Agharti.

Pamiętam też, że gdy machinalnie przewracałem kartki, książka otworzyła się na stronie, którą prawdopodobnie często wertował poprzedni właściciel. Wyjaśniałoby to, dlaczego na grzbiecie książki wypisano właśnie to słowo. Kiedy tak stałem, czytając tę książkę w mrocznym antykwariacie – wspomniana strona zawierała akurat końcowe akapity rozdziału siódmego – przemknęło mi przez myśl, że być może odkryłem właśnie odpowiedź na pytanie, dlaczego to dziełko, traktujące o podziemnej rasie obdarzonej nadnaturalną mocą, stało się tak wielką rzadkością. Czyżby zawierało tajemnice, o jakich powinno się milczeć? Czyżby autor posiadał wiedzę, która nawet pod postacią fikcji nie powinna dostać się do wiadomości publicznej?

Takie pytania miały mi odtąd towarzyszyć przez kilka lat poświęconych badaniom: najpierw życia samego lorda Lyttona, potem zaś legendy Agharti. Miały mnie one skierować na przedziwne ścieżki, wiodące od zarania dziejów aż po wzlot i upadek Adolfa Hitlera. Chciałbym wyjaśnić, w jaki sposób trafiłem na związek tych wszystkich spraw; w tym celu dosłownie przytoczę fascynującą stronicę z tomu, który przykuł moją uwagę w antykwariacie:

„Potem zaś, zwracając się do swej córki, mój gospodarz w świecie podziemi rzekł:

– A ty, Zee, nie powtórzysz nikomu tego, co powiedział ten obcy, lub co jeszcze powie, mnie albo tobie, o świecie innym od naszego własnego?

Zee wstała i pocałowała ojca w czoło, odpowiadając z uśmiechem:

– Język Gy jest gadatliwy, lecz miłość potrafi go związać. A jeśli, mój ojczcie, obawiasz się, że moje lub twoje przypadkowe słowo mogłoby wystawić naszą wspólnotę na niebezpieczeństwo

za sprawą chęci zbadania świata, leżącego poza naszym, czyż fala *Vril*, należycie wprowadzona w ruch, nie usunie z naszych mózgów nawet wspomnienia tego, co usłyszeliśmy od obcego człowieka?

– Czym jest *Vril*? – spytałem.

Zee zagłębiła się w wyjaśnienia, z których pojąłem bardzo niewiele, nie ma bowiem w żadnym znanym mi języku słowa, które dokładnie oddawałoby znaczenie słowa *Vril*. Nazwałbym je elektrycznością, gdyby nie to, że wśród swych różnorodnych składników, zawiera także inne siły natury, którym nasza naukowa terminologia nadaje oddzielne nazwy, jak magnetyzm, galwanizm itd. Ludzie ci mniemają, że siła *Vril* stanowi jedność wszystkich naturalnych nośników energii, jedność, jaką przewidziało wielu wybitnych myślicieli, a którą Faraday przybliżyła nam pod dość ostrożną nazwą korelacja.

»Od dłuższego czasu przypuszczam – twierdzi ten znakomity eksperymentator z pewnością niemal zupełną, a myślę, że nie jestem w tym odosobniony, że różne formy, pod jakimi manifestują się siły materii, są wszystkie jednego, wspólnego pochodzenia; że, inaczej mówiąc, są one ze sobą bezpośrednio spokrewnione i tak bardzo od siebie wzajemnie zależne, że mogą działać wymiennie, wykazując równoważną moc.«

Badacze świata podziemi zapewniają, iż działając w określony sposób siłą *Vril*, którą Faraday nazwałby być może „magnetyzmem atmosferycznym”, potrafią wpływać na różnice temperatur – mówiąc po prostu, na pogodę; używając zaś tej siły inaczej, w sposób zbliżony do mesmeryzmu czy elektrobiologii, stosowanej precyzyjnie przez mistrzów *Vril*, potrafią wywierać wpływ na umysły i ciała, na zwierzęta i rośliny, i to w stopniu nie mniejszym, niż ukazują go powieści niektórych mistyków. Wszystkim tym nośnikom energii nadaje się wspólną nazwę *Vril*.

Zee zadała mi pytanie, czy w moim świecie nie jest znany fakt, iż wszystkie funkcje mózgu można przyspieszyć w stopniu normalnie nie spotykanym, za pomocą transu lub wizji, podczas których myśli powstające w jednym mózgu, mogą być transmitowane do innego, zapewniając szybką wymianę wiadomości. Odpowiedziałem, że znane są relacje o takich stanach umysłu i sam słyszałem o nich bardzo dużo; byłem też świadkiem wywoływania ich w sztuczny sposób, na przykład w przypadkach mesmerycznego jasnowidzenia. Wspomniałem jednak, iż praktyki takie zostały porzucone w niesławie, między innymi za sprawą rozmaitych oszustw. Poza tym nawet w przypadkach autentycznych i dokładnie przebadanych, rezultat okazywał się mało satysfakcjonujący, i nie dawał podstaw do systematyzacji lub wykorzystania tych zjawisk do celów prakrycznych. Wiele łatwowiernych osób popadło z tego powodu w kłopoty.

Zee wysłuchiwała mych odpowiedzi uprzejmie i z uwagą, po czym oznajmiła, że podobne przypadki nadużyć i łatwowierności znane były w historii jej narodu podczas wczesnego okresu rozwoju nauki, kiedy to właściwości mocy *Vril* oceniano błędnie; dalszą jednak dyskusję na ten temat odłożyła aż do chwili, w której będę do niej lepiej przygotowany. Dodała tylko, że właśnie dzięki mocy *Vril* wprowadzono mnie w trans i zapoznano z podstawami języka jej rasy, podczas gdy ona sama i jej ojciec – jedyne osoby w rodzinie, które zechciały obserwować eksperyment – osiągnęli jednocześnie jeszcze lepszą znajomość mojego języka. Stało się tak po części dlatego, że język mój jest o wiele prostszy niż ich, zawiera bowiem o wiele mniej skomplikowanych znaczeń, po części zaś dlatego, że ich umysł na skutek praw dziedziczności, jest bardziej otwarty na wszelką wiedzę.

W głębi ducha nie zgodziłem się z tą opinią; przez całe życie doskonaliłem intelekt i zdolności, nie mogłem więc zgodzić się z twierdzeniem, jakoby działanie mojego mózgu miało być gorsze niż u tych ludzi, którzy całe życie spędzali przy sztucznym świetle lamp. Kiedy o tym myślałem, Zee spokojnie wymierzyła palec wskazujący w moje czoło, usypiając mnie w jednej chwili”.

Zanim podejmiemy próbę oceny znaczenia tego dziwnego dzieła oraz zbadania, ile prawdy kryje się w przedstawionej tam fikcji pomijając analizę jego oddziaływania – musimy dowiedzieć się

czegoś więcej o człowieku, który tę książkę napisał. Nie da się ukryć, że Edward George Earle Bulwer Lytton (1803-1873) był człowiekiem o dwóch całkowicie odmiennych twarzach: płodnym powieściopisarzem i – w tajemnicy – praktykującym okultystą.

Bulwer Lytton urodził się w bogatej rodzinie, cieszącej się wieloma przywilejami, dumnej ze swojej kultury i pozycji społecznej. Za młodu kształcili Lyttona wynajmowani nauczyciele, co przy jego pozycji było zupełnie naturalne. Gdy osiągnął odpowiedni wiek, wstąpił na uniwersytet w Cambridge. Przyjaciół dobierano mu nadzwyczaj starannie, lekturę cenzurowano, obowiązki zaś wpływające z faktu przynależności do rodziny Lyttonów rygorystycznie egzekwowano.

Istnieją jednak solidne przesłanki do twierdzenia, że pomimo sprawowanej przez rodziców kontroli, już przed ukończeniem dziesiątego roku życia Bulwer Lytton był dzieckiem zamkniętym w sobie, skłaniającym się ku mistycyzmowi. Z jego biografii, *The Life of Edward Bulwer, First Lord Lytton* („Życie Edwarda Bulwera, Pierwszego Lorda Lytton”, 1913), napisanej przez syna, dowiadujemy się, że w wieku zaledwie ośmiu lat nasz bohater zadał kiedyś matce takie oto pytanie: „Mamo, czy czasami nie ogarnia cię przeczucie własnej tożsamości?” Uparcie też wypytywał o jednego z przodków, którego portret wisiał w domu rodzinnym w Knebworth. Przodkiem tym był doktor John Bulwer. Jak powiedzieli młodemu lordowi rodzice, poświęcił się on poszukiwaniom sposobu porozumiewania się z głuchoniemymi i w roku 1644 opublikował na ten temat traktat pod tytułem *Chirologia Or The Natural Language of the Hand* („Chirologia lub naturalna mowa dłoni”).

Lyttonowie nie chcieli zdradzić synowi jednego: otóż doktor Bulwer spędzał znacznie więcej czasu na badaniu spraw mistycznych, a także, jak mówiono, studiował alchemię. Istniała nawet legenda rodzinna mówiąca, że znalazł sposób na przedłużenie życia i że sam przeżył sporo ponad dziewięćdziesiąt lat, co w siedemnastym stuleciu stanowiło wiek wyjątkowo sędziwy. Zainteresowanie, jakie wykazywał dla poczynąń przodka nasz młodzieniec, pozostało mu na całe życie. Doktor Bulwer występuje nawet pod postacią maga Glyndona w napisanej w 1842 roku powieści Lyttona *Zanoni*, traktującej o tajnym francuskim towarzystwie okultystycznym.

Nic zatem dziwnego, że młody Lytton uległ fascynacji sprawami nadnaturalnymi. Podobno podczas studiów zainteresował się również mesmeryzmem, by kontynuować to zainteresowanie podczas swej wielkiej podróży po Europie kontynentalnej w roku 1825.

Po dwóch latach Bulwer Lytton ożenił się wbrew woli rodziny, przez co pozbawił się wszelkiej finansowej pomocy ze strony matki. Zmuszony do stawienia czoła praktycznym kwestiom życia, zajął się pisarstwem, aby zdobyć środki utrzymania dla siebie i żony; stworzył wtedy pierwsze z serii powieści historycznych, które przyniosły mu popularność wśród czytelników epoki wiktoriańskiej. Wymogi nowego zawodu, połączone z ekstrawagancją żony, doprowadziły w końcu do rozpadu tego związku; w roku 1836 nastąpiła separacja małżonków.

Jednak dopiero dwa lata później, po śmierci matki i otrzymaniu tytułu baroneta, Bulwer Lytton mógł ponownie oddać się swojej tajemnej pasji dla spraw mistycznych. Zagłębił się w badania wszelkich aspektów magii i wróżb oraz wstąpił do bractwa Różokrzyżowców. Ten mistyczny zakon twierdził, że jest w posiadaniu tajemnej wiedzy, przekazanej mu za pośrednictwem dawnych członków. Organizacja ta została podobno założona przez siedemnastowiecznego mistyka niemieckiego, Christiana Rosenkreuz (co dosłownie oznacza „różany krzyż”), któremu udało się jakoby przedostać do „ukrytej komnaty” położonej pod ziemią. Miał tam znaleźć bibliotekę pełną ksiąg zawierających wiedzę tajemną. W znakomitym studium zatytułowanym *Histoire de la Rose-Croix* („Historia Krzyża Różanego”, 1923) Serge Hutin pisze:

„Wierzono, że Bracia Różokrzyżowcy posiadli tajemnicę następujących zjawisk: transmutacji metali, przedłużania życia i wiedzy o zdarzeniach odległych w przestrzeni, a także sekret stosowania nauk okultystycznych do odnajdywania najgłębiej nawet ukrytych przedmiotów... Osiągnęli podobno znacznie wyższy poziom niż reszta ludzkości”.

Louis Pauwels i Jacques Bergier sugerują nawet w książce *The Morning of the Magicians*, iż Różokrzyżowcy byli „spadkobiercami wymarłych cywilizacji”.



Christian Rosenkreuz, założyciel Bractwa Różokrzyżowców, który podobno zdobył pod ziemią wiedzę tajemną.

Chociaż moc Różokrzyżowców była sprawą dyskusyjną, Bulwer Lytton pasjonował się najwyraźniej historią zakonu oraz jego starożytną mądrością. Nie dowiemy się zapewne nigdy, jak dużo z tej mądrości sobie przyswoił i czy wypróbował magiczne rytuały bractwa, wiemy jednak, że próbował podstawowych sposobów wywoływania duchów na dachu jednego z londyńskich domów w roku 1853. Jego wyniki jako adepta nauk tajemnych zostały według mnie dostatecznie dowiedzione przez C. N. Stewarta w książce *Bulwer Lytton as Occultist* („Bulwer Lytton jako okultysta”) opublikowanej w 1922 roku.

Umiejętności Bulwera Lyttona w zakresie astrologii oraz telekinezy nie podlegają kwestii. Swojej z trudem zdobytej wiedzy używał do sporządzania dla różnych ludzi nadzwyczaj dokładnych przepowiedni; demonstrował także w niezwykle sposób zdolność poruszania przedmiotów na odległość, wywołując przerażenie u świadków takich seansów. Te wyczyny miały jednak fatalny wpływ na jego umysł. Pod koniec życia lord Lytton coraz bardziej dziwaczał; męczył go śmiertelny strach przed samotnością i obsesja, że mógłby zostać pogrzebany żywcem. Na długo przed śmiercią sporządził pisemne instrukcje, jakim próbom należy poddać jego ciało, aby upewnić się, że nie znajduje się w stanie letargu ani śmierci klinicznej.



Zagadkowy lord Lytton, który przedstawił wizję podziemnego świata w swej dziwnej książce *The Coming Race*.

Taka ekscentryczność niewątpliwie zaważyła na opinii autorów jego nekrologów w 1873 roku. Dla nieugięte moralnych ludzi epoki wiktoriańskiej takie zachowanie musiało być wynikiem zagłębiania się w badaniach okultyzmu i pisania książek na ten temat. Zawiadomienia o śmierci lorda Lyttona najczęściej wyrażają pogląd, że pamięć o nieboszczyku będzie trwała ze względu na jego powieści i romanse historyczne. Nic bardziej błędnego.

Ustaliliśmy już fakty – teraz musimy zadać sobie pytanie, w jaki sposób dziwne życie tego człowieka i jego dwuznaczne osiągnięcia mogą nam pomóc w rozstrzygnięciu, czy książka *The Coming Race* stanowi relację prawdziwą, czy też literacką fikcję?

Poza przesłankami, zawartymi w książce, istnieją jeszcze dwie ważne wypowiedzi Bulwera Lyttona. Jak już wspominałem, wierzono wówczas, iż wiedza tajemna posiadana przez Różokrzyżowców została im dana z miejsca znajdującego się „pod ziemią”. Nasz autor wyraźnie zaakceptował tę prawdę, zwierzył się bowiem w 1854 roku swemu przyjacielowi, również członkowi towarzystwa, Hargrave Jenningsowi: „A zatem Rosenkreuz znalazł mądrość w tajnej komnacie. Tak też będzie z nami wszystkimi. Wiele można się dowiedzieć, badając podziemne sfery naszej planety”.

Bulwer Lytton wierzył także w potęgę liczb, traktowanych jako środek komunikacji. W swej książce *A Strange Story* („Dziwna historia”, 1861), wyraża głębokie przekonanie: „Symbol liczbowy sam w sobie ma możliwe do odczytania znaczenie, należy do jedyne uniwersalnego języka, języka symboli, w którym wszystkie rasy myślące – te ponad nami, te dookoła i te poniżej nas – mogą tworzyć wspólnotę myśli”. Jeżeli nawet Bulwer Lytton sam nie odnalazł drogi do podziemnego świata, który opisuje w książce *The Coming Race* – a rzeczywiście nie ma dowodów na to, że tak się stało – czy nie mógł jednak dowiedzieć się o nim czegoś dzięki dostępowi do starożytnej wiedzy, dzięki własnym duchowym siłom lub za pośrednictwem liczbowych symboli?

Dzieło Lyttona jest równie zagadkowe jak jego autor. Wiele jednak wskazuje na możliwość, że w książce Lyttona są elementy prawdziwe lub co najmniej bliskie prawdy, a jedynie zakamuflowane

tak, jak należałoby oczekiwać od członka tajnego stowarzyszenia, zmuszonego do chronienia całej prawdy. Już przede mną byli badacze, którzy tak uważali, jak choćby Nadine Smith, która w swym artykule „UFO a tajemnica Agharti”, opublikowanym w czasopiśmie *Prediction* („Przepowiednia”) w styczniu 1979 roku, zadaje pytanie: „Czy opowieść o Agharti opiera się tylko na wyimaginowanej częściowo powieści Bulwera Lyttona? Czy może zaistniał przypadek odwrotny, a mianowicie, że Lytton zamaskował fikcją pewne fakty z dziedziny okultyzmu?” Doktor Raymond Bernard posuwa się nawet dalej w swojej książce *The Hollow Earth* („Wydrążona Ziemia” 1969), pisząc: „Lytton był Różokrzyżowcem i prawdopodobnie oparł swą powieść na przekazach z kręgów okultyzmu, które dotyczyły istniejących rzeczywiście podziemnych miast”.

Autorami tymi oraz ich opiniami zajmiemy się później. Najpierw jak sądzę, powinniśmy przyrzeć się bliżej szczegółom zawartym w unikalnej „powieści” Bulwera Lyttona.

Krótko mówiąc, książka *The Coming Race* opowiada o społeczeństwie zaawansowanych intelektualnie istot ludzkich, żyjących w tunelach i jaskiniach pod powierzchnią ziemi. Ich moc i inteligencja znacznie przewyższa to, czym dysponują zwykli ludzie. To społeczeństwo stawia sobie za cel wydostanie się z podziemnego świata i przejęcie kontroli nad pozostałą częścią planety.

Narratorem całej historii jest nie znany z nazwiska mężczyzna, którego wygląd i pochodzenie – mimo, iż książka określa go jako „urodzonego w Stanach Zjednoczonych Ameryki” – prawie na pewno wskazują, że jest nim sam młody Bulwer Lytton. Na początku dziewiętnastego wieku, nieokreślonego roku, ów młody człowiek przybywa do Anglii, gdzie bierze udział w wycieczce do starych kopalni. Podczas tej wyprawy dowiaduje się, że jeden ze zwiedzanych przezeń tuneli prowadzi do tajemniczego podziemnego świata. Uważam zresztą, że kopalnie te, chociaż nie umiejscowione dokładnie w książce Lyttona, leżą w okolicach West Riding w hrabstwie Yorkshire – w rejonie, w którym autor powieści mieszkał przez pewien czas.

Jak wspominałem wcześniej, istnieje przekonanie, że jeden z tuneli prowadzących do Agharti zaczyna się pod dawnymi kopalniami Wharfedale w Yorkshire, co można uznać za dodatkowy argument w sporze o realne podłoże *The Coming Race*. Sam Bulwer Lytton tak wyjaśnia, dlaczego zataił dokładne położenie opisanego przez siebie terenu: „Czytelnik zrozumie, z jakiego powodu ukrywam wszelkie wskazówki, dotyczące rejonu, o którym piszę, i być może będzie mi wdzięczny za to, że powstrzymałem się od opisów mogących dopomóc w rozwiązaniu tej zagadki”.

Zasłyszana legenda do tego stopnia zaciekawia naszego narratora, że decyduje się on spędzić wiele tygodni na badaniu kopalni, dopóki wreszcie – zupełnie nieoczekiwanie – nie odnajduje tunelu prowadzącego do podziemnego świata. Posuwa się owym tunelem dzięki „rozproszonemu, właściwemu zjawiskom atmosferycznym, światłu, nie przypominającemu blasku ognia, lecz łagodnemu i srebrzystemu jak światło gwiazd północnego firmamentu”. W olbrzymiej jaskini odkrywa osiedle, oparte po części na wzorach orientalnych, po części zaś egipskich. Spotyka tam człowieka odzianego w tunikę, który ma na głowie błyszczący turban, a w dłoni krótką laskę z jasnego metalu, wyglądającego jak polerowana stal. Narratora najbardziej jednak fascynuje twarz tego człowieka:

„Była to twarz mężczyzny, zupełnie nie przypominająca z rysów przedstawicieli znanych nam z przeszłości ras ludzkich. Najlepszym może odpowiednikiem byłaby rzeźbiona twarz Sfinksa – tak regularna w swej spokojnej, pełnej wyrazu piękności... Czuję, że ten człowiek-nieczłowiek obdarzony jest wrogimi nam mocami”.

Okazuje się, że ta postać, wywierająca groźne wrażenie, lecz dobrotliwa, to Aph-Lin, jeden z przywódców podziemnego ludu znanego jako *Vril-ya*. On to właśnie, wraz ze swoją piękną córką Zee, staje się przewodnikiem bohatera książki po tajemnicach podziemnego świata, przekazawszy uprzednio jego podświadomości zdolność rozumienia języka tego narodu. Gość opowiada im o życiu na powierzchni planety, natomiast gospodarze zobowiązują go do zachowania w tajemnicy tego, co widział, jak dowiedzieliśmy się z cytowanego przedtem fragmentu książki Lyttona. Przy okazji rozmów z Aph-Linem narrator zaznaja się też z niezwykłą mocą, której podziemna rasa

zawdzięcza swą nazwę. Chęć zrozumienia zasad jej działania staje się następnie permanentną obsesją naszego bohatera.

Dowiaduje się on od swych gospodarzy, że ich dalecy przodkowie „zamieszkiwali niegdyś świat położony ponad ich obecną siedzibą”. Zostali zmuszeni do szukania schronienia pod ziemią w wyniku „wielu gwałtownych przemian w naturze”, powodujących zniszczenie lub zatopienie wielkich lądów. Opowieść biegnie dalej:

„Część dotkniętej złym losem rasy, rasy zagrożonej Potopem, ukryła się podczas ucieczki w grotach, aż wreszcie, wędrując tunelami, straciła na zawsze z oczu świat położony na powierzchni ziemi... Nawet teraz we wnętrzościach planety można, jak się dowiedziałem, odnaleźć pozostałości siedlisk ludzkich – nie zwykłych chat czy jaskiń, lecz olbrzymich miast, których ruiny świadczą o wysokim poziomie cywilizacji narodów kwitnących przed czasami Noego”.

Przez pewien czas lud *Vril-ya* desperacko zmagał się z przeciwnościami, aby przywrócić wcześniej posiadany poziom cywilizacji i kultury. Osiągnął wreszcie cel „dzięki stopniowemu odkrywaniu mocy wszechprzenikającego fluidu, zwanego przez nich *Vril*”. Narrator kontynuuje opowieść:

„Zgodnie z relacją usłyszaną od Zee, która jako jeden z uczonych profesorów Kolegium Mędrców studiowała te sprawy dokładniej niż inni członkowie rodziny mego gospodarza, fluid ten można uczynić najposłuszniejszą i zarazem najpotężniejszą mocą ze wszystkich ożywionych i nieożywionych sił materii. Jest on w stanie niszczyć niczym piorun; zastosowany jednak właściwie, potrafi przedłużać i umacniać życie, uzdrawiać i osłaniać; z tej właściwości korzysta naród *Vril-ya*, aby leczyć choroby, czy raczej nadawać organizmom zdolność przywracania równowagi pomiędzy jego różnymi funkcjami, co pozwala wyleczyć się samemu. Dzięki energii *Vril* lud *Vril-ya* wykuwa sobie drogi przez najtwardsze substancje i zakłada tereny uprawne wewnątrz skał podziemnej pustyni. Dzięki energii *Vril* uzyskuje też światło dla lamp, które okazało się bardziej stabilne, łagodniejsze i zdrowsze od oświetlenia otrzymywanego przedtem innymi sposobami.

Efekty odkrycia innego, zdumiewającego aspektu mocy *Vril*, dały się jednak głównie dostrzec w dziedzinie polityki społecznej. Kiedy je dobrze poznano i zaczęto umiejętnie stosować, zanikły wojny pomiędzy plemionami posiadającymi tajemnicę *Vril*. Stało się tak dzięki niewyobrażalnej sile niszczenia, którą ta moc mogła rozwinąć niezależnie od przewagi liczebnej, lepszej dyscypliny czy wyszkolenia przeciwnika. Ogień tłący się w wydrążeniu laski, kierowanej ręką dziecka, potrafił wstrząsnąć najpotężniejszą armią lub wypalić płomienną ścieżkę od czoła aż po tyły szeregów wroga. Gdyby spotkały się dwie armie znające tajniki używania tej energii, mogłyby jednocześnie unicestwić się nawzajem. Przeminał więc wiek wojen, ale pojawiły się za to inne problemy podziemnego społeczeństwa. W państwie, gdzie ludzie mogli się w każdej chwili wzajemnie wyniszczyć, koncepcja rządów despotycznych przestawała mieć sens i stopniowo przechodzono do innych systemów politycznych i form prawnych”.

Narrator dowiaduje się od Zee, że ludzie podziemnej sfery sądzeni są przez najwyższego sędziego zwanego Tur. „Nominalnie Sędziowie piastują urząd dożywotnio, rzadko jednak dają się skłonić do zachowania stanowiska, kiedy zaczynają okazywać pierwsze oznaki podeszłego wieku”. Wszelkie spory pomiędzy mężczyznami Ana i kobietami – Gyei narodu *Vril-ya* poddawane są pod rozagę Rady Mędrców, do której należała także Zee. Obie płcie uważano za równe; mogły uprawiać te same rodzaje sztuk i tak samo podążać za swym powołaniem, mimo iż – jak oświadczyła Zee – „Gyei przewyższają zazwyczaj Ana pod względem siły fizycznej (co stanowi istotny powód przyznawania kobietom stałych praw). Są one wysokiego wzrostu, a w ich ciałach, choć mają delikatniejsze kształty, kryją się ścięgna i mięśnie o takiej samej twardości jak u drugiej płci”. Małżeństwo zawiera się tylko na okres trzech lat; pod koniec tego okresu każdy z małżonków



może sobie wybrać nowego partnera.

Nasz bohater zadał przewodniczce pytanie, jak można żyć w głębinach Ziemi, gdzie nie dociera energia słoneczna.

„Stwierdziła ona tylko, że naukowcy ziemscy nie doceniają wyjątkowej porowatości wewnętrznych warstw Ziemi. A istnieje tam mnóstwo szczelin i nieregularności, którymi przepływają wiatry i prądy powietrzne. Ciepło może być przenoszone i emitowane na wiele sposobów. Zee przypuszczała jednak, że na pewnej głębokości temperatura jest już zbyt wysoka, aby mogły ją wytrzymać wyższe organizmy, takie jak ludzie *Vril-ya*. Powiedziała także, że od kiedy światło *Vril* wyparło wszystkie inne rodzaje oświetlenia, barwy kwiecica i liści stały się jaskrawsze, a rośliny lepiej rosną”.

Członkowie narodu *Vril-ya*, oświadczyła Zee, wzmacniają ciała zażywając regularnych kąpiei w wodzie naładowanej energią *Vril*. „Twierdzą oni, że ciecz ta, używana oszczędnie, w znacznym stopniu wspomaga funkcje życiowe – opowiadała dalej Zee. – Lecz używana w nadmiarze przez osobę o dobrym zdrowiu ma raczej tendencje do działania na zasadzie odwrotności, zmniejszając witalność użytkownika. *Vril-ya* używają tej siły przy niemal wszystkich chorobach, wspomaga ona bowiem doskonale naturalne siły organizmu broniącego się przeciwko infekcji”. (W interesującym przypisie do tego rozdziału nasz narrator – którym jest prawdopodobnie sam Bulwer Lytton – pisze: „Wypróbowałem pewnego razu efekty kąpiei w wodzie *Vril*. Pod względem działania wzmacniającego była bardzo podobna do kąpiei w kurorcie Gstein, których zalety przypisywane są naelektryzowaniu wody; mimo jednak tego podobieństwa skutki kąpiei w *Vril* wydawały się bardziej długotrwałe”.)

Życiu mieszkańców podziemnego państwa towarzyszy trwały pokój. Nie muszą oni też wykonywać zbyt wielu prac fizycznych, jak wyjaśnia bohaterowi Zee. „Do wszelkich prac używamy automatów, które są skonstruowane tak genialnie i tak posłuszne mocy *Vril*, że wydają się wręcz obdarzone rozumem”. Widząc pracę takich robotów, bohater zmuszony jest przyznać, że „odróżnienie postaci, które – jak zauważyłem – prowadziły lub nadzorowały olbrzymie maszyny, od zwyczajnych istot ludzkich, obdarzonych inteligencją, jest prawie niemożliwe”.

Młoda kobieta zdradza również swojemu słuchaczowi, że pod ziemią istnieją liczne wspólnoty *Vril-ya*, oddzielone od siebie wielkimi przestrzeniami, a połączone tunelami i grotami, którymi można podróżować. „Słyszałam, jak ojciec mówił, że zgodnie z ostatnim raportem, istnieje półtora miliona wspólnot. Wszystkie plemiona narodu *Vril-ya* nieustannie komunikują się ze sobą. Nasze ciężkie życie w dawnej przeszłości sprawia, że z radością oddajemy się podróżowaniu i przygodom”.

W dalszym ciągu opowieści, kiedy nasz narrator przyzwyczaił się już do sposobu życia mieszkańców sfery podziemnej, staje się on świadkiem dwóch imponujących demonstracji potęgi *Vril*. Raz jest to laska *Vril*, jaką nosi każdy *Vril-ya*, a potem – moc *Vril*, jako środek napędu skrzydeł, umożliwiających swobodne podróżowanie po obszarze podziemnego państwa.

Narrator opowiada, że choć często widywał ludzi noszących owe niewielkie, świecące laski, nigdy nie pozwalano mu brać ich do rąk w obawie przed „okropnym wypadkiem, który mógł zostać wywołany nieumiejętnością ich użycia”. Przytacza szczegółowy opis laski *Vril*:

„Jest pusta w środku, a w rękojeści ma różne przyciski, guziki i sprężyny, którymi siłą jej można zmieniać, modyfikować i ukierunkowywać tak, aby niszczyła w jeden sposób, uzdrawiała zaś w inny, drążyła skałę, rozpraszała opary lub wywierała wpływ na ciało i umysł. Laskę *Vril* nosi się zazwyczaj zmniejszoną do niewielkich rozmiarów, można ją jednak dowolnie wydłużać i skracać. Kiedy używa się jej do specjalnych celów, górna część spoczywa we wgłębieniu dłoni, której wskazujący i środkowy palec są wysunięte do przodu.

Zapewniano mnie, iż nie wszystkie laski mają jednakową moc; siła ich jest proporcjonalna do predyspozycji użytkownika i zależna od celów, do jakich ma być użyta. Niektórzy mają bardziej rozwiniętą zdolność niszczenia, inni – uzdrawiania; dużo zależy też od spokoju i zrównowżenia

używającego. Zapewniają mnie, że zdolność do pełnego wykorzystania siły *Vril*, uzyskuje się jedynie poprzez naturalne usposobienie, czyli przez dziedzicznie przekazywane umiejętności – i że czteroletnia dziewczynka, należąca do jednego z odłamów *Vril-ya*, której po raz pierwszy włoży się w dłoń laskę *Vril*, potrafi nią dokonywać cudów, których najbiegłęjszy mechanik, urodzony poza tym krajem, nie byłby się w stanie nauczyć w ciągu całego życia ćwiczeń. Nie wszystkie laski są jednakowo skomplikowane w obsłudze. Te powierzane dzieciom są znacznie prostsze od noszonych przez mędrców obu płci i tak skonstruowane, żeby odpowiadały rodzajowi zadań, które dziecko ma do wykonania. Im dziecko młodsze, tym więcej w lasce sił destruktywnych. W laskach noszonych przez żony i matki siły destruktywne są zazwyczaj zredukowane, podczas gdy siła uzdrawiająca występuje w nich w pełnym wymiarze. Chętnie powiedziałbym więcej na temat tego przekąźnika mocy *Vril*, jego budowa jest jednak w równym stopniu skomplikowana, jak wspaniałe są efekty jego stosowania”.

Młody człowiek nie może wyjść ze zdumienia, gdy Zee demonstruje mu moc swej metalowej laski. „Widziałem, jak za pośrednictwem samej laski *Vril*, stojąc w pewnej odległości, wprawiała w ruch duże i ciężkie przedmioty. Wydawało się, że wypełnia je inteligencją, dzięki której rozumieją i wykonują jej rozkazy”.

Także i w tym miejscu można odkryć bezpośredni związek pomiędzy fikcją a prawdą; posiadana przez Zee zdolność przenoszenia przedmiotów za pośrednictwem, jak się zdaje, sił umysłu, odpowiada dokładnie udokumentowanym zdolnościom telekinetycznym samego Bulwera Lyttona.

Następną niespodziankę narrator przeżywa, widząc ludzi *Vril-ya* latających w powietrzu przy użyciu skrzydeł. Skrzydła te, jak zauważa, można zdejmować; są one bardzo duże – sięgają aż do kolan.

„Skrzydła mocuje się u ramion lekkimi, lecz mocnymi obręczami stalowymi; gdy się je rozłoży, ramiona wślizgują się w otwory, tworząc silną powierzchnię nośną. Kiedy ramiona unoszą się w górę, schowana pod ubraniem konstrukcja z rurek wypełnia się powietrzem na zasadzie mechanicznej, stopień zaś jej wypełnienia można dowolnie zmniejszać lub zwiększać odpowiednimi ruchami. Służy to zamortyzowaniu całości, jak gdyby spoczywała na wypełnionych gazem pęcherzach. Skrzydła wraz z podobnym do balonu aparatem są naładowane energią *Vril*, gdy zaś ciało człowieka unosi się w ten sposób w powietrze, zdaje się w szczególny sposób lżejsze niż było.

Stwierdziłem, że wznoszenie się ponad ziemię jest całkiem łatwe. Gdy rozłożyło się skrzydła, nie sposób wręcz było się nie unieść. Trudności i niebezpieczeństwa pojawiały się dopiero później. Nie udało mi się zupełnie opanować sposobu używania zaczepów, mimo że wśród mojego narodu jestem uważany za bardzo bystrego i sprawnego fizycznie; jestem też doskonałym pływakiem. Mogłem jedynie podejmować nieporadne i kompromitujące próby lotu. Byłem sługą skrzydeł, a nie odwrotnie. Znajdowały się poza moją kontrolą. Gdy zaś, dzięki gwałtownemu wysiłkowi mięśni i – muszę to przyznać – z ową anormalną siłą, jaką posiadamy w stanach niezwykłego przerażenia, przewyciężyłem ich obroty i przyciągnąłem je blisko ciała, utraciłem podtrzymującą mnie w powietrzu zmagazynowaną w nich moc niczym uchodzące z balonu powietrze i stwierdziłem, że zbliżam się znowu do ziemi. Uratowawszy się wręcz spazmatycznej trzepotanie przed rozbiciem na kawałki, nie uchroniłem się jednak przed sińcami i szokiem spowodowanym niebezpiecznym upadkiem.

Kontynuowałbym jednak uparcie te próby, gdyby nie rada, a wręcz zakaz Zee; pełna dobrej woli towarzyszyła moim szamotaniom, aż wreszcie podczas ostatniej próby musiała przyjąć na siebie mój ciężar, gdy spadłem na jej rozpostarte skrzydła. Uratowała mnie w ten sposób przed rozbiciem głowy o wierzchołek piramidy, z której wzniesiliśmy się wcześniej w górę”.

Opis latania na skrzydłach *Vril-ya* przypomina w zadziwiający sposób relację z dziwnego zjawiska powietrznego na pustyni Ułan-Dawan, przekazaną nam przez Mikołaja Roericha. Czy stworzeniem widzianym przez niego mógł być członek podziemnej rasy, a nie sęp, ptak w tamtych

okolicach nie znany?

Choć naszego narratora bardzo martwi niepowodzenie w lotach, budzą się w nim także innego rodzaju emocje. „Chciałem teraz bardzo uciec na powierzchnię ziemi, na próżno jednak wysilałem umysł w poszukiwaniu sposobu ucieczki. Nie pozwalano mi przecież nigdy na samotne wędrówki, nie mogłem więc nawet udać się do miejsca, przez które wszedłem do podziemi, i zbadać, czy istnieje możliwość wydostania się z kopalni”.

Usiłując znaleźć rozwiązanie tego problemu, bohater formułuje swoją opinię na temat prawdziwej natury *Vril-ya*:

„Doszedłem do wniosku, że lud ten, mimo iż nie tylko należy do rasy ludzkiej, lecz również, na co wskazują podstawy jego języka, pochodzi od tych samych przodków, co wielka rodzina indoeuropejska, z której narodziła się dominująca cywilizacja świata – a także, sądząc po jego mitologii i historii, ma za sobą podobne przemiany społeczne – nabrał obecnie cech odmiennego gatunku ludzkiego, niezdolnego do asymilacji z żadną wspólnotą świata na powierzchni. Gdyby zatem lud ten opuścił podziemną krainę i wydostał się na światło dzienne, to zgodnie z żywionym przezeń przekonaniem co do własnego przeznaczenia, zniszczyłyby istniejące narody, aby zająć ich miejsce”.

Wyrobiwszy w sobie takie napawające trwogą przekonanie o intencjach ludu *Vril-ya*, nasz bohater jest zaskoczony, że szansę ucieczki zapewnia mu osoba, po której należałoby się tego najmniej spodziewać: córka jego gospodarza, członkini Rady – Zee. Kobieta najwidoczniej pokochała młodego mężczyznę; zdawała sobie jednak sprawę, że jakikolwiek z nim związek jest wykluczony, i wyczuwała jego chęć powrotu. Postanawiała więc zaofiarować mu pomoc. Kilka dni później, w porze odpoczynku, Zee prowadzi bohatera do szybu kopalnianego, którym udaje mu się wyjść na powierzchnię; stwierdza jednak, że wydostał się z zupełnie innego tunelu niż ten, którym wszedł w dół. (I znowu dzieło Bulwera Lyttona potwierdza pogłoski o sieci tuneli połączonych ze światem podziemi.)

Zmówiwszy modlitwę w podzięce za wybawienie, nasz narrator tak kończy opowieść:

„Im więcej myślę o ludzie przebywającym w tych ukrytych rejonach, uznanych przez naszych uczonych za niemożliwe do zamieszkania, o ludzie pracującym spokojnie nad opanowaniem mocy przewyższających wszystkie opanowane przez nas siły, oraz nad cnotami, których brakuje w naszym życiu społecznym i politycznym mimo rozwoju cywilizacji – z tym większym zapałem modłę się, aby upłynęły jeszcze całe wieki, zanim na światło dzienne wyjdą ci, którzy ostatecznie wyniszczą naszą rasę. Ponieważ lekarz oznajmił mi otwarcie, że choruję na chorobę nie powodującą co prawda zbyt wielkiego bólu i nie rozwijającą się w wyraźny sposób, ale w każdej chwili mogącą spowodować śmierć, sądzę, że moim obowiązkiem wobec bliźnich jest przekazanie ostrzeżenia dotyczącego Nadchodzącej Rasy”.

Książkę Lyttona uważam za dzieło wstrząsające i wiarygodne, raczej za traktat niż za powieść. Zawiera ona bogactwo szczegółów, na które tylko w niewielkim stopniu mogę tu zwrócić uwagę czytelnika. Natomiast jej ostatni rozdział miał się z dwóch względów okazać proroczy.

Po pierwsze, Bulwer Lytton, który, jak wiemy, znajdował się już wtedy pod opieką lekarzy, zmarł niespełna trzy lata po ukończeniu swej książki.

Po drugie, na świecie rzeczywiście miał się pojawić przywódca, który nie tylko wierzył w istnienie ludu *Vril-ya*, lecz postawił sobie także za cel stworzenie społeczeństwa bardzo podobnego do tego, które opisał Bulwer Lytton.

Nazwisko tego człowieka nawet dziś wywołuje jeszcze dreszcz: Adolf Hitler. Jego to czyny stanowią temat kolejnego i być może najbardziej niezwykłego rozdziału naszych poszukiwań świata Agharti.

## Adolf Hitler i „rasa nadludzi”

Rankiem dnia 25 kwietnia 1945 roku grupa przedzierających się ostrożnie przez zrujnowane wojną ulice Berlina żołnierzy radzieckich, dokonała jednego z najbardziej zdumiewających odkryć w historii II wojny światowej. Oddziały, które wdarły się poprzedniego dnia do zniszczonej stolicy hitlerowskich Niemiec, zaledwie na kilkanaście dni przed zakończeniem straszliwego, krwawego, prawie sześćoletniego konfliktu, poszukiwały nieustannie nikłych ognisk dramatycznego oporu, wciąż jeszcze organizowanego przez Niemców – przeważnie starych mężczyzn i młodych chłopców, na próżno usiłujących ocalić hitlerowską Tysiącletnią Rzeszę.

Rosjanie posuwali się ostrożnie od jednego zburzonego budynku do następnego, metodycznie przeczesując pełne gruzu pomieszczenia i piwnice w poszukiwaniu wszelkich oznak życia. Musieli się zdawać na wyostrzony w ogniu bitew instynkt, w żółwym tempie przecierając sobie ścieżkę przez zniszczone bombami miasto; nie sposób było określić, gdzie kończy się jedna ulica i zaczyna druga. Żołnierze wiedzieli niewiele więcej ponad to, że znajdują się gdzieś we wschodniej części Berlina.

Swego odkrycia Rosjanie dokonali wewnątrz szkieletu konstrukcji, stanowiącej kiedyś trzypiętrowy budynek. W jednym z pomieszczeń parteru znaleźli ciała sześciu mężczyzn, ułożone w krąg. Wewnątrz kręgu znajdowało się jeszcze jedno ciało, ułożone na wznak, z dłońmi splecionymi mocno, jakby w modlitwie.

Na pierwszy rzut oka zwłoki wyglądały nie inaczej niż wiele innych, napotkanych przez żołnierzy w upiornym mieście śmierci. Kiedy jednak przyjrzeni im się dokładniej, dostrzegli różnice. Pomimo, że martwi ludzie byli ubrani w znoszone niemieckie mundury, twarze ich miały orientalny wygląd. Były to ciała Tybetańczyków – jak szybko stwierdził pewien młody żołnierz, który pochodził z obszaru graniczącego z Mongolią. Zauważył on także, że leżące w środku okręgu ciało ma na zaciśniętych dłoniach jasnozielone rękawiczki.

Skąd się wzięli ci ludzie tutaj, wiele tysięcy mil od ojczyzny, w samym centrum zmagania, w których ich kraj nie brał udziału?

Chociaż serie strzałów w pobliżu rozpraszały uwagę czerwonoarmistów, wszyscy zdawali sobie sprawę, że natrafili na coś wyjątkowego. Wszystko wskazywało bowiem na to, że martwi Tybetańczycy nie zginęli w akcji, lecz prawdopodobnie dokonali jakiegoś samobójczego rytuału, może na rozkaz dziwnego człowieka w zielonych rękawiczkach, leżącego pośrodku.

Zanim Rosjanie połączyli się z atakującymi z zachodu aliantami, doprowadzając do kapitulacji Berlina 2 maja 1945 roku, w podobnych okolicznościach odnaleziono jeszcze zwłoki kilkuset – według zaś niektórych źródeł nawet około tysiąca – innych Tybetańczyków. Znaczna część tych ludzi popełniła samobójstwo, większość jednak poległa najwyraźniej pod gradem bomb, które zamieniły wspaniałe niegdyś miasto w dymiące zgliszcza. Zagadkę odnalezionych ciał rozwiązywano długo; kiedy jednak zebrano skrupulatnie wszystkie informacje dotyczące martwych mężczyzn, okazało się, iż stanowią one ogniwo łączące ze sobą królestwo Agharti, Adolfa Hitlera oraz ową szczególną książkę Bulwera Lyttona, *The Coming Race*. Książka ta była prawdopodobnie jedną z przyczyn nie tylko śmierci Tybetańczyków w Berlinie, ale nawet katastrofy, którą Führer Trzeciej Rzeszy zgotował Europie i dużej części świata w latach 1939-1945.

Jak wspominałem w poprzednim rozdziale, od czasu wydania *The Coming Race* w 1871 roku wielu ludzi uwierzyło, że książka ta zawiera ścisłą prawdę o rasie ludzkiej, żyjącej pod powierzchnią ziemi. Jednym z tych, którzy wierzyli w to najmocniej, był Hitler – były malarz pokojowy, były kapral, człowiek, który za sprawą swych przerażających marzeń o panowaniu nad światem, sterroryzował pół globu.

Zastanawiający jest fakt, iż poza stronicami *The Coming Race*, Bulwer Lytton nie pozostawił żadnych wskazówek co do zrozumienia charakteru tego enigmatycznego dzieła. Nie wiadomo, czy

traktować je jak powieść, czy jak historię, choć częściowo rzeczywistą. A jeżeli tak, to skąd autor otrzymał informacje? Gdy książka została opublikowana, mało kto zwrócił na nią uwagę, nieliczni recenzenci uznali, że ma niewielką wartość literacką, a powszechną opinię najlepiej wyraził anonimowy dziennikarz londyńskiego *Timesa*, mający nadzieję, iż „autor powróci prędko do tematów historycznych, którym najlepiej odpowiada posiadany przez niego talent”. Gdyby książka Bulwera Lyttona wywołała kontrowersje, może usiłowano by wydobyć od autora jakieś szczegóły; została jednak przyjęta obojętnie, a jeśli nawet Lytton się tym przejął, to ukrywał swoje emocje, kontynuując pracę nad kolejnym dziełem. Może nawet odpowiadało mu takie, a nie inne przyjęcie *The Coming Race*; mógł się obawiać, że lekkomyślnie zdradził zbyt wiele wiadomości z dziedziny dostępnej mu wiedzy tajemnej.

Pozostawmy jednak na boku spekulacje. Nie ulega wątpliwości, że Hitler wierzył w prawdziwość tej opowieści; oparł na niej część swojej filozofii, a w dodatku wysyłał do Europy i Azji ekspedycję za ekspedycją, aby odnalazły dla niego drogę prowadzącą do podziemnego świata. Jeśli przeanalizujemy poglądy ludu przedstawionego przez Bulwera Lyttona, łatwo zauważymy, jaki wpływ mogły one wyrzucić na Hitlera i do jakiego stopnia przyczynić się do powstania jego planu stworzenia Tysiącletniej Rzeszy, rządzonej przez wyższą rasę czystej krwi aryjskiej.

Lytton oznajmia nam na przykład, że *Vril-ya*, mieszkańcy podziemnego państwa, „pochodzą od tych samych przodków, co wielka rodzina indoeuropejska, z której narodziła się ostatecznie dominująca cywilizacja świata”. Uważają się oni za rasę wyższą, spoglądając na inne narody z pogardą większą niż ta, „z jaką mieszkańcy Nowego Jorku traktują Murzynów”. Wierzą w zasadę przeżycia najlepszych jednostek, w triumf silnych nad słabymi i w dominację aryjskiej rasy. *Vril-ya* uważają też demokrację, wolne instytucje i rządy typu republikańskiego, za jeden „z niedojrzałych, nieświadomych eksperymentów, właściwych niemowłecemu okresowi wiedzy politycznej”. Przewodzi im najwyższy władca, Tur, o niepodważalnym autorytecie, posiadający sekret mocy *Vril*, owej tajemniczej siły, dzięki której możliwe jest sprawowanie kontroli nad ludźmi i siłami przyrody. Można do tego dodać ostateczny cel podziemnego narodu, a mianowicie „osiągnięcie czystości własnego gatunku... i zajęcie miejsca istniejących obecnie na świecie niższych ras”.

Dla człowieka takiego jak Hitler, zafascynowanego mistycyzmem i opętanego ideą czystości rasowej oraz żądzą władzy, książka *The Coming Race* musiała być potwierdzeniem jego własnych najgłębszych życzeń.

Historycy przekonują się coraz bardziej, że mimo ogromnej liczby publikacji na temat Hitlera i jego drogi do władzy, nie doceniano dotąd roli, jaką odgrywało przy tym jego zainteresowanie sprawami mistycznymi i okultyzmem. Hitler był niewątpliwie zafascynowany starożytnymi legendami germańskimi; pociągał go też świat pozazmysłowy. Sam był zresztą podobno obdarzony zdolnościami hipnotycznymi, jak zaobserwował to jego biograf, profesor Alan Bullock, w książce „Hitler: Studium tyranii” (1953): „Wykazywaną przez Hitlera zdolność wywoływania zauroczenia u słuchaczy porównywano do tajemnej sztuki afrykańskich czarowników lub azjatyckich szamanów; inni znajdowali w niej podobieństwo do stosunku pomiędzy podatnością medium a magnetyczną siłą hipnotyzera”.

Chociaż istnieją dowody na to, że w latach młodości Hitler wykazywał pewne zainteresowanie hipnozą i przeczytał wiele klasycznych dzieł na ten temat, to jego fascynację okultyzmem możemy dokładnie prześledzić wstecz aż do okresu, w którym związał się z tajemniczą i wybitnie złowróżbną postacią: profesorem Karlem Haushoferem, nazywanym „największym czarodziejem partii nazistowskiej”. Do spotkania tych dwóch ludzi doprowadził sam Rudolf Hess, zastępca Hitlera, ten sam, który swego czasu samowolnie i na próżno udał się do Anglii, aby podjąć próbę powstrzymania wybuchu wojny między tym krajem a Niemcami.

Karl Haushofer urodził się w Bawarii w roku 1869; wspomina się o nim niekiedy marginalnie w pracach o Hitlerze. Jeżeli jednak przyjrzeć się bliżej dziejom jego związku z Hitlerem, łatwo dostrzec, że wywarł on ważny, jeżeli nie decydujący wpływ na tego przyszłego demagoga. Był on człowiekiem obdarzonym potężnym intelektem. Miał głęboką wiedzę o mistycyzmach Wschodu i obsesję na temat pochodzenia i posłannictwa narodu niemieckiego.

Pochodząc z bogatej rodziny o tradycjach wojskowych, Haushofer po ukończeniu Uniwersytetu Monachijskiego rozpoczął siłą rzeczy karierę w armii niemieckiej. Jego oczywiste zdolności szybko zapewniły mu awans, zainteresowanie zaś Dalekim Wschodem, rozwinięte już w trakcie studiów, zapewniło mu przydziały oficerskie w tamtym rejonie. Zaprowadziło go to najpierw do Indii, gdzie poświęcał cały swój wolny czas badaniom nad tamtejszym mistycyzmem, a szczególnie jego najstarszymi formami, następnie zaś do Japonii. Piszą o tym Louis Pauwels i Jacques Bergier w książce *The Morning of the Magicians*:

„Wiele razy odwiedził Indie i Daleki Wschód, został też wysłany do Japonii, gdzie nauczył się japońskiego. Wierzył, że naród niemiecki wywodzi się z któregoś z rejonów Azji Środkowej oraz że wyłącznie ludy indoeuropejskie zapewnią światu trwanie, szlachetność i wielkość. Przebywając w Japonii, Haushofer został podobno dopuszczony do jednego z najważniejszych tajnych stowarzyszeń buddyjskich, gdzie przysiągł popełnić samobójstwo zgodnie z tradycyjnym ceremoniałem, jeżeli kiedykolwiek sprzeniewierzy się swej »misji«”.

W tym czasie Haushofer ujawnił także zdumiewający talent, mianowicie zdolności prorocze. Kiedy w czasie I wojny światowej udało mu się dokładnie przepowiedzieć moment ataku wroga oraz miejsca uderzeń bomb, jego prestiż wśród żołnierzy i przełożonych nadzwyczajnie wzrósł. Został jednym z najmłodszych generałów armii niemieckiej, a w osiągnięciu jeszcze wyższych rang przeszkodziła mu tylko ostateczna porażka jego kraju.

Po wojnie Haushofer nie miał trudności ze znalezieniem zastosowania dla swych wielorakich uzdolnień. Powrócił do wcześniejszej fascynacji geografią polityczną i zdobył doktorat na Uniwersytecie Monachijskim. Z tym oficjalnym potwierdzeniem swoich kwalifikacji, począł wpajać młodym obywatelom pokonanego państwa przekonanie, że przegrana w tej wojnie nie przeszkodzi narodowi niemieckiemu w spełnieniu jego ambicji, czyli w sprawowaniu w przyszłości władzy nad Europą i Azją – ojczyzną rasy aryjskiej. Do kontroli nad światem zdolny jest tylko ten wybrany naród.

Tę samą kampanię Haushofer prowadził w swoich publikacjach; wydał kilka książek i założył czasopismo zatytułowane „Przegląd Geopolityczny”, w którym prezentował i objaśniał swoje poglądy na temat supremacji ludów aryjskich. Pisał też interesująco o tym, czego dowiedział się podczas swego pobytu w Indiach. Podróżując po Azji Środkowej w roku 1905, usłyszał, jak twierdził, opowieści o olbrzymich podziemnych siedzibach pod Himalajami, które zamieszkuje rasa nadludzi. Miejsce to miało się zwać Agharti, a jego stolica Szambala.

Zgodnie z relacją Haushofera Agharti ma być „miejscem medytacji, ukrytym miastem Dobroci i świątynią ludzi uwolnionych od spraw świata”. Szambala jest jednak podobno „miastem przemocy i władzy, która kieruje masami ludzkimi, przyśpieszając nadejście zwrotnego punktu dla ludzkości”. (Zwróćmy tu uwagę na pewną interesującą rzecz: Haushofer jest jedyną osobą, która pisząc o Szambali, określa ją jako miasto przemocy i władzy zarazem. Sugerowano – myślę, że ze sporą dozą słuszności – że Haushofer wymyślił to sam, aby potwierdzić własną teorię, iż dominację nad światem można osiągnąć jedynie przemocą. Sposobem na to miała być pomoc potężnych mieszkańców podziemnej krainy, a moc, jaką dysponują, czyniła z nich tym bardziej pożądanym sprzymierzeńców.)

Haushofer wierzył, że Agharti znajduje się w centrum „ojczyzny” rasy aryjskiej. Każdy, kto byłby w stanie kontrolować tę „ojczyznę” – naturalnie wspólnie z potężną podziemną rasą – mógłby zawładnąć światem. Trevor Ravenscroft tak podsumował tę filozofię w swej książce *The Spear of Destiny* („Włócznia przeznaczenia”, 1972):

„Haushofer przydzielał geografii w szaty mistycyzmu rasowego, dając Niemcom pretekst do powrotu na tereny położone w głębi Azji, z których, jak powszechnie uważano, wywodzi się rasa aryjska. W ten perfidny sposób skłonił naród niemiecki do podboju całej Europy Wschodniej i olbrzymich obszarów Azji Wewnętrznej, rozciągających się na przestrzeni ponad cztery tysiące kilometrów ze wschodu na zachód pomiędzy Wołgą i Jangcy-ciangiem, i obejmujących na

południu także Tybet. Zdaniem Haushofera każdy, kto zdobędzie całkowitą kontrolę nad tym kluczowym obszarem, rozwinie go ekonomicznie i stworzy dlań wojskowy system obrony, osiągnie niezachwiane panowanie nad światem”.

Wśród młodych ludzi, którzy gorliwie zaakceptowali koncepcje profesora i zaczytywali się wykładaną na stronach jego „Przeglądu” filozofią, był niejaki Rudolf Hess, który przez pewien czas pracował w charakterze asystenta Haushofera na Uniwersytecie Monachijskim. Ten właśnie człowiek miał wreszcie doprowadzić do spotkania profesora z Hitlerem. Wiele z tego, co wiemy o Haushoferze, zawdzięczamy właśnie Hessowi; jak pisze Jack Fishman w książce *The Seven Men of Spandau* („Siedmiu ludzi ze Spandau”, 1954), to właśnie były zastępca Führera zdradził fakt, iż profesor był owym „tajemniczym »Największym Czarodziejem Rzeszy« – drugą władzą po Hitlerze”. (Fishman informuje nas także, że słynny, zakończony niepowodzeniem lot Hessa do Anglii został przedsięwzięty dlatego, że Haushofer miał sen, w którym ujrzał zastępcę wodza „przechadzającego się po obwieszonych gobelinami salach angielskich zamków, aby przynieść pokój dwóm wielkim nordyckim narodom”. Hess, znając prorocze zdolności Haushofera, zastosował się dokładnie do jego wizji.)

Pierwsze spotkanie starzejącego się profesora z fanatycznym młodym „rewolucjonistą” miało miejsce w więzieniu Landsberg w roku 1924, kiedy Hitler odsiadywał tam wyrok po niepowodzeniu puczu monachijskiego. Hess zaaranżował je ze swojej celi, gdzie więziono go za udział w spisku przeciwko rządowi Bawarii. Był przekonany, że Haushofera łączy z Hitlerem wspólne poglądy, zwłaszcza na temat przyszłości Niemiec. Zgodnie z relacją Pauwelsa i Bergiera:

„(...) generał Karl Haushofer, przedstawiony Hitlerowi przez Hessa, odwiedzał go potem codziennie, spędzając całe godziny na wyjaśnianiu mu swoich teorii, oraz wyprowadzaniu z nich wszelkich możliwych argumentów dla potwierdzenia konieczności podboju politycznego. Po tych rozmowach Hitler wraz z Hessem utworzył z teorii Haushofera propagandową całość i na tej podstawie napisał *Mein Kampf*”.

Znaczenie profesora z Monachium dla powstania książki Hitlera, podkreśla Edmund A. Walsh w swej pracy pod tytułem *Total Power* („Władza totalna”, 1953):

„Można tu niemal wyczuć obecność Haushofera, mimo że *Mein Kampf* pisał Hess pod dyktando Hitlera. »Naukowe« teorie Haushofera były jak miecz w pochwie, który ten wręczył führerowi. Hitler zaś wyjął klingę z pochwy, wyostrzył ją i odrzucił przypasującą miecz do pasa kłamrę”.

Swojemu entuzjastycznemu słuchaczowi Haushofer pożyczał różne książki, a między innymi *The Coming Race* Bulwera Lyttona. Profesor wyjaśnił, że, podobnie jak swojego czasu Lytton w Anglii, on także jest członkiem niemieckiej Łoży Różokrzyżowców, a książka ta zawiera wiele sekretów zakonu, zamaskowanych fikcją. Haushofer oświadczył też, że opisuje ona dokładnie podziemną rasę istot wyższych i potwierdza wiele wiadomości o świecie Agharti, uzyskanych przez niego z pierwszej ręki w Azji.

*The Coming Race* dla Haushofera była tylko jednym z elementów jego teorii, natomiast wywarła istotny wpływ na wizję przyszłości Hitlera. Wydaje się nie ulegać wątpliwości, że studiując w więziennej celi książkę Bulwera Lyttona Hitler zatęsknił za dniem, kiedy będzie mógł sam przekonać się o rzeczywistym istnieniu tajemniczej cywilizacji, zakopanej pod ośnieżonymi górami Tybetu.

Widać wyraźnie, że to Haushofer zaszczepił Hitlerowi jego największą życiową obsesję – przekonanie o konieczności stworzenia narodu „nadludzi” władających światem. Na tym jednak nie kończy się znaczenie Haushofera dla historii. Następnego roku – 1925 – mają bowiem miejsce trzy ważne zdarzenia, każde zaś z nich stanowi element tej samej całości.

Po pierwsze, opublikowano *Mein Kampf*. Po drugie, ukazała się książka „Przez kraj zwierząt,

ludzi i bogów” Ferdynanda Ossendowskiego, uświadamiając czytelnikom istnienie przekazów dotyczących Agharti i Szambali. Po trzecie, utworzone zostało tajne stowarzyszenie o dziwnej nazwie Świetlista Loża Towarzystwa *Vril*.

Haushofer, który, jak wiemy, przyczynił się pośrednio do powstania *Mein Kampf*, był naturalnie zafascynowany pracą Ossendowskiego, potwierdzającą po raz kolejny wiele zebranych przez profesora informacji na temat znajdującego się gdzieś w Azji podziemnego świata. Jeżeli zaś chodzi o wspomniane tajne towarzystwo, był on jedną z osób, które bezpośrednio umożliwiły jego założenie.

Na temat samego towarzystwa po dziś dzień brakuje konkretnych danych; najbardziej wyczerpujące informacje pochodzą od doktora Willy'ego Leya, błyskotliwego naukowca-balistyka, który znajdował się w Berlinie w czasie powstania tej organizacji, a w 1933 roku uciekł z Niemiec. W opublikowanym w 1947 roku eseju pod tytułem *Pseudo-Sciences Under the Nazi Regime* („Pseudonauka pod panowaniem dyktatury faszystowskiej”) Ley opisuje, jak utworzono owo towarzystwo, oparte ideologicznie prawie wyłącznie na książce Bulwera Lyttona. Według Leya zaproszono na członków towarzystwa specjalnie wybrane osobistości z całego świata, a celem ich miało być pogłębianie badań nad cechami i ewentualnymi metodami stworzenia rasy aryjskich „nadludzi”. Między nimi było wielu tybetańskich lamów, wezwanych z powodu ich tradycyjnego związku z Agharti.

Według Leya członkowie Loży uważali, że posiadają tajemną wiedzę o mocy nazwanej przez Lyttona *Vril* (stąd nazwa towarzystwa); mieli oni nadzieję, że dzięki temu dorównają kryjącej się we wnętrzu ziemi rasie. Wypracowali też metody koncentracji oraz „kompletny system ćwiczeń umysłowych, za pomocą których mogli zostać przekształceni”, pisze Ley. Naukowiec nie uściśla, czym jest moc *Vril*, nie jest jednak daleki od prawdy przypuszczając, że jest to energia właściwa wszystkim ludziom, ale wykorzystywana przez ruch w minimalnym stopniu. Pokłady tej siły mogłyby każdemu dać nieograniczoną moc, gdyby tylko znano sposób jej „uruchomienia”.

Badania nad tym dziwnym towarzystwem prowadzili Pauwels i Bergier oraz Trevor Ravenscroft; ten ostatni tak pisze na jego temat w książce *The Spear of Destiny*:

„Jedynym celem owej loży było prowadzenie poszukiwań źródeł rasy aryjskiej oraz sposobu reaktywacji magicznych zdolności Aryjczyków i uczynienia ich dyspozytorami nadludzkich mocy. Zdumiewające jest, iż jedno z dzieł, które okazało się później niewyczerpanym źródłem inspiracji dla przywódców loży, zostało napisane przez Anglika, Bulwera Lyttona...

W jednej ze swych mniej znanych książek, zatytułowanej *The Coming Race*, przedstawił on w zawoalowany sposób sekrety, które zostały mu powierzone poprzez osobistą inicjację w Tajemnej Doktrynie. Nie miał on pojęcia, że jego książka, w której opisał pojawienie się rasy o olbrzymich zdolnościach panującej nad straszliwą energią, stanie się kiedyś diabelskim natchnieniem dla grupki hitlerowców, zdecydowanych wyhodować naród nadludzi w celu zniewolenia całego świata”.

Zgodnie z inną opinią, wyrażoną przez Gunthera Rosenberga z Europejskiego Towarzystwa Badań Okultystycznych w magazynie *Fate* („Przeznaczenie”, lipiec 1972), intencje opisywanej grupy były o wiele prostsze: „Wierzyli oni, że Panowie Wszechświata żyją we wnętrzu Ziemi. Ludzie zamieszkujący powierzchnię muszą się zatem stać podobni bogom i zawrzeć przymierze z owym wyższym ludem. W przeciwnym razie zostaną zamienieni w niewolników i wykorzystani przy budowie nowych siedzib dla Nadchodzącej Rasy”.

Ze względu na swą znajomość mistycyzmu Azji i Dalekiego Wschodu, Haushofer był jednym z najważniejszych – jeśli nie najważniejszym członkiem Świetlistej Loży. Sugerowano, że profesor opanował sposób użycia mocy *Vril*; nie ma natomiast wątpliwości co do tego, że utrzymywał bliską znajomość z kilkoma lamami tybetańskimi mieszkającymi w Berlinie, którzy mogli znać jej sekret. Te tajemnicze postacie pod przewodnictwem lamy, którego możemy zidentyfikować jako „człowieka w zielonych rękawiczkach”, przebywały podobno w samym centrum Rzeszy przez cały okres jej triumfu i ostatecznego upadku. O ile wiemy, wszyscy oni ponieśli śmierć z własnej ręki w



dniach poprzedzających kapitulację Niemiec przed aliantami.

Istnieją dowody na to, że Haushofer poinformował Hitlera o Świetlistej Loży (choć sam nigdy nie wstąpił w jej szeregi). Wiadomo też, że często przyprawdzał na spotkania z nazistowskim przywódcą Tybetańczyka w zielonych rękawiczkach. Hitler, znajdujący się pod silnym wpływem astrologii, najwyraźniej konsultował się regularnie z tym lama, jak twierdzi Eric Norman w swej ciekawej książce *This Hollow Earth*. Norman pisze: „Tybetańczyk ten wygłosił kilka publicznych przepowiedni, które drukowano w nazistowskich gazetach. Przepowiedział na przykład, ilu ludzi Hitlera zostanie wybranych do Reichstagu. Propaganda hitlerowska donosiła również, że lama zna tajemnicę wejść prowadzących do krainy Agharti”.

Wydaje się logiczne, że połączony wpływ wszystkich opisanych czynników przekonał Hitlera o istnieniu Agharti i obudził w nim chęć odkrycia tej krainy bez względu na to, ile czasu i ludzi trzeba będzie poświęcić. Hitler domyślał się na podstawie legend, że sieć tuneli przebiegających przez Europę prowadzi do siedzib tej nadzwyczajnej rasy, po dojściu do władzy nakazał więc rozpoczęcie poszukiwań, które kontynuowano aż do końca jego życia. Pierwsze ekspedycje wyruszyły pod auspicjami Świetlistej Loży już w roku 1926, później jednak, przejąwszy władzę, Hitler zaczął wykazywać duże zainteresowanie tymi wyprawami i samemu nadzorować organizację poszukiwań.

Führer angażował się tak bardzo niewątpliwie dzięki przekonaniu, że przedstawiciele podziemnej rasy nadludzi są już wśród nas. Pisał o tym Hermann Rauschning, gauleiter Gdańska; jego poufne rozmowy z wodzem Niemiec sprawiły, że nazwano go „jedynym autentycznym biografem Hitlera”.

Książka Rauschninga, *Hitler Speaks: A Series of Political Conversations with Adolf Hitler on his Real Aims* („Mówi Hitler: Rozmowy polityczne z A. H. o jego rzeczywistych celach”), wydana w roku 1939, wywołała szerokie zainteresowanie. Jednak dopiero znacznie później doceniono znaczenie niektórych zawartych w niej tez.

W książce tej Rauschning relacjonuje swoje rozmowy z Hitlerem w okresie bezpośrednio poprzedzającym przejęcie przez niego władzy oraz dwóch pierwszych lat dyktatury (1932-1934). „W trakcie tych dyskusji – pisze Rauschning – Hitler mówił otwarcie o swoich najtajniejszych ideach, utrzymywanych w tajemnicy przed ludźmi”. Rauschning nie ukrywa, że boi się Hitlera; nazywa go „największym czarodziejem i arcykapłanem religijnych misterii nazizmu”.

Wydaje się oczywiste, że od początku ich znajomości Hitler uważał Rauschninga za człowieka, któremu może się zwierzyć; dyskutował z nim o sprawach, do których nie mieli dostępu wysocy rangą członkowie nazistowskiej hierarchii. Szczególnie dużo mówił o swej fascynacji mistycyzmem. Rauschning pisze:

„Hitler kochał rozmowy na tematy mistyczne. Trudno nie myśleć o nim jako o medium. Przez większość czasu media wyglądają i zachowują się jak zwykli ludzie, by nagle ujawnić swoje nadnaturalne zdolności, stawiające ich ponad otoczeniem. Ta moc mediów przychodzi jak gdyby z zewnątrz – niczym gość z innej planety. Medium staje się nawiedzone. Kiedy zaś trans mija, powraca do przeciętności. Hitler był bez wątpienia nawiedzany w taki właśnie sposób”.

Rezultatem poznania przez Rauschninga mistycznych cech Hitlera były dyskusje o nadludziach, którzy zgodnie z nadziejami tego ostatniego mieli pojawić się na Ziemi. Dwie z zanotowanych przez Rauschninga rozmów, jeżeli brać je dosłownie, zdają się potwierdzać, że Hitler rzeczywiście widział jedną z takich istot. Bardziej prawdopodobne wydaje się jednak, iż opisy te są zwykłymi, niekontrolowanymi fantazjami, które führer niejednokrotnie prezentował. Tak czy inaczej dokumentują one głębię jego wiary w tę szczególną ideę.

Przy pierwszej okazji, po dłuższej rozmowie na temat przyszłego nadczołowieka, Hitler zwierzył się nagle Rauschningowi: „Nowy człowiek jest już wśród nas. Jest tutaj! Jak się to panu podoba? Zdradzę panu pewien sekret. Miałem wizję nowego człowieka, człowieka nieustraszonego, przerażającego tak bardzo, że aż się cofnąłem”.

Inne takie dramatyczne spotkanie Hitler miał przeżyć w swym „Orlim Gnieździe”, położonym w górach Bawarii gmachu o szklanych ścianach, pod którym aż gęsto było od tuneli, niczym w tak

desperacko poszukiwanej przez wodza Szambali. Oto jak opowiada o tym zdarzeniu Rauschning:

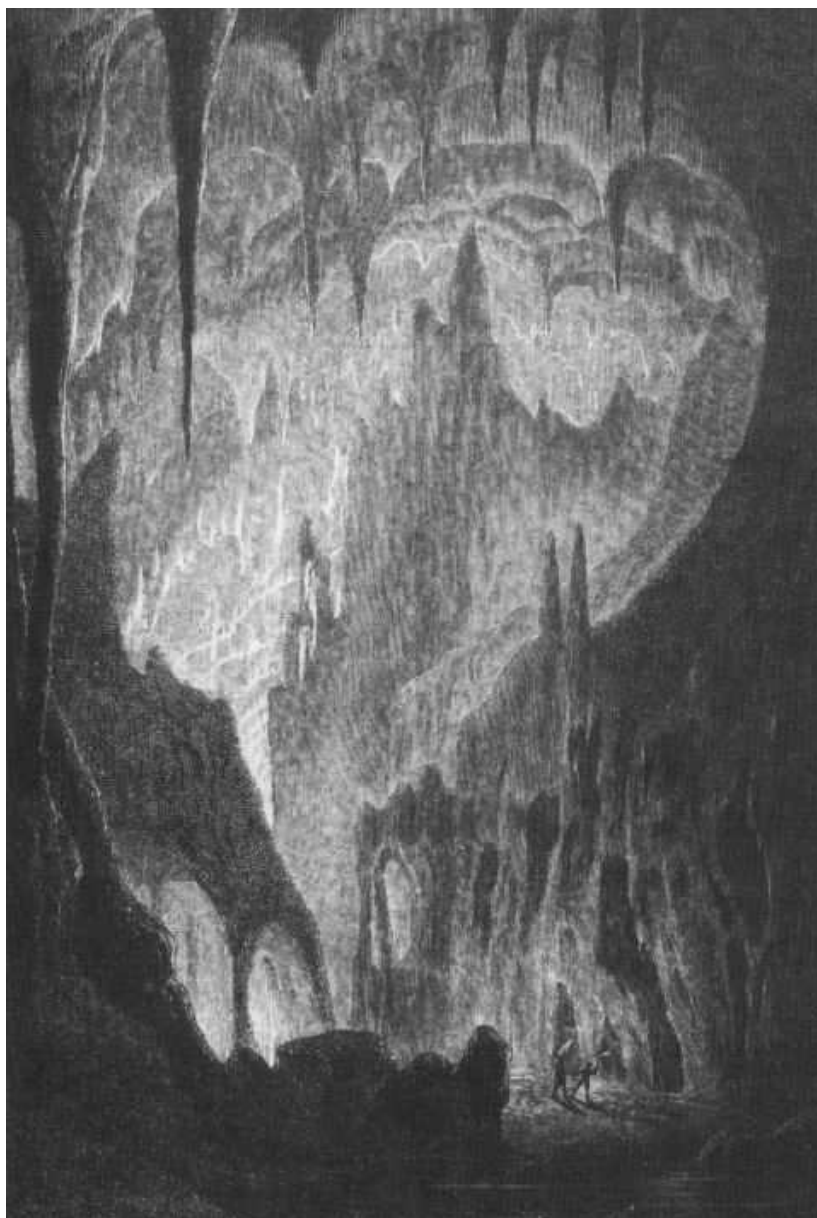
„Mój informator szczegółowo opisał dziwną scenę – nie uwierzyłbym w tę relację, gdyby nie pochodziła z wiarygodnego źródła. Hitler stał w swym pokoju, chwając się i wodząc dookoła dzikim wzrokiem. »To on! To on! On tu był!« – wykrztusił. Usta miał zupełnie białe, po twarzy spływał mu pot. Nagle zaczął recytować liczby, dziwaczne słowa i urywane zdania; wszystko kompletnie pozbawione sensu. Brzmiało to okropnie. Używał dziwnie skonstruowanych i całkowicie niezgodnych z niemiecką składnią wyrażeń. Potem stanął nieruchomo, poruszał tylko ustami. Zrobiono mu masaż i zaproponowano coś do picia, ale nagle wybuchnął znowu: »Tam! Tam w rogu! Kto to?« Zaczął tupać i wykrzykiwać, jak miał w zwyczaju. Pokazano mu, że w pokoju nie ma nic niezwykłego, aż stopniowo się uspokoił”.

Przypuszczano, że dziwne konstrukcje słowne używane przez Hitlera mogły być językiem ludu *Vril-ya*, opisanego przez Bulwera Lyttona, i że Hitler użył ich, usiłując porozumieć się z przybyszem. Jest to jednak czysta spekulacja.

Szczegóły dotyczące organizowanych przez Hitlera ekspedycji prowadzą nas do pewnych, choć nieco rozczarowujących wniosków. Eric Norman, autor książki *This Hollow Earth*, pisze:

„Przechwycone po upadku Trzeciej Rzeszy dokumenty nazistowskie wskazują na to, że Hitler i jego zwolennicy zorganizowali wiele nieudanych ekspedycji... Sfrustrowanym geografom i naukowcom niemieckim rozkazano odnaleźć tunele prowadzące do siedzib ludu *Vril-ya*. Kopalnie w Niemczech, w Szwajcarii i we Włoszech przeczesywano skrupulatnie w poszukiwaniu korytarzy wiodących do kraju podziemnych miast. Hitler nakazał nawet pewnemu pułkownikowi o zapędach intelektualnych zbadać dokładnie życie Bulwera Lyttona, mając nadzieję, że dowie się, kiedy i gdzie autor odnalazł groty *Vril-ya*... Od roku 1936 naziści w regularnych odstępach czasu wysyłali elitarne oddziały do jaskiń i kopalń Europy. Całe ekipy speleologów przeszukiwały jaskinie, polując na nowego, wysoko rozwiniętego człowieka”.

Pomimo całej serii niepowodzeń, z których każde powodowało wściekłe tyrady Hitlera oraz żądania, aby starano się jeszcze usilniej, jedno zaledwie odkrycie miało jakieś realne znaczenie. Dokonano go w Czechosłowacji w 1939 roku. Jeszcze przed aneksją tego kraju szperacze hitlerowscy przeszukiwali archiwa Rzeszy pod kątem wszelkich europejskich legend, w których mowa o jaskiniach, tunelach czy kopalniach, co mogłoby wskazywać na istnienie w tych miejscach tradycji podziemnego świata. Legendy czeskie mówiły o wielu miejscach, w których miały żyć pod ziemią istoty wyższego rzędu.



Jaskinia Borodla w pobliżu miejscowości Aggtelek na Węgrzech, którą badał Hitler w poszukiwaniu tunelu prowadzącego do Agharti.

Dwie oddzielne ekipy wyruszyły, aby sprawdzić te wiadomości, nie zachowały się jednak żadne zapiski mówiące o wynikach ich badań. Cała czeska operacja została zapewne całkowicie zapomniana, gdyby jeden z uczestników powstania słowackiego nie odkrył w październik 1944 roku tajemniczego tunelu w miejscu, o którym na pewno wiadomo, że badali je Niemcy. Odkrywcą był doktor Antonin Horak, kapitan jednego z oddziałów ruchu oporu, przypadkowo będący doświadczonym speleologiem. Nic nie pisał o tym niezwykłym znalezisku aż do roku 1965, kiedy to opublikował szczegółowe sprawozdanie w *Narodowym Biuletynie Speleologicznym*.

Horak opisał tam szczegółowo, jak wraz z dwoma bojownikami ruchu oporu, jedynymi ocalałymi z całego oddziału, w pobliżu miejscowości Plavince i Luboczná natknął się na tunel położony na 49°29' szerokości północnej i 20°07' długości wschodniej. Trzej mężczyźni mieli za sobą starcie z Niemcami, jeden z nich był ciężko ranny, a dwóch pozostałych znajdowało się u kresu sił. Na szczęście udało im się dotrzeć do miejscowego chłopca, który zaprowadził ich do dużej groty, gdzie mogli się ukryć i odpocząć.

Wieśniak ostrzegł doktora Horaka przed zapuszczaniem się dalej w głąb jaskini. „Jest pełna dołów, trujących gazów, i w dodatku jest nawiedzona” – oświadczył. Kapitan i jego towarzysz Jurek byli tak zmęczeni, że ledwie ułożyli wygodnie rannego kolegę Marona, natychmiast zapadli

w głęboki sen spowodowany kompletnym wyczerpaniem.

Następnego dnia, czekając, aż ranny powróci do sił, Horak zdecydował się zignorować rady starego wieśniaka, które uznał za przesadę, i zbadać tunel. Posuwał się wzdłuż podziemnego przejścia, dopóki nie znalazł się w takim jego odcinku, który wydawał się wydrążony przez człowieka. „Zapalając kilka pochodni – napisał później Horak ujrzałem, że znajduję się w szerokim, zakrzywionym, ciemnym szybie, utworzonym przez podobne do klifów ściany skalne. Podłogę tunelu stanowił solidnie wykonany chodnik z piaskowca”.

Doktor Horak był zdumiony; zainteresował go ten tunel ciągnący się najwyraźniej znacznie dalej, niż sięgało światło pochodni. Zdecydował się zabrać ze sobą kilka próbek; nie udało mu się naruszyć chodnika czekaniem, więc spróbował ukruszyć kawałek skały ze ścian, używając pistoletu.

„Pocisk uderzył w skałę z ogłuszającym, gwałtownym hukiem – napisał Horak w swoim artykule. – Posypały się iskry, rozległ się grzmot, od ściany nie odpadł jednak nawet najmniejszy kawałek substancji. Pojawiła się tylko szczelina długości mniej więcej połowy palca, z której unosił się dziwny, ostry zapach”.

Zdenerwowany niepowodzeniem Horak powrócił do towarzyszy i opowiedział o swojej przygodzie Jurkowi. Kiedy wspólnie zbadali tunel, nie zbliżając się bynajmniej do rozwiązania jego zagadki, Horak zaczął rozpamiętywać doznane wrażenia.

„Siedziałem przy ogniu rozmyślając. Zastanawiałem się, jak daleko w głąb skał sięga ten tunel. Kto albo co wydrążyło go we wnętrzu góry? Czy jest dziełem człowieka? I czy stanowi dowód prawdziwości starożytnych legend, jak ta przekazana przez Platona, o dawno zaginionych cywilizacjach, które opanowały niemal magiczne technologie, jakich nie jesteśmy w stanie pojąć i w jakie nie potrafimy uwierzyć na podstawie naszego racjonalnego rozumowania?”

Niestety nikt się nie zainteresował postawionymi przez Horaka pytaniami, a sam tunel pozostaje nie zbadany od chwili, kiedy w 1939 roku wkroczyli do niego Niemcy – o ile było tak rzeczywiście – a w 1944 roku ujrzał go Horak.

Mimo gorączkowych wysiłków włożonych w odnalezienie Agharti, plan Hitlera miał zostać skazany na ostateczne niepowodzenie tak samo, jak jego Tysiącletnia Rzesza. Chociaż Karl Haushofer wraz z resztą członków Świetlistej Łoży pobudzał wyobraźnię Führera aż do końca, w roku 1945 nie znajdował się on bliżej rozwiązania zagadki niż w chwili, w której po raz pierwszy zainteresował się tym tematem. Jeszcze jedna ambicja Wodza zginęła wraz z nim w słynnym berlińskim bunkrze. Jego los, jak już wspomniałem, podzielili też Tybetańczycy, którzy podsycali jego ciekawość. Gdyby choć jeden z członków tych niezwykłych grup mógł nam opowiedzieć swą historię, nasza wiedza na temat nazistowskich poszukiwań Agharti zawierałaby dziś zapewne mniej nie rozwiązanych zagadek.

Człowiek, który odegrał główną rolę w tym rozdziale naszej opowieści, Karl Haushofer, przeżył wojnę; jego wojenne „zasługi” pozostały najwidoczniej nie docenione przez tych, którzy go złapali. Niepowodzenie zadania, nad którego wykonaniem tak długo pracował, musiało mu jednak ciążyć – bowiem 14 marca 1946 roku, jakby spełniając przysięgę złożoną przed laty, kiedy wstępował w szeregi tajnego stowarzyszenia, w Japonii zamordował żonę Martę, po czym popełnił samobójstwo. Przysiągł, że skończy ze sobą, jeżeli zawiedzie w wypełnieniu „misji” – i uczynił to na odwieczny sposób japońskich wojowników, popełniając *harakiri*.

Wraz z jego śmiercią dobiegł końca rozdział zainteresowania nazistów królestwem Agharti. Historia tych poszukiwań stanowiła zaledwie krótki epizod w ogromie nieszczęść, jakie zgotował światu Hitler. Przetrwała jednak aż po dziś dzień pewna nadzwyczaj żywotna pogłoska związana z obsesją odnalezienia świata podziemi; kieruje nas ona ku kolejnemu aspektowi naszych rozważań.

Pogłoska ta twierdzi, że pewnym wysokim członkom hierarchii faszystowskiej, wśród nich samemu Hitlerowi, a także Bormannowi, udało się zbiec z berlińskiego inferna tajnymi tunelami i przedostać do Ameryki Południowej, gdzie niektórzy z nich żyją do dzisiaj.

Jak się przekonamy, w Ameryce Południowej istnieją tajne tunele, które starożytne przekazy

łączą z Europą, Azją, wreszcie zaś z samym Agharti. Jeżeli przytoczona pogłoska zawiera choć ziarno prawdy, to być może okaże się, że prowadzone przez nazistów poszukiwania tajemniczego podziemnego królestwa nie poszły całkowicie na marne. Nie znaleźli co prawda Agharti, może jednak odkryli trasę ucieczki z wywołanego przez nich samych piekła, prowadzącą do czegoś w rodzaju Shangri-la, gdzie mogli przeżyć do końca swe niesławne życie.

Na pierwszy rzut oka hipoteza ta zdaje się absolutnie nieprawdopodobna. Jak jednak zobaczymy, istnieje wiele przekonujących dowodów dotyczących tajnych tuneli pod powierzchnią Ameryki Południowej i Północnej, idea zaś drogi podziemnej łączącej obie Ameryki z Europą poprzez „zaginiony kontynent” Atlantydy jest bardziej niż dobrze udokumentowana. Historia nasza wydobędzie jednak na światło dzienne jeszcze bardziej zdumiewające fakty...

## 8.

### Tajemnicze tunele Ameryki Południowej

W marcu 1942 roku, trzy miesiące po przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do II wojny światowej za sprawą ataku samolotów japońskich na bazę morską Pearl Harbor, prezydent Franklin D. Roosevelt potrafił jednak znaleźć lukę w swym napiętym terminarzu, aby przyjąć w Białym Domu w Waszyngtonie pewną niezwykłą młodą parę. Byli nią Dawid i Patricia Lamb, którzy powrócili właśnie do Los Angeles z jednego z granicznych stanów meksykańskich, Chiapas, gdzie spędzili prawie rok. Ich powrót do Ameryki poprzedziły zdumiewające pogłoski – mieli oni jakoby odkryć plemię nadzwyczaj niebezpiecznych, karłowatych, białoskórych Indian, strażników olbrzymiej sieci podziemnych tuneli.

F.D. Roosevelt wykazał tak samo żywe zainteresowanie tą historią, jak większość jego współobywateli, a może nawet silniejsze, ponieważ jego kuzyn, były prezydent Theodore Roosevelt, przed i po swojej prezydenturze był wytrawnym badaczem kontynentu amerykańskiego. Część jego zainteresowań przejął Franklin D. Roosevelt, który czytał swego czasu pamiętniki z podróży i książki starszego kuzyna. Prezydent wiedział też, że jego poprzednik w roku 1914 prowadził ekspedycję do Ameryki Południowej, podczas której słyszał opowieści o sieci tuneli położonych pod powierzchnią kontynentu, gdzie ukryte są podobno olbrzymie zasoby złotego kruszcu.

Pewien stary przewodnik zdradził Theodore'owi Rooseveltowi, że tunele te są strzeżone przez dziwny szczerp białoskórych Indian, atakujących bardzo gwałtownie każdego, kto tylko zbliży się do nich. Do zaproszenia małżeństwa Lambów do Białego Domu skłoniła zaintrygowanego prezydenta możliwość, że napotkali oni w Meksyku tych właśnie „strażników”.

Godzina spędzona wspólnie okazała się nadzwyczaj ciekawa. Lambowie opowiadali prezydentowi, że gdy przemierzali gęstą dżunglę stanu Chiapas, zostali nagle otoczeni przez grupę niskich, jasnoskórych mężczyzn o rysach przypominających Indian, lecz o niemal różowej cerze. Chociaż przewodnicy Lambów przewyższali tych ludzi o dwie głowy, byli najwyraźniej przerażeni tym spotkaniem.

Dawid i jego żona nie kryli wcale, że także się boją, szybko jednak okazało się, iż dziwni mali ludzie nie zamierzają ich zabijać. Chcieli tylko, żeby przybysze wrócili tam, skąd przyszli – i to jak najszybciej.

Ekipa Lambów przebywała w tamtej okolicy, poszukując – co nawet samemu Dawidowi wydawało się mało realne – zaginionego miasta plemienia Majów, pod którym miała przebiegać sieć tuneli wypełnionych bezcennymi skarbami. Kiedy teraz Dawid Lamb przyglądał się otaczającym go wojownikom, przyszło mu na myśl, że może w tej legendzie jest rzeczywiście ziarno prawdy.

Dłuższy czas wszyscy stali bez ruchu; pałace promienie słońca w ciszy oświetlały tych tak od

siebie różnych ludzi – Amerykanów mieszkających na co dzień w najnowocześniejszych miastach świata i białoskórych Indian, których prymitywny sposób życia od wieków nie ulegał zmianom. Wreszcie Dawid Lamb zdobył się na odwagę i szepnął dowódcy przewodników, aby zapytał Indian, kim są i czego żądają. Po chwili wahania przewodnik nerwowo wymamrotał pytanie.

Musiał je powtarzać kilka razy, za każdym razem w innym dialekcie, zanim udało się uzyskać odpowiedź, zresztą niezbyt zadowolającą. Wyglądało na to, że ci Indianie to członkowie Lancandone, zdegenerowanego szczepu, od wielu pokoleń bytującego w dżungli. Oświadczyli, że są strażnikami „Wielkiej Świątyni”, w której mieszkają duchy czczonych przez nich „Starożytnych”. Nikomu z zewnątrz nie pozwala się dotrzeć do tego świętego miejsca; Indianie zabiliby każdego, kto by próbował tego dokonać.

Dawid Lamb, ekspert od południowoamerykańskich legend, przysłuchiwał się nieporadnej rozmowie swego przewodnika z Indianami z rosnącym zainteresowaniem. Słyszał już wcześniej wzmianki o plemienu Lancandone. Mówiono, że są to potomkowie starożytnej cywilizacji, która kwitła niegdyś w Ameryce Południowej. Przypomniawszy sobie, że czytał o nich w zapiskach francuskiego naukowca i geografa. Był to Charles-Etienne Brasseur de Bourbourg (1814-1874), kościelny administrator Chiapas w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, który usiłował bezowocnie rozszyfrować pismo obrazkowe Majów. Jego najważniejszym dziełem na ten temat jest książka *Voyage sur l'Isthme de Tehautepec* („Podróż wzdłuż przesmyku Tehautepec”) wydana w roku 1861. De Bourbourg pisał, że niskiego wzrostu, białoskórzy tubylcy pojawiają się od czasu do czasu w pueblach granicznych i miastach stanu Chiapas i zachodniej Gwatemali, wdając się nawet w potyczki z miejscowymi. Gdy jednak podejmowano próby podążenia za nimi do „wielkiego kamiennego miasta”, gdzie przybysze jakoby mieszkali, po prostu zabijali prześladowców.

[W książce *Mysteries of Ancient South America* („Tajemnice starożytnej Ameryki Południowej”, 1946) Harold Wilkins rozszerza nieco naszą wiedzę o tym plemienu. Wilkins twierdzi, że mniej więcej co czterdzieści lat pojawiają się pogłoski o odkryciu członków jakiejś zaginionej rasy Majów lub Azteków; od czasu do czasu na bazarach oddalonych wsi Ameryki Płd. spotyka się dziwnych, nieuchwytnych Indian. „Kontaktują się oni tylko z innymi Indianami – pisze Wilkins – wymieniają towary i znikają tak samo nagle, jak się pojawili, a żaden urzędnik meksykański czy gwatemalski nie jest w stanie dowiedzieć się o nich czegoś więcej. Są to emisariusze przybywający z zaginionego miasta, zamieszkiwanego przez starożytną, wysoce cywilizowaną rasę, która władała niegdyś starożytnym Meksykiem. Ich dzikiej krainy nie zbadał nigdy żaden biały; jak twierdzi plotka, owi obywatele zaginionego świata żyją tam na sposób swych praojców, budując lub konserwując te same majestatyczne budynki, pałace i świątynie z kamienia, olbrzymie dziedzińce, wspaniałe wieże opasane wysokimi platformami kamiennych schodów, ryjąc w skale hieroglify takie jak te w ruinach na półwyspie Jukatan, których nie jest w stanie odcyfrować żaden z dzisiejszych naukowców”.]

Chociaż David Lamb upewnił się ostatecznie, że spotkani przez niego ludzie istotnie należą do plemienu Lancandone, nie udało mu się dowiedzieć o nich czegokolwiek więcej. Jego zaś ekipa – jak powiedział później prezydentowi – musiała zawrócić z drogi. Podczas podróży powrotnej do świata cywilizacji Lambowie zdobyli jeszcze nieco informacji o tym karłowatym plemienu.

Usłyszeli, że w tunelach, znajdujących się pod strażą plemienu Lancandone, znajduje się mnóstwo arkuszy złotej blachy, na których wyryto zapisaną hieroglifami historię starożytnych narodów ziemi. Była tam mowa o Wielkiej Ulewie; zawierały też jakoby dokładną przepowiednię wybuchu II wojny światowej, „wojny, w której będą brały udział najpotężniejsze narody świata”.

Prezydent F. D. Roosevelt był nie mniej zafascynowany spotkaniem Lambów z Indianami Lancandone niż sami jego uczestnicy, jednak żadne z nich nie mogło być pewne, czy zaginione miasto istnieje rzeczywiście i czy opowieści o podziemnych tunelach są zgodne z prawdą.

Udało nam się dowiedzieć czegoś więcej o tym zaginionym mieście, znacznie zaś więcej o wspomnianych tu podziemnych przejściach. Harold T. Wilkins, były dyrektor szkoły, który zajął się dziennikarstwem, aby wreszcie stać się wytrawnym badaczem legend Ameryki Południowej, zdołał zebrać dalsze dowody na istnienie w zwiedzanej przez Lambów okolicy zaginionego miasta. Zdobyl też wiele użytecznych informacji o starych przekazach, które mówią o systemie

podziemnych przejść. Badania jego stanowią solidną bazę do dalszej dyskusji na ten temat.

Wilkins wspomina krótko o spotkaniu Lambów z prezydentem Rooseveltem w swej książce *Mysteries of Ancient South America*, wydanej niewiele później, bo w roku 1946. Książka zawiera również zastanawiające, potwierdzające tamte wydarzenia informacje, pochodzące mniej więcej z tego samego okresu:

„Pewien angielski inżynier, który spędził wiele lat w Meksyku i w Argentynie i zmarł w Szpitalu Królewskim w Gloucester w 1938 roku, powiedział mi, że w stanie Jalisco, na obszarze mało zbadanego południowego przedłużenia łańcucha górskiego Sierra Madre, mniej więcej sto dwadzieścia jeden kilometrów na wschód od Cabo de Corrientes, leżą starożytne ruiny znane miejscowym peonom. Rejonu tego nigdy nie odwiedzają Meksykanie, chyba że w okresach powstań; i tak pewna grupa *revolucionarios* szukała kiedyś drogi ucieczki przed wojskami rządowymi, zaszywając się w głębi tych dzikich gór. Jalisco to prowincja znana powszechnie jako jeden z ośrodków Azteków, tak samo jak dolina Anahuac w pobliżu stolicy.

*Indiós Aztecos* w stanie Jalisco twierdzą, że te prastare ruiny stanowiły niegdyś siedzibę bardzo cywilizowanego i dobrego ludu. Jedynie badania kompetentnych archeologów mogą wykazać, czy byli to Majowie, czy też lud wywodzący się ze starożytnej Atlantydy, przyprowadzony przez dawcę kultury, Quetzalcoatl. To wymarłe miasto leży na płaskowyżu; w pewnych porach dnia lub o świcie, rozlega się wokół niesamowity, wibrujący głos bębna. Dźwięk ten roznosi się bardzo daleko, słychać go nawet na wodach Pacyfiku. Indianie utrzymują, że bębnienie jest dziełem duchów i wydobywa się z kamiennych skarbców wielkiej świątyni, gdzie czczono kiedyś Władcę Wszechświata. Pewnego dnia, mówią Indianie, koło życia i śmierci, lub inaczej cykl dziejowy, dokona pełnego obrotu, a wtedy ów starożytny naród powróci, aby ponownie zainicjować na świecie Złoty Wiek”.

Badając zagadnienie podziemnych tuneli w Ameryce Południowej przekonamy się od razu, że istnieją na ten temat przekazy co najmniej tak stare jak te, na które natrafiliśmy w Azji, szczególnie zaś w Tybecie. W Ameryce, na kontynencie uważanym niekiedy za „kolebkę ginących w pomroce dziejów, najstarszych cywilizacji”, występuje nawet więcej fizycznych argumentów na rzecz tych twierdzeń – pod postacią możliwych do zlokalizowania tuneli. Istnieją w dodatku przesłanki, że tunele tutejsze, choć oddzielone bezkresną przestrzenią Atlantyku od uważanego za centrum Agharti rejonu Azji, były z nim kiedyś połączone, jako zamorskie posiadłości tego wielkiego podziemnego królestwa!

Poszukując dowodów możemy też cofnąć się do samego początku dziejów pisanych; prastara legenda południowo-amerykańska mówi, że potężne imperium Inków zostało założone przez ludzi, którzy wydostali się na powierzchnię ziemi tunelem. Wyjście zaś tego tunelu znajdowało się w dzisiejszym Peru. Pochodzenie tej historii stanowi zagadkę. Do nas dotarły jedynie jej najprostsze fragmenty odziane w szatę ludowych opowieści. Zgodnie z tymi opowieściami, czterej bracia i cztery siostry wyszli z tunelu w okolicy Pacari-Tambo na wschód od Cuzco. Najstarszy z braci wspiął się następnie na szczyt góry, gdzie potężnymi ramionami odrzucił cztery skały na cztery strony świata, po czym ogłosił się władcą całego kraju położonego w obrębie granic wyznaczonych przez rzucone kamienie; według legendy kraj ten był potężnym imperium.

Między braćmi pojawiły się jednak rychło nieporozumienia, który z nich ma włączyć imperium; najmłodszy z braci, okrutny Ajar Uczu Topa, doprowadził do śmierci pozostałych trzech. Potem podbił wszystkie miejscowe ludy, umacniając zarazem swoje prawo do królestwa przez poślubienie wszystkich czterech sióstr na raz! Ostatnim aktem jego podbojów było założenie wewnątrz granic imperium kilku miast, włącznie ze stolicą Cuzco. Zgodnie z legendą, miasto to stało się później stolicą państwa Inków.

Chociaż w historii tej brak jakichkolwiek bliższych szczegółów na temat tunelu, z którego wyszli na światło dzienne bracia i siostry, sugeruje się, że byli oni ludźmi o jasnej skórze i wyższym niż przeciętny wzroście. Twierdzili, że są członkami rodziny rządzącej podziemnym światem. Niektórzy zbyt gorliwi zwolennicy prawdziwości legendy Agharti, twierdzą nawet, że byli oni

dziećmi Króla Świata, wysłanymi przez niego w celu założenia wielkiego imperium zgodnie z jego ideą. Twierdzenie to jest trudne do udowodnienia, nawet jeśli wiemy, że Inkowie byli istotnie łagodnym, miłującym pokój ludem, który aż do czasów przybycia Hiszpanów nie znał zbrodni ani wojen. [Charakter Inków tak opisuje hiszpański konkwistador i historyk Don Mancio Serra de Leguisamo w swym dziele *Comentarios de los Incas* („Uwagi o narodzie Inków”, 1589): „Inkowie byli do tego stopnia wolni od zbrodni i nadużyć, tak mężczyźni, jak i kobiety, że Indianin, który trzymał w domu złoto i srebro o wartości 100.000 peset, zostawiał go bez zamknięcia, zadowolając się pozostawieniem na progu kija oznaczającego, że właściciela nie ma w domu; nikt nie mógł wtedy wejść do środka, aby zabrać coś stamtąd. Kiedy Indianie odkryli, że wieszamy na naszych drzwiach zamki, przypuszczali, że czynimy to z obawy przed pozabijaniem nas; nie uwierzyliby, iż ktoś mógłby ukraść cudzą własność. Kiedy więc odkryli, że są wśród nas złodzieje i ludzie, którzy usiłują namówić ich córki do grzesznych postępów, zaczęli nami pogardzać”.] Przeciwno temu świadczy niezaprzeczalny fakt, że Inkowie mieli zwyczaj składania wyjątkowo krwawych ofiar z ludzi, która to praktyka jest, zgodnie ze świadectwami, obca wszelkim znanym w Agharti czy Szambali formom kultu.

Dokładniejsze informacje o podziemnych tunelach Ameryki Południowej znajdujemy w zapiskach z czasów hiszpańskiej inwazji Peru. W 1526 roku grupa konkwistadorów pod dowództwem Francisca Pizarra (ok. 1475-1541) wylądowała na północno-zachodnim wybrzeżu Ameryki Południowej, plądrując kraj i nękając jego mieszkańców. W następnych latach Pizarro i jego złożona ze stu osiemdziesięciu ludzi banda, poszukująca kosztowności, sporządziła niemal całkowitą destrukcję cywilizacji Inków. Chociaż niemożliwe jest podanie dokładnych liczb, uważa się, że przed przybyciem Hiszpanów naród Inków liczył sobie ponad dziesięć milionów obywateli, podczas gdy w roku 1571, zaledwie czterdzieści lat później, pozostało ich niewiele ponad milion. (W swej książce Eric Norman przytacza niezwykle sugestywną sugestię: wielu z tych Inków wcale nie zginęło, lecz zbiegło pod ziemię! Norman pisze: „Wyznawcy teorii wydrążonej Ziemi deklarują, że duża liczba Inków, zabrawszy ze sobą prawie wszystkie swoje skarby, zbiegła gigantycznym tunelem, prowadzącym do wnętrza Ziemi”.)

Nie musimy w tym miejscu powtarzać opowieści o zbrodniczych wyczynach Pizarra i jego ludzi, z wyjątkiem tych szczegółów, jakie są istotne dla naszego tematu. Patrząc z dystansu historii zauważymy łatwo, że chciwa natura Hiszpanów obróciła się ostatecznie przeciwko nim samym; gdyby okazali Indianom taką samą przyjaźń, jaką ci okazywali im, być może ofiarowano by im dobrowolnie te ogromne złote skarby, jakie chcieli zagrabic siłą. Inkowie, co naturalne, przypisywali bowiem niewielką wartość temu, czego mieli tak dużo. Gdy tylko jednak Inkowie odkryli prawdziwy cel Hiszpanów, czym prędzej ukryli skarby – które po dziś dzień pozostają w ukryciu.

Kulminacyjnym punktem okrucieństw hiszpańskiej inwazji było uwięzienie przywódcy Inków, Atahualpy; zażądany za niego przez Pizarra okup miał się składać z takiej ilości złota, jaka wypełniłaby całą komnatę skarbcza. (Współcześni Pizarrowi kronikarze hiszpańscy, którym dane było ujrzeć tę komnatę, ocenili, że mogła ona pomieścić od sześciuset do sześciuset pięćdziesięciu ton złota, wartych wówczas trzysta osiemdziesiąt cztery miliony złotych peset, sumę dziś niewyobrażalną.) Królowa Inków, pragnąc ocalić życie męża, uczyniła zadość temu żądaniu. Widok zgromadzonego w komnacie złota tak wstrząsnął chciwym Pizarrem, że zamiast puścić więźnia wolno zgodnie z obietnicą, zagroził, że go zabije, jeżeli nie dowie się, skąd pochodzą wszystkie te skarby. Prawdopodobnie w tym czasie Pizarro otrzymał informację, że Inkowie mają tajny i niewyczerpany skarbiec, położony „w olbrzymim podziemnym tunelu, lub podziemnym trakcie, który biegł pod ziemią na wiele mil poza obszar królestwa”. Nieszczęśliwa królowa wyprosiła u Hiszpana zwłokę i udała się po radę do swego wróżbiarza. Wróżbiarz ze smutkiem odpowiedział, że cokolwiek uczyni, Hiszpanie tak czy inaczej mają zamiar zabić Atahualpę.

Zrozpaczona królowa kazała złożyć skarb Inków w kryjówkach rozsianych po całym terenie imperium, aby nigdy nie dostał się w ręce wiarołomnych najeźdźców. Kiedy załatwiono to, zachowując absolutną tajemnicę, nieszczęsna władczyni odebrała sobie życie. Według Harolda



Wilkinsa skarb ten do dziś leży ukryty pod dżunglą, w niewielkich górskich jeziorach, a także:

„(...) w szczelnie zamkniętych jaskiniach, otwieranych za pomocą tajemniczych hieroglifów, które zna tylko jeden jedyny potomek Inków w każdym pokoleniu, a także w niezwykłych,, pochodzących sprzed tysięcy lat, lochach, które zostały stworzone przez tajemniczą, wysoce cywilizowaną, zaginioną rasę ludzi. Działo się to w czasach, kiedy starożytni Inkowie byli zaledwie wędrownym szczepem dzikusów, przemierzających przełęcz Andów, albo nawet żyli na dawno nie istniejącym kontynencie na Pacyfiku, skąd przybyli statkami do Ameryki”.

Już od czasów Pizarra nadzieja odnalezienia niezmiernego skarbu Inków przyciągała łowców szczęścia z całego świata na dzikie tereny Ameryki Południowej. Wszystkich spotkało niepowodzenie, a u podstaw tego leżała zdrada Pizarra. Hiszpański ksiądz-żołnierz Pedro Cieza de Leon pisał w kilka dni po tym wydarzeniu:

„Gdyby Hiszpanie po wkroczeniu do Cuzco nie popełniali licznych oszustw, i gdyby nie okazali zbyt wcześnie swego okrucieństwa, zabijając Atahualpę, to nie wystarczyłoby im statków, aby przewieźć do Hiszpanii skarby, co przypadły we wnętrzu ziemi i pozostaną tam, ponieważ ci, co je ukrywali, są dziś także martwi”.

Miało upłynąć ponad sto lat, zanim temat tuneli podziemnych pojawił się znowu w opracowaniach dotyczących Ameryki Południowej. Miejscem położenia tych tuneli miała być tym razem Gwatemala; nie sugerowano bynajmniej, że mogą się one w jakikolwiek sposób łączyć z tunelem, który rozciąga się ponoć pod Cuzco. Wzmianki o tym miały się pojawić dopiero później. Kronikarzem, który wspominał o tych nowych korytarzach, był inny Hiszpan, misjonarz o dumnym nazwisku Francisco Antonio de Fuentes y Guzman. Przebywał on kilka lat w Gwatemali, około zaś roku 1689 napisał historię tego kraju, do dziś nie wydaną drukiem.

Fuentes – jako kapłan pozostający w bliskich stosunkach z mieszkańcami – opisuje kilka zrujnowanych osiedli na terenie Gwatemali, co do których jest przekonany, że zamieszkiwała je niegdyś dawno wymarła rasa Indian. Mogli to być nawet wspomniani wcześniej, zdegenerowani Indianie Lancandone. Pod powierzchnią tych osiedli znajdowały się jakoby podziemne tunele, z których jeden szczególnie przykuł uwagę Fuentesesa. Kronikarz pisze:

„Wspaniała struktura tuneli puebla Puchuta, zbudowanych przy użyciu trwałej i solidnej zaprawy, biegnie pod powierzchnią na odległość dziewięciu mil, docierając do puebla Tecpan w Gwatemali. Stanowi to dowód potęgi starożytnych królów i ich poddanych”.

Dziwne to stwierdzenie, godne jednak uwagi, gdy uświadomimy sobie, że długość tunelu, dziewięć mil, równa jest prawie pięćdziesięciu kilometrom. Fuentes nie mówi nam niestety o wiele więcej na temat gwatemalskich tuneli; najwyraźniej zbyt go one nie interesowały. Może właśnie jego obojętność przyczyniła się do tego, że na następną wzmiankę o tunelach Gwatemali, a nawet o Ameryce Południowej w ogóle, trzeba było czekać przez kolejne sto pięćdziesiąt lat. Jednak człowiek, który wtedy się nimi zainteresował, Amerykanin John Lloyd Stephens, opracował książkę zawierającą liczne relacje na ich temat, a nawet ilustracje. Było to dzieło o wybitnym znaczeniu.

Stephens był wziętym prawnikiem i znanym podróżnikiem, który zwiedził Europę i Bliski Wschód, zanim zwrócił uwagę na Amerykę Środkową, interesując się szczególnie relikami i miastami epoki Majów. W tym celu załatwił sobie stanowisko przewodniczącego misji dyplomatycznej w Gwatemali. Zabrał też z sobą bliskiego przyjaciela, Fredericka Catherwooda, angielskiego artystę, który między innymi zajmował się szkicowaniem zabytków egipskich, wędrując po tym kraju w przebraniu krajowca. Rezultatem wspólnej wyprawy tych dwóch ludzi była fascynująca książka, zatytułowana *Incidents of Travel in Central America, Chiapas and Yucatan* („Wydarzenia z podróży po Ameryce Środkowej, stanie Chiapas i Półwyspie Yucatan”, 1838-39). Stephens był autorem relacji z pierwszej ręki, a Catherwood – wspaniałych, dokładnych

rysunków. Ponieważ egzemplarze tej książki są obecnie wielką rzadkością, z przyjemnością zaprezentuję moim czytelnikom przykłady talentu obydwu podróżników.

W pierwszej części książki Stephens opisuje powolne posuwanie się wyprawy w głąb Ameryki Środkowej. Czas ten wykorzystywano do zbierania informacji o mieszkańcach spotykanych w ruinach. Następnie, w pueblo Santa Cruz del Quiche, w zachodniej Gwatemali, autor poznaje starego hiszpańskiego księdza, który nieoczekiwanie podsyca entuzjazm młodego poszukiwacza przygód opowieściami o tajemniczym, zaginionym mieście. Twierdzi, że nie są to żadne bajki, bo widział to miejsce na własne oczy. Stephens pisze w swej książce:

„Niezwykłe nas podnieciły zapewnienia naszego padre, że o cztery dni drogi stąd w kierunku Meksyku, po drugiej stronie wysokiego pasma górskiego, znajduje się wielkie i gęsto zaludnione miasto Indian, prowadzących życie takie samo, jak ich przodkowie w czasach odkrycia Ameryki. Ksiądz słyszał o tym wiele lat temu w wiosce Chajul; wieśniacy powiedzieli mu, że miasto jest wyraźnie widoczne z najwyższego grzbietu górskiego. Był wtedy młodym człowiekiem; z wielkim wysiłkiem wspiął się więc na nagi górski szczyt wysokości około trzech tysięcy metrów, skąd rozciągał się widok na olbrzymią równinę sięgającą aż po Półwysep Jukatan i Zatokę Meksykańską. Daleko przed sobą ujrzał istotnie rozległe miasto o białych, błyszczących w słońcu wieżach.

Tradycyjna opowieść Indian ze wsi Chajul mówi, że do miasta tego nie dotarł dotychczas żaden biały; jego mieszkańcy mówią językiem Majów, są świadomi, że obcy naród zagarnął okoliczne ziemie, i zabijają wszystkich białych ludzi, którzy usiłują przekroczyć ich granice. Nie używają pieniądza ani żadnych innych środków płatniczych, a także koni, bydła, mułów ani zwierząt domowych poza drobiem i kogutami, które trzymają pod ziemią, aby nie można było usłyszeć ich piania”.

Chociaż Stephens kipiał żądzą ujrzania owego tajemniczego miasta, „jedno spojrzenie na które warte byłoby dziesięciu lat zwykłego życia”, doszedł jednak ostatecznie do wniosku, że byłoby to zbyt niebezpieczne i trudne dla prowadzonej przez niego misji. „Żaden człowiek – pisze w swej książce – nawet gdyby zgodził się ryzykować życiem, nie miałby przy takiej próbie najmniejszych szans powodzenia, zanim by nie spędził roku lub dwóch w tym kraju, ucząc się języka, poznając charakter sąsiednich plemion indiańskich i zaprzyjaźniając się z tubylcami”.

Niemniej cały czas, jaki jeszcze spędził w Ameryce Środkowej, Stephens poświęcił poszukiwaniu informacji o tajemniczym mieście, dogrzebując się dalszych interesujących szczegółów. Podał je do wiadomości publicznej na konferencji prasowej w Nowym Jorku, która odbyła się po wydaniu jego książki.

Stephensa zapytano, jak to możliwe, żeby mieszkańcy indiańskiej metropolii mogli przez tyle lat pozostać w ukryciu. „Przenieśli się pod ziemię – odpowiedział. – Nie mieli innego wyjścia, chcąc się schronić przed hiszpańskimi zaborcami”.

Jeden z dziennikarzy zapytał, jak mogli przeżyć pod ziemią bez światła słonecznego.

„Zgodnie z tym, co powiedział mi pewien indiański przewodnik, nie stanowi to żadnego problemu – odpowiedział Stephens. – Ci ludzie posiadają doskonałe światło, którego używają w jaskiniach; tajemnicę tego światła przekazali im najwyraźniej bogowie podziemi”.

Dziennikarze nowojorscy, choć z natury dociekliwi, musieli wyczuć, że opowieść Stephensa zaczyna zatracać czystą fantazję, nie pytali już zatem o podziemne światło; zainteresowali się za to, czy podróżnik widział na własne oczy któryś ze wspomnianych przez siebie podziemnych tuneli. Owszem – odpowiedział, pod ruinami Santa Cruz del Quiche. Następnie zwrócił uwagę na fragment swojej książki, w którym opisuje to wydarzenie:

„Pod jednym z budynków znajdował się otwór zwany przez Indian jaskinią; według nich tą jaskinią w ciągu godziny można się było dostać do Meksyku. Wczołgałem się tam i ujrzałem wewnątrz sklepienie ostrołukowe, utworzone z nałożonych jeden na drugi kamieni, ale z powodu braku światła i ostrzeżeń księdza o panującej akurat porze trzęsień ziemi, nie byłem go w stanie

zbadać. Nie odkryłem więc, jak daleko sięga ten tunel i gdzie się ostatecznie kończy. Jest to kolejna z wielkich zagadek Ameryki”.

Nie powinno dziwić, że rozgłos nadany tajemniczemu miastu oraz podziemnym tunelom Ameryki Środkowej przez Johna Lloyda Stephensa na nowo obudził zainteresowanie świata zaginionym skarbem Inków, ukrytym przed wiekami przez żonę Atahualpy. Władze peruwiańskie zdecydowały się ostatecznie podjąć poszukiwania wejść do tajemniczych tuneli po dziwnym incydencie, jaki miał miejsce w roku 1844. Opisał to Harold Wilkins w książce *Mysteries of Ancient South America*, a chodziło o wypowiedziane na łożu śmierci słowa pewnego Indianina Kiczua (a więc bezpośredniego potomka Inków) i sekret, jaki zdradził on staremu katolickiemu księdzu:

„Historia Indianina dotyczyła tajemniczego labiryntu i zdumiewających tuneli, pochodzących jeszcze sprzed czasów inkaskich Królów Słońca. Opowiedziano ją pod nienaruszalną pieczęcią tajemnicy spowiedzi; stary ksiądz nie mógł jej więc zdradzić pod groźbą mąk piekielnych. Pozostałaby zapewne na zawsze tajemnicą, gdyby podczas wycieczki w góry ów ksiądz nie znalazł się w towarzystwie ponurego Włocha, który udawał się do Limy. Włoch, obdarzony czarnymi, świdrującymi oczami o hipnotycznym spojrzeniu, wdał się w rozmowę z księdzem, ten zaś niechcący wspomniął o poszukiwanym od dawna starożytnym skarbie. Ponury dżentelmen, który jakoby pochodził z Neapolu, w sobie tylko znany sposób skłonił księdza do zdradzenia mu historii usłyszanej podczas spowiedzi od umierającego peruwiańskiego wieśniaka. Miał on też oświadczyć, że tajemnica znana jest wielu innym Kiczua czystej krwi, potomkom Inków, nie zdradza się jej jednak półkwi Metysom, którzy uważani są za niegodnych zaufania”.

Uważa się, że stary Indianin zawierzył swemu spowiednikowi tajemnicę położenia wejścia do zdumiewających labiryntów tuneli. Ponury Włoch przekazał to, co usłyszał, władzom, naturalnie w zamian za udział w odnalezionych skarbach. Peruwiańczycy rozpoczęli zakrojone na wielką skalę poszukiwania tego wejścia. Chociaż niewiele dziś wiemy o tej akcji, przypuszcza się, że poszukiwacze występowali pod przebraniem naukowców i archeologów, aby ukryć prawdziwy cel swej misji przed podejrzliwymi Indianami Kiczua. Tak czy inaczej, trwało to dwa lata, nie przyniosło żadnych rezultatów, a ekipa powróciła do Limy z pustymi rękami. Skarb Atahualpy pozostał nienaruszony.

Ciąg dalszy tej historii wiąże się w pewien sposób z Heleną Bławatską, opisaną wcześniej niezwykle damą, i pozwala uczynić poważny krok naprzód w poszukiwaniach szczegółów o podziemnych tunelach Ameryki Południowej. Madame Bławatska spotkała osobiście tajemniczego Włocha, który wy dobył od starego księdza tajemnicę spowiedzi. Spotkanie miało miejsce w zimie. Włoch oznajmił Bławatskiej, że choć władze przerwały poszukiwania, on sam uważa, że odnalazł wejście do podziemnego labiryntu; nie ma jednak dość czasu ani pieniędzy na prowadzenie dalszych poszukiwań.

Ponieważ madame Bławatska udawała się właśnie w okolice, gdzie według Włocha znajdowało się wejście – do miejscowości Arica w Chile, niedaleko granicy Peru – zdecydowała się zbadać sprawę na własną rękę. Oto jak opisuje te badania w książce *Isis Unveiled*:

„Posuwając się od Limy drogą wodną, na południe, o zachodzie słońca dotarliśmy w poblize Ariki, gdzie uderzył nas widok olbrzymiej, prawie pionowej skały, sterczącej w smutnym odosobnieniu na brzegu rzeki. Był to grobowiec Inków. Kiedy na skałę padają ostatnie promienie zachodzącego słońca, za pomocą zwykłej lornetki teatralnej można odróżnić dziwne hieroglify wypisane na powierzchni tego wulkanicznego bloku kamiennego.

Kiedy Cuzco było stolicą inkaskiego Peru, znajdowała się tam świątynia Słońca, znana wszędzie ze swej wspaniałości. Jej dach był pokryty grubymi płytami złota, ściany wyłożone tym samym cennym metalem; z litego złota były też wykonane krawędzie okapów. W ścianie

zachodniej budowniczości umieścili otwór tak pomyślany, aby skupiał promienie słońca wewnątrz budynku. Przebiegając niczym złoty łańcuch od jednego świetlistego punktu do drugiego promienie okrążyły świątynię, oświetlając przy tym posągi i ukazując niewidoczne kiedyś indziej tajemnicze znaki. Jedynie zrozumienie tych hieroglifów, być może identycznych z widniejącymi po dziś dzień na grobowcu Inków, pozwala zgłębić sekret tunelu i odnaleźć któreś z jego wejść.

Jedno takie wejście jest niedaleko Cuzco; dziś zamaskowane i niemal nie do odnalezienia, prowadzi bezpośrednio do olbrzymiego tunelu biegnącego z Cuzco do Limy, potem zaś, po zmianie kierunku na południowy, przekraczającego granicę Boliwii. W pewnym punkcie tunel jest przegrodzony komorą. Wewnątrz niej znajduje się dwoje przemyślnie usytuowanych drzwi, czy też raczej dwa obrotowe bloki kamienne, tak ściśle dopasowane do rzeźbionych ścian, że położenie ich można rozpoznać tylko dzięki tajemnym znakom znanym wiernym strażnikom komnaty. Jeden z bloków zamyka południowy koniec tunelu biegnącego od strony Limy, drugi zaś północny koniec tunelu od strony Boliwii. Część boliwijska mija po drodze na południe miejscowości Trapaca i Cobijo, ponieważ Arica leży niedaleko rzeczki zwanej Payaquina, stanowiącej granicę pomiędzy Peru a Boliwią”.

Oznajmiając we właściwy jej autorytatywny sposób o istnieniu tunelu, madame Bławatska, o dziwo, ukrywa przed czytelnikiem jego prawdziwe rozmiary. Patrząc bowiem na mapę widzimy, że odległość z Cuzco do Limy wynosi około sześciuset kilometrów, z Limy zaś do Boliwii, dokąd według relacji miał sięgać, prawie półtora tysiąca kilometrów! Wielu badaczy uważa, że po minięciu Tarapaca i Cobijo, leżących obecnie w Chile, tunel kieruje się na wschód, przebiega pod Andami i kończy się, czy też raczej ginie, gdzieś na tajemniczej słonej pustyni Atacama. Harold Wilkins, kwestionując możliwość zakończenia tunelu na pustynnym obszarze, pisze: „Niewykluczone jednak, że w czasach, kiedy tunel wykonano, przed tysiącami lat, panujący tam klimat był inny niż dziś, a pustynia była pięknym terenem o bujnej roślinności”. Przytoczone dane zdają się potwierdzać starożytny przekaz o biegnącym pod znaczną częścią kontynentu południowoamerykańskiego podziemnym tunelu. Także madame Bławatska nie kończy jeszcze swej relacji:

„Niedaleko od tego miejsca [granicy Peru i Boliwii] znajdują się trzy oddzielne wzniesienia, usytuowane pod specyficznym kątem; należą one do pasma górskiego Andów. Zgodnie z przekazem jedyne dostępne wejście do prowadzącego na północ podziemnego korytarza znajduje się na zboczu jednego z tych wzniesień. Nie znając jednak ukrytych szczegółów terenu, regiment Tytanów mógłby przeszukiwać okolicę bez cienia szansy na powodzenie. Gdyby nawet jednak ktoś zdołał się dostać do wnętrza tunelu, a następnie do obrotowego bloku kamiennego prowadzącego do skarbcza i usiłował go wysadzić w powietrze, ogromne głazy pogrzebałyby pod sobą komnatę, ukryte w niej skarby i – jak ujął to tajemniczy Peruwiańczyk – »nawet tysiąc wojowników« pod wielkim kamiennym zwaliskiem.

Do komnaty położonej na wysokości Arka prowadzi jedna jedyna droga, a mianowicie poprzez wejście w zboczu góry w pobliżu rzeki Payaquina. Wzdłuż całej długości tunelu od Boliwii po Limę i Cuzco, znajdują się mniejsze schowki pełne złota i szlachetnych kamieni, dorobek całych pokoleń Inków, którego łącznej wartości nie da się nawet obliczyć”.

Każdemu sceptycznie nastawionemu czytelnikowi Bławatska rekomenduje przedmiot, który, o czym jest przekonana, dowodzi prawdziwości jej twierdzeń: mapę tunelu (istniejącą zresztą do dziś i przechowywaną obecnie w archiwum Towarzystwa Teozoficznego nad rzeką Adżar w stanie Madras w Indiach). W *Isis Unveiled* autorka oznajmia:

„Mamy dokładny plan tego tunelu, wielkiej komory na kosztowności oraz ukrytych obrotowych drzwi skalnych, przekazany nam przez starego Peruwiańczyka; gdybyśmy jednak myśleli o wyciągnięciu korzyści z posiadania tej tajemnicy, wymagałoby to współpracy na

wielką skalę rządów Peru i Boliwii. Pomijając przeszkody natury fizycznej, żadna jednostka czy niewielka grupa nie byłaby w stanie przedsięwziąć tego rodzaju ekspedycji, nie natykając się na armię rabusiów i przemytników, którą obsadzone jest wybrzeże i w której uczestniczy prawie cała ludność. Samo oczyszczenie przesiąkniętego trującymi wyziewami powietrza tunelu, do którego przez wieki nikt nie wchodził, byłoby poważnym zadaniem. Tam spoczywa skarb, przekaz zaś twierdzi, że będzie spoczywał tak długo, dopóki ostatni ślad hiszpańskiego panowania nie zniknie z całej Północnej i Południowej Ameryki”.

Bławatska zdaje także relację ze spotkania z pewnym starym peruwiańskim księdzem, Indianinem ze szczepu Kiczua, który odbył podróż tym tunelem. Ten dziwny, zgorzkniały człowiek całe życie ukrywał nienawiść do urzędników peruwiańskich i hiszpańskich najeźdźców; powiedział podróżnicze:

„Utrzymuję przyjazne stosunki z tymi bandytami i z ich katolickimi misjonarzami tylko dla dobra mego ludu. Sam jednak jestem gorliwym czcicielem Słońca, jakbym żył w czasach naszego zamordowanego władcy Atahualpy. Jako nawrócony tubylec i misjonarz, wybrałem się kiedyś w podróż do Santa Cruz del Quiche (w zachodniej Gwatemali), a tam udałem się w odwiedziny do mojego ludu przez podziemne przejście, prowadzące do tajemniczego miasta za pasmami Kordyliarów. Dla każdego białego człowieka wdarcie się tam oznacza niechybną śmierć”.

Bławatska przyznaje, że wierzy w tę opowieść, przytaczając podane przez Johna Lloyda Stephensa przesłanki dotyczące istnienia sekretnego tunelu w bliskości Santa Cruz del Quiche. Dodaje też: „Człowiek stojący w obliczu śmierci raczej nie opowiada próżnych bajek”.

Mnie także udało się odnaleźć dalsze przesłanki, zdające się potwierdzać opowieść o owym tunelu jako miejscu ukrycia wielkiego skarbu. Chodzi tu o stary dokument sporządzony na pergaminie przez Hiszpana nazwiskiem Felipe de Pomares we wczesnych latach siedemnastego wieku i znajdujący się obecnie w archiwum w Cuzco. Dokument wspomina o pewnej Hiszpance, która poślubiła jednego z potomków władcy Inków; przypuszczając, że mąż wie, gdzie leży część ukrytego skarbu, natarczywie namawiała go, aby pokazał jej kosztowności.

Kobieta ta, Dona Maria Esquivel, uważała, że jej mąż, Carlos Inca, nie zapewnia poziomu życia należnego jej pozycji, i że ma prawo do części skarbu, którego spadkobiercą jest Carlos. Choć nieszczęsny małżonek twierdził, że skarbu nie wolno dotykać, Dona Maria nalegała tak uparcie, że zgodził się wreszcie zabrać ją do skarbcza, zawiąawszy jej uprzednio oczy. Musiał tak zrobić z obawy przed „strażnikiem”, który, jak powiedział, pełni wartę przy wejściu do tunelu.

I tak pewnej nocy, pod osłoną ciemności, w strachu, że może zostać pojmany i ukarany za swą niedyskrecję, Carlos Inca zabrał Donę Marię do tajemnego tunelu. Przeszli spory odcinek drogi, zanim zdjął jej opaskę z oczu; kobieta zobaczyła, że znajduje się w przebogatym, olśniewającym skarbcu. Komnata była pełna złotych i srebrnych sztabek, ozdób świątynnych oraz naturalnej wielkości posągów dawnych władców inkaskich wykonanych z litego złota. Carlos Inca pozwolił żonie wziąć zaledwie kilka pośpiesznie wybranych przedmiotów i pociągnął ją zaraz ku wyjściu, znowu z zasłoniętymi oczami. Gdy chciwa kobieta niedługo potem zaczęła żądać nowych klejnotów z tajnego skarbcza, Inca bezceremonialnie odesłał ją z powrotem do Hiszpanii.

Tę historyjkę o niepoprawnej chciwości zaczęto opowiadać wtedy, gdy pojawiła się natarczywa pogłoska o tajnej grupie „strażników”, pilnujących wejścia do tunelu położonego pod fortecą w Cuzco. Harold Wilkins pisze: „Carlos był strażnikiem tajemnicy, którą przekazał swemu następcy. Nawet dzisiaj sekret o tych komnatkach może być własnością jakiegoś potomka Inków”. Przez trzysta lat, dodaje Wilkins, nie zdołano tak czy inaczej obalić twierdzenia o istnieniu olbrzymiego skarbu spoczywającego w podziemnym przejściu pod starożytną stolicą Inków.

Niestrudzony Erich von Däniken odkrył niedawno dość długi tunel, znajdujący się w sąsiadującym z Peru Ekwadorze. W książce *The Gold of The Gods* („Złoto bogów”, 1972) opisuje

on swe odwiedziny w podziemnym korytarzu, do którego wchodzi się tajnym wejściem w pobliżu miasta Gualaquiza. „Tunel ten stanowił część gigantycznego systemu długości tysięcy kilometrów, zbudowanego przez nieznaną budowniczych w niewiadomym czasie i ukrytego głęboko pod kontynentem południowoamerykańskim”, pisze von Däniken. Autor sądzi, że tunele Ekwadoru łączą się z tunelami Peru; ten jeden, przez który przechodził, ma mieć gładkie, szlifowane ściany i płaski sufit, pokryty warstwą wykończeniową. „Oczywiste jest, że przejścia te nie zostały utworzone przez siły naturalne”.

Von Däniken informuje, że w tym tunelu znaleziono wiele złotych kosztowności, a wejście doń jest strzeżone przez dzikie plemię indiańskie – widzimy tu zatem wielkie podobieństwo do opowieści z Meksyku, Gwatemali i Peru. Sam autor dostał się do tunelu tylko dlatego, że jego przewodnik i zarazem odkrywca tego przejścia, Juan Moricz, „został uznany przez wodza szczepu strażników jaskini za przyjaciela”. Indianie wchodzili zdaje się do tuneli zaledwie dwa razy do roku, żeby ofiarować rytualne modlitwy „duchom podziemi”.

W rezultacie tej wycieczki von Däniken doszedł do wniosku, że system tuneli powstał na tysiące lat przed imperium Inków. „Jak i za pomocą jakich narzędzi Inkowie zbudowaliby tysiące kilometrów przejść położonych głęboko pod ziemią? Tunel pod kanałem La Manche inżynierowie dwudziestego wieku, wieku rozwiniętych technologii, projektują już od pięćdziesięciu lat, wciąż nie mogąc się zdecydować, jakiej metody użyć ostatecznie do budowy tego relatywnie niewielkiego przejścia” – zwraca uwagę pisarz. Von Däniken wnioskuje prawidłowo, że system tuneli był znany władcom Inków i został przez nich użyty do ukrycia skarbu przed grabieżczymi hiszpańskimi konkwistadorami. Do kwestii tego, jak i przez kogo owe zdumiewające tunele mogły zostać skonstruowane, powrócę nieco później w niniejszej książce.

Kończąc więc na relacjach z Ekwadoru możemy uznać, że dokonaliśmy analizy najważniejszych informacji dotyczących podziemnych przejść Ameryki Południowej – jednak niecałej, ponieważ pominęliśmy na razie Brazylię. Na zbadanym do tej pory obszarze, jak można łatwo wykazać, występuje olbrzymi tunel długości wynoszącej nawet cztery tysiące kilometrów, od Meksyku na północy po Peru i Boliwię na południu. (W dawnych przekazach południowoamerykańskich tunel ten ma nawet nazwę: „Droga Inków”.) Zobaczymy w następnym rozdziale, że istnieje odgałęzienie tego tunelu, biegnące w kierunku wschodnim, pod Brazylią, ku Oceanowi Atlantyckiemu. Ta część tunelu, jak mam nadzieję wykazać, łączyła się niegdyś z zaginionym kontynentem Atlantydy.

Nieco później zajmę się także przesłankami, według których ten dziwny tunel Ameryki Południowej jest połączony z podobną siecią podziemnych przejść rozciągających się pod Stanami Zjednoczonymi i mających, jak się uważa, punkt graniczny dokładnie pod Nowym Jorkiem! Ustaliwszy zaś istnienie takiej sieci tuneli pod kontynentami obu Ameryk, mam nadzieję wykazać dalej, że jest ona jedynie częścią jeszcze większego systemu łączącego Amerykę z Europą i Azją – przy czym celem ostatecznym, do którego prowadzą wszystkie te leżące dotychczas w sferze legend przejścia, jest podziemny świat Agharti.

## 9.

### **Brazylia a ogniwo atlantyjskie**

Brazylia jest czwartym pod względem wielkości krajem świata; zajmuje ponad połowę całkowitej powierzchni Ameryki Południowej. Jej wielka stolica, Brasilia, oraz dwa wspaniałe porty, Rio de Janeiro i Sao Paulo, są znane na całym świecie z wysoko rozwiniętej techniki i kultury, która każe niektórym przypuszczać, że kraj ten stanie się kiedyś jednym z najważniejszych państw świata.

Jednak za nadbrzeżnymi nizinami położonymi nad Atlantykiem leżą najbardziej nieprzeniknione

i najbardziej wrogie człowiekowi tereny świata, a także najbardziej może tajemniczy rejon globu – Amazonia. Na północnej granicy Brazylii wznosi się także sięgający chmur płaskowyż Roraima, „Zaginiony świat” uwieczniony w znakomitej powieści sir Arthura Conan Doyle'a.

Brazylia to istotnie kraj tajemnic, których duża część wciąż jeszcze czeka na zbadanie, kraj zdumiewających i zagadkowych legend. Już teraz można na podstawie wszelkich oznak stwierdzić, że kwitła tu niegdyś niezwykle stara cywilizacja, której początki pochodzą sprzed co najmniej trzydziestu tysięcy, a może nawet sześćdziesięciu tysięcy lat. Wiele przesłanek wskazuje też na to, iż biali ludzie o wysokim poziomie kultury, przynależący do nie znanego nam narodu, przemierzali kiedyś ten kraj u boku swych ciemnoskórych braci. Nie ma też wątpliwości co do faktu, że w relatywnie krótkim czasie, jaki upłynął od odkrycia Brazylii – pierwszy Europejczyk, Portugalczyk Pedro Cabral, dotarł do wybrzeży tego kraju dopiero po roku 1500 – człowiek nie zaczął jeszcze nawet rozwiewać mgieł okrywających jej tajemnice. Musimy zatem spróbować zebrać jak najwięcej materiałów na temat powiązanych ze sobą sekretów starożytnej białej rasy zamieszkującej Brazylię oraz sieci podziemnych tuneli, z jakimi nierozzerwalnie łączy się istnienie tej rasy. Przekazy, mówiące o tych sprawach, bynajmniej nie zagięły.

Harold Wilkins na przykład zauważa na kartach swej książki *Mysteries of Ancient South America*:

„Prawdopodobne jest, że potomkowie tego imperium białoskórych ludzi żyją jeszcze dzisiaj na nie zbadanych terenach Brazylii między ostatnimi wzgórzami Andów, w bogatych w złoto krainach, w granicach głównego nurtu Amazonki. Istnieje wiele opowieści o dziwnych białych ludziach – przystojnych mężczyznach i nagich kobietach o klasycznych, greckich rysach – na nieznanym serto środkowego Mato Grosso i na brazylijskich wyżynach, w górach położonych na północ i południe od głównego nurtu Amazonki i jej dopływów”.

Również mieszkający w Brazylii doktor Raymond Bernard zapewnia nas w swej książce, że „tajemnicze tunele stanowiące wciąż zagadkę dla archeologów występują pod powierzchnią Brazylii, mając wyloty w wielu miejscach na powierzchni tego kraju. Najbardziej znany z nich leży w Górach Roncador w północno-zachodnim Mato Grosso; zmierzał tam pułkownik Fawcett, kiedy widziano go po raz ostatni”. Informacje dotyczące tak tuneli, jak i pułkownika Fawcetta przeanalizuje my w dalszej części tego rozdziału, kontynuując poszukiwania Agharti.

W Brazylii istnieje mnóstwo legend o starożytnych miastach, dziś zrujnowanych, ukrytych na olbrzymim obszarze tego kraju. Od czasu aneksji tych terenów przez Portugalię w 1500 roku i utworzenia kolonii nabrzeżnych w 1532 roku wyprawiało się na ich poszukiwania wiele ekspedycji. Już wtedy wyobraźnię badaczy podsycaly opowiadane przez tubylców historie o zaginionych miastach, które kryją nieprzebrane srebrne i złote skarby, czekające na odkrycie.

Straszliwy klimat, wrogo nastawieni mieszkańcy dżungli i zagadkowość samych informacji skazywały na niepowodzenie wyprawę za wyprawą. Od czasów najwcześniejszych prób, dokonywanych przez niewielkie grupy portugalskich poszukiwaczy szczęścia lub przez brazylijskich *bandeiristas* z siedemnastego wieku, aż po świetnie wyposażoną ekspedycję, finansowaną przez koncern Kruppa w Niemczech we wczesnych latach dwudziestych, tak samo nieudaną, jak wszystkie poprzednie [Rozpoczęta we wczesnych latach dwudziestego wieku ekspedycja Kruppa miała za cel odnalezienie starożytnego miasta, które miało leżeć gdzieś w zachodniej części Mato Grosso. Na sfinansowanie wyprawy wydano całe 100.000 funtów; wspomagana przez nowoczesny sprzęt, uzbrojonych ludzi, przewodników-Indian i mocne zwierzęta juczne, ekspedycja ta zyskała chyba największy rozgłos ze wszystkich, jakie kiedykolwiek wyruszyły ku nieznanemu sercu Brazylii. Przewodnicy jednak rychło uciekli, a dzicy Indianie zaczęli atakować grupę przy każdej okazji, podczas gdy jej członkowie i juczne zwierzęta padali ofiarami straszliwego upału i nieznośnych warunków marszu w dżungli. Jak ich poprzednicy, musieli w końcu zawrócić z drogi] – ruiny i olbrzymie bogactwa pozostawione przez dawno zapomniany lud okazały się nieosiągalne. Każda z tych wypraw dostarczyła jednak jakichś wiadomości, które w miarę upływu czasu udało się wykorzystać do wyjaśnienia niektórych

tajemnic Brazylii.

Z danych geologicznych wynika, że Ameryka Południowa to jeden z najstarszych kontynentów, kraina nigdy nie zatapiana przez wody oceanów i nie miażdżona ciężarem lodowców. Skłoniło to archeologów do przypuszczeń, że ten tajemniczy ląd mógł być kolebką ludzkiej cywilizacji, która stamtąd rozprzestrzeniła się na kontynenty Europy i Afryki z jednej, a Azji z drugiej strony. (Dla porównania przypomnijmy, że około sześćdziesięciu tysięcy lat temu nasi europejscy przodkowie żyli w jaskiniach na terenach znanych dzisiaj jako pirenejski rejon Francji, kantabryjski rejon Hiszpanii i lakustrzyński rejon Szwajcarii.)

Jako ląd niezwykle stary, kontynent południowoamerykański miał niewątpliwie połączenie z zaginioną Atlantydą. Wielu naukowców i archeologów, włącznie ze mną, sądzi dzisiaj, że Atlantyda stanowiła niegdyś pomost lądowy pomiędzy Europą na wschodzie i Ameryką Południową na zachodzie. Pogląd ten wyjaśnia podobieństwa zauważane w pozostałościach kultur odnalezionych po obu stronach Oceanu Atlantyckiego; pomaga także potwierdzić możliwość, że tunele Ameryki Południowej łączyły się z podziemnymi przejściami Europy i Ameryki Północnej, przy czym wszystkie dążyły do Agharti. Przyjrzyjmy się teraz przesłankom.

W starożytnym manuskrypcie z Gwatemali, *Popul-Vu* (tytuł ten znaczy „Zbiór Pism”), który jest uważany za „olbrzymią składnicę legend i historii mistycznej Majów i całej Ameryki Środkowej”, dużo mówi się o „lądzie leżącym na wschodzie u wybrzeży morza”. Odpowiadałoby to naszej wiedzy o prawdopodobnym położeniu Atlantydy. Tam też czytamy, że z lądu tego „przybyli ojcowie naszego ludu”, którzy przetrwali „wielką katastrofę”, powodującą zniknięcie leżącego na wschodzie kontynentu. Czy wobec tego słowa z księgi *Popul-Vu* mogą być czymkolwiek innym, jak tylko opisem zniszczenia Atlantydy i skutków, jakie przyniosło ono sąsiedniemu kontynentowi?

„Przyszedł wielki potop; potem deszcz smoły i żywicy, ludzie zaś biegali we wszystkie strony, przepełnieni rozpaczą i szaleństwem. Oślepieni przerażeniem, próbowali wspinać się na dachy domów, które waliły się, zrzucając ludzi na ziemię. Próbowali wspinać się na drzewa, te jednak odrzucały ich daleko od siebie. Próbowali dostać się do jaskiń i grot, te jednak zostały natychmiast zamknięte od wewnątrz. Ciemność opadła na ziemię; deszcz padał nieustannie dniem i nocą. Tak dokonało się zniszczenie rasy ludzkiej, które jej było przeznaczone”.

Opierając się na informacjach zawartych w *Popul-Vu* oraz na własnych badaniach, Harold Wilkins, znany nam archeolog, ostrożnie zacieśnia więzy pomiędzy Atlantydą i Ameryką Południową. W *Mysteries of Ancient South America* Wilkins pisze:

„Jedną z południowoamerykańskich kolonii Atlantydy był prawdopodobnie kraj zwany Brazylią; tak brzmiała starożytna nazwa tego kraju, zanim jeszcze Pedro Cabal, żeglarz portugalski, dotarł do ujścia Rio de Janeiro. Miało to miejsce w roku 1500 i spowodowało powstanie niczym nie uzasadnionej pogłoski, jakoby król Portugalii Emanuel nadał temu krajowi jego nazwę, ponieważ znaleziono tam drzewo o nazwie brasil (*Biancaea sappan*). Co ciekawsze, ta sama Brazylia znana była starożytnym Celtom zamieszkującym Irlandię jako kraj Hy-Brazil.

W całej Ameryce Południowej znane są też legendy o ludziach odzianych w długie, czarne, trzepoczące płaszcze, mających białą skórę i złotoblond włosy, którzy pojawili się na kontynencie w charakterze misjonarzy przed potopem, około 11.000 roku przed naszą erą. Przywódca tych ludzi znany był jako Quetzalcoatl; chociaż z czasem zaczęto go przedstawiać jako boga, był w rzeczywistości świętym człowiekiem. Przybył, jak mówiono, tunelem z wyspy leżącej na wschód od Brazylii. [Pogląd ten potwierdza Ordonez w swej *Historia de Cieio*, napisanej u schyłku szesnastego wieku; oświadcza on, że Quetzalcoatl często podróżował pomiędzy Brazylią a swą siedzibą na kontynencie Atlantydy, „przy czym dane mu było docierać do »Niebiańskiej Skały« [Atlantydy] podziemnym przejściem”.] De Nadaillac pisze o tym w dość zagadkowy sposób w książce *Pre-Historic America* („Ameryka prehistoryczna”, 1885):



„Szczególnym elementem wszystkich opisanych legend jest przybycie białych, brodatych obcych w czarnych szatach, których absurdalnie identyfikowano z misjonarzami buddyjskimi. Nie istnieją żadne pewne informacje dotyczące tych obcych, poza tym, że przywódcą ich był Quetzalcoatl, czyli »wąż pokryty pierzem«. Wcześni autorzy hiszpańscy zdecydowali się widzieć w Quetzalcoatlu św. Tomasza, który przedostał się z Indii do Ameryki. Istnieje mnóstwo legend na jego temat, których różnorodność uzasadnia przypuszczenie, że przypisywano mu zmyślane lub rzeczywiste czyny wielu bóstw ludów Maja i Nahuja”.



Jedno z najwcześniejszych przedstawień Quetzalcoatla, ukazujące go na tle tunelu, którym bóg podróżował między Atlantydą i Ameryką Południową.

Z kolei dla Harolda Wilkinsa pochodzenie ani cel Quetzalcoatla nie ulegają wątpliwości:

„Przybył on z atlantyjskiej Brazylii z misją cywilizacyjną do barbarzyńskiej i dzikiej Ameryki Środkowej... ostrzegając o zniszczeniu, jakie ma nadejść”.

Wilkins opisuje następnie „wielki kataklizm, który pogrzyzył Atlantyde, ów kontynent-wyspę, w

odmętach oceanu”. Kataklizmowi towarzyszyły równoczesne wybuchy wulkanów w Ameryce, Afryce, w środkowoazjatyckich łańcuchach górskich i na dalekim Pacyfiku. Opis Wilkinsa jest tak żywy, że przytoczę go tu w całości:

„W kraju Hy-Brazil i w wymarłych miastach, do których dziesięć tysięcy lat później mieli się wdrzeć *baruieiristas*, nie można było odróżnić dnia od nocy. Niebo było ciemne. Z ziemi unosiły się gęste, duszące chmury popiołu i oparów, zatruwające wszystko dookoła. Straszliwe wyładowania elektryczne przecinały nieskończoną czerń, podkreślając jej nierealny wygląd. Oszalały ocean u ujścia Amazonki przewalał się z rykiem przez całe dorzecze, uderzając w otoczone murami miasta i ich masywne kamienne falochrony.

Na wyżynach wielkiej atlantyjskiej kolonii – nowej Atlantydy starej Ameryki – miasta obracały się w ruinę za sprawą ognia spadającego z nieba i wstrząsów ziemi. Kiedy zatrzęsa się ziemia pod martwymi dziś miastami obecnej Mato Grosso, a dzień zmienił się w noc, z bezdennych szczelin w bitych traktach i obok wspaniałych świątyń i pałaców wydobyły się trujące gazy. Oślepieni, pozbawieni tlenu i doprowadzeni do szaleństwa przez ten kosmiczny kataklizm białoskórzy, piękni ludzie, mężczyźni i kobiety – kobiety rudowłose niczym Złota Berenika, jasnowłose niczym grecka bogini miłości Afrodyta – uciekali z miast, pozostawiając za sobą wszystko.

Całe dzielnice miast znikły pod ziemią, pochłonięte przez straszne wstrząsy. Być może pożary zniszczyły niektóre z budynków; późniejsi *bandeunistas* dziwili się bowiem brakiem w nich mebli czy przedmiotów codziennego użytku. Olbrzymie pałace i świątynie doznały niszczących wstrząsów. Ci mieszkańcy atlantyjskiej Brazylii, którym nie udało się uciec w okoliczne góry drogami pokrytymi niegdyś wspaniałą nawierzchnią, teraz jednak popękany i zniszczony, drogami zawalonymi olbrzymimi głazami i skałami, oderwanymi od górskich zboczy przez straszliwe wstrząsy i ulewy, stawali się ofiarami płomieni lub znajdowali śmierć w szczelinach otwierającej się ziemi. Tych, którzy uszli temu losowi, rozszarpały dzikie zwierzęta i drapieżne ptaki, jakie miały odtąd zamieszkiwać miasta starożytnego kraju Hy-Brazil, zmiecione z powierzchni Ziemi”.

Wilkins, wraz z innym ekspertem z dziedziny starożytnej historii Ameryki Południowej, Lewisem Spence'em (patrz książki tego ostatniego, *The Problem of Atlantis* – „Kwestia Atlantydy”, 1924, i *The History of Atlantis* – „Historia Atlantydy”, 1926), twierdzi, że pewna liczba ludzi przeżyła zagładę. Dowody na to pojawiały się od czasu do czasu: opowiadania o zaginionych szczepach białych ludzi napotykanym w dżunglach Brazylii, relacje o dziwnych, jasnoskórych strażnikach tajemnych miast Peru i Gwatemali – prawdopodobnie potomkach Atlantyjczyków, którzy skolonizowali Brazylię.

Istnieje na przykład mało znane plemię Indian zwanych Los Patia, zamieszkujące osadę o wymownej nazwie Atlan w gęstych lasach rozciągających się pomiędzy rzekami Rio Apure i Orinoko. Wśród tego ludu krąży ustny przekaz o kataklizmie, jaki zniszczył ich starożytną ojczyznę położoną w Brazylii oraz wielką wyspę na wschodnim oceanie, którą zamieszkiwała „bogata i cywilizowana rasa” – niewątpliwie Atlantyde!

Lewis Spence oznajmia również, że jedno z tubylczych plemion Brazylii, Indianie Tapuya, uważa się za potomków białego ludu, służącego starożytnej rasie zamieszkującej kraj Hy-Brazil, a zbiegłego wraz ze swymi panami przed katastrofą na Atlantydzie. W książce *The Problem of Atlantis* badacz pisze: „Indianie Tapuya mają cerę jasną jak Anglicy, małe stopy i dłonie; delikatne, bardzo piękne rysy twarzy, blond, złotoblond i rudobrazowe włosy. Potrafią obrabiać minerały i noszą ozdoby z diamentów i innych kamieni szlachetnych”.

W poprzednim rozdziale wspominałem o Indianach, którzy zgodnie z opowieściami strzegą tajemniczych miast przed intruzami; zanim więc przejdę do kwestii podziemnych przejść Brazylii, przytoczę jeszcze jeden dowód fizyczny istnienia ognia brazylijsko-atlantyjskiego.

Interesująca obserwacja, którą tu podaję, pochodzi znowu od Harol da Wilkinsa i została zawarta

w jego *Mysteries of Ancient South America*:

„Wśród mistycznych tradycji Wschodu istnieje silny nurt, pochodzący być może od mieszkańców Atlantydy, którzy opuścili swą ojczyznę jeszcze przed wystąpieniem kataklizmu: głosi on, że główna świątynia dawnej stolicy Atlantydy, położonego na wzgórzu miasta Sardegon, miała dach w kształcie kopuły; w jej środku jaśniało słońce wykonane z błyszczącego złota. Spadkobiercy resztek kolonii atlantyjskich w kraju Hy-Brazil w Ameryce Południowej, Inkowie z Peru (słowo *Peru* zostało podobno utworzone od słowa *Vira*, nie występującego w języku Kiczua, tubylczym dialekcie peruwiańskim, a oznaczającego boga Słońca), posiadali wspaniałe słońce z czystego złota, które świeciło oślepiającym blaskiem na ścianie wielkiej świątyni w Cuzco. To tutaj właśnie karawele Don Francisca Pizarra dotknęły wybrzeża kraju Inków w roku 1530, a najeżdżąc na sam widok blasku złotego słońca zabołały oczy.

Kiedy jednak konkwistadorzy Pizarra dostali wreszcie w zbrodnicze ręce ziemie starożytnej cywilizacji, wspaniałe złote słońce znikło. Przez cztery wieki miejsce jego ukrycia pozostawało tajemnicą, dostępną jednemu, najwyżej dwóm przedstawicielom potomków Inków. Możemy być pewni, że dziś w którejś z dolin peruwiańskich Kordyliarów żyje człowiek, nie podejrzewany nawet przez sąsiadów, że wie, gdzie to słońce skryło się pod ziemią”.

Każde opracowanie dotyczące tajemnic Brazylii, jej zaginionego ludu i starożytnych, zrujnowanych dziś miast musi wziąć pod uwagę odkrycia słynnego pułkownika Percy'ego Harrisona Fawcetta (1867-1925), który sam dostarczył jeszcze jednej nie wyjaśnionej tajemnicy, zaginął bowiem w Mato Grosso w 1925 roku; od tego czasu nie widziano go ani nie słyszano o nim więcej.

Pułkownik Fawcett stanowi obiekt naszego szczególnego zainteresowania, ponieważ po pierwsze celem jego badań było odnalezienie „kolebki cywilizacji brazylijskiej”, a po drugie istnieje teoria, że nie zginął on w dżungli, lecz odnalazł drogę do jednego z podziemnych korytarzy, gdzie pozostaje do dziś.

Fakty dotyczące wyprawy pułkownika Fawcetta wystarczy wspomnieć jedynie pobieżnie. Jego młodszy syn Brian sporządził ciekawe sprawozdanie z tej podróży, *Exploration Fawcett* („Wyprawa badawcza Fawcettów”, 1953). W okresie swej ostatniej ekspedycji Fawcett był już dobrze znany w Ameryce Południowej ze względu na swój udział w wytyczaniu granic w Peru, Ekwadorze, Boliwii i Brazylii podczas gorączki kauczuku. Podczas lat tam spędzonych obsesyjnie zainteresował się legendą o położonym gdzieś na obszarze Mato Grosso zaginionym mieście, zamieszkałym podobno przez rasę białych ludzi na wysokim poziomie cywilizacji.

Zanim wyruszył na wyprawę, oświadczył po prostu: „Mam tylko jeden cel – odkryć tajemnice, jakie nieprzebyte dżungle Ameryki Południowej ukrywają od tak wielu wieków. Nasze nadzieje na odnalezienie ruin starożytnej, białej cywilizacji oraz zdegenerowanego potomstwa rasy, stojącej kiedyś na wysokim stopniu kultury zdają się znajdować potwierdzenie”.

Fawcetta intrygowały dwa fakty. Po pierwsze wiedziano, że w dżungli znajduje się wiele niewiarygodnie starych ruin. „Te zdumiewające ruiny starożytnych miast są bez porównania starsze niż ruiny Egiptu”, mówił pułkownik. Po drugie, w archiwum w Rio de Janeiro odkryto pewien historyczny dokument, w którym opisane było odkrycie zaginionej cywilizacji w Mato Grosso w roku 1734. Dokument ten, który można także dzisiaj oglądać w Biblioteka Nationale w Rio de Janeiro, opisuje dokonane przez ekspedycję portugalską odkrycie niewielkiego przejścia w jednym ze zboczy górskich; przeczolągawszy się przez nie, członkowie wyprawy natrafili na ruiny miasta, które najwyraźniej zostało zniszczone przez jakiś straszny kataklizm. Wszędzie widziało się porzucone skarby i rozsypane monety. Członków wyprawy jeszcze bardziej zdumiało spotkanie z dwoma mężczyznami o białej skórze i złotoblond włosach. Kiedy Portugalczycy przystąpili do opisywania dokonanych znalezisk, wysłali posłańca-krajowca do Rio de Janeiro z wiadomością o odkryciu. Nigdy jednak nie powrócili już na łono cywilizacji; przepadli bez wieści. Jedynym rozwiązaniem zagadki ich zniknięcia wydaje się, że zostali pojmani lub zabici przez owych dziwnych białych mężczyzn.

Przed udaniem się na fatalną wyprawę wraz ze swym starszym synem Jackiem i jeszcze jednym towarzyszem, Raleighem Rimellem, pułkownik Fawcett zajmował się intensywnie baśniami i legendami Brazylii. Doszły go słuchy o starożytnych miastach pochodzących jakoby sprzed sześćdziesięciu tysięcy lat, o białych, niebieskookich Indianach i sławnych skarbcach czekających na odkrycie w zrujnowanych osadach. Pułkownik żywił podejrzenia, że miasta te mogły być pozostałością po starożytnej rasie atlantyjskiej; zdradził się z tym w liście do Lewisa Spence'a napisanym w roku 1924. W tym samym liście pisał o swoim coraz mocniejszym przekonaniu o istnieniu ognia pomiędzy starożytnymi mieszkańcami Ameryki Południowej a ludnością wschodniego wybrzeża Atlantyku, opartym na podobieństwie inskrypcji odkrytych przez niego na portalach i kolumnach ruin w Brazylii oraz – trzydzieści lat wcześniej – na starożytnych rzeźbach kamiennych Cejlonie (obecnie Sri Lanka).

W liście do Lewisa Spence'a Fawcett pisze:

„Mam powody przypuszczać, że ci pierwotni [biali, atlantyjscy] ludzie pozostają obecnie w stanie zdegenerowania... Używają oni pisma i wykorzystują lamy, zwierzęta występujące w Andach na wysokościach ponad trzech tysięcy metrów nad poziomem morza, ale pochodzące z nizin, powstałe ze skrzyżowania innych gatunków zwierząt. Wciąż istniejące pozostałości po nich świadczą o stosowaniu różnokolorowych kamieni do budowy schodów świątynnych i tworzenia wielu płaskorzeźb”.

Grupa Fawcetta wyruszyła więc pełna nadziei do Mato Grosso. Pułkownik pozostawiał swych przyjaciół w przeświadczeniu, że wie czego szuka, i gdzie zamierza to odnaleźć, odmówił jednak podania jakichkolwiek dokładniejszych szczegółów. Zanim wszyscy trzej wkroczyli na niezbadane tereny, tworząc w ten sposób swoją własną legendę, trwającą po dziś dzień, pułkownik Fawcett przekazał przyjaciołom tajemnicze i w pewnym sensie prorocze ostatnie przesłanie, zapewniając, że znajdują się u progu zdumiewających odkryć:

„Jeżeli zostanie podjęta próba wysłania za nami wyprawy, aby przekonać się o naszym sukcesie lub klęsce – oczekujemy bowiem, że przez dwa lata będziemy poza zasięgiem cywilizacji – na Boga, nie pozwólcie na to! Anglia nie powinna mieć nic wspólnego z tymi poszukiwaniami. Są one wyłącznie sprawą Brazylii”.

Potem była już tylko cisza, trwająca po dziś dzień i przerywana jedynie plotkami nadchodzącymi z nieprzebytych dżungli na temat dalszych losów trzech Anglików. Jedną z najbardziej absurdalnych jest chyba twierdzenie Radia Moskwa, że Fawcett został „tajnym agentem brytyjskim w Brazylii, skąd regularnie przesyła sprawozdania radiowe do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Londynie”.

Nina Fawcett, żona pułkownika Fawcetta, wraz z upływem czasu nabierała coraz większego przekonania, że mąż jej nie zginął z rąk dzikich plemion dżungli, lecz znajduje się w niewoli – prawdopodobnie dlatego, że natknął się na jakąś wielką tajemnicę, jak portugalscy badacze, o których wyprawie mówi pochodzący z roku 1734 dokument, stanowiący źródło jego inspiracji.

Ten punkt widzenia podtrzymuje także jeden z największych na świecie znawców legend o podziemnym świecie, doktor Raymond Bernard, mieszkający w Brazylii amerykański filozof i archeolog. W monografii zatytułowanej *The Subterranean World* („Podziemny świat”, 1960) dr Bernard pisze:

„Wielu brazylijskich adeptów wiedzy tajemnej podziela przekonanie żony pułkownika Fawcetta, że wraz z synem Jackiem został on mieszkańcem podziemnego miasta. Wejście do tego miasta ma prowadzić przez tunel w górach Roncador w północno-wschodnim Mato Grosso; tam właśnie kierował się Fawcett, kiedy widziano go po raz ostatni po opuszczeniu miejscowości Cuiaba. Piszący te słowa spotkał w Cuiabie krajowca, który oświadczył, że jego ojciec był przewodnikiem Fawcetta i zaofiarował się wprowadzić go do otworu prowadzącego do

podziemnego świata, znajdującego się w rejonie gór Roncador. Wyglądałoby na to, że przewodnik wyprawy Fawcetta wierzył w istnienie podziemnych miast i poprowadził pułkownika do jednego z nich. Tam członków wyprawy uwięziono, aby nie zdradzili tajemnicy położenia osady, co byłoby raczej nieuniknione, gdyby powrócili do cywilizacji”.

Doktor Bernard uważa, że miasto poszukiwane przez Fawcetta, jest rzeczywiście pochodzenia atlantyjskiego, ale znajduje się pod ziemią. Badacz pisze: „Twierdzi się, że miasto atlantyjskie, którego poszukiwał pułkownik, nie było wymarłym miastem na powierzchni ziemi, lecz miastem podziemnym, wciąż zamieszkanym przez Atlantyjczyków”.

Wejście do tunelu w górach Roncador znajduje się jakoby pod strażą wojowniczych Indian Murcego – Nietoperzy; twierdzi tak wiele autorytetów, włącznie z przyrodnikiem amerykańskim Carlem Huni, który w ciągu wieloletniego pobytu w Mato Grosso przeprowadził badania tego plemienia oraz jego związków z legendami o tunelach. Oto cytat z jego eseju pod tytułem *The Mysterious Tunnels and Subterranean Cities of South America* („Tajemnicze tunele i podziemne miasta Ameryki Południowej”, 1960):

„Wejście do jaskiń znajduje się pod strażą Indian Nietoperzy, ciemnoskórego, karłowatego plemienia obdarzonego wielką siłą fizyczną. Ich zmysł węchu jest bardziej rozwinięty niż u najlepszych psów-tropicieli. Nawet, gdy ocenią kogoś pozytywnie i pozwolą mu wejść do jaskiń, osoba ta będzie stracona dla świata, strzegą bowiem tego sekretu nadzwyczaj skrupulatnie i mogą nie pozwolić na wyjście komuś, kogo raz wpuścili pod ziemię.

Indianie Nietoperze żyją w grotach, nocie zaś spędzają w pobliskiej dżungli; nie kontaktują się jednak wcale z ludźmi mieszkającymi w podziemnych jaskiniach, którzy tworzą własną liczną wspólnotę. Wierzą oni, że podziemne miasta, które zamieszkują, zostały zbudowane przez Atlantyjczyków; nikt jednak nie jest tego zupełnie pewien. Pasma górskie, wewnątrz którego leżą te miasta, zwie się Roncador i leży w północno-wschodnim Mato Grosso. Ten, kto chce udać się na poszukiwania tych jaskiń, niech lepiej ureguluje swoje sprawy, może bowiem, jak Fawcett, nigdy nie powrócić z wyprawy.

Podczas mego pobytu w Brazylii słyszałem wiele opowieści o podziemnych jaskiniach i miastach. Są one jednak daleko od Cuiaby. Znajdują się w pobliżu rzeki Araguaya, która uchodzi do Amazonki na północny wschód od Cuiaby i w zboczach niezwykle długiego pasma górskiego Roncador. Ja sam zrezygnowałem z dalszych poszukiwań usłyszawszy, że wejścia do tuneli są zazdrośnie strzeżone przed ludźmi.

Wiem także, że bardzo wielu imigrantów, którzy wspomagali powstanie generała Isodoro Lopeza w roku 1928, zniknęło w tych górach; nigdy więcej ich nie widziano. Wydarzyło się to za rządów doktora Benavidesa, który przez cztery tygodnie prowadził ostrzał Sao Paulo. Wreszcie doszło do rozejmu, podczas którego pozwolono czterem tysiącom żołnierzy, głównie Niemców i Węgrów, na opuszczenie miasta. Mniej więcej trzy tysiące z nich udało się do Acre, w północno-zachodniej części Brazylii, a około tysiąca pozostałych znikło w jaskiniach. Historia ta bez przerwy obijała mi się o uszy. Pamiętam, że było to na południowym końcu wyspy Bananal (w pobliżu gór Roncador).

Jaskinie istnieją także w Azji; wspomina o nich wielu podróżników po Tybecie. O ile jednak wiem, największe z nich występują w Brazylii, i to na trzech różnych poziomach. Jestem pewien, że ich mieszkańcy pozwoliliby mi dołączyć do nich, i że zaakceptowałiby mnie oni w swojej wspólnocie. Wiem, że nie używają pieniędzy, a ich społeczeństwo opiera się na absolutnie demokratycznych zasadach. Ludzie ci nie starzeją się i żyją w stanie wiecznej harmonii”.

Opis ten, swego rodzaju relacja o podziemnej „Utopii”, wywołał komentarz doktora Raymonda Bernarda; badacz ten stwierdza, że brzmi on bardzo podobnie do opisu społeczeństwa podziemnego Bulwera Lyttona w *The Coming Race*. Doktor Bernard podziela opinię, iż Bulwer Lytton oparł swą „powieść” na tajnych informacjach, które otrzymał, gdy został Różokrzyżowcem.

Sam Bernard jest postacią godną uwagi. Przed kilku laty osiedlił się on w miejscowości Joinville

w stanie Santa Catarina w Brazylii. Zorganizował tu niewielką wspólnotę znaną pod nazwą Nowej Kalifornijskiej Osady Subtropikalnej, która według niego ma idealną lokalizację do dalszych badań podziemnych tuneli. W tym miejscu można się również nie obawiać ewentualnych opadów radioaktywnych, wywołanych starciem nuklearnym między USA a Rosją, którego możliwość głęboko niepokoi badacza.

Joinville jest położone w „Strefie Bezpieczeństwa Nuklearnego”, ponieważ, jak twierdzi doktor:

„(...) jest faktem meteorologicznym, że wiatry niosące ze sobą pył radioaktywny z południa, osiągnąwszy równik, spotykają się z oporem ze strony wiatrów wiejących z północy, który zmusza je do zwiększenia wysokości i powrotu na północ. Chroni to półkulę południową przed opadami radioaktywnymi z północy, która stanie się niewątpliwie areną III wojny światowej”.

Doktor Bernard nawołuje swoich czytelników do natychmiastowego działania:

„Nowa fala migracji powinna natychmiast wyruszyć z półkuli północnej na południową, której najlepsza część jest nową Ziemią Obiecaną wiecznej wiosny i tropikalnych owoców, odnanioną przeze mnie po dwudziestu sześciu latach poszukiwań ziemskiego rajy w krajach Ameryki Łacińskiej. Zakładam tu osadę amerykańskich wegetarian, ekologicznych ogrodników i świątłych myślicieli, zamierzających spędzić życie w części świata, która da początek Nowemu Wiekowi”.

Nie jest zatem zaskoczeniem wiara doktora Bernarda, że kataklizm, który zniszczył Atlantydę, nie był jedynie ogniem i powodzią, lecz „katastrofą nuklearną wywołaną prawdopodobnie legendarną Wojną Tytanów, jaka spowodowała przesunięcie się osi ziemi i, co za tym idzie, potop o zasięgu światowym”.

Zaniepokojenie doktora Bernarda możliwością wybuchu wojny jądrowej nie przeszkodziło mu jednakże w dalszym badaniu podziemnych przejść swego przybranego kraju; pomagali mu w tym niektórzy z członków jego wspólnoty. Ich odkrycia doprowadziły badacza do przekonania, że jedno z wejść do tunelu znajduje się w okolicach Joinville, choć dokładne położenie tego wejścia wciąż pozostaje nie znane. Bernard pisze:

„Poświęciłem lata na badanie tajemniczych tuneli przebiegających pod powierzchnią Santa Catariny, zbudowanych niewątpliwie przez starożytną rasę w celu przemieszczania się pomiędzy podziemnymi miastami. Badania wciąż trwają. Na wzgórzu w pobliżu Joinville wielokrotnie słyszano chór złożony z atlantyjskich mężczyzn i kobiet – czyli *canot gallo* (pianie kogucie); stanowi to powszechnie uznaną wskazówkę istnienia wlotu tunelu prowadzącego do podziemnego miasta. Głos ten nie jest wydawany przez żywą istotę, lecz prawdopodobnie przez jakiś specjalny przyrząd”.

Doktor Bernard podziela także pogląd Harolda Wilkinsa, że Brazylia była niegdyś kolonią atlantyjską:

„Twierdzi się, że Brazylia była kiedyś kolonią atlantyjską. Pewien niedawny raport głosi, że atlantyjskie miasto wraz z jego skomplikowanymi budowlami, ulicami itd. zostało odnalezione w centrum dżungli Amazonii. Również brazylijskie radio i prasa donosiły o odkryciu podziemnego miasta dokonany przez grupę naukowców, którzy udali się do tunelu przez wejście na szczyt góry na granicy stanów Parana i Santa Catarina; tunel ten prowadził w dół, a idąc nim dotarli w końcu do podziemnego miasta. Wszystkich uczestników opanował dziwny lęk, zamiast więc zbadać miasto, rozpoczęli ucieczkę. Dlaczego? Prawdopodobnie ujrzeli jego mieszkańców. Dwóch farmerów mieszkających w pobliżu wspomnianej granicy zgłosiło się do piszącego te słowa twierdząc, że odkryli w tamtej okolicy tunel, którym podróżowali przez trzy dni,

docierając na koniec do oświetlonego miasta. Tutaj ujrzeli mężczyzn, kobiety i dzieci. Ktoś z ich grupy tak się wystraszył, że wszyscy zawrócili z drogi”.

Chociaż Bernard traktuje tego rodzaju historie ze zrozumiałym sceptycyzmem, uważa jednak, że Atlantyjczycy zbudowali miasta w Amazonii i Mato Grosso, a zatem mogli również dobrze skonstruować niektóre z tuneli, aby zapewnić sobie możliwość „migracji do podziemnego królestwa Agharti”, kiedy ich kraj został dotknięty kataklizmem. Ci zaś, którzy nie odeszli do Agharti, udali się naturalnie do kolonii w Ameryce Południowej.

„Twierdzi się, że Ziemia jest poprzecinana siecią tuneli, które najliczniej występują w Ameryce Południowej, a tunele te prowadzą do podziemnych miast, leżących wewnątrz olbrzymich wydrzeń w ziemi. Najsłynniejszym z tych przejść jest „Droga Inków”, która ma się rozciągać przez setki kilometrów na południe od Limy, stolicy Peru, przechodząc przez Cuzco, Tiahuanaco i Trzy Szczyty i biegnąc ku pustyni Atacama, gdzie ginie wszelki jej ślad. Inne odgałęzienie tej drogi biegnie w kierunku Brazylii, gdzie łączy się z tunelami prowadzącymi do wybrzeża. Tutaj tunele zagłębiają się pod dno Atlantyku, aby połączyć się z zaginioną Atlantydą. Takimi korytarzami, biegnącymi pod dnem Oceanu Atlantyckiego, następnie zaś pod Brazylią, przez stany Parana i Santa Catarina ku Mato Grosso i Peru, Atlantyda miała niegdyś bezpośrednie połączenie ze swymi koloniami w Brazylii i Peru. Z Peru tunele biegną dalej pod Andami aż do Chile”.

W swej monografii pod tytułem *The Subterranean World*, o której wspominałem już wcześniej, Bernard pisze, że wśród starszych mieszkańców rejonu stanu Santa Catarina, w którym mieszka, krążą pogłoski o istnieniu podziemnej rasy ludzi, a także „podziemnych pojazdów”, podróżujących tunelami, a podobnych do tych, o których pisał w relacjach z Tybetu Ferdynand Ossendowski. Niektórzy wierzą, że pojazdy te to latające talerze, które wywarły tak wielki wpływ na ludzką wyobraźnię. Do problemu tego powrócimy w dalszym ciągu niniejszej książki.

Doktor Bernard twierdzi, że odwiedzając grupę adeptów teozofii w miejscowości Sao Lourenço usłyszał od nich, że jeden z członków tej grupy (dziś już nieżyjący) odnalazł zapewne wejście do tunelu i przemierzył go pod ziemią z Peru aż do Brazylii. Słyszał też, że w epoce niewolnictwa zbiegli poddani często uciekali do tunelu w pobliżu Ponte Grosse, w stanie Parana, i przemierzali pod ziemią całą odległość do Mato Grosso, powracając tą samą drogą po zniesieniu niewolnictwa.

W swej monografii Bernard przytacza też wiele barwnych i przypuszczalnie prawdziwych relacji obywateli Brazylii, opowiadających o podróżach, które jakoby odbyli podziemnymi tunelami. A oto typowy przykład, który cytuję jedynie ze względu na zawarte w zakończeniu uwagi doktora:

„Zjawił się przede mną inny Brazylijczyk, który twierdził, że podróżował przez oświetlony tunel o gładkich ścianach przez trzy dni po dwadzieścia godzin dziennie, w towarzystwie spotkanych u wejścia dwóch mieszkańców podziemi; dotarł wreszcie do olbrzymiej, oświetlonej groty z budynkami i sadem owocowym, gdzie żyli mężczyźni, kobiety i dzieci oraz różne zwierzęta, nawet lwy i tygrysy, łagodne i oswojone niczym koty i psy. Obie płci żyły osobno, kobiety zaś wyglądały tak, jak gdyby nie przekroczyły jeszcze dwudziestego roku życia, pomimo że niektóre z nich miały po kilkaset lat. Każdy z tych ludzi był zupełnie taki sam jak pozostali; nie było tu miejsca na żadną indywidualizację wyglądu. Kobiety wydawały na świat dzieci przez partenogenezę; wszystkie były matkami-dziewicami.

Jedno z dzieci, najwyraźniej nie odczuwając strachu, podbiegło do opowiadającego, kiedy zaś ten spróbował podnieść je do góry (co jest niedozwolone wśród tych ludzi), został obrzucony gradem kamieni, które nie zadały mu żadnych obrażeń. Skłoniło go to do przypuszczenia, że były to raczej twory wyobraźni działające na zasadzie projekcji psychicznej niż rzeczywiste odłamki skał. Brazylijczyk uciekł przed nimi tunelem wyjściowym. Tutaj spotkał człowieka, który powiedział mu, że często odwiedza podziemne miasto, gdzie przyjmują go dobrze, a nawet pozwalają podróżować specjalnym używanym w podziemiach pojazdem do innych osad. Od

oświetlonego centralnego tunelu, prowadzącego do tej osady, odbiegało około pięćdziesięciu emanujących blaskiem tuneli bocznych, prowadzących do osiedli położonych w różnych rejonach Brazylii.

Prawdziwości tej i innych relacji z tego kraju nie jestem w stanie zagwarantować, jako że osoby, które je przekazały, kierowały się w większości przypadków motywami finansowymi. Zgadza się one jednak ze sobą co do następujących punktów:

Wszystkie podziemne miasta są oświetlone.

Wszystkie są zamieszkane przez wyższą rasę ludzi.

Wszystkie są ze sobą połączone siecią tuneli.

Nie ma dymu bez ognia – chociaż więc wszystkie te sprawozdania mogą się okazać fałszywe, dzięki naprawdę istniejącym tunelom, w których słyszano głosy ludzkie i które mam nadzieję kiedyś zbadać, istnieje absolutna pewność co do faktu, że podziemny świat zamieszkuje ludzie”.

Badania Harolda Wilkinsa, Lewisa Spence'a, doktora Raymonda Bernarda i wielu innych potwierdzają, jak sądzę, fakt istnienia połączenia pomiędzy Brazylią a Atlantydą, nie pozostawiając zarazem żadnych wątpliwości co do zasięgu i znaczenia tuneli, które stanowiły niegdyś ogniwo pomiędzy zaginionym kontynentem i jego „koloniami” w Ameryce Południowej. Problem, czy tunele te są dziełem mieszkańców Atlantydy, czy nie, stanowi punkt sporny; ponieważ jednak zdają się one pochodzić z okresu wcześniejszego niż ten, w którym kwitło atlantyjskie imperium jest to mało prawdopodobne. Powróćmy do tej zajmującej sprawę w dalszej części książki.

Doktor Bernard podsunął nowy temat do badań dzięki swym uwagom o występującym w tunelach „oświetleniu”. Czytając bowiem niepozorną książeczkę pod tytułem *Agharta*, wydaną w Bostonie w roku 1951, przekonujemy się, że jej autor, Robert Ernst Dickhoff, nauczyciel doktryny buddyzmu zwący się „Czerwonym Sungma-Lamą”, uwagi te potwierdza. Píše on, iż lamowie tybetańscy zdradzili mu, że „jaskinie są oświetlane zielonkawą poświatą, wspomagającą wegetację roślin i wydłużającą ludzkie życie”.

Jeszcze ważniejsze dla naszych badań jest oświadczenie Dickhoffa, że tunele odkryte w Azji i Ameryce Południowej występują także w Ameryce Północnej. O wiele bardziej niezwykły jest jednak fakt, iż tunele te łączą się z tunelami Ameryki Południowej, aby ostatecznie osiągnąć Agharti, tworząc tym samym gigantyczną sieć łączącą Stany Zjednoczone z resztą świata.

Dickhoff pisze: „Tybetańscy lamowie są zdania, że w Ameryce żyją w olbrzymich jaskiniach ludzie, którzy przeżyli katastrofę, jaka ogarnęła Atlantyde... i że jaskinie te połączone są tunelami przebiegającymi pomiędzy Azją i Ameryką”.

Analizując dostępne fakty przekonujemy się, że w Stanach Zjednoczonych istnieje tradycja dotycząca podziemnych przejść, nie mniej starych i fascynujących, jak dopiero co odkryte...

## 10.

### **„Podziemia” Nowego Jorku**

Frank White był starym, krzepkim poszukiwaczem złota, który spędził wiele lat życia przemierzając mało znane rejony Kalifornii. Frank, wnuk jednego ze słynnych „ludzi z czterdziestego dziewiątego”, którzy zdobyli bogactwo w czasie wielkiej gorączki złota w 1848 roku (trwoniąc je później na wino, kobiety i złe inwestycje), był samotnikiem niezdolnym ostatecznie zaprzestać poszukiwań legendarnej wielkiej złotej żyły. Jednak był przekonany, że czeka na niego gdzieś w tych okolicach.

Wiosną 1935 roku Frank w końcu natrafił na coś, choć nie był to drogocenny metal, którego tak pożądał. Odkrył natomiast podziemny tunel. Znajdowały się tam najniezwykłejsze wykonane ręką ludzką przedmioty.



O odkryciu dowiedziano się po przybyciu White'a do miasteczka Brawley, położonego niedaleko rzeki Kolorado i granicy meksykańskiej. Z jego relacji wynikało, że wędrował po górach i pustyniach Kalifornii, zapuszczając się na północ aż po Dolinę Śmierci i na południe aż po Gila Mountains. W czasie wędrowki natknął się na małą szczelinę w skale, a zbadawszy ją stwierdził, że stanowi wejście do podziemnego przejścia.

Uzbrojony tylko w niewielką lampę, jakie nosił ze sobą każdy poszukiwacz złota, Frank wszedł do tunelu, który miał około dwóch i pół metra wysokości i starannie wygładzone ściany. Spędził tam około pół godziny; pod koniec pobytu w tunelu zauważył daleko przed sobą dziwne światło.

„Był to zielony, złowieszczy blask – opowiadał. – Stawał się coraz jaśniejszy w miarę jak szedłem, aż wreszcie tunel zamienił się w wielką jaskinię” .

W jaskini tej White ujrzał niezwykle widok: wiele zmumifikowanych ciał leżących na ziemi lub opartych o skały. Padające na to fluoryzujące światło czyniło widok zwłok jeszcze straszniejszym; dziwne pozycje, w jakich znajdowali się umarli, sprawiły na nim wrażenie, że śmierć musiała ich zaskoczyć zniemacka.

Starym poszukiwaczem wstrząsnął dreszcz; rozejrzał się pośpiesznie po odnalezionej przez siebie komnacie śmierci. Wzdłuż jednej ze ścian stało kilka posążków, błyszczących w zielonkawej poświacie i sprawiających wrażenie, jakby były ze złota. Twarze posążków wydawały mu się podobne do twarzy widzianych kiedyś przez niego starożytnych bóstw Inków. White zauważył też, że zwłoki były odziane w dziwne stroje, wyglądające na skórzane. Rzeczy takich, jak stwierdził, nie widział nigdy przedtem. Pomyślał tylko, że pomieszczenie, w którym się znalazł, mogło kiedyś być rodzajem skarbcza. „Czułem, że mam do czynienia z czymś bardzo starym – oświadczył później Frank – że ludzie ci leżą tak, zupełnie nie zmienieni, od bardzo dawnych czasów. Nie byłem nawet w stanie zgadnąć, od jak dawnych”.

Pomimo drążącej go obsesyjnej chęci odnalezienia złota White bał się pozostać zbyt długo w oświetlonym zielonym promieniowaniem pomieszczeniu. Nie potrafił odkryć źródła dziwnego światła; zauważył też, że wiele ciał znajdowało się w pobliżu otworu w przeciwległej ścianie jaskini, który wydawał się przedłużeniem tunelu. Choć brakowało mu pewności, miał jednak uczucie, że ludzie ci mogli być kiedyś strażnikami tunelu i złotych posążków.

Oto w skrócie historia, którą Frank White opowiedział nielicznym sceptycznie nastawionym słuchaczom w Bradley w kwietniu 1935 roku, dbając przy tym o to, aby nie zdradzić nikomu bliższych informacji dotyczących lokalizacji tunelu. O „odkryciu” dziwnego podziemnego przejścia doniosło kilka gazet kalifornijskich (szczególnie w miejscowościach położonych w pobliżu San Diego), po czym zapomniano o nim. Niewielka grupa innych poszukiwaczy złota wyruszyła w jakiś czas później razem z White'em, aby spróbować odszukać tajemniczą jaskinię i dorobić się majątku na znajdujących się tam złotych posążkach, wszystko jednak wskazuje na to, że nigdy po raz drugi nie odnaleziono tego miejsca.

Prawdziwa historia czy kolejna z barwnych ciekawostek wywodzących się z Kalifornii? Odpowiedzi na to pytanie brak do dzisiaj, sama zaś opowieść nie byłaby może wcale godna uwagi, gdyby nie pewne związane z nią ważne fakty. Po pierwsze: fakt istnienia pewnej liczby podziemnych tuneli, biegnących pod powierzchnią Kalifornii i sąsiednich stanów. Po drugie: fakt istnienia wcześniejszych sprawozdań dotyczących takich właśnie podziemnych jaskiń, tak w dwudziestym wieku, jak i wcześniej, już od dni, kiedy czerwonoskóre plemiona indiańskie przemierzały kontynent przed przybyciem białego człowieka. Po trzecie: opis tunelu, złotych figur w „skarbcu” i dziwnego zielonego światła zgadza się z zebranymi przez nas do tej pory danymi na temat podziemnego szlaku prowadzącego do Agharti.

Jestem przekonany, że Frank White natrafił na jeszcze jedno wejście do owej wielkiej sieci tuneli; gdyby tylko miał wtedy odwagę udać się jeszcze dalej, poza pomieszczenie pełne zwłok, odkryłby dla świata fakty o wiele cenniejsze niż złoto. Moje przekonanie umacnia jeszcze w swej książce *Mysteries of Ancient South America* Harold Wilkins, który tak oto pisze o tym rejonie Kalifornii:

„Wzdłuż kanionu rzeki Colorado występują miejsca, w których przy pewnym oświetleniu

można dostrzec wyryte głęboko w skałach strzałki. Poszukiwacze skarbów, przemierzający pustynie Gila i bezludne, nękanie pragnieniem i upałem tereny Arizony, uważają, że są to drogowskazy wskazujące szlak do ukrytych siedzib nieznanymi i niezwykle starych ras ludzkich; są to może pomniki jakiegoś nieznanego ludu, którego pogrzebane w ziemi świątynie, wspaniałe piramidy – siedem na powierzchni półtora kilometra kwadratowego, masywne granitowe kręgi i osady, mury dookoła sędziwych drzew i rzędy hieroglifów, przemawiają do nas jak ruiny prastarego Egiptu czy dzikich rejonów Fenicji na cyplu w Zatoce Kalifornijskiej, »o dzień marszu od San Diego«”.

Nie są to jedyne tego rodzaju spostrzeżenia; badając stare legendy i relacje dotyczące prehistorycznej Ameryki znajdziemy mnóstwo wzmianek o podziemnych jaskiniach i tunelach, które pomogą nam w wytworzeniu własnego obrazu.

Jedna z najdawniejszych legend północnoamerykańskich mówi, że rodzaj ludzki „przybył na powierzchnię ziemi z podziemnego świata”. Oto, co pisze Sabine Baring-Gould w książce *Cliff Castles and Cave Dwellings* (1911): „Według legendy indiańskiej pierwszych ludzi hodowano niczym poczwarki we wnętrzu ziemi; jeżeli udało im się schwycić jakiegoś korzenia, wydobywali się na światło dzienne”.

Indianie Ameryki Północnej uważani są powszechnie za pierwotnych mieszkańców obecnych Stanów Zjednoczonych. Według dzieła wielkiego pioniera Henry'ego R. Schoolcrafta *Historical and Statistical Information Respecting Indian Tribes of the United States* („Dane historyczno-statystyczne dotyczące plemion indiańskich Stanów Zjednoczonych, 1851-57):

„Pod koniec piętnastego wieku plemiona indiańskie na terenie obecnych Stanów Zjednoczonych były podzielone na siedem podstawowych grup, czy inaczej rodzin genetycznych lub szczepów, lub dużych wspólnot totemicznych. Każda z tych grup mówiła językiem różniącym się pod pewnymi względami od innych; każda miała jakieś szczególne tradycje lub zwyczaje. Były to grupy: Apallaska, Aczalaki, Chirokezi, Algonkinowie, Irokezi, Dakota i Szoszoni”.

Nie jest niczym dziwnym, że natychmiast po odkryciu Nowego Świata żyjący tam „czerwoni ludzie” wzbudziły wielkie zainteresowanie żeglarzy europejskich. Nazywano ich, błędnie oczywiście, Indianami, ponieważ Kolumb był przekonany, że dotarł do Indii. Wydawało się bezsporne, że Indianie ci stanowią unikalną pod każdym względem rasę, zamieszkującą tajemniczy kontynent i przez niezliczone stulecia oddzieloną od reszty ludzkości.

Późniejsze badania dowiodły, iż Indianie stanowią prawdopodobnie odłam ludów azjatyckich, który przedostał się na swój „mystyczny kontynent” przez wąską Cieśninę Beringa. Markiz de Nadaillac wyjaśnia nam to w swym klasycznym dziele *Pre-Historic America* (1885):

„Cechy fizyczne tubylców, jak się powszechnie przyznaje, wykazują podobieństwo do ludów rejonu Azji Północnej. Bliskość kontynentów Azji i Ameryki w rejonie Cieśniny Beringa czyni teorię migracji prawdopodobną. Wykazano, że trasa przez Cieśninę Beringa jest możliwa do przebycia; kiedy w okresach zlodowacenia płytkie wody cieśniny były – zgodnie z uzasadnionymi przypuszczeniami – wypełnione połamanym lodem, ludy takie jak dzisiejsi Eskimosi, czy nawet jeszcze słabiej rozwinięte, mogły przedostać się przez ten tymczasowy pomost, żywiąc się fauną morską, jakiej prawdopodobnie pełno było u tamtejszych wybrzeży”.

Taki pogląd mają naukowcy na temat procesu zaludniania Ameryki. Zgodnie jednak z cytowanym przeze mnie zdaniem Sabine Baring-Gould, sami Indianie uważają, iż pochodzą ze świata podziemnego – albo, co już jest zadziwiające, z zaginionego kontynentu, być może Atlantydy! Przyjrzyjmy się zatem bliżej tym legendom.

Według Lewisa Spence'a w jego *Myths of the North American Indians* („Mity Indian północnoamerykańskich”, 1914) systemy mitologiczne „czerwonego człowieka” są bogatsze w

podania o stworzeniu i potopie niż wszystkie inne systemy świata. Lewis Spence stwierdza, że opowieści o pochodzeniu człowieka są tam nader rozpowszechnione, wiele zaś z nich wykazuje uderzające podobieństwo do odpowiednich przekazów Europy i Azji.

„W niektórych mitach o stworzeniu opowiadanych przez różne plemiona Indian – pisze Spence – spotykamy bóstwa, które formują wszechświat; w innych bogowie ci tylko go odkrywają; jeszcze inni prowadzą swe ludy z głębi podziemnych krain na powierzchnię”. Następnie autor przytacza legendę Indian Zuni opowiedzianą przez F. H. Cushinga w książce *Outlines of Guni Creation Myths* („Zarysy mitów o stworzeniu Indian Zuni”, 1896):

„Potem zaś w najniższej z czterech jaskiń świata nasienie ludzi i innych stworzeń przyjęło formę i poczęło rosnąć; bo kiedy umieści się jajeczka w ciepłym miejscu, szybko wylęgają się z nich larwy, z których z kolei, po skruszeniu przez nie skorupy, można oczekiwać a to ptaka, a to kijanki czy węża: tak również człowiek i wszystkie inne stworzenia rosły po wielokroć i mnożyły się na wiele sposobów. I tak najniższa z jaskiń świata przepełniła się żywymi istotami, niedoskonałymi stworzeniami: czołgały się one nad sobą i obok siebie w czarnej ciemności, cisnąc się i deptając po sobie, spluwając na siebie i czyniąc inne nieprzyzwoitości, aż głośne stały się szemranie i lament, wielu zaś usiłowało umknąć spośród stale rosnącego zamieszania, aby stać się przez to mądrzejszymi i bardziej podobnymi ludziom.

Wreszcie zaś P-szai-an-kia, najpierwszy i najmądrzejszy z ludzi, powstawszy z najniższego z mórz, przyszedł między ludzi i żywe istoty; pożałował ich i wskazał im drogę ucieczki z owej pierwszej jaskini świata przez ścieżkę tak ciemną i wąską, że niektórzy, mało co widząc i tłocząc się z tyłu, nie byli w stanie za nim podążać, tak bardzo zmagali się ze sobą. Sam więc, przez jaskinie, P-szai-an-kia przyszedł na ten świat, podobny wtenczas do wyspy, leżący pośrodku wód, olbrzymi, wilgotny i niestały. Odszukał Ojca-Słońce i błagał go o wyzwolenie dla ludzi i innych stworzeń z owego najniższego ze światów”.

Z prywatnej kolekcji mitów Spence'a pochodzi bardziej szczegółowa legenda Mandanów (plemię z grupy językowej Siuksów, żyjące w rejonie rzeki Missouri), którzy wierzą, że pochodzą z podziemnego świata. Legenda ta warta jest przytoczenia z tego względu, że reprezentuje ona, jak się dowiadujemy, rozpowszechnione wierzenia pierwotnych mieszkańców Ameryki Północnej, a także dlatego, że stanowi ona niewątpliwie źródło przytaczanych przez Sabine Baring-Gould informacji:

„Jeden ze szczepów Siuksów, Mandanowie, opowiada mit o Stworzeniu, który brzmi typowo dla wielu ludów Ameryki. Mandanowie wierzą, że ich plemię żyło niegdyś w podziemnej wiosce w pobliżu olbrzymiego jeziora. Niedaleko wioski przez ziemię przebiły się korzenie wielkiej winorośli; wspinając się po nich, niektórzy mogli rzucić okiem na świat na powierzchni, który okazał się bogaty w pożywienie pochodzenia zwierzęcego i roślinnego. Ci, którzy widzieli ten świat na powierzchni, powrócili z takimi rewelacjami o jego bogactwach i wyglądzie, że pozostali postanowili zamienić swą ponurą siedzibę podziemną na przyjemne bytowanie w słonecznym świecie. Cała ludność wsi zaczęła się wspinać w górę po korzeniach winorośli; jednak na powierzchnię zdążyła wyjść tylko połowa ludzi, bo korzenie urwały się pod ciężarem otyłej kobiety. Mandanowie wierzą, że po śmierci powrócą do owej pierwotnej podziemnej siedziby; godni tego osiągną wioskę przy jeziorze, źli zaś zginą przy przeprawie, porwani ciężarem swych grzechów”.

Trudno nie zauważyć, że ta fantastyczna legenda utrwała wiarę w istnienie podziemnego świata. Inny mit narodu Siuksów opowiada też o indiańskim wojowniku, który odbył podróż do podziemnego królestwa. Siuksowie zamieszkiwali tereny leżące w obecnej Północnej i Południowej Dakocie w USA. Jak zobaczymy dalej, w rejonie tym występowała trwała tradycja istnienia podziemnych tuneli.

Historia ta – jedną z jej wersji przytoczył Spence w książce *Myths of the North American*

*Indians* – opowiada o wodzu jednego z plemion Siuksów, który stracił w podziemnym przejściu syna. Chłopiec polował na bizona wraz z innymi młodymi wojownikami. Kiedy otoczyli jedno ze zwierząt, błyskawicznie uciekło do jaskini. Chłopiec bez namysłu podążył za bizonem.

Jaskinia ta miała dla tubylców magiczne znaczenie, więc żaden z pozostałych młodzieńców nie odważył się udać za synem wodza. Kiedy ten długo nie wracał, wrócili do obozu, gdzie opowiedzieli, co się wydarzyło. Rozgniewany wódz poszedł z chłopcami do wlotu jaskini, aby sprawdzić, dlaczego syna wciąż nie ma.

Początkowo żaden z młodych wojowników nie kwapił się z wejściem do jaskini, kiedy jednak wódz ofiarował rękę swej córki temu, który odważy się zagłębić w podziemne przejście i dowiedzieć się o losie jego syna, wystąpił pewien młody człowiek. Bez słowa wkroczył w ciemne przejście, które biegło niemal pionowo. Młodzieniec z duszą na ramieniu szedł tunelem, dopóki nie potknął się o coś leżące na ziemi. W mroku ledwie mógł zauważyć, że jest to syn wodza, niewątpliwie martwy.

Zmartwiony Indianin odniósł ciało do wejścia jaskini i zawiadomił wodza i towarzyszy, że odnalazł zaginionego syna. Nie czekał jednak, aż nadejdą, lecz wrócił do miejsca, z którego przyszedł. Zaintrygowany, postanowił zbadać tunel dokładnie.

Po przejściu sporego odcinka młodzieniec znalazł się nagle w jasno oświetlonej grocie; siedzieli w niej bladokórzy mężczyzna i kobieta o złotych włosach. Oboje wydawali się bardzo smutni.

Chłopiec ostrożnie zbliżył się do nich, oni zaś nie podnosili wzroku, dopóki nie znalazł się tuż obok. Gdy go tylko ujrzeli, oboje zaczęli płakać. Kiedy zapytał o przyczynę płaczu, odpowiedzieli mu, że właśnie zginął ich jedyny syn.

Indianin wyjaśnił im, w jaki sposób dostał się do tunelu. Wysłuchali go uważnie, po czym oznajmili, że są mieszkańcami podziemnego świata; chociaż jednak wiedzą wszystko o ludziach żyjących na powierzchni, młodzieniec jest pierwszym, którego spotkali.

Indianin starał się jak mógł pocieszyć nieszczęsnych, aż wreszcie udało mu się rozweselić ich opowieściami o życiu w obozie Siuksów. Wreszcie zapytał, czy pomogą mu znaleźć drogę z powrotem na powierzchnię, tunel miał bowiem wiele zakrętów i co chwila zmieniał kierunek.

Oboje zgodzili się chętnie, a na znak wdzięczności obdarowali Indianina białym koniem i dziwnym żelaznym talizmanem, który, jak powiedzieli, mógł spełnić każde jego życzenie, nawet stopić skały, ułatwiając mu w ten sposób powrót na powierzchnię.

Nieco później młody wojownik pojawił się wśród swoich i zaczął opowiadać o swej przygodzie. Wódz zgodnie z obietnicą oddał mu rękę córki i uczynił go głównym przywódcą plemienia.

Sława młodzieńca i jego podziemnej podróży rozeszła się szybko po całym kraju Siuksów; wzmocnił jeszcze swoją reputację, używając magicznego talizmanu z żelaza, którym czarował bizona i zabijał ich w ten sposób o wiele więcej niż inni. Wszystko wskazywało na to, że będzie mu dane przeżyć resztę swoich dni z honorem i w pokoju. Tak się jednak nie stało, a opowiada o tym ostatnia część legendy przytoczonej przez Lewisa Spence'a:

„Stało się jednak tak, że drugi syn wodza był bardzo zazdrosny o swego szwagra. Uważał, że to jemu ojciec powinien przekazać godność głównego przywódcy, a uznanie okazywane młodemu rywalowi szczególnie go drażniło. Zdecydował się więc zabić odważnego młodzieńca i jego przepięknego białego konia.

Kolejne polowanie na bizona dostarczyło podłemu intrygantowi okazji do wykonania planu. Wymachując chustą zmusił bizona do otoczenia młodego wojownika i stratowania go na śmierć. Kiedy jednak stado rozbiegło się i uciekło, po młodzieńcu i jego mlecznobiałym wierzchowcu nie pozostał żaden ślad. Oba powrócili do podziemnego świata”.

Istnieją inne podobne legendy o Indianach, którzy udawali się pod ziemię, nie widzę jednak powodu, żeby je tu powtarzać. Zamiast tego chciałbym raczej ukazać, co te same mity mówią o mieszkającej w podziemnym świecie rasie ludzkiej.

Zgodnie z Lewisem Spence ich włości znane są jako Kraj Ludzi Stojących Ponad Przyrodą; mieszkają w jaskiniach od niepamiętnych czasów i są jakoby „natchnioną rasą, o kilka stopni

rozwoju przewyższającą ludzkość”. Ludzie ci najwyraźniej jedzą, piją, polują i zażywają przyjemności na te same sposoby, co ich krewni na powierzchni; nie są też wcale niepodatni na zranienia czy nieśmiertelni. Główną cechą odróżniającą ich od Indian jest to, że mają białą skórę i jasne włosy.

U najsłynniejszego z wielu powodów plemienia Indian, Apaczów, ludu, który tak walecznie opierał się inwazji osadników na terenach Arizony i Północnego Meksyku, występują wciąż żywe przekazy dotyczące jasnoskórej rasy zamieszkującej pod powierzchnią ich dzisiejszych rezerwatów. Dodaje to wagi aktualnym informacjom, jakie mamy na temat podziemnych tuneli w okolicach miasta Phoenix w Arizonie, o tym jednak za chwilę.

Apacze nazywają tych ludzi Numungkake i twierdzą, że przybyli oni pierwotnie z wielkiej wyspy – zanim osiedlili się w tunelach podziemnych. Czy ta wyspa to Atlantyda i czy ci ludzie to Atlantyjczycy, ci sami, którzy – jak wiemy – skolonizowali dużą część Ameryki Południowej? Harold Wilkins uważa, że na to pytanie należy odpowiedzieć twierdząco; oto fragment książki *Secret Cities of Old South America* („Tajemnicze miasta starożytnej Ameryki Południowej”, 1950):

„Indianie z plenienia Apaczów opowiadają, że ich dawni przodkowie przybyli z wielkiej ognistej wyspy, leżącej na wschodnim oceanie, na której był wielki port z murowanym wejściem, przez które statki musieli wyprowadzać piloci. Nadszedł Ognisty Smok, zmuszając przodków Apaczów do ucieczki z wyspy, która nie może być niczym innym, jak tylko starożytną Atlantydą Platona, wymienianą także przez zapomnianego dziś historyka kartagińskiego Proklesa. Apacze dotarli w końcu do gór Tiahuanacu, gdzie zostali zmuszeni do szukania schronienia w olbrzymich tunelach, którymi wędrowali przez całe lata, niosąc ze sobą nasiona i rośliny wydające owoce”.

Według Wilkinsa również szczep Mandanów (wspomniany wcześniej odłam Siuksów) twierdzi, że pierwsi ludzie, którzy wyszli z tuneli, to Histoppa, czyli Wytatuowani. Zginęli oni w czasie potopu, ponieważ zbyt wcześnie wyszli na powierzchnię, aby sprawdzić, co się dzieje. Reszta ludzi pozostała pod ziemią. Wilkins dodaje: „Istnieją dawne przekazy północnoamerykańskie zapewniające, iż owe tajemnicze tunele wybudowała czy wydrążyła starożytna rasa białych ludzi, rasa dawno już wymarła, która była odpowiedzialna za pradawny kataklizm”.

Te wiadomości o pojawieniu się Atlantyjczyków w Ameryce Północnej są co prawda fascynujące, nie prowadzą jednak do żadnych konkluzji. Markiz de Nadaillac w swym studium *Pre-Historic America* pisze:

„Podobne mity znajdujemy u różnych plemion indiańskich; legenda o potopie oraz o zbawicielu i dobroczyńcy ludzkiej rasy występuje nawet u szczepów alaskańskich, a właściwie – w takiej czy innej formie – na całym świecie i u ludzi wszystkich klas. Gdyby nawet idea chrześcijańska, od czasu zdobycia przez nią świata, rozprzestrzeniła się po całej ziemi, nie wytłumaczyłoby to faktu istnienia tych mitów...”

Jest wysoce prawdopodobne, że Ameryka w różnych okresach dziejów była zaludniona przez rozmaite rasy; możemy tak przypuszczać choćby na podstawie różnic fizycznych pomiędzy szczątkami człowieka prehistorycznego i budową ciała oraz rysami twarzy przekazanymi przezeń jego potomkom”.

Przesłanki wskazują istotnie na to, że rasa białoskórych ludzi zamieszkiwała Amerykę na długo przed Indianami, pozostawiając po sobie wiele śladów kultury materialnej, przede wszystkim zaś wielkie systemy tuneli w Ameryce Północnej i Południowej.

Francuski uczony de Nadaillac popiera tę hipotezę, przytaczając pochodzące od Indian twierdzenia:

„Szoszoni uważają podobno, że starożytni mieszkańcy Florydy byli biali, kiedy zaś szczep Szoszonów przybył do tego kraju, zastał tam budowle, zwyczaje i cywilizację bardzo odmienne

od ich kultury. Plemię Tuscarora stosuje ponoć legendarną rachubę czasu, sięgającą prawie dwóch tysięcy lat wstecz; uważają, że ich ojcowie byli mieszkańcami dalekiej Północy, terenów położonych daleko za Wielkimi Jeziorami, i przybyli tunelami, aby osiedlić się nad Zatoką św. Wawrzyńca”.

Jeszcze wymowniejsze są słowa W. S. Blacketa, zawarte w książce *Lost Histories of America* („Zaginiona historia Ameryki”, 1883):

„Z tego opracowania można w pewnym stopniu wywnioskować, iż w pradawnych czasach Ameryka była siedzibą licznej populacji, wymienianej często w literaturze europejskiej jako Oceanidzi, to jest ludzie żyjący na obszarach oceanu. Mieszkańcy tego kraju nie byli odizolowani czy osamotnieni, lecz prowadzili intensywne kontakty z resztą świata”.

Uważam, że te „kontakty z resztą świata” – czyli z Europą, Afryką i Azją – były możliwe, dzięki przebiegającemu przez całą Amerykę Północną, systemowi tuneli podziemnych, połączonych z jednej strony z Atlantydą, z drugiej zaś biegnących pod Cieśniną Beringa. Znaczenie tego stanie się oczywiste nieco później.

Zapoznaliśmy się zatem ze starożytnymi przekazami na temat podziemnych tuneli Ameryki Północnej. Jakie jednak znamy współczesne dowody ich istnienia? Moje badania wykazały, że dowody takie można znaleźć na jednym z czterech obszarów: w Kalifornii, na terenie obu Dakot, w okolicach Cieśniny Beringa oraz w Arizonie, gdzie odbywają się obecnie poszukiwania.

Zacznijmy od Kalifornii. Według Harolda Wilkinsa jest ona „krajem zdumiewających znalezisk z epoki przedpotopowej”. Odkryto tu między innymi „czaszkę człowieka pochodzącą najprawdopodobniej z epoki trzeciorzędu, leżącą w głębokim na czterdzieści metrów wykopie pod warstwą lawy; bardzo stare wyobrażenie człowieka z wrytymi na bokach figurki nieznanymi literami; tajemniczą, biegnącą pięć metrów pod powierzchnią pustyni groblę; granitowe tablice w przejściu podziemnym, noszącym ślady pradawnej aktywności górniczej”. Znaleziska te, jak sugeruje Wilkins, są kolejnymi oznakami istnienia w Kalifornii podziemnych tuneli oraz mieszkańców podziemi, pochodzących z epoki nie późniejszej niż atlantyjska.

Stary przewodnik indiański, Tom Wilson, sławny w Południowej Kalifornii aż do swej śmierci w roku 1968, opowiadał pewną ciekawą historię. Tom był członkiem plemienia Cahroc, którego legendy wspominają o człowieku imieniem Chareya, czcigodnym przybyszu o długich siwych włosach, odzianym w obcisłą tunikę. Człowiek ten pojawiał się najwyraźniej co jakiś czas u plemienia Cahroc; wypełniwszy do końca swą misję, znikł w głębokim przejściu podziemnym. Według Toma Wilsona „nikt nie wie, dokąd ono biegnie”.

Chociaż większość członków plemienia Cahroc wierzy, że pod ziemią żyją jedynie duchy zmarłych, sam Tom żywił przekonanie, że pod powierzchnią Kalifornii żyją kobiety i mężczyźni z krwi i kości. Przekonanie to opierało się na dziwnej przygodzie, jaką na przełomie wieków przeżył jego dziadek; wszystko wskazuje na to, że Indianin odkrył tunel, który biegł kilometrami pod ziemią, znajdując wreszcie ujście w jaskini zamieszkaną przez wspólnotę ludzi o jasnej skórze. Oto relacja Toma Wilsona:

„Mój dziadek powiedział mi, że ludzie ci przyjęli go gościnnie, chociaż więc nie rozumiał ich języka, mieszkał z nimi przez jakiś czas. Nosili oni ubrania, których materiał zdawał się przypominać skórę, ale jednak, zgodnie ze słowami dziadka, skórą nie był. Ich jaskinia była oświetlona bladym, żółtozielonym światłem niewiadomego pochodzenia”.

Indianin powrócił w końcu na powierzchnię, gdzie jego opowiadanie przyjęto ze zrozumiałym sceptycyzmem. Kiedy jednak młody wówczas Tom Wilson usłyszał od dziadka tę opowieść, słowa starca wywarły na nim tak ogromne wrażenie, że resztę swego życia spędził na poszukiwaniach wejścia do przedziwnego świata podziemi. Pozostał też przekonany o jego istnieniu aż do śmierci, wierząc, że to wejście leży w miejscu, gdzie pustynia Mojave styka się z pasmem górskim Sierra

Nevada.

Przenosząc się teraz na północ wzdłuż zachodniego wybrzeża Ameryki ku stanowi Oregon, natrafiamy na inną historię o podziemnej osadzie ludzkiej, połączonej ponoć z wieloma tajemnymi przejściami. Wielu ekspertów, a wśród nich Eric Norman, autor książki *The Hollow Earth* (1972), sądzi, że historia ta wiąże się z podaniami Mandanów, którzy twierdzą, że na ziemi Siuksów istnieją tunele prowadzące do podziemnego królestwa. Teorię tę niełatwo udowodnić, potwierdza ona jednak prawdopodobieństwo występowania na terenie USA tuneli, będących częścią większej sieci rozciągającej się na północ do Kanady, a na południe do Meksyku i Ameryki Południowej.

Najnowsze wiadomości o położonej w stanie Oregon „starożytnej podziemnej metropolii” pochodzą z fascynującego artykułu George'a Wagnera Juniora, zatytułowanego *About Caves and Other Secret Hiding Places in the World* („O jaskiniach i innych tajemniczych kryjówkach świata”), a zamieszczonego w czasopiśmie *Search* („Poszukiwania”) ze stycznia 1967 roku. Zdając sprawę z zebranych przez siebie relacji na temat istnienia tego tajemnego miejsca, Wagner wspomina o szczegółach, jakie zdradził mu w liście jeden z korespondentów, niejaki Azerland:

„Stwierdził on, że około siedemdziesięciu pięciu mil na północny zachód od Portland w stanie Oregon, pomiędzy tym miastem a szczelinami ziemnymi koło Seattle, którądy przeszła niegdyś powódź, znajdują się pozostałości wspaniałego miasta. Mój korespondent pisze, że miasto leży osiem lub dziesięć mil pod ziemią i że można do niego dotrzeć wieloma tunelami, odbiegającymi we wszystkich kierunkach”.

Artykuł Wagnera zdaje się wskazywać, iż autor uważa to miasto za osadę pochodzenia atlantyjskiego (ze względu na wzmiankę o zalaniu powodzią), podobną być może do innych takich siedzib na kontynentach południowoamerykańskim i azjatyckim. Gdyby istotnie tak było, dodałoby to prawdopodobieństwa twierdzeniu, iż miasto jest częścią obejmującego cały świat systemu.

Posuwając się jeszcze dalej na północ, aż po Alaskę i rejon Cieśniny Beringa, napotykamy kolejne przesłanki istnienia podziemnego tunelu. Wśród żyjących tu ludów, szczególnie zaś wśród tubylczego plemienia indiańskiego Atabasków, spotykamy wierzenia mówiące o podziemnym, tajemniczym ludzie, który żył w harmonii na długo przed przybyciem na te ziemie Indian. W książce *Arctic Adventure – My Life in the Frozen North* („Arktyczna przygoda – moje życie wśród mrozów Północy”, 1935) nieustraszony poszukiwacz przygód Peter Freuchen wielokrotnie wspomina zasłyszane od Indian opowieści o Eqidlit, czyli Lądowym Ludzie, który żyje pod powierzchnią ziemi. W samym sercu Alaski, niedaleko miasta Tanana, pokazano mu szczeliny górskie, w których według słów jego przewodnika Asayuka znikło w ciągu lat wielu ludzi, chcących dołączyć się do Eqidlit. Freuchen pisze:

„Szczeliny te były głębokie i szerokie, Asayuk jednak łatwo znajdował wśród nich drogę, zdawał się instynktownie wiedzieć, gdzie są. Na koniec przywiódł nas do miejsca, którego szukaliśmy. Asayuk opowiedział mi o desperatach, którzy uciekli z osady i udali się w te góry, aby uciec przed innymi ludźmi. Zamienili się oni w duchy lub zostali pojmani przez Eqidlit”.

Eskimosi, zamieszkujący północne krańce kontynentu, opowiadają również wiele legend o rasie ludzkiej osiadłej pod powierzchnią ziemi. Ów podziemny lud wykorzystuje system tuneli, którymi można podróżować pomiędzy powierzchnią a podziemnym światem. Zgodnie z relacją Williama F. Warrena, zawartą w jego książce *Paradise Found, or the Cradle of the Human Race* („Raj odnaleziony lub kolebka rasy ludzkiej”, 1911), Eskimosi wierzą, że ich przodkowie mogli przybyć z podziemnego świata oświetlonego wiecznym światłem. Jest niemal pewne, że znali oni niegdyś lokalizację podziemnych przejść, chociaż wiedza ta prawdopodobnie uległa dziś zapomnieniu.

Choć wszystkie te relacje są bardzo zajmujące, najważniejsze z przesłanek, które umożliwiły daleko idące wnioski, pochodzą z południa USA, dokładniej zaś z Arizony, gdzie Charles A. Marcoux poświęcił ostatnie ćwierć wieku badaniu legend traktujących o podziemnym świecie. Aby nadać swym poszukiwaniom formalny charakter, Marcoux założył Subsurface Research Center

(Centrum Badań Podziemnych) w Phoenix, Arizona. Wybrał tę lokalizację ze względu na swoje przekonanie, że wejście do podziemnego systemu tuneli leży w obrębie pobliskiego pasma górskiego, noszącego dziwną nazwę Superstitious Mountains (Zabobonne Góry).

Marcoux starannie przestudiował wszelkie znane relacje dotyczące podziemnych przejść na całym świecie; utrwaliło to w nim przekonanie, że „istnieje sieć tuneli rozciągająca się od Kanady po Amerykę Południową, szczególnie gęsta pod Brazylią, łącząca wymienione obszary z resztą świata”. Najbardziej dlań interesujący jest system tuneli, „którego wyłoty znajdują się w określonych punktach Ameryki Środkowej i Południowej, a także w Superstitious Mountains w Arizonie”.

Cytując za doktorem Raymondem Bernardem, który dobrze zna nieśmiałego i raczej introwertycznego Marcoux, ten ostatni „od dwu dziesięciu lat poszukuje takiego właśnie wejścia; chociaż jeszcze go nie znalazł, twierdzi, że skontaktował się z ludźmi podziemnego świata. Kontynuuje badania, ponieważ uważa, że odnalezienie takiego wejścia jest dla rodzaju ludzkiego ostatnią nadzieją na przetrwanie”.

Twierdzeniu Marcoux o nawiązaniu kontaktu z ludźmi podziemnego świata przyjrzymy się dokładniej nieco później; teraz trzeba wspomnieć o jego planach na wypadek odnalezienia wejścia do systemu tuneli w Superstitious Mountains. Marcoux wierzy, że atmosfera ziemiska podlega gwałtownemu skażeniu promieniowaniem radioaktywnym:

„Wiem, że ludzkość nie zdoła przetrwać na powierzchni ziemi, będzie więc musiała schronić się wreszcie pod ziemią. Niektórzy wierzą, że kiedy nadejdzie ten czas, z powierzchni ziemi zabiorą ich latające talerze, posiadane jednak przeze mnie dowody ukazują niemożliwość takiego rozwiązania. Kiedy według Hefflinga ludzkość po raz ostatni stała przed takim samym problemem, jak my teraz, bogowie Atlantydy zaczęli drążyć Matkę Ziemię, tworząc miejsce dla podziemnych królestw, których pozostałości, poddanych i ich potomstwo można odnaleźć jeszcze dziś. To samo uczyni kiedyś obecna ludzkość, aby przetrwać katastrofę.

Moim celem jest zebranie grupy ludzi zdolnych do porzucenia świata powierzchni, założenia kolonii i rozpoczęcia nowego życia, niełatwego, lecz lepszego niż to, które postawią za sobą. Taki jest cel, dla którego chcę się dostać do podziemnego świata; potem już pokierują mną ci, którzy tam żyją”.

Jak już powiedziałem, powrócimy jeszcze później do Marcoux i jego poglądów na temat mieszkańców podziemnego świata oraz ich sposobu życia. Zanim jednak opuścimy Amerykę Północną, musimy koniecznie zająć się inną, interesującą z naszego punktu widzenia i ważną informacją. Chodzi tu o twierdzenie, że połączony z siecią Agharti tunel podziemny istnieje pod powierzchnią miasta Nowy Jork!

Autorem tego twierdzenia jest Robert Ernst Dickhoff, a zawarł je w książeczce *Agharta* (1951) omawiając położenie różnych tuneli podziemnych w Ameryce, Europie i Azji. [Inny pisarz amerykański zajmujący się tematem podziemnych tuneli, dr M. Doreal, sądzi, że przejścia prowadzące do podziemnego świata znajdują się też pod Górą Shasta w Kalifornii, w okolicy Sulphur Springs w Oklahomie i pod słynną Jaskinią Mamucią w stanie Kentucky. Nie podaje on niestety żadnych szczegółów położenia wejść do tych tuneli, chociaż istnieje powszechne przekonanie, iż jedno z 226 przejść podziemnych, wybiegających z Jaskini Mamuciej i rozciągających się jakoby na odległość około 260 km, łączy się ostatecznie z jednym ze szlaków prowadzących do podziemnego świata.] „Nawet w wypadku Nowego Jorku możemy mówić o tunelach; wybudowanie ich było bardzo pracochłonne, a rozciągają się na dziesiątki kilometrów pod powierzchnią Central Parku. Większość nowojorczyków pozostaje w błogiej nieświadomości co do ich istnienia. Tunele te są niezwykle starym dziełem nieznanymi technologiami”.





Jaskinia Mamucia, Kentucky, USA.



Tyle twierdzenie Dickhoffa. Pod Nowym Jorkiem rzeczywiście znajdują się niezliczone tunele, przez które kursuje metro, tak samo jak inne nie używane już przejścia, nie udało mi się jednak zdobyć nic na potwierdzenie jakiegokolwiek ich związku z legendą o Agharti. Jak czytelnik dowie się później, kiedy przedstawię mu moją tezę dotyczącą lokalizacji sieci tuneli Agharti, Nowy Jork w tym względzie pozostaje daleko poza wytyczonym szlakiem.

Wierzę jednak, że istnieje wyjaśnienie przypuszczeń, iż pod Nowym Jorkiem istnieją podziemne przejścia; stanowi je seria niezwykłych opowieści, rzekomo opartych na faktach autentycznych, w rzeczywistości jednak przeważnie nieprawdziwych. Opowieści te stały się znane pod nazwą *The Shaver Hoax* („Nabieranka Shavera”).

W roku 1945 w amerykańskim popularnym magazynie *Amazing Stories* („Historie Zdumiewające”) pojawił się cykl opowieści głoszących, że u zarania dziejów Ziemia była zaludniona przez różne odmiany istot ludzkich, między innymi przez Tytanów i Atlantyjczyków. Autor tych opowieści, Richard S. Shaver (1907-1975), twierdził, iż informacje te oparte są na przekazach w tajemnym języku zwanym mantong, rozszyfrowanym przez niego dzięki inskrypcjom pozostawionym przez Atlantyjczyków i Tytanów przed opuszczeniem przez nich naszej planety.

Historie pióra Shavera opowiadały, jakoby Atlantyjczycy i Tytani byli podobnymi bóstwom nieśmiertelnymi istotami; wytworzyli oni potężne cywilizacje, kiedy jednak słońce zaczęło emitować niebezpieczne promieniowanie, wybudowali dla ochrony podziemne tunele i jaskinie. Ponieważ nie zapewniało to konstruktorom dostatecznej osłony, nieśmiertelne istoty zostały zmuszone do opuszczenia ziemi około dwunastu tysięcy lat temu. Niektórzy jednak pozostali w tunelach i podzielili się na grupy: Terów, pokojową i wysoce inteligentną rasę, oraz Derów, karłowate istoty chętne do czynienia zła. To właśnie Derowie są odpowiedzialni za wszelkie zło na świecie, twierdził Shaver, za wojny, katastrofy i wypadki, które nawiedzały ludzkość przez wszystkie wieki. Autor opowieści sugerował też, że starożytne ruiny znajdujące się na świecie (włącznie z tunelami i jaskiniami) – zdające się przecież przekraczać możliwości twórcze ludów żyjących w czasie ich powstania – są w istocie dziełem Atlantyjczyków.



Artykuł Raya Palmera dotyczący legendy o Agharti w magazynie *Amazing Stories* z maja 1945 roku.

Opowieści wywołały sensację. Nakład magazynu *Amazing Stories* natychmiast wzrósł, redakcja zaś otrzymała ponad dwa i pół tysiąca listów od czytelników, z których niektórzy wierzyli gorąco w teorie Shavera, inni zaś uważali je za zwyczajną bzdurę. Ten czy ów z korespondentów twierdził nawet, że spotkał osobiście Terów lub Derów. W następnych latach dyskusja wywołana przez Shavera to narastała, to cichła; autor niezmiennie utrzymywał, iż przytaczane przez niego dane są prawdą, naukowcy zaś i geografowie otwarcie uważali je za nonsens. Dziś te niezwykle sagi uważane są przez zdecydowaną większość za czystą fantazję, a przez wielbicieli literatury science-fiction – która w owych czasach desperacko usiłowała zyskać uznanie jako poważny gatunek literacki – za oszustwo, które zaszkodziło bardzo rozwojowi tej literatury. Aż do śmierci Shaver nie odwołał ani jednego napisanego przez siebie słowa; panuje powszechne przekonanie, że wierzył on głęboko w swoje twierdzenia. Można jedynie bezstronnie stwierdzić, że mamy tu do czynienia z niewieloma prawdziwymi fragmentami na czysto fikcyjnym tle.

Jak przystało opowiadaniom ukazującym się na łamach magazynów science-fiction, większość historii Shavera dzieje się w przestrzeni kosmicznej i traktuje o dalszych losach Atlantyńczyków i Tytanów, którzy podróżują w latających talerzach, odwiedzając od czasu do czasu Ziemię, oczywiście w celu jej obserwacji. Jednak w najważniejszym odcinku opowieści, *The Masked World* („Zamaskowany Świat”, *Amazing Stories*, maj 1946), zaprezentowano „niewiarygodne rewelacje dotyczące pełnego okropności świata, ukrytego pod współczesnym Nowym Jorkiem: jaskini ludu Derów”. W opowiadaniu, liczącym pięć tysięcy słów, Shaver pisze:

„Wśród zwartych, pierwotnych skał bazaltowych, stanowiących podstawę obecnych Stanów Zjednoczonych, głęboko wewnątrz solidnych mas czarnej skały, gdzie nie przenika nawet woda, leży miasto. Miasto to nie jest tak dobrze znane, jak położony bezpośrednio nad nim nowoczesny Nowy Jork, ma jednak sprzymierzeńców, wrogów i slumsy, ma swych lordów i bogaczy. Jest częścią prastarego, zapomnianego podziemnego świata, nie całkiem obcego człowiekowi powierzchni; jest nie rozpoznaną przezeń, straszliwą prawdą, złowrogim elementem życia. Ontal jest częścią cywilizacji znajdującej się pod naszymi stopami, nazywanej przez tych, którzy wiedzą, Zamaskowanym Światem.

Podziemny świat jest skomplikowaną płataniną wielopoziomowych, wydrążonych przez tytaniczne moce jaskiń, które sięgają każdego miejsca pod powierzchnią naszego współczesnego świata. Jednak pod Nowym Jorkiem prastare trakty, będące w rzeczywistości tylko częścią bezkresnego centrum planety, jaką była Ziemia, zanim otrzymała własne Słońce – zbiegają się w skupisko siedzib większe niż gdziekolwiek indziej na wschodzie USA... Ten podziemny świat jest tak olbrzymi, że życie istnieje tylko w niewielkiej jego części; większość jest do tej pory nie zbadana. Wszystko to jest dziełem rąk starożytnej rasy, która opuściła Ziemię tysiące lat temu”.

Shaver podaje też zastanawiającą informację o położonej w Nowym Jorku „bramie wejściowej”, przez którą „niewielu wybranych” dostaje się do Zamaskowanego Świata, nie mówi jednak absolutnie nic na temat jej ewentualnego położenia. Kiedy czytelnicy *Amazing Stories* nalegali na niego, aby udowodnił swoje twierdzenie prowadząc do jaskiń tych, których to ciekawi, odpowiedział ostro: „Jestem skłonny to uczynić, ale kto wie, które z tych wejść prowadzi do bezpiecznego miejsca, gdzie nic nikomu nie grozi? Nie mogę przecież zabrać ze sobą ludzi do miejsca, w którym mogliby się stać źle traktowanymi niewolnikami!”

Jestem przekonany, że to właśnie z szeroko rozpowszechnionych i kontrowersyjnych opowieści Richarda S. Shavera pochodzą pogłoski o istnieniu tajemniczych tuneli pod Nowym Jorkiem. Sądzę też, że nie może być wątpliwości co do inspiracji autora: książek Bulwera Lyttona, madame Bławatskiej, Ferdynanda Ossendowskiego i Mikołaja Roericha oraz innych wymienionych przeze mnie badaczy. Shaver nie ukrywał, że jest nienasyconym pożeraczem książek, a dzieła o podziemnym królestwie i tajemniczych korytarzach wypełniały półki jego biblioteki. W rzeczywistości podążał, on jedynie śladami pisarzy takich jak Robert Paltock, autor książki *The Life and Adventures of Peter Wilkins* („Życie i przygody Petera Wilkinsa”, 1751), baron Ludwigo von Hoberg, który napisał *Niels Klim's Journey Underground* („Podziemna podróż Nielsa Klimy”,

1741) i Juliusz Verne, twórca klasycznej powieści „Podróż do wnętrza Ziemi” (1864); także mniej znanych literatów, jak choćby Edgar Rice Burroughs, autor powieści o ludziach zamieszkujących wnętrze naszej planety, na przykład *At the Earth's Core* („Obok jądra Ziemi”, 1923) i jej kontynuacji *Pellucidar* („Źródło transparentji”, 1924). Znaczenie dzieła Shavera umniejszyły jego nieustanne zapewnienia, że każde napisane przez niego słowo to szczerą prawdą.

Elementem opowiadań Shavera, najtrudniejszym do zaakceptowania dla większości czytelników, jest zdolność Derów do wywoływania wszelkiego zła występującego na powierzchni ziemi. W tym celu okiełznali oni jakoby niebywałe siły; gdyby tak było, to siły te z pewnością wymknęłyby się wreszcie spod ich kontroli i spowodowały koniec świata. Szkoda, że Shaver nie mógł się oprzeć pokusie wykorzystania dla swych celów narastającej w jego czasach obawy przed skutkami stosowania energii nuklearnej; gdyby bowiem przyjrzał się bliżej dziełom Bławatskiej, Ossendowskiego, Roericha, a szczególnie *The Coming Race* Bulwera Lyttona, z której niewątpliwie zaczerpnął wiele faktów na użytek swych opowieści, natrafiłby na siłę o wiele bardziej wiarygodną, w większości zaś przypadków przynajmniej tak samo potężną – siłę znaną pod nazwą moc *Vril*.

Aż do tego momentu wspominałem o mocy *Vril* jedynie w ogólnych zarysach. Teraz jednak nadszedł czas na dokładniejsze zbadanie jej tajemnic.

## 11.

### Tajemnica mocy *Vril*

Nie ulega wątpliwości, że najbardziej zdumiewającym momentem legendy o Agharti jest dziwna siła znana jako moc *Vril*. Od czasu, gdy tę tajemniczą moc opisał po raz pierwszy Bulwer Lytton w powieści *The Coming Race*, a o możliwości jej istnienia wspomniano w relacjach o tajemniczym podziemnym królestwie, panuje ogólne zamieszanie w kwestii tego, czym siła ta jest istotnie. Może zresztą jeszcze więcej jest wątpliwości na temat, czy ta siła w ogóle istnieje, nie zaś stanowi jedynie wymysł obdarzonego niezwykłą wyobraźnią powieściopisarza epoki wiktoriańskiej.

Zanim zbadamy wiadome nam fakty na temat mocy *Vril*, dobrze będzie przypomnieć sobie, co Bulwer Lytton oznajmia nam na temat jej możliwości. O mocy *Vril* autor wspomina w swej książce po raz pierwszy, kiedy jej bohater przybywa do podziemnego świata i spotyka mieszkańców owej krainy, znanej pod nazwą *Vril-ya*. Nie pozostawiają mu oni żadnych wątpliwości co do roli, jaką moc *Vril* odgrywa w ich życiu.

Oto co mówi narrator:

„W żadnym znanym mi języku nie ma słowa, które dokładnie oddawałoby znaczenie pojęcia *Vril*. Nazwałbym to elektrycznością, gdyby nie to, że wśród swych różnorodnych składników zawiera także inne siły natury, którym nasza terminologia naukowa nadaje oddzielne nazwy, jak magnetyzm, galwanizm itd. Ludzie ci mniemają, że siła *Vril* stanowi jedność wszystkich naturalnych nośników energii, jaką przewidziało wielu wybitnych myślicieli, a którą Faraday przybliżył nam pod dość ostrożną nazwą korelacja:

»Od dłuższego czasu przypuszczam – twierdzi ten znakomity eksperymentator z pewnością niemal zupełną, a myślę, że nie jestem w tym odosobniony – że różne formy, pod jakimi manifestują się siły materii, są wszystkie jednego, wspólnego pochodzenia; że, inaczej mówiąc, są one ze sobą bezpośrednio spokrewnione i tak bardzo od siebie wzajemnie zależne, że mogą działać wymiennie, wykazując równoważną moc.«

Badacze świata podziemi zapewniają, iż działając w określony sposób siłą *Vril*, którą Faraday nazwałby być może »magnetyzmem atmosferycznym«, potrafią wpływać na różnice temperatur – mówiąc po prostu, na pogodę; używając zaś tej siły inaczej, w sposób zbliżony do mesmeryzmu czy elektrobiologii, stosowanej precyzyjnie przez mistrzów *Vril*, potrafią wywierać

wpływ na umysły i ciała, na zwierzęta i rośliny, i to w stopniu nie mniejszym, niż ukazują go powieści niektórych mistyków. Wszystkim tym nośnikom energii nadaje się wspólną nazwę *Vril*”.

Za pośrednictwem swego narratora Bulwer Lytton wyjaśnia nam następnie bardziej szczegółowo zdolności mocy *Vril*. Twierdzi, że może ona być używana do zwiększania stopnia świadomości umysłu oraz do przekazywania myśli między ludźmi za pomocą zjawisk transu lub wizji. To właśnie za pomocą mocy *Vril*, pisze, „po wprowadzeniu w stan transu zapoznano mnie z podstawami języka ludu *Vril-ya*”. (Nie należy zapominać, że Bulwer Lytton fascynował się mesmeryzmem i rozwinął w sobie zdolności przemieszczania przedmiotów na odległość – telekinezy.)

Omawiając następnie rozwój cywilizacji *Vril-ya*, Lytton opisuje przeróżne sposoby wykorzystania możliwości tego „wszechprzenikającego fluidu”. Moc *Vril* „można uczynić najposłusznieszą i zarazem najpotężniejszą mocą ze wszystkich ożywionych i nieożywionych sił materii. Jest ona w stanie niszczyć niczym piorun; zastosowana jednak inaczej potrafi przedłużać i pobudzać życie, uzdrawiać i ochraniać”. Narrator tłumaczy, że naród *Vril-ya* korzysta z tej siły przy leczeniu chorób, czy też raczej „nadawaniu organizmowi zdolności przywracania należytej równowagi pomiędzy jego różnymi funkcjami w celu samoleczenia”.

Młody Amerykanin, narrator powieści Bulwera Lyttona, dowiaduje się też, że moc ta może być używana do kruszenia skał oraz niszczenia wrogów. *Vril-ya* pokazują mu laskę *Vril*, oznajmiając przy tym, iż „ogień tłący się w wydrążeniu laski, kierowanej ręką dziecka, potrafi wstrząsnąć najpotężniejszą armią lub wypalić płomienną ścieżkę od czoła aż po tyły szeregów wroga”. (Niezależnie od tego, czy rzeczywiście mocy *Vril* można przypisać takie zdolności, czyż Lytton nie przedstawia tu proroczego opisu współczesnego promienia laserowego – prawie całe stulecie przed jego odkryciem?)

Dalsze korzyści płynące z opanowania mocy *Vril* to możliwość „napędzania” robotów, uruchamianie pojazdów podziemnych i powietrznych, a także wytwarzanie światła dla podziemnego świata – światła które podtrzymuje i daje pożywienie wszystkim formom życia. Ogólnie rzecz biorąc, *Vril* to olbrzymi rezerwuar uniwersalnej energii, którego część można kumulować w ludzkim organizmie.

Czy może więc nas dziwić, że od czasów Bulwera Lyttona ludzie zadają sobie pytanie, ile jest prawdy w tych opowieściach?

Jestem pewien, że niektóre z atrybutów mocy *Vril* są wytworami płodnej wyobraźni autora. Jednak według większości komentatorów jego dzieła przez te zmyślane opisy przewijają się elementy prawdy, jakby przecucie, że omawiana siła rzeczywiście istnieje, niekoniecznie wyłącznie w podziemnej części planety.

W poświęconym Bulwerowi Lyttonowi i jego dziełu rozdziale niniejszej książki udowodniłem już, że autor posiadał wielką wiedzę mistyczną, którą wykorzystywał dla celów swej pracy. Nie zdradził jednak na dobrą sprawę nic na temat źródeł, do których sięgał, naciskany zaś o wyjaśnienia natury mocy *Vril* zachowywał się dość zagadkowo. W liście do bliskiego przyjaciela wkrótce po wydaniu *The Coming Race* wygłosił swój jedyny komentarz w tej kwestii: „*Vril* nie ma oznaczać mesmeryzmu, który uważam za ledwie za odgałęzienie tego niebywałego fluidu przenikającego całą naturę”.

Wyjaśnienie to jest intrygujące, ale i celowo niejasne, jak gdyby zazwyczaj precyzyjny w wypowiedziach Bulwer Lytton żałował, że zdradził już zbyt wiele. Bractwo Różokrzyżowców, do którego należał, szczyliło się składanymi przez członków przysięgami zachowania tajemnicy, wydaje się zaś prawdopodobne, że autor, znajdujący się akurat w ciężkiej sytuacji finansowej, powodowany koniecznością zdobycia pieniędzy, użył tajnych informacji, aby szybciej skończyć powieść i dodać jej autentyzmu, jaki cechował inne jego dzieła. Chociaż Lytton odmawiał wszelkich dyskusji na temat swej książki, wywołał jednak przekonanie, że zawiera ona pewne podstawowe prawdy. To przekonanie, jak pokazałem, wydało owoce w czasach, kiedy w Niemczech rządził Hitler.

W interesującym artykule *UFO's and the Mystery of Agharti* („UFO a tajemnica Agharti”), który potwierdza moją opinię na temat Bulwera Lyttona, Nadine Smith pisze:

„Pewni wysocy rangą członkowie hitlerowskiego aparatu Trzeciej Rzeszy wierzyli w prawdziwość królestwa Agharti i mocy *Vril*. Ich zainteresowanie tym tematem nadało mu niezasłużoną, ponurą sławę. Okultyzm odgrywał niewątpliwie dużą rolę w ruchu nazistowskim, jednak Hitler i jego bliscy współtowarzysze zniekształcili go dla własnych celów. Może sami ponieśli tego konsekwencje, kiedy doszło do ich ostatecznej eliminacji”.

Naziści nie byli jednak pierwszymi wierzącymi w istnienie mocy *Vril*, którzy postanowili odkryć jej tajemnice. Zaszczyc ten przypada Helenie Bławatskiej, rosyjskiej emigrantce, która najwyraźniej czytała *The Coming Race*, ponieważ wspomina o niej w swej książce *Isis Unveiled*, wydanej sześć miesięcy później, w roku 1877. W rozdziale zatytułowanym „Siła, która napędza atomy”, w którym madame Bławatska opisuje swoje niezłomne przekonanie, że „każdy akt woli powoduje odpowiedni akt mocy”, znajdujemy następujący fragment:

„Jest siła, której tajemne możliwości znane były dobrze starożytnym magom, której istnieniu zaprzeczają jednakże współcześni sceptycy. Dzieci z epoki przedpotopowej, które może z nią igrały, jak chłopcy używający tajemniczej mocy *Vril* w książce Bulwera Lyttona *The Coming Race*, nazywały ją „Wodą Ptah”; ich potomkowie zwali ją *Anima mundi*, duszą wszechświata, podczas gdy późniejsi, średniowieczni alchemicy nazywali ją „Światłem Konstelacji” czy „Mlekiem Niebiańskiej Dziewicy”, „Magnezem” i wieloma innymi mianami. Współcześni uczeni nie chcą jej jednak zaakceptować ani uznać jej istnienia na mocy dostępnych przesłanek, ponieważ sprowadza się ona do magii, magia zaś jest w ich pojęciu wstydliwym zabobonem”.

Wyraziwszy swe przekonania, madame Bławatska idzie jeszcze dalej:

„Istniało dotychczas niesłychane mnóstwo określeń jednej i tej samej rzeczy. Chaos starożytnych, święty ogień wyznawców Zaratustry, Antusbyrum Parsów, ogień Elm starożytnych Germanów, błyskawica Sybilli, płonąca pochodnia Apolla, płomień na ołtarzu Pana, wieczny ogień w świątyniach Akropolu i bogini Westy, ognisty płomień hełmu Plutom, lśniące iskry na nakryciach głowy Dioskurów, na głowie Meduzy, hełmie Ateny, laska Merkurego, egipski Ptah lub Ra, grecki Zeus Cataibates (Wznoszący Sie), ogniste języki żydowskiego święta Szawuot, płonący krzak Mojżesza, słup ognia opisany w *Księdze Wyjścia*, „świecząca lampa” Abrahama, wieczny ogień „bezdennego dołu”, wróżebne opary Delf, światło konstelacji Różokrzyżowców, Akaśa adeptów hinduizmu, światło astralne Elifasza Lewiego, aura nerwowa i fluidy magnetyzerów, siła od Reichenbacha, ognisty glob Babineteta, Psychod i moc Tyra, magnetyzm atmosferyczny, głoszony przez niektórych przyrodników, galwanizm i wreszcie elektryczność – wszystkie one są różnymi nazwami nadawanymi poszczególnym manifestacjom czy efektom jednej i tej samej tajemniczej, wszechprzenikającej przyczyny, greckiego Archeusza. Sir E. Bulwer Lytton w książce *The Coming Race* nazywa ją mocą *Vril*, z której korzystają mieszkańcy podziemnego świata, każe czytelnikowi wierzyć, iż jest ona fikcją”.

Przytaczając pogląd Faradaya, cytowany przeze mnie na początku tego rozdziału, autorka wyraża przypuszczenie, że Bulwer Lytton „tworzył nazwy występujące w jego książce przez kontrakcję słów języka klasycznego; i tak słowo *Gy* (określenie dla płci żeńskiej – przyp. tłum) pochodzi być może od *gune* (sansk. *guna*?), słowo *Vril* – od *virile* (ang. żywotny)”. Przekazawszy nam tę uwagę, madame Bławatska kontynuuje swą myśl:

„Jakkolwiek porównywanie przez nas fikcyjnej mocy *Vril*, wymyślonej przez wielkiego powieściopisarza i pierwotnej siły równie wielkich uczonych z astralnym światłem kabalistów, może się wydawać absurdem, taka jest jednak prawdziwa definicja tej siły. Wciąż dokonywane

są odkrycia potwierdzające tę odważną teorię”.

Przekonanie Bławatskiej co do istnienia mocy *Vril* powraca w jej kolejnej książce, *The Secret Doctrine* („Tajemna doktryna”, 1888). Autorka w rozdziale „Nadchodząca moc” pisze o innych możliwościach tej siły, a mianowicie o zdolnościach destrukcyjnych:

„Istnieje straszliwa moc astralna, znana Atlantyńczykom i nazwana przez nich Masz-Mak; aryjski zaś lud Riszi, w ich *Aśtar Vidya*, określał ją nazwą, jakiej nie chcielibyśmy tutaj zdradzać. Jest to właśnie moc *Vril*, której używa Nadchodząca Rasa opisana przez Bulwera Lyttona. Nazwa *Vril* jest być może fikcyjna, jednak w istnienie samej tej siły nikt w Indiach nie wątpi tak samo, jak w istnienie ludu Riszi. Wymienia się ją we wszystkich tajemnych księgach.

Ta siła wibracji była wycelowana – zgodnie z instrukcjami podanymi w *Aśtar Vidya* – w armię wroga z Agni Rath umieszczonego w maszynie latającej, na przykład w balonie. Zmieniała w popiół sto tysięcy ludzi i słoni tak łatwo, jak zdechłego szczura. Siłę tę przedstawiono w formie alegorycznej w *Wisznu Poranie*, w *Ramajanie* i innych dziełach. A na przykład w baśni o mędrцу Kapili jedno jego spojrzenie zmieniło sześćdziesiąt tysięcy synów Śagary w popiół, co opisano w ezoterycznych dziełach, nazywając ukrytą za tym zjawiskiem siłę Kupilakśa „Oko Kapili”.

Co by było, gdyby tę siłę pozwolono dodać naszej generacji do jej zestawu, anarchicznych zabawek – bomb zegarowych, wybuchających pomarańczy, „koszy kwiatów” i innych morderczych cacek pod niewinnie brzmiącymi nazwami? Czy ta destruktywna siła, znalazłszy się raz w rękach jakiegoś współczesnego Attyli czy krwiożerczego anarchisty, w ciągu kilku dni zredukuję Europę do pierwotnego chaosu, gdzie nie ocaleje nikt, kto mógłby nam o tym opowiedzieć? Czy ta siła ma się kiedyś stać własnością wszystkich bez wyjątku?”

Jak w większości prac Bławatskiej, wszystko sprowadza się tutaj do aluzji i sugestii. Autorka podaje niewiele dokładnych szczegółów, przytacza jednak wiele źródeł, które należy uznać za wiarygodne, choć niekiedy zbyt sensacyjne. Trudno w każdym razie zaprzeczyć proroczej treści słów kończących *The Secret Doctrine*. Jakie bowiem trafniejsze określenie niż „współczesny Attyla” można znaleźć dla człowieka, który wkrótce miał rozpocząć pogoń za tajemnicą mocy *Vril* – dla Hitlera?

Zajmowaliśmy się tu już fascynacją Hitlera sprawami wiedzy tajemnej i mistycyzmu oraz jego wiarą w istnienie podziemnego świata zamieszkanego przez rasę „nadludzi”. Tematem tym zainteresował się także J. H. Brennan w ciekawej książce *Occult Reich* („Rzesza tajemna”, 1974). Zajął się niemiecką Świetlistą Lożą Towarzystwa *Vril* i jej wpływem na zainteresowanie Führera samą mocą *Vril*.

J. H. Brennan dowodzi, że Hitlera wtajemniczono w trzy ważne sekrety wiedzy tajemnej, co jeszcze pogłębiło jego wiarę w tę tajemniczą moc. Te tajemnice to:

1. Kontrola nad energią przenikającą, jak na przykład *Vril* Lyttona czy „magnetyzm zwierzęcy” Mesmera. Znalazłszy się pod świadomą kontrolą, siła ta może zostać użyta do pomocy w uzyskaniu mistycznej iluminacji, jako energia uzdrawiająca lub jako środek dominacji psychicznej nad innymi ludźmi – w zależności od rodzaju temperamentu, jaki posiada wtajemniczony.

2. Kontrola nad wypadkami oraz tworzenie dogodnych konkretnych sytuacji. Wtajemniczony zdobywa tę umiejętność poprzez ćwiczenie zdolności koncentracji, aż w końcu jest w stanie skupiać siłę woli niczym promień lasera. Wzmocniona ponad naturalnie siła woli jest następnie kierowana bezpośrednio poprzez ostre wyobrażenia na konkretną sytuację, jaka jest potrzebna magowi. Siłę napędową całej tej operacji stanowią wzmożone emocje. Także tutaj rodzaj przypadków i wywoływanych sytuacji zależy od temperamentu wtajemniczonego.

3. Ustalenie sposobu komunikacji z ponadnaturalnymi, a niekiedy nawet obcymi bytami, operującymi na poziomach innych niż fizyczne (nazywanych obecnie przez okultystów „wewnętrznyimi planami”). Adept odkrywa jednak szybko, że technik przeznaczonych do

kontaktowania się ze strefami niebiańskimi można także używać do zejścia do piekieł.

Coraz więcej poznajemy przesłanek – mówi Brennan – wskazujących na to, że Hitler nauczył się wszystkich trzech technik, koncentrując się na negatywnej stronie każdej z nich. Widzieliśmy już, że mógł kontrolować przenikającą energię w stopniu bardzo wysokim, nawet po jego załamaniu się zdrowotnym pod koniec życia. Dowody dotyczące jego umiejętności w dziedzinie drugiego i zarazem prawdziwie „magicznego” zastosowania wiedzy tajemnej są trudniejsze do uzyskania. Z pewnością jednak Hitler myślał magicznie: jego instynkty i reakcje były takie, jak człowieka, który zapoznał się z tymi sekretami. Jego wiara w siłę woli była powszechnie znana. Od czasu do czasu wyrażał przekonanie, że wszystkie jednostki i wszystkie zdarzenia poddają się dominującej sile woli. Nie trzeba chyba podkreślać, że jest to klasyczny przypadek wiary w magię, dziwi tylko, że uszło to uwagi wielu historyków.

Nie ma wątpliwości co do tego, że Hitler opanował też i trzecią tajemną umiejętność. Wytworzył bardzo mocne linie komunikacji z „wewnętrznymi planami”; jest rzeczą psychologów stwierdzić, że były to raczej personifikacje sił drzemiących w jego głębokiej podświadomości.

Dla poparcia tego ostatniego wniosku Brennan przytacza fragmenty ze znanych zapisków Rauschninga, gauleitera Gdańska, który z ust samego Hitlera miał możliwość usłyszeć o jego doświadczeniach odnośnie „nadludzi”.

Tu i ówdzie spotyka się sugestię, że Hitler był nie tylko świadomy istnienia mocy *Vril*, lecz wiedział nawet, jak należy jej używać. Jego zdolność hipnotyzowania olbrzymich tłumów ludzkich, manipulowania ludźmi z własnego otoczenia i wysysania „pożywienia umysłowego” z członków swej ekipy, niczym „psychiczny wampir”, są jakoby dowodami działania tej siły. Choć Hitler niewątpliwie wszystko to potrafił, bardzo wątpię, aby można to było uznać za efekty użycia mocy *Vril*. To raczej otaczająca go aura niekontrolowanej władzy i strachu wywoływała owe niezamierzone efekty.

Fenomen ten opisał dotychczas najlepiej Francis King w książce *Satan and the Swastika* („Szatan a swastyka”, 1976):

„Rozpatrując sprawę w terminach psychologicznych stwierdzamy, iż Hitler był jedną z nielicznych jednostek, które uzyskały zdolność wypełniania siebie energią pochodzącą od innych, aby móc wzmacniać swoje siły emocjonalne przez doznanie fizyczne – w tym wypadku wystąpienie publiczne – a jednak pozostawiać słuchaczy z większym ładunkiem energii emocjonalnej niż mieli przedtem.

Ten wpływ, jaki słuchająca go publiczność wywierała na Hitlera, wynika ze szczególnych, do dziś nie wyjaśnionych, cech jego charakteru. Żadna psychologiczna teoria nie jest dziś w stanie tego wytłumaczyć; tymczasem możemy tylko dokonać interpretacji zjawiska „ładowania” się Hitlera energią płynącą od publiczności, co było także właściwością niektórych okultystów”.

Wydaje się oczywiste, że Hitler, jak wielu przed nim, doznawał uczucia frustracji wywołanego pożądaniem zgłębienia tajemnic mocy *Vril*; niemniej jednak udało mi się ostatnio zdobyć kopie pewnych dziwnych dokumentów, należących przedtem do niemieckiego „Towarzystwa *Vril*”. Dokumenty te dowodzą, że członkom Towarzystwa udało się tę tajemnicę przeniknąć.

Wynika z nich, że osoba, która nauczyła się kontrolować moc *Vril*, ma szansę zdobycia z czasem zdolności uzyskania wszelkich innych mocy. Umiejętności „kontroli” można dostąpić na dwa sposoby.

Sposób pierwszy, określany jako „droga naukowa”, wymaga od osoby pragnącej osiąść moc *Vril* wyizolowania na drodze chemicznej protonu A1 zawartego w atomach ołowiu. Protony te muszą następnie, zgodnie z instrukcją, „zostać przechwycone przez siłę przyciągania Saturna lub lawę, jaka wypłynęła z aktywnego wulkanu”. Następnie, pod wpływem uzyskanego w ten sposób promieniowania, „męskie gruczoły rozrodcze uaktywniają Korlos, utwierdzając ego w jego fizycznym środku ciężkości”. Moc *Vril* znajduje się teraz w zasięgu ręki adepta. Tak twierdzą dokumenty.



Metoda druga, określana jako „droga mistyczna”, jest podobnie dziwaczna i niejasno opisana. Wywodzi się ona prawdopodobnie z Wyższego Rytułu Magii, jaki celebrowano przed mandalą (inaczej symbolem) przedstawiającym Szambalę, centrum świata Agharti. Adept powinien zostać skąpany w fioletowym świetle wydzielanym przez ametyst, przy akompaniamencie „nieustannie powtarzanych wibrujących dźwięków litery K”. Dokumenty wskazują, że siłę można uzyskać łatwiej, jeżeli odbywa się to w obecności znaku Saturna oraz Ankh, krzyża egipskiego – w kształcie litery T ze wstęgą ponad poziomym ramieniem – symbolizującego życie. W trakcie rytuału adept „doświadczy pozornej śmierci”, zanim w końcu uzyska kontrolę nad mocą *Vril*; tak kończą się wspomniane dokumenty.

Jeżeli czytelnik uważa, że opis obu tych „metod” przypomina raczej kojarzony ze średniowiecznym czarnoksięstwem bełkot, to autor w pełni podziela jego zdanie. Nie jestem jednak praktykującym mistykiem, ani też nie mogę się poszczycić zbyt wielką wiedzą na temat sekretów mistycyzmu, nie chciałbym więc pochopnie zdyskredytować tych dokumentów ani „tajemnic”, które opisują, nazywając je całkowitym nonsensem. Sądzę raczej, że zawierają one odpowiednio zamaskowane elementy prawdy, mające na celu zaintrygowanie przypadkowego czytelnika, pozostawiając zarazem prawdziwe tajemnice w ukryciu – jeżeli tajemnice te były w ogóle komukolwiek znane. Tę metodę stosowano w wielu rzekomo tajemnych i mistycznych dokumentach, które dostały się w ten czy inny sposób do wiadomości publicznej.

Moje przekonanie potwierdza dalek fakt, że wyjaśnienie, czym jest owa moc *Vril* i jak można ją uzyskać, jest zdecydowanie łatwiejsze i wymaga mniej wysiłku – aczkolwiek nie dotyczy to możliwości tej siły, którą opisuje Bulwer Lytton i wielu innych autorów o jeszcze bujniejszej wyobraźni.

Moje badania wykazały, że słowo *Vril* jest starożytną indyjską nazwą olbrzymich źródeł energii, które uzyskuje się wskutek opanowania Ciała Eteryjnego (czy inaczej Organizacji Czasu). Kontrolują one siły życiowe organizmu ludzkiego. Jest to skondensowany „jeden potężny fluid przenikający całą naturę”, jak zwał go Lytton; u mistyków hinduskich nosi nazwę Kundalini. Mam nadzieję, że kiedy możliwie najkrócej wyjaśnię definicję i zawłości Kurtdalini, czytelnik przekona się, iż moc *Vril* jest po prostu najwyższym osiągalnym poziomem tej siły. Zrozumie też zarazem, dlaczego Bulwer Lytton określił ją jako najwspanialszą właściwość stworzonej przez niego podziemnej rasy ludzi, a także dlaczego ludzkość tak długo jej poszukiwała.

Każdy, kto zapoznał się choćby pobieżnie z mistycyzmem indyjskim i orientuje się nieco w filozofii tantrycznej, wie, że zdefiniowanie jakichkolwiek jej elementów jest bardzo trudne. Wymaga uważnych studiów i wielkiej koncentracji pod kierunkiem guru, aby osiągnąć potrzebny stan umysłu lub ciała. To samo dotyczy Kundalini, którą można najprościej opisać jako potencjalne źródło niebywałej mocy, tkwiące w człowieku, ale przez niego nie wykorzystywane; jest ono przedstawiane w postaci cienkiej, zwiniętej zmi, której można użyć w dobrym i szlachetnym celu, ale jeśli poruszyć ją bez zachowania należytej ostrożności, może być wyjątkowo niebezpieczna. Całkiem chyba dobrą jej definicję znajdujemy w książce Ajita Mookerje i Madhu Khanny *The Tantric Way* („Droga tantry”, 1977):

„Kundalini to makrokosmiczna forma uniwersalnej energii, lub prościej olbrzymi magazyn statycznej, potencjalnej energii psychicznej, występującej w postaci biernej w każdej istocie. Jest to najpotężniejsza manifestacja siły kreatywnej, zawartej w ciele ludzkim. Koncepcja Kundalini nie ogranicza się do tantry, lecz stanowi podstawę wszelkich praktyk jogi, każde zaś prawdziwe doznanie duchowe uważa się za manifestację tej siły. Kundalini opisywana jest jako energia »zwinięta«, »nieaktywna«, znajdująca się w stanie »snu-transu« u podstawy kręgosłupa, czyli w miejscu zwanym tradycyjnie czakrą Muladhara lub centrum korzenia, blokującym przejście do świadomości kosmicznej w centrum mózgu. W większości przypadków Kundalini pozostaje bierna przez całe ludzkie życie; można być zupełnie nieświadomym jej egzystencji”.

Według A. Mookerje i M. Khanny najbliższym tego pojęcia leży nowoczesny termin „przepaść pomiędzy ja potencjalnym i aktualnym”, ukuty przez naukowców-behawiorystów. Wyniki ich

badania wykazały, że przeciętna istota ludzka używa jedynie około dziesięciu procent swych zdolności, przeważająca zaś część jej talentów i potencjalnych umiejętności nie jest przez nią uświadamiana. Autorzy twierdzą jednak, że Kundalini nie należy uważać wyłącznie za zdolności twórcze człowieka; raczej trzeba ją rozumieć jako „moc posiadającą możliwość obudzenia siły psychicznej właściwej każdemu z nas”. Dodają także:

„Żaden rzeczywisty opis Kundalini, ani symboliczny, ani posługujący się terminami fizjologicznymi, nie będzie wystarczający, jest ona bowiem niezwykle subtelną wibracją o wysokim potencjale energetycznym, potrafiącą zmylić »nóż chirurga«. Tak bardzo złudna jest jej natura, że możliwości Kundalini oceni się tylko doświadczony osobiście efektów wywołanych jej działaniem”.

Liczni uczeni świata zachodniego usiłowali opisać posiadanie kontroli nad tą mocą, niewielu jednak udało się to lepiej niż sir Johnowi Woodcrofte w jego dziełach na temat tantry, na przykład w *Shakti and Shakta* (1920); tu poświęcił temu problemowi cały rozdział. Korzystałem z tego rozdziału, przedstawiając ogólnie tę tematykę. Sir John rozpoczyna swoje wywody od wyjaśnienia, że zgodnie z wierzeniami Hindusów, człowiek jest mikrokosmosem, a zatem „wszystko, co istnieje we wszechświecie, istnieje także w nim”. Następnie pisze:

„Ciało można podzielić na dwie główne części, mianowicie z jednej strony głowę i tułów, z drugiej zaś nogi. Centrum ciała znajduje się u człowieka pomiędzy tymi dwiema częściami, u podstawy kręgosłupa, tam gdzie zaczynają się nogi. Tułów, a poprzez niego cała reszta ciała, wspiera się na kręgosłupie. Jest on osią ciała, tak jak góra Meru jest osią ziemi. Z tego powodu kręgosłup ludzki nazywa się Merudanda, czyli góra Meru lub Oś”.

Z kręgosłupem łączy się wiele niewidzialnych kanałów energetycznych przypominających żyły i tętnice. Kanały te schodzą się w określonych punktach ciała ludzkiego, znanych pod nazwą czakr lub „kół”. Czakry są, jak twierdzi sir John, ośrodkami energii pozafizycznej i można o nich myśleć jako o „psychicznych prądnicach”. Choć owe „koła” nie istnieją w sposób postrzegalny, jest ich ponoć siedem, ułożonych następująco: jedno u podstawy kręgosłupa, jedno w pobliżu organów płciowych, jedno w rejonie splotu słonecznego, kolejne przy samym sercu, jedno w krtani, jedno w czole powyżej sklepienia nosa, i ostatnie na czubku głowy.

Wszystkie czakry układają się wzdłuż trzonu, biegnącego od pod stawy kręgosłupa do czubka głowy. Trzon ten nazywany jest „laską Brahmy”. (Czy nie jest to odpowiednik laski *Vril* Bulwera Lyttona?) U podstawy kręgosłupa leży Kundalini, mała, zwinięta żmija – tak opisują ją Tantry – która, uaktywniona, jest w stanie wyzwalać wielkie siły. Do czego może doprowadzić w nieodpowiednich okolicznościach, ukazał nam Benjamin Walker w swej pracy *Hindu World* („Świat hinduizmu”, 1968):

„W ciele astralnym przeciętnego człowieka Kundalini śpi, blokując centralny kanał energetyczny, laskę Brahmy, „bramę wlotu”; człowiekowi nie przeszkadza jej obecność, nie uświadamia on sobie nawet jej istnienia. Wychodzi mu to tylko na dobre. W zwykłym człowieku żmija Kundalini powinna pozostawać uśpiona, ponieważ gdy się ją zaniepokoi, może wyzwolić olbrzymie moce. Obudzona, czy to przypadkowo, czy przez nieumiejętne użycie specjalnej techniki, siła ta może się okazać bardzo niebezpieczna. Wtedy bowiem Kundalini unosi głowę i zaczyna poruszać się w sposób nieskoordynowany, rwąc niepowstrzymanie przez niższe czakry i wywołując anormalne nasilenie podstawowych instynktów i pasji”.

Kiedy jednak przebudzenie Kundalini osiąga się za sprawą koniecznej dyscypliny i ćwiczeń, zgodnie z twierdzeniem A. Mookerjee i M. Khanny „następuje przekształcenie i zmiana ukierunkowania wyższej mocy zawartej w ciele ludzkim”:

„Po jej uaktywnieniu siła ta wykracza poza narzucone nam ograniczenia. W stanie uśpiania Kundalini człowiek uświadamia sobie jedynie bezpośrednie, konkretne okoliczności. Kiedy budzi się ona i przenosi na wyższą płaszczyznę duchową, osobnik nie musi się ograniczać do własnej percepcji, dostępuje za to udziału w źródle światła. Poprzez uaktywnienie Kundalini absorbuje wszelką energię kinetyczną, którą naładowane są poszczególne ośrodki psychiczne. Przez przebudzenie utajonej siły Kundalini, zatopionej zazwyczaj w nieświadomości i funkcjach czysto cielesnych, oraz skierowanie jej ku wyższym regionom, obudzona w ten sposób energia przenoszona jest i sublimowana aż do momentu osiągnięcia doskonałego rozwoju i świadomej realizacji”.

Mówiąc najprościej, rozprzestrzenianie się tej siły otwiera pasywne dotychczas obszary mózgu – jest bowiem faktem stwierdzonym przez neurologów, że używamy jedynie niewielkiej części jego komórek, umożliwiając przez to uzyskanie ponadnaturalnych mocy, nazywanych przez Hindusów mocami Siddhi. Mówi się, że istnieje osiem głównych mocy Siddhi, mnie zaś wydają się one blisko spokrewnione z owymi „zdolnościami” czy „siłami”, przypisywanymi mocy *Vril*. Oto one, zgodnie z wyliczeniem Mookerje i Khanny: panowanie nad materią; zdolność opuszczania ciała i powracania doń w dowolnej chwili; ponadnaturalny zmysł słuchu; nieważkość; zdolność widzenia najmniejszych rzeczy w takim powiększeniu, że pozwala to pojąć działanie systemu słonecznego i kosmosu; kontrola umysłu nad materią i – być może najważniejsza – zdolność wytwarzania wielkich sił napędowych.

Nie jest moim celem opisywanie skomplikowanej techniki koniecznej do przebudzenia „zwiniętej żmii”; wystarczy w tym miejscu zaznaczyć, że wymaga ona doskonałego wykształcenia, nadzwyczajnej siły koncentracji, kontroli ciała (szczególnie oddechu i wzroku) i niezwyklej dyscypliny. Jak bowiem pisze Benjamin Walker:

„Ci, którzy chcą poszerzyć swą wiedzę o Kundalini poprzez praktyczne doznania, lub osiągnąć moce wywołane jej przebudzeniem, muszą przebrnąć przez długi okres przygotowań, osiągnięcie bowiem zdolności kontrolowania wyzwolonej energii wymaga wielu lat ćwiczeń”.

Każdemu, kto odczuwa taką chęć czytając niniejszą książkę, mogę na początek polecić jedynie lekturę pism z dziedziny Tantry i systemów jogi.

Najrozsądniej będzie przyjąć, że wyliczone tu atrybuty mogą mieć zastosowanie w przypadku wyższego stopnia wtajemniczenia lub wobec osobników wyższej rasy, która osiągnęła wysoki stopień cywilizacji. Jeżeli rasa taka istnieje naprawdę pod powierzchnią ziemi, to mogło się zdarzyć, że już dawno osiągnęła ona taki stan bez konieczności zajmowania się niezliczonymi wojnami, skonfliktowanymi systemami politycznymi i niepokojami społecznymi, z którymi narody świata borykają się od wieków.

Sądzę zatem, że praktykowanie sił Kundalini może być kluczem do osiągnięcia mocy *Vril*. Wykazuje ona uderzające podobieństwa do dramatycznego opisu Bulwera Lyttona. Jeżeli jako wtajemniczony ukrył on czy zamaskował niektóre z jej atrybutów, jest to zrozumiałe i nie zmniejsza rangi moich założeń. Pozostawiam zatem czytelnika jego własnym wnioskom, ponieważ nadszedł teraz czas na powrót do pozostałych tajemnic bardziej rzeczywistego świata Agharti i jego podziemnych tuneli. Spotkajmy się więc jeszcze raz z niezwyklej faktami, prowadzącymi do zdumiewających wniosków...

## Odnalezienie Shangri-la

Zbliżamy się powoli do końca naszej podróży w poszukiwaniu zaginionego świata Agharti. Wierzę, że udało mi się dotychczas dokładnie pokazać starożytne tradycje związane z istnieniem podziemnego królestwa oraz omówić teksty dotyczące tego tematu. Jednocześnie zaprezentowałem czytelnikowi bogaty materiał o podziemnych przejściach, które mają być z tym królestwem połączone. Wiele z omówionych zagadnień opiera się na niepodważalnych faktach; inne są przeważnie rezultatem fachowej i precyzyjnej argumentacji. Uważam, że istnienie zarówno Agharti, jak i podziemnych tuneli zostało przekonująco potwierdzone. Pozostaje jednak jeszcze wiele ważnych pytań, na które musimy koniecznie znaleźć odpowiedź.

Po pierwsze: jeżeli tunele istnieją i, jak twierdzą legendy, łączą ze sobą najważniejsze kontynenty świata, w jaki sposób możliwe jest zapewnienie takiego połączenia między obydwoma Amerykami a Europą, Afryką i Azją poprzez ogrom Oceanu Atlantyckiego? Po drugie: czy jesteśmy w stanie dokładnie określić położenie serca podziemnego świata, magicznego miasta Shangri-la, znanego też jako Szambala? I po trzecie: czy współczesna nauka dostarcza nam jakichkolwiek przesłanek co do możliwości powstania takiego świata w przeszłości, a także szans przeżycia ludzi w warunkach tak bardzo odmiennych od tych, z jakimi stykamy się my, mieszkańcy powierzchni Ziemi?

Na następnych stronicach tej książki postaram się dostarczyć czytelnikowi twierdzącą odpowiedź na wszystkie te pytania.

Na początek spróbujmy rozwikłać tajemnicę dotyczącą sieci podziemnych tuneli. Jak czytelnik może się przekonać na podstawie zamieszczonych w książce map, podczas moich badań doszedłem do wniosku, iż korytarze te rzeczywiście istnieją oraz że ich główny szlak biegnie wzdłuż zaznaczonej trasy. (Możliwości połączeń z innymi krajami niż ukazane na mapie omówię jeszcze w odpowiednim czasie.) Czytelnik z pewnością domyśli się, że jestem przekonany, iż korytarze te zapewniały kiedyś połączenie między Ameryką Północną a Azją pod wąskim, mniej więcej osiemdziesięciokilometrowej szerokości przesmykiem morskim znanym dziś jako Cieśnina Beringa. To twierdzenie jest możliwe do udowodnienia, a wspierają je dodatkowo przekazy żyjących w tych okolicach plemion eskimoskich. Robert Ernst Dickhoff wypowiedział się na ten temat następująco:

„Nikt nie powinien nie doceniać ważności i znaczenia faktu istnienia tych tuneli, szczególnie tych wciąż otwartych dla ludzi, którzy je znają... To przez nie właśnie Eskimosi przedostali się z Azji na Alaskę i do Kanady. Utrzymują oni, że nie przeszli po powierzchni lodu, jak chcą to koniecznie historycy; twierdzą, że do swojej migracji użyli podziemnych przejść łączących Azję z kontynentem amerykańskim, a biegnących pod Cieśniną Beringa”.

Choć wyjaśnienie to może wydać się prawdopodobne w odniesieniu do Cieśniny Beringa, sprawa wygląda całkiem inaczej na południu, gdzie odległość pomiędzy Ameryką Południową a najbliższym jej lądem, Afryką, wynosi około trzech tysięcy dwustu kilometrów. Wierzę jednak, że sieć tuneli łączyła niegdyś te dwa potężne kontynenty – biegnąc poprzez zaginiony ląd Atlantydy.

Jestem przekonany, że tunele te nie przebiegały pod powierzchnią oceanu trasy dłuższej niż kilkadziesiąt kilometrów, zanim docierały do lądu Atlantydy, gdzie ciągnęły się dalej w warunkach nie różniących się ani trochę od panujących na innych kontynentach. Jest to oczywiście najtrudniejsza do udowodnienia część mojej hipotezy, ponieważ zniszczenie Atlantydy pociągnęło za sobą naturalnie zniszczenie tamtej części systemu tuneli. A oto, w jaki sposób doszedłem do tego zdumiewającego wniosku.

Na pierwszą z przesłanek, na których opiera się moja teoria, natrafiłem przed laty, czytając starą

książkę historyczną pod tytułem *Oera Linda Boek*. Książka ta, pisana przez ponad pięćset lat (większą jej część napisał mieszkaniec Fryzji Ovira Linda w roku 803 n.e.), stanowi kompendium zapisków i faktów historycznych zebranych w całej Europie zarówno z przekazów ustnych, jak i starożytnych manuskryptów. W jednym z końcowych rozdziałów, napisanym najwyraźniej przez jakiegoś potomka pierwszego autora, Hiddo Oera Lindę, znajdujemy skierowaną do czytelników przestrożę, aby „strzegli tej księgi ciałem i duszą”. Kiedy przerzucałem stronicę książki, wzrok mój przykuł pewien fragment, który mnie niezwykle zainteresował:

„W księgach tych znajdują się historie wszystkich nas i naszych praojców. Zeszłego roku ocalałem je przed powodzią... zmokły jednak i zaczęły gnić. Aby ich nie stracić, przepisałem je na zagranicznym papierze. Kiedy je odziedziczycie, musicie też uczynić, i tak samo muszą czynić wasze dzieci. W ten sposób może nigdy nie zaginą”.

Same te słowa były dostatecznie intrygujące, moje zainteresowanie jednak rozbudziło na dobre dopiero postscriptum: „Napisano w Ljuwert w roku 3499 po zatonięciu Atlandu (Atlantydy) lub 1256 roku rachuby chrześcijańskiej”. Ponieważ już od dawna byłem zafascynowany legendą Atlantydy, dalej przerzucałem karty książki, dowiadując się o wyczynach narodu fryzyjskiego i jego kontaktach z resztą Europy.

Nieco dalej natrafiłem na kolejną wzmiankę o Atlantydzie, tym razem jednak w połączeniu z inną, jeszcze bardziej ekscytującą informacją. Autor pisze, że Atland (lub Atlantyda) uległa zniszczeniu, kiedy „drżała ziemia, ciemność zaległa na niebie, słyszało się głośne wybuchy i hałas piorunów”. Wtedy król Atlantydy „poprowadził ocalałych do kraju Wotan p r z e z o l b r z y m i e i p r a s t a r e t u n e l e” (podkreślenie własne).

W tym wydaniu *Oera Lirua Boek* (w tłumaczenia Williama. R. Sandbacha z 1876 r.) znajdował się przypis objaśniający, że kraj Wotan to faktycznie Ameryka Środkowa. I tak natknąłem się nie tylko na wczesną wzmiankę o połączeniu między Atlantydą i Ameryką Południową, która potwierdza to, co mówiłem na ten temat w osobnym rozdziale – lecz w dodatku na wyraźną wskazówkę, że oba kontynenty łączyły „olbrzymie i prastare tunele”. Ciągle o tym pamiętałem, kiedy już rozpocząłem badania legendy o Agharti.

Następną poszlakę, już w trakcie pracy nad niniejszą książką, znalazłem w godnej uwagi książce Harolda Bayleya *Archaic England* („Anglia archaiczna”, 1919). Chociaż nie zacząłem jeszcze nawet formułować swojej teorii, znalazłem tam coś, co spowodowało, że przerwałem pracę. Bayley pisze mianowicie:

„Dobrze obecnie wiadomo, że komunikacja pomiędzy Wschodem a Zachodem istniała na długo przed odkryciem Ameryki przez Kolumba; nie ma zatem nic nieprawdopodobnego w tradycji stanu Chiapas w Meksyku, którego mieszkańcy twierdzą, że ich Wotan, po uregulowaniu spraw na Zachodzie, odwiedził Hiszpanię i Rzym. Legenda opowiada, że Wotan »podróżował drogą wydrążoną przez jego braci, Kulebrow«”.

Bardzo ciekawe stwierdzenie. Wyrażenie „droga, którą wydrążyli Kulebrowie” musiało oczywiście odnosić się do tunelu, każdy zaś tunel, który umożliwiał podróż do Hiszpanii i Rzymu komuś z Ameryki Środkowej, musiał oczywiście przebiegać pod Oceanem Atlantyckim. Przypomniałem sobie od razu wzmiankę w *Oera Linda Boek* o Atlantydzie połączonej tunelami z krajem Wotan. Czyżbym natknął się na rozwiązanie odwiecznej zagadki? Czy odkryłem przyczynę występowania niezwykłych podobieństw między ludami po obu stronach Atlantyku?

Harold Bayley wyjaśnia dalej w swej książce, że choć trudno ustalić, kim są wspomniani w meksykańskim przekazie Kulebrowie, nie zmniejsza to prawdopodobieństwa istnienia tuneli wybudowanych przez lud żyjący na stałe lub czasowo w Afryce. Bayley pisze:

„Wzmiankę o drodze, którą wydrążyli Kulebrowie, można by uznać za fikcję, gdyby nie ciekawa historia opowiedziana przez Livingstone'a, mianowicie, że w kraju Rua niektóre

plemiona żyją pod ziemią. »Niektóre z wykopów mają, jak mówią, około pięćdziesięciu kilometrów długości i wydrążenia dla spływającej wody; cały dystrykt może w nich wytrzymać oblężenie tak długo, jak jest to konieczne«”.

Bayley oznajmia także, że jest zupełnie przekonany o istnieniu Atlantydy:

„Skląniam się do przekonania, że opowieść Platona miała solidne podstawy, a podobieństwa, występujące w Peru, Meksyku, Brytanii, na Półwyspie Iberyjskim i w Afryce Północnej, pochodzą stąd, że – tak samo jak wyspy śródziemnomorskie – kraje te leżały w zasięgu wpływów atlantyjskich”.

Trzecią książką, która dostarczyła informacji umacniających mnie w przekonaniu o istnieniu Atlantydy, były *Mysteries of Ancient South America* („Tajemnice starożytnej Ameryki Południowej”, 1946) Harolda Wilkinsa, której fragmenty przytaczałem już uprzednio. Oto, co pisze jej autor:

„Ciekawostką spotykaną w Azji jest tradycja, że starożytna Atlantyda miała podobną do labiryntu sieć tuneli i przejść biegnących we wszystkich kierunkach; było to wtedy, kiedy jeszcze istniało połączenie lądowe między tym później zatopionym kontynentem a Afryką i starożytną Brazylią. W Atlantydzie tuneli tych używano jako miejsc dla obrzędów czarnej magii”.

Nie potrafię co prawda ustalić, na jakiej podstawie Wilkins dochodzi do ostatniego wniosku, wydaje się on jednak nie mieć wątpliwości co do istnienia międzykontynentalnego systemu tuneli. Chociaż nie zamierzam wdawać się tu w szczegóły na temat podobieństw przedmiotów kultury materialnej, odnalezionych po obu stronach Atlantyku, co wskazywałoby na jednakowe źródło inspiracji ich wykonawców (dzieła Ignatiusa Donelly'ego, pułkownika A. Braghine'a i H. S. Bellamy'ego dostarczają wyczerpujących danych), chciałbym jednak przytoczyć kilka opinii na temat samego kontynentu Atlantydy, aby uprawdopodobnić moje przekonanie, że stanowił on swego czasu rzeczywisty pomost pomiędzy Afryką a Ameryką. Położenie Atlantydy było różnie opisywane przez różnych autorów, uważam jednak, że sam Platon, jako pierwszy z wielkich autorytetów, jest zarazem najbardziej wiarygodny. Oto, co pisze w swym dialogu *Kritias*:

„W tym czasie można było przekroczyć morze. Za bramami, które nazywacie Słupami Herkulesa, była wyspa, większa od Libii i Azji razem wziętych, podróżni zaś mogli w owych czasach przenosić się stamtąd na inne wyspy, z nich zaś na drugą stronę morza, na inny kontynent”.

Słupy Herkulesa to oczywiście Cieśnina Gibraltarska, Atlantyda zaś o rozmiarach takich, jak podaje Platon, „większa od Libii i Azji razem wziętych”, zajęłaby z pewnością dużą część oceanu pomiędzy wybrzeżami Afryki i Ameryki Południowej. Kontynent po drugiej stronie morza to niewątpliwie Ameryka; oto, jak powstał pomost między lądami.

Moją teorię na temat kontaktu Atlantydy z Afryką i Ameryką podziela też szanowany autor dzieł o tajemnicach starożytności, dr Lewis Spencer napisał on liczne książki o zaginionym kontynencie, między innymi *The Problem of Atlantis* („Problem Atlantydy”, 1926) i *Will Europe follow Atlantis?* („Czy Europa pójdzie w ślady Atlantydy?”, 1942). W innej książce, *Atlantis in America* („Atlantyda w Ameryce”, 1925) zajmuje się przede wszystkim więziami między zaginionym kontynentem i obydwoma Amerykami:

„Twierdzę, że pojawienie się po obu stronach Atlantyku cywilizacji wykazujących istotne podobieństwa, dowodzi tego, że Europa i Afryka z jednej strony, a Ameryka z drugiej, musiały otrzymać swą kulturę ze wspólnego źródła – z Atlantydy. Głównymi elementami tego kompleksu kulturowego są wspólne przekazy mówiące o kataklizmie, zwyczaj mumifikacji zwłok,

czarnoksiężstwo oraz niektóre formy sztuki i obyczajów”.

Spence znajduje potwierdzenie swej teorii u innego eksperta w tej dziedzinie:

„Profesor Edward Hull jest zdania, iż »flora i fauna obu półkul potwierdza teorię geologiczną, głoszącą, że istniało na Atlantyku wspólne dla wszystkich form biologicznych pierwotne centrum rozwoju życia, a przed i w czasie okresów zlodowaceń na północy i na południu przez Ocean Atlantycki przebiegały wielkie pomosty lądowe. Do wniosku tego doszedłem na podstawie skrupulatnych badań wyników sondowań zaznaczonych na mapach morskich admiralicji«”.

Przedstawia także dalsze dowody na prawdziwość swoich twierdzeń:

„Mamy też do czynienia z bogatymi przesłankami natury przyrodniczej, dotyczącymi istniejącego niegdyś połączenia lądowego Europy i Ameryki. Europejskie zwierzęta mięsożerne pochodzące z okresu trzeciorzędu, wykazują istotne podobieństwo do swych amerykańskich odpowiedników. Ziemiczne *Amphisbaenidae*, czyli zwiłniki – jaszczurki beznogie, wszystkie sześćdziesiąt cztery ich gatunki, są zadomowione w Ameryce, Afryce i rejonie śródziemnomorskim.

Kobelt dowodzi, że szelfy morskie po obu stronach Atlantyku wskazują na pradawne połączenie między Starym a Nowym Światem, przerwane jedynie w miocenie, w okresie trzeciorzędu. Pewne gatunki mrówek pojawiają się zarówno na Azorach, jak i w Ameryce. Sześćdziesiąt procent motyli i ciem znajdujących na Wyspach Kanaryjskich jest pochodzenia śródziemnomorskiego, a dwadzieścia procent tychże występuje też w Ameryce. Niektóre gatunki pancerników przedstawiają najwyraźniejszy dowód na istnienie prastarego połączenia pomiędzy Europą a Ameryką”.

W kwestii zaś podobieństw łączących ludzi posłuchajmy Roberta Ernsta Dickhoffa:

„Kiedy sobie uświadomimy olbrzymią odległość między starożytną Babilonią a Meksykiem, zaczniemy się dziwić, jak to możliwe, że dwa tak oddalone ludy, żyjące na różnych kontynentach, kulturowały podobne wierzenia i sposoby ich wyrażania w sztuce: płaskorzeźby, ukazujące humanoidalnych bogów w postaci półludzkiej, półptasiej albo półludzkiej, półgadziej. Natchnieni wyjątkowym talentem ludzie epoki pre-meksykańskiej dobrze rozumieli wartość symboli, na co wskazuje ich narodowy emblemat: orzeł trzymający w dziobie węża, obezwładniający go szponami jednej z łap.

Przenieśmy się do Babilonu – oto bóg Aszur o głowie orła trzyma w dziobie boga-węża Quetzalcoatl i obezwładnia – w kraju zwanym Meksyk [sic!]... Jedynym rozwiązaniem tej zagadki wydaje się używanie tuneli; wyjaśniałoby to pokazaną tu niezwykłą koincydencję zjawisk symbolicznych, graniczących wręcz z fenomenem sił duchowych”.

Wykazawszy zatem, jak sądzę, istnienie pomostu lądowego na Oceanie Atlantyckim, chciałbym przyjrzeć się teraz kwestii samej Atlantydy. Zniszczenie tego kontynentu, a wraz z nim potężnej i zaawansowanej cywilizacji przez kataklizm z roku 9600 p.n.e., to fakt znany dziś każdemu uczniowi. Według relacji Platona Atlantyda musiała zajmować powierzchnię około sześciu milionów ośmiuset tysięcy kilometrów kwadratowych, czyli nieco mniej niż Australia.

W swej *History of Atlantis* dr Spence przekazuje nam wspaniały obraz tego kontynentu, stworzony na podstawie wiarygodnych według niego dowodów jej istnienia:

„Musimy wyobrazić sobie Atlantyde, wyspę niemal dorównującą wielkością Australii, jako siedzibę dumnej, pradawnej cywilizacji o wielkich aspiracjach. Zamieszkują ten świat ludzie o dystygowanym wyglądem, nie spotykamy już nigdy potem. Celebryją ceremonie religijne w

wielkich jaskiniach ozdobionych skomplikowanymi malowidłami... Życie publiczne w Atlantydzie obraca się i kwitnie wokół owych jaskinnych świątyni; rozwijają się klasy społeczne, będące pierwowzorem dzisiejszych”.

Dr Spence przedstawia nam dwa odmienne punkty widzenia dotyczące położenia zaginionego świata; pierwszy z nich jest jego własny, drugi – autora wcześniejszego. Oba umieszczają Atlantydę na Oceanie Atlantyckim pomiędzy wybrzeżami Ameryki Południowej i Afryki. Pierwszy z autorów, Pierre Termier, geolog francuski, jest obszernie cytowany przez Spence'a; oto główna teza: „Istniał niegdyś południowo-atlantycki czy afrykańsko-brazylijski kontynent, rozciągający się na północy aż po południowe granice gór Atlas, na wschodzie po Zatokę Perską i Kanał Mozambicki, na zachodzie po wschodnie granice Andów i pasma górskie Kolumbii i Wenezueli”. Dla potwierdzenia swych przekonań Termier dodaje: „Z punktu widzenia samej geologii platońska teoria istnienia Atlantydy jest wysoce prawdopodobna”.

Dr Spence samodzielnie analizuje istniejące przesłanki, dochodząc do następujących wniosków:

„Przypuściwszy, iż Atlantyda leżała, jak twierdzi Platon, naprzeciwko i całkiem niedaleko wybrzeża iberoafrykańskiego, musimy przedstawić sobie ląd rozciągający się na zachód co najmniej do 45° długości zachodniej, a w relacji północ-południe od prawie 45° do około 22° szerokości północnej. Rejon ten obejmuje nie tylko Azory i Wyspy Kanaryjskie, lecz także sporą część Morza Sargassowego, oprócz najgłębszego miejsca, i leży bezpośrednio ponad wielkimi uskokami dna morskiego, otaczającymi wymienione archipelagi. Jeżeli uznamy Wyspy Kanaryjskie za południowy kraniec (co jest zupełnie logiczne, gdyż ląd nie mógł wykraczać zbyt daleko poza ich brzegi, nie stykając się z Afryką), Azory zaś za północną granicę hipotetycznej masy lądowej właściwej Atlantydy, oraz rozszerzymy ją na zachód do 45° długości zachodniej, otrzymamy obszar nie tylko odpowiadający przekazowi Platona, lecz również cechom przyrodniczym, w uderzający sposób potwierdzającym jego wcześniejszą obecność”.

W ciekawym przypisie do powyższego wywodu Spence, w celu udokumentowania swych twierdzeń, powołuje się na inne, jeszcze wcześniejsze autorytety:

„Engel oraz hrabia de Corli wysunęli naukowe twierdzenie, że granice Atlantydy stykały się z jednej strony z granicami Europy, z drugiej zaś Afryki. Według nich ludzie przedostali się ze Starego do Nowego Świata przez pomost lądowy tworzony przez Atlantydę, którego zatopienie zniszczyło prastarą drogę komunikacji pomiędzy obydwoma kontynentami”.

W ten sposób potwierdza się istnienie lądu; umożliwiałyoby to zarazem budowę systemu tuneli, łączącego ze sobą obszary położone nad Oceanem Atlantyckim. Czy jednak istnieją dowody na to, że tunele takie kiedykolwiek zbudowano?





Figurka przedstawiająca, zdaniem historyka Lewisa Spence'a, mieszkańca Atlantydy.

W swych dwóch dialogach – *Timajos* i *Kritias* – zajmujących się między innymi tematem Atlantydy, Platon informuje, że Atlantyjscy, czyniąc użytek z bogactw naturalnych swej ziemi, „budowali świątynie, pałace, mosty i tunele, kierując także biegiem wód, które potrójnym strumieniem otaczały ich metropolię, aby można ich było używać”. Zdolność Atlantyjczyków do budowania olbrzymich przejść podziemnych z pewnością potwierdziłoby to, że skonstruowali oni kanał o długości ponad tysiąca sześciuset kilometrów, przebiegający częściowo pod dachem.

Istnienia podziemnych tuneli bronił pewien anonimowy autor na łamach czasopisma historycznego *Papyrus* z marca 1921 roku. Twierdził on, że to właśnie podziemne przejścia umożliwiły Atlantyjczykom ucieczkę przed kataklizmem, a w następstwie zaludnienie dużej części reszty świata. W artykule pod tytułem *Some Notes on the Lost Atlantis* („Kilka uwag na temat zaginionej Atlantydy”) nasz autor pisze:

„Atlantyda wysłała swe dzieci na cały świat. Wiele z nich żyje do dziś jako Indianie w Kanadzie i USA. Skolonizowały Egipt, tworząc potężne państwo. Rozprzestrzeniły się też na północnych obszarach Azji pod postacią Taranów i Mongołów; olbrzymia i płodna rasa, stanowiąca do dziś większość populacji Ziemi”.

Może najbardziej przekonujące dowody istnienia sieci tuneli pojawią się przed nami podczas studiowania poszczególnych przejść podziemnych, biegnących poprzez główne kontynenty świata i zbiegających się wreszcie w miejscu, gdzie leżała niegdyś Atlantyda – czyli tam, gdzie znajduje się utracony świat Agharti. Załączona mapa wyraźnie to obrazuje, chciałbym jednak dołączyć do niej kilka informacji dotyczących tras przebiegu tych tuneli.

Prześledziliśmy już co prawda bieg tuneli w Ameryce Północnej i Południowej, gdzie jeden z nich w najdalej na północ wysuniętej części przechodzi pod Cieśniną Beringa do Azji. Zajmiemy się za chwilę jego trasą, począwszy od tego miejsca. Na południu tunel gubi się w Brazylii, przemierzając następnie – jak wykazałem – zatopioną Atlantyde i pojawiając się znów w Afryce. Prześledźmy zatem jego drogę od tego momentu. Nie możemy oczywiście określić każdego kilometra jego trasy, inaczej tajemnica nie zachowałaby się przez tyle wieków; jednak posiadane wiadomości pozwalają na wykreślenie wystarczająco autentycznej linii jego przebiegu.

Najwięcej przekazów o podziemnych przejściach w Afryce dotyczy północy kontynentu; oto co pisze na ten temat Harold Bayley:

„Przypuszcza się generalnie, że Atlantyjczycy skolonizowali północną część Afryki, przez co staje się prawdopodobne, iż wspaniałe znaleziska z wykopalisk Rua wiążą się z kultem węża-Ra; wspomina je Livingstone, pisząc: »Plemiona w Rua żyją w podziemnych domach. Niektóre osady mają podobno po pięćdziesiąt kilometrów długości i wydrążenia umożliwiające spływ wody; cały dystrykt może w nich przetrwać oblężenie«”.

Znane są także opowieści o podziemnych tunelach używanych niegdyś jako kryjówek przez tubylców z Nigerii w dystrykcie Wamba; nazwa ta wydaje się nader trafna, bo wielu ekspertów uważa, że pochodzi ona od słowa „łono”. Według prastarej legendy znajduje się tam tunel, który wybiega na setki kilometrów w morze. Ponieważ najbliższym morzem jest tu Ocean Atlantycki, wiele wskazuje na to, że punkt wyjścia tunelu afrykańskiego biegnącego w kierunku Atlantydy znajduje się gdzieś w okolicach dzisiejszej Gwinei.

Nie są to jednak wszystkie dowody istnienia tuneli podziemnych w Afryce: Harold Bayley pisze:

„Występowanie podziemnych dróg wydaje się dość częste w Afryce. Kapitan Grant, towarzyszący kapitanowi Speke podczas poszukiwań źródeł Nilu, opowiada o ogromnym tunelu czy też przejściu podziemnym, wydrążonym pod korytem rzeki Kaoma. Gdy Grant spytał swego przewodnika, czy widział coś podobnego gdzie indziej, krajowiec odpowiedział: »Przypomina mi to rzeczy widziane w kraju leżącym na południe od jeziora Tanganika.« Następnie opisał tunel biegnący pod korytem innej rzeki noszącej tę samą nazwę, Kaoma – tunel tak długi, że przejście go zabiera karawanie czas od świtu do południa jednego dnia. Był on podobno tak wysoki, że nawet stojąc na grzbiecie wielbłąda nie dało się dosięgnąć jego sufitu. »Wewnątrz rosły wysokie trawy grubości laski do chodzenia; droga wysypana była białymi kamykami i tak szeroka – ponad czterysta metrów – że ci, co przemierzali tunel, mogli wszystko dobrze widzieć. Skały dookoła wyglądały tak, jakby zostały ociosane ręką ludzką«”.

Wszystkie te przesłanki upewniają mnie co do istnienia niezwykłego i nadzwyczaj długiego przejścia pod całą Afryką, nie będącego na pewno dziełem jej tubylczych mieszkańców.

Nasz trop prowadzi dalej – do Egiptu oraz słynnych piramid w okolicach Kairu, owych cudów starożytnego świata. Tutaj bowiem, w El Gizeh, jest ponoć tunel, do którego wejście znajduje się wśród fundamentów jednej z piramid. Zgodnie z pewnym przekazem przejście to „prowadzi bez przerwy aż do Tybetu”. Wiara w istnienie świata podziemi jest mocno zakorzeniona w mitologii Egiptu; jednym z jego starożytnych bogów był Ozyrys, Pan Podziemi. Istnieje wzmianka w egipskiej *Księdze Umarłych*, podobno odnosząca się do wspomnianego tunelu: „Jestem potomkiem wczorajszego dnia; wydały mnie na świat tunele ziemi, objawiam się zaś w oznaczonym czasie”.

Dr Raymond Bernard, spotkany przez nas już wcześniej ekspert od spraw Agharti, dokładnie przestudiował zagadnienie tuneli egipskich i doszedł do niezachwianego przekonania, że istnieje

połączenie między nami i Agharti, a także zaginioną Atlantydą. Badacz pisze:

„Tunel otwierający się u podstaw jednej z piramid egipskich ciągnie się jakoby dziewięćset kilometrów w kierunku Ameryki Południowej. Inny tunel, mający swój początek u zachodniego wybrzeża Afryki, biegnie ponoć pod wodą do miejsca, gdzie znajdowała się zaginiona Atlantyda. Ten sam tunel prowadzi także w odwrotnym kierunku, docierając do innego miasta, które leży podobno w samym centrum systemu podziemnych przejść.

Nie jest wykluczone, że gigantyczne posągi, według powszechnej opinii przedstawiające starożytnych faraonów egipskich, personifikują w rzeczywistości bogów atlantyjskich lub nadludzkie istoty zamieszkujące Podziemny Świat, z którymi kontaktowali się faraonowie. Tunel łączący się z podziemną komorą piramidy w Gizeh, zapewniał Atlantydzie połączenie z jej egipską kolonią; dzięki temu właśnie tunelowi bogowie-władcy Atlantydy pojawiali się wśród Egipcjan w ich olbrzymich świątyniach”.

Ciekawą historię dotyczącą Egiptu przytacza Harold Wilkins; według niego misjonarz francuski nazwiskiem Frot ogłosił w roku 1938, że w Boliwii znajdują się dowody wypraw podejmowanych przez Egipcjan do Ameryki Południowej. Frot oświadczył, że odkrył pokryty pismem kamień pochodzący z Kartaginy; ma on stanowić „dowód na to, iż przodkowie Egipcjan, na długo zanim przedostali się do Afryki i następnie do dorzecza Nilu, utworzyli starożytne imperium południowoamerykańskie, sięgające od dzisiejszej Boliwii do Bahii”. Misjonarz ów zaginął w Mato Grosso niedługo potem, nie zdążywszy pogłębić swej teorii. Jeżeli jednak przyjmiemy ją za prawdziwą, będzie to następna przesłanka, świadcząca o istnieniu komunikacji pomiędzy Afryką i Ameryką Południową za sprawą ludzi, którzy nie mogli być nikim innym, jak tylko Atlantyńczykami.

Zajmijmy się teraz szczegółami systemu tuneli istniejącego w Indiach, gdzie, jak pisałem wcześniej, francuski orientalista Louis Jacolliot zebrał i podał do wiadomości publicznej pierwsze informacje dotyczące Agharti. Nie chcąc powtarzać moich własnych wywodów, proszę czytelnika o pozwolenie przytoczenia w tym miejscu fragmentu z książki Erica Normana *The Hollow Earth*, w którym autor tak podsumowuje tradycje indyjskie:

„Wśród Hindusów krąży starożytna legenda o cywilizacji niezwykle wspaniałości, ulokowanej pod powierzchnią Azji Środkowej. Mówi się, że na północ od Himalajów, prawdopodobnie w Afganistanie lub na obszarze Hindukuszu, leży kilka podziemnych miast. Ta podziemna kraina Shangri-la jest zamieszkała przez rasę złotych ludzi, którzy rzadko komunikują się ze światem powierzchni. Od czasu do czasu odbywają podróże do naszych krain rozciągającymi się w wielu kierunkach tunelami. Wejścia do tuneli, zgodnie z wierzeniami, mają być ukryte w niektórych starożytnych miastach wschodu, na przykład w Elurze lub w jaskiniach Adzanta w paśmie górskim Czandoru w Indiach”.



Tajemniczy system tuneli odkryty w górach Czandoru w Indiach.

Natrafiliśmy więc na samo serce sieci podziemnych korytarzy, miasto zwane Szambalą; musimy jednak prześledzić jeszcze pozostałą część tego labiryntu, która podąża od Cieśniny Beringa przez Syberię, Mongolię i Chiny.

Dzięki Ferdynandowi Ossendowskiemu i Mikołajowi Roerichowi mamy jasny obraz stanu rosyjskiej wiedzy na temat Agharti, możemy zatem udać się od razu do jednego z najważniejszych miejsc Rosji, rejonu rzeki Kołymy w paśmie Gór Czerskiego. Tu właśnie, kilkaset kilometrów od Cieśniny Beringa, istnieje sieć tuneli podziemnych, ledwie zbadana od momentu ich odkrycia w zeszłym stuleciu. O korytarzach tych wiedziano od setek lat, traktowano je jednak zawsze jako wielkie groty, dopóki badacze nie stwierdzili wreszcie, że ciągną się one bez końca pod górami w kierunku południowo-zachodnim.

Ogłędziny tuneli na sporym odcinku pokazały, że choć po części zostały one uformowane przez siły natury, to niektóre ich fragmenty zostały ewidentnie obrobione rękami ludzkimi. W tych miejscach powierzchnia ścian była niemal idealnie gładka, jak gdyby tunel drążono za pomocą maszyn.

Tunele te, które – jak sądzę – prowadzą do Mongolii i dalej, przypominają bardzo inny system, odkryty nie dalej niż ćwierć wieku temu w Azerbejdżanie. Tam właśnie dziwne odgłosy i światło, jakie zdawały się wydobywać z bezdennej studni, skłoniły naukowców rosyjskich do zbadania korytarzy. Natrafili oni, jak pisze Piotr Kołosimow w książce „Odwieczna Ziemia” (1968), na „całą sieć tuneli, które okazały się połączone z innymi korytarzami w Gruzji i w dalszych okolicach Kaukazu”. Oto jak Kołosimow opisuje owo odkrycie:

„Początkowo uważano, że są to prehistoryczne jaskinie; w pobliżu ich wlotów znaleziono malowidła skalne i szczątki ludzkie, po dokładnych oględzinach okazało się jednak, że kości były znacznie starsze, niż rysunki na skale. Odkryto też, że większość jaskiń prowadzi do tuneli wydrążonych w zboczu góry... Jeden duży tunel, który udało się prześledzić na sporym odcinku,

wiódł do obszernej podziemnej sali, czy może placu, o wysokości ponad dwudziestu metrów. Oczywiście było, iż jest ona dziełem istot inteligentnych, jakiemu celowi miała jednak służyć? Nie odkryto do tej pory żadnych wskazówek na ten temat; odpowiedź na to pytanie leży być może gdzieś dalej, w którymś z zablokowanych fragmentów tunelu”.

Kołosimow, jak sądzę, ma rację; tym bardziej słuszne – choć zapewne nie zdaje on sobie z tego sprawy – są jego dalsze słowa: „Główne wejścia prowadzące do tych tuneli mają regularną formę, eleganckie proste ściany i wąskie łuki. Najciekawsze jest przy tym, że są prawie identyczne z podobnymi tunelami Ameryki Środkowej”.

I tak powinno być, skoro są częściami jednego i tego samego globalnego systemu!

Według Kołosimowa niektórzy archeolodzy rosyjscy uważają, że tunele stanowią fragment olbrzymiej sieci ciągnącej się w kierunku Iranu i być może połączonej z innymi przejściami podziemnymi, odkrytymi w pobliżu Amu Dańi w Turkmenii i dalej na granicy rosyjsko-afgańskiej. „A może nawet – dodaje Kołosimow – z podziemnymi labiryntami Chin Środkowych i Zachodnich, Syberii i Mongolii”.

Na Syberii znane są opowieści o przejściach podziemnych w rejonie znanym ze swych niebezpiecznych, pokrytych śniegiem grzbietów w Górach Ałtaju. Gdzie indziej znowu, w miejscu o nazwie Ergor, ma znajdować się wejście do krainy, którą miejscowi nazywają Biełowodie – Błogosławiony Kraj, ich własna wersja Agharti.

Według danych, podanych przez T. Biełoszinowa w artykule „Historia Biełowodia” zamieszczonym w dzienniku Zachodniosyberyjskiego Towarzystwa Geograficznego w 1916 roku, ludzie w tej okolicy wierzą dosłownie w tę legendę, utrzymując, że podziemne królestwo jest „ziemskim rajem, w którym nie istnieją prześladowania”. Pewien starzec powiedział autorowi artykułu: „Jeżeli mimo wszelkich niebezpieczeństw duch twój jest gotowy do osiągnięcia tego miejsca, ludzie Biełowodia pozdrowią cię; jeżeli zaś uznają cię za godnego, mogą ci nawet pozwolić zostać z nimi. Rzadko się to jednak zdarza, choć wielu ludzi usiłowało tam dotrzeć”.

Komentując te uwagi, Biełoszinow pisze dalej: „Ci starzy ludzie z przekonaniem podejmowali wielkie wysiłki, aby odnaleźć tę baśniową krainę; przez jakiś czas za Biełowodie uważano Góry Ałtaj, stopniowo jednak ten legendarny rejon począł przesuwac się w kierunku Himalajów”.

Wędrując do położonej dalej na południe Mongolii przekonujemy się, iż tradycja „ziemskiego raj” jest tu jeszcze trwalsza. Oto relacja Roberta Dickhoffa:

„Plemiona zamieszkujące Mongolię Wewnętrzną wierzą, że Agharti jest tworem cywilizacji przedpotopowej, niebywale starej i zamieszkującej ongiś jakiś zakątek obecnego Afganistanu; uważają, że owo tajemnicze miasto ma połączenie z tunelami biegnącymi ku niemu ze wszystkich stron świata”.

Mikołaj Roerich żywił przekonanie, że o tajemniczym królestwie wiedzą nie tylko miejscowi i uczeni lamowie, lecz także członkowie rządu, z reguły niechętnie rozmawiający o tym z niewtajemniczonymi. Roerich usłyszał też w Ułan Bator opowieść ludową o dziwnych kamiennych kręgach, które miały sygnalizować jedno z wejść do Agharti, pokazując na kamienie, pewien starzec powiedział Roerichowi:

„Tutaj to lud Czud zszedł pod ziemię. Kiedy Biały Car przybył do naszego Ałtaju i kiedy zaczęły kwitnąć białe brzozy, lud Czud zdecydował się, że nie chce żyć pod władzą Białego Cara. Ludzie Czud zeszli w podziemia i zamknęli za sobą przejście potężnymi głazami, takimi jak te, widzisz je? Lecz lud Czud nie odszedł na zawsze. Kiedy nadejdzie nowa era, kiedy ludzie z Biełowodia powrócą i przekażą innym ludom nową wiedzę, wtedy lud Czud powróci wraz ze wszystkimi zdobytymi skarbami”.

Roerich pisze, że pustynię Gobi długo kojarzono z legendą o Agharti; podobno niektórzy ludzie wierzą, iż stolica podziemnego świata, Szambala, leży pod jej piaskami. Podróżnik dodaje jeszcze:

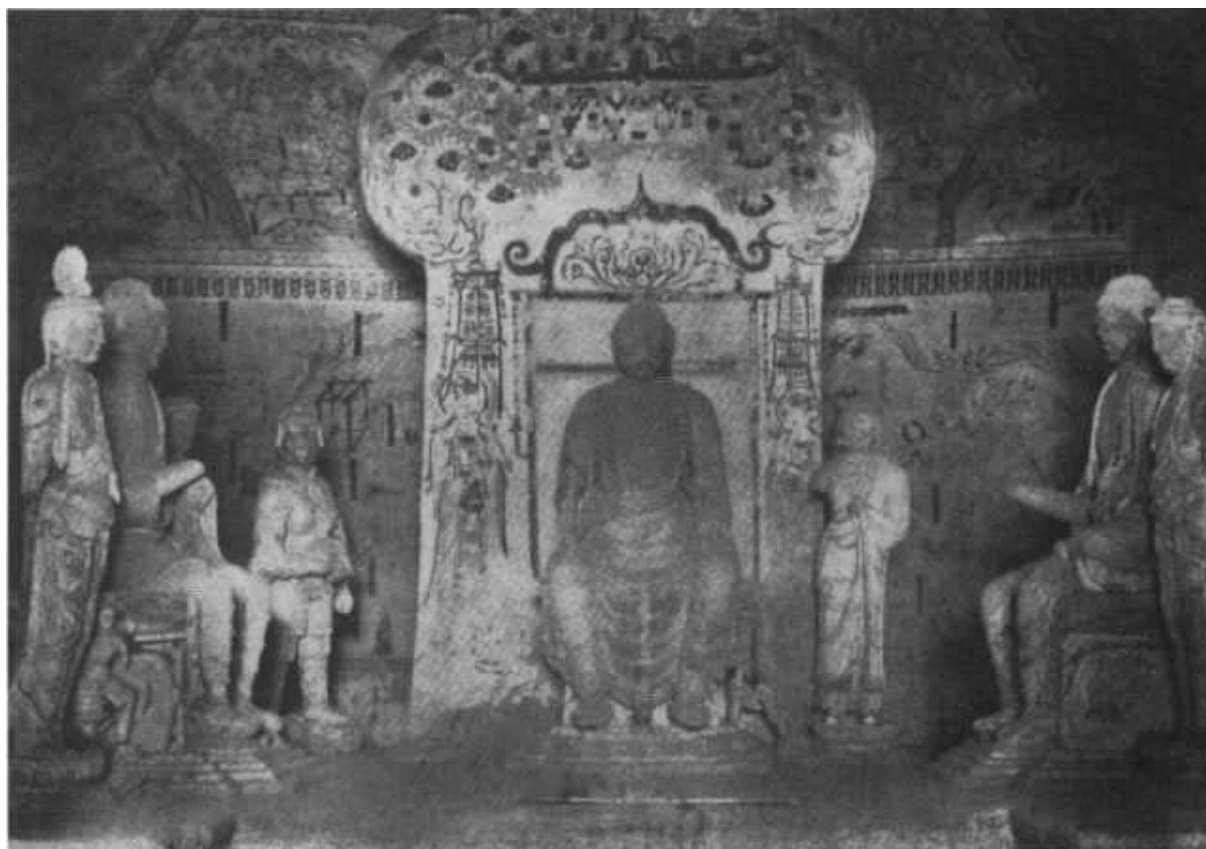
„Nie dziwimy się, znajdując w Mongolii wiele znaków wskazujących na Szambalę. W tych krajach siły psychiczne ludzi są bardzo wysoko rozwinięte”.

Na południowo-wschodnim skraju pustyni Gobi, już na terytorium Chin, istnieją z pewnością podziemne przejścia. Miejsce, w którym leżą, zwie się Tungwang i znajduje się dokładnie na granicy z Tybetem.

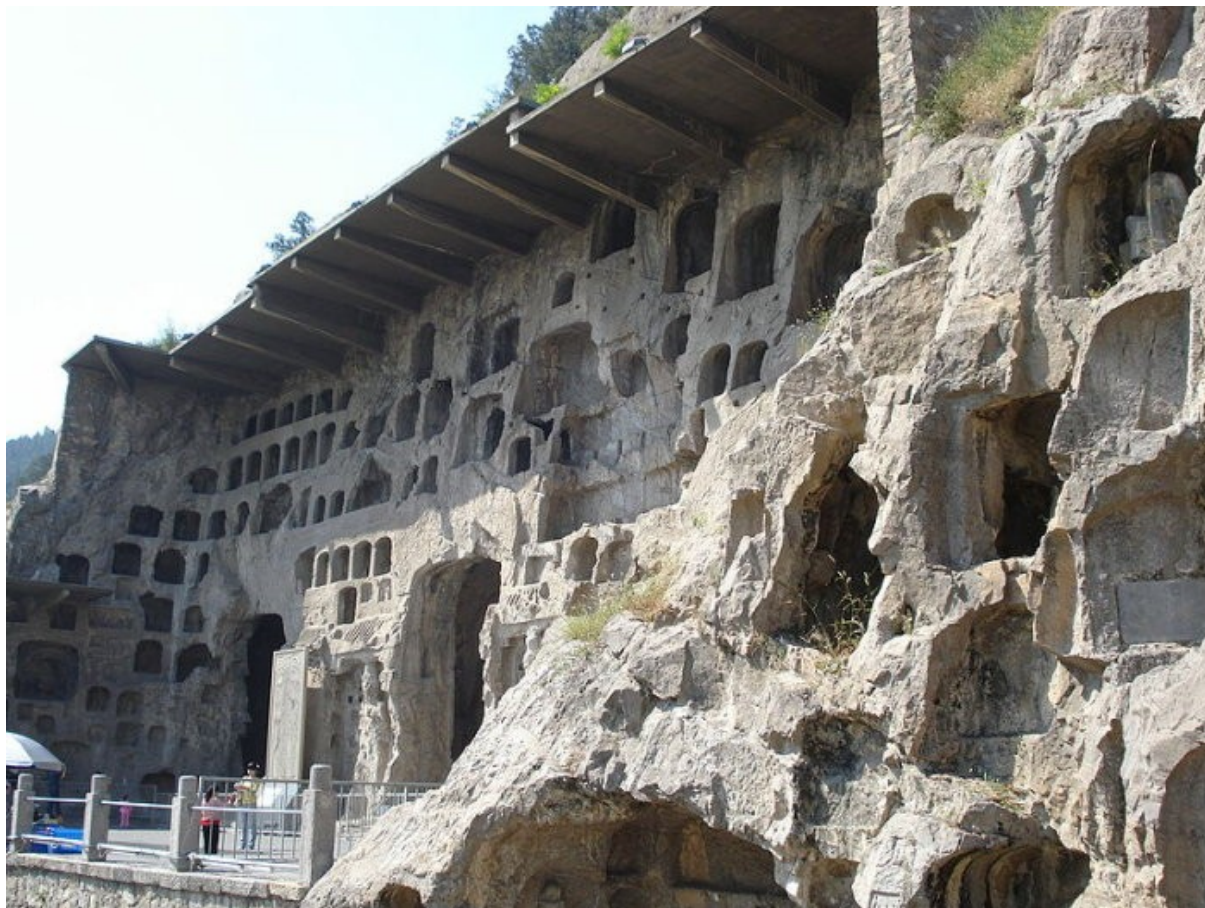
W skalistym terenie, około szesnastu kilometrów na północ od miasta, znajduje się szereg sztucznie wydrążonych grot zwanych „Jaskiniami Tysiąca Buddów”. Zostały one wykute między 357 i 384 r. n.e., w okresie, kiedy buddyzm dotarł do Chin, jako pomnik nowej religii. Tym jednak, co czyni te groty interesującymi z naszego punktu widzenia, jest fakt, że z jednej z nich prowadzą ukryte schody do labiryntu tuneli, znikających w mroku, dokładnie w południowym kierunku. Zafascynowało to także Piotra Kołosimowa, cytowanego wcześniej badacza. W innej swojej książce pod tytułem „Nie z tego świata” (1969) pisze on:

„Mówi się, że pierwsze z tych jaskiń nie zostały wykute przez buddyjskich mnichów, lecz przez ludzi, którzy poprzedzali ich o tysiące lat; te konstrukcje musiały już wtedy ukrywać wejście do labiryntu rozciągającego się pod olbrzymimi obszarami Azji Środkowej. Są to tunele legendarnych królestw Szambali i Agharti. Mówi się także, że pierwszy odcinek tych galerii znajduje się pod strażą mnichów, gotowych do zablokowania go przed bandytami poszukującymi ukrytych skarbów.

Jeden fakt dotyczący Tungwang jest pewny: w grocie, której archeologowie nadali numer pięćdziesiąt osiem, znajduje się ołtarz przedstawiający Śpiącego Buddę i zgromadzone za nim tłumy wiernych oraz dobre i złe duchy. Te ostatnie możemy zignorować, uznając je za wytwory kapryśnej wyobraźni artysty – wśród postaci wiernych są jednak i takie, które rysami twarzy i ubiorem żywo przypominają amerykańskich Indian!”



Tajemnicze Jaskinie Tysiąca Buddów w Chinach, pod którymi, jak sądzi wielu ekspertów, leżą korytarze prowadzące do Agharti.



Czy natrafiliśmy tu na jeszcze jeden dowód kontaktów pomiędzy kontynentem amerykańskim i tak odległym środkiem Azji? Trudno doprawdy znaleźć inne wyjaśnienie.

Na tych szczegółach z terenu Chin zakończyliśmy właściwie naszą swoistą podróż dookoła świata, polegającą na śledzeniu przebiegu systemu podziemnych tuneli. Podążaliśmy za nimi przez obie Ameryki, Atlantydę, Afrykę, Egipt i Indie aż po Himalaje, od drugiej zaś strony od Cieśniny Beringa przez Syberię, Mongolię i Chiny. Pozostaje nam do przebycia tylko jeden kraj, zanim doprowadzimy do połączenia obu tych tras: pełen tajemnic Tybet. Pod tym nagim płaskowyżem leży, jak sądzę, węzeł, w którym tunele łączą się w podziemnym królestwie Agharti, dokładniej zaś w miejscu noszącym nazwę Szambala, baśniowym i gorliwie poszukiwanym głównym mieście tego królestwa, legendarnego Shangri-la.

Tybet jest z pewnością jednym z najbardziej tajemniczych rejonów Ziemi, od pokoleń odciętym od reszty świata. Kraj znajdował się pod nominalnym panowaniem chińskim od około 1700 r. n.e., a w roku 1951 Chiny zrobiły użytek z tego prawa, zmuszając do opuszczenia Tybetu jego historycznego władcę, Dalajlamę, i wypędzając z klasztorów mnichów buddyjskich. W 1965 roku chińskie panowanie nad Tybetem zostało przypieczętowane; uznano ten kraj za autonomiczną część państwa chińskiego. Mgła tajemnicy, okrywająca liczący milion dwieście tysięcy kilometrów kwadratowych obszar tego kraju, stała się od tamtej pory jeszcze bardziej nieprzenikniona.

Wielu cytowanych w niniejszej książce ekspertów wypowiedziało się w kwestii możliwego położenia Szambali. Niektórzy twierdzą, że leży ona wśród ogromu Hindukuszu, inni – że pod nieprzyjaznymi piaskami wielkiej pustyni Gobi. Stawiano na ubogi i nieszczęśliwy Afganistan, niedawno zaatakowany przez wojska rosyjskie, proponowano też co najmniej dwa miejsca na terenie Chin. Robert Dickhoff nie ma wątpliwości co do tego, że „jest ona położona w Dolinie Szangpo w Chinach”, choć nie przytacza nic na poparcie tego twierdzenia; Eric Norman cytuje badacza amerykańskiego o nazwisku „Doc” Anderson który oświadcza, że wejście do niej leży pod „siedmioma piramidami (?) w pobliżu Sianfu, stolicy prowincji Szensi”. Wydaje się, iż pewien stary lama chiński zdradził kiedyś Andersonowi, że tajemnice Agharti są ukryte wewnątrz tych budowli.

„Powiedział, że pod piramidami są wejścia do tuneli. Tunele te mają dążyć do piramid Egiptu, do najwyższych klasztorów, a także przebiegać pod oceanami, łącząc ze sobą wszystkie lądy”.

Mimo iż większość tych sugestii wydaje się rozsądna, na podstawie moich własnych badań jestem przekonany, że Szambala leży pod Tybetem, a dokładniej pod obszarem usytuowanym na początku doliny rzeki Brahmaputry, jednego z niewielu miejsc w tym kraju, z którego łatwo i dyskretnie można czerpać powietrze i wodę, niezbędne do życia każdej podziemnej osady.

Moje przekonanie opiera się na szczegółowych badaniach klasycznego dzieła tybetańskiego *The Way of Szamballah* („Droga Szambali”), napisanego przez Taszi Lamę III około trzystu lat temu. Istnieje jeden jedyny przekład z tybetańskiego, dokonany przez wielkiego niemieckiego orientalistę Alberta Grunwendela w roku 1915. Grunwendel, znawca zarówno Chin, jak i Tybetu, autor dwóch klasycznych prac na temat mistycznych wierzeń różnych krajów: *Mythologie du Buddhis me au tybet et en Mongolie* („Mitologia buddyjska Tybetu i Mongolii”, 1900) i *Altbuddhist: Kultstätten in Chinesisch-Turkestan* („Buddysta starożytny: miejsca kultu w chińskiej części Turkiestanu”, 1912), okazał się osobą idealną do zmagania z przekładem księgi Taszi Lamy. Mieszanka geograficznych i symbolicznych aluzji czyni ją bowiem dziełem trudnym do czytania i jeszcze trudniejszym do interpretacji; jedynie przypisy Grunwendela umożliwiają czytelnikowi wyciągnięcie z zawartości księgi jakichkolwiek wniosków. Mikołaj Roerich, który także zajmował się tym dziełem, tak pisze o komplikacjach oczekujących każdego, kto poszukuje rozwiązania tajemnicy Szambali:

„Na wschodzie wiedzą, że istnieją dwie Szambale, jedna ziemską, druga niewidzialną. Wiele już spekulowano na temat położenia ziemskiej Szambali. Pewne przesłanki wskazują, że miejsce to leży na dalekiej północy; promienie gwiazdy *Aurora Borealis* są jakoby promieniami Szambali niewidzialnej. Łatwo zrozumieć to odniesienie do północy – starożytną nazwą Szambali jest Czang-Szambala, czyli Szambala Północna. Można to wyjaśnić w ten sposób, że nauka o Szambali została po raz pierwszy objawiona w Indiach, a dla Indii wszystko, co leży w Himalajach i poza nimi, jest Północą.

Wiele innych przesłanek połączonych z symbolami wskazuje na położenie Szambali w Pamirze, Turkiestanie lub środkowej Gobi... Ta względność oraz wiele błędnych koncepcji lokalizacji Szambali mają całkiem naturalne powody. We wszystkich dotyczących Szambali książkach, we wszystkich ustnych przekazach, lokalizacja tego samego miejsca opisywana jest nadzwyczaj symbolicznym językiem, niemal nie do rozszyfrowania dla niewtajemniczonych. Tylko wielka wiedza o prastarych miejscach kultu buddyjskiego i znajomość lokalnych nazw może pomóc w rozplątaniu tej skomplikowanej pajęczyny”.

Niezbity jednak z tropu pułapkami, pracowałem metodycznie nad przekładem niemieckim dzieła Taszi Lamy, odkrywając w końcu, jak sądzę, istotne wskazówki dotyczące lokalizacji Szambali.

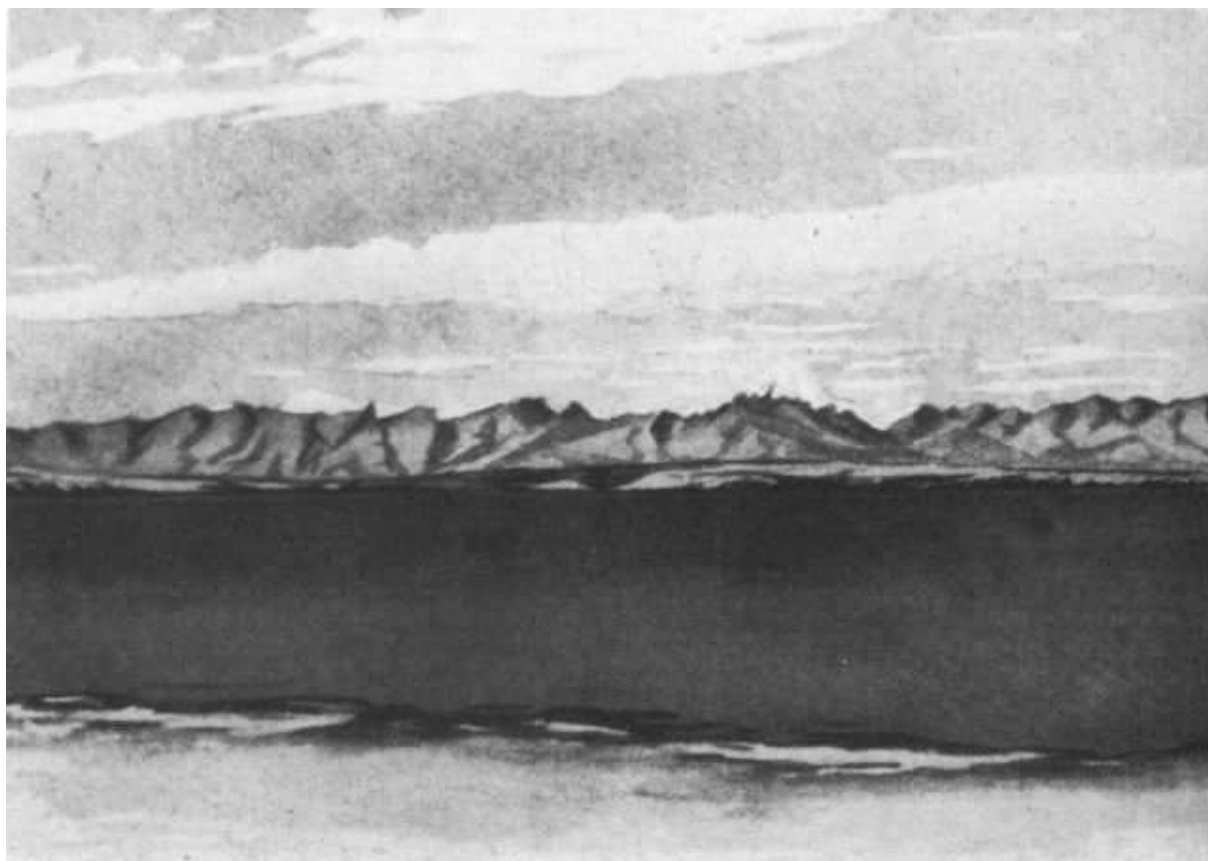
Po pierwsze, Taszi Lama wypowiada się całkiem dokładnie, że podziemne królestwo leży „w dolinie na zachód od Lhasy”, przytaczając zarazem wiele zagadkowych wzmianek na temat liczego społeczeństwa nazywanego „Górą Sumeru”, znajdującego się właśnie w tej okolicy. Nietrudno jest odnaleźć na mapie Tybetu tę dolinę, przebiegającą na zachód od stolicy – dolinę rzeki Brahmaputry. Nad brzegami tej malowniczej rzeki, około dwustu czterdziestu kilometrów od Lhasy, leży Szigatse, drugie pod względem wielkości miasto Tybetu. Znajduje się tu olbrzymia, blokująca drogę przez dolinę forteca oraz wspaniałe klasztor Taszi Lunpo. Okazuje się, iż sama nazwa Szigatse oznacza „przepiękny obiekt” lub „Góra Sumeru” – czyżby miało to być wyjaśnienie wzmianki Taszi Lamy? „Góra Sumeru” jest legendarną górą występującą w pismach buddyzmu.

Po drugie, Taszi Lama oświadcza, iż Szambala „styka się na drugiej stronie ze świętym jeziorem”. Jadąc wzdłuż doliny Brahmaputry i pozostawiając z tyłu Szigatse, natrafiamy niebawem na opisywane przez niego „święte jezioro”: jezioro Manasarowar. Ten zbiornik wodny o osmiokątnej kształcie, zajmujący powierzchnię około dwustu sześćdziesięciu kilometrów kwadratowych, jest jakoby największym na świecie zbiornikiem słodkiej wody, leżącym na takiej wysokości około czterech tysięcy siedmuset metrów n.p.m. Tybetańczycy nazywają go po prostu Tso Rinpoche (Święte Jezioro); zajmuje ono szczególną pozycję w mitologii hinduizmu, jako że



źródła czterech najświętszych rzek Indii – Indusu, Satledżu, Gangesu i oczywiście Brahmaputry, biją w promieniu kilkunastu kilometrów od niego.

Jeżeli początkowo nie byłem tak zupełnie pewien, czy odnalazłem właściwe jezioro, wątpliwości moje rozwiały się natychmiast, kiedy u Taszi Lamy przeczytałem wzmiankę o „świętej górze, w której cieniu leży”. W pobliżu północno-zachodniego krańca jeziora znajduje się bowiem szczyt Kailas Parbat, czczony przez lamów i górujący nad innymi szczytami po północnej stronie jeziora Manasarowar. Kailas Parbat wystaje ponad dwa tysiące sto metrów nad poziom otaczającego go płaskowyżu, jest nakryty czapą śnieżną, a u jego podstawy, według opowieści, znajduje się wiele jaskiń i głębokich szczelin.



Jedno z niewielu malowideł przedstawiających jezioro Manasarowar, uważane przez Tybetańczyków za święte; wierzą, iż leży ono blisko serca Agharti.

Po trzecie – i chyba najważniejsze – Taszi Lama oznajmia, że dzięki otworom w tej świętej górze „w zamierzchłych czasach niektórzy lamowie mogli spotykać się ze świętymi mężami z Szambali”. I znowu, dzięki uporczywym dociekaniom, znalazłem potwierdzenie moich przypuszczeń. W klasycznym bowiem opisie tych okolic, dokonany przez kapitana C. G. Rawlinga i zatytułowanym *The Great Plateau* („Wielki płaskowyż”, 1905), znajduje się następująca wzmianka o górze Kailas Parbat: „Miejsce to, zgodnie z wierzeniami Hindusów i muzułmanów, ma być siedzibą wszystkich bóstw, które piją wodę z jego jeziora i które mieszkają w jego niezbadanych jaskiniach; jest ono dla nich Świętą Górą”.



Jeziro Manasarowar.

Wszystkie odkryte przeze mnie wskazówki zdawały się zatem dokładnie zgadzać ze słowami świętego męża, i tak oto nabrałem pewności, że udało mi się dociec, gdzie leży Szambala – mianowicie pod doliną Brahmaputry, z Szingatse na wschodzie i jeziorem Manasarowar na zachodzie. Wszystkie przesłanki wskazywały również, że w zboczach góry Kailas Parbat znajduje się wejście do tego podziemnego miasta. W kolejnej książce, do której zajrzałem w trakcie skrupulatnego studiowania przekładu Grunwendela, odnalazłem jeszcze jedną wzmiankę, która dodatkowo utwierdziła, mnie w mojej opinii. Książka ta – *Three Years in Tibet* („Trzy lata w Tybecie”) – jest autorstwa członka jednego z japońskich towarzystw teozoficznych, Ekai Kawaguchia, wydano ją w roku 1909. Tak opisuje ona jeziro Manasarowar i jego okolice:

„Oto jedyny prawdziwy raj ziemski, wraz z Żyjącym Buddą i pięciuset innymi Świętymi zamieszkującymi górę Kailas na jego północno-zachodnich krańcach, a także pięciuset Nieśmiertelnymi, których domostwo znajduje się na szczycie Manri, wznoszącym się na południowym jego brzegu – wszędzie roztacza się tu obraz wiecznego piękna... Sądzę, że każdy chciałby ujrzeć to miejsce, jednak tego, o czym mówią Pisma, nie można dojrzeć naszymi ziemskimi oczami. Prawdziwą osobliwością tego obszaru jest, że odczuwa się tu jego cudownie inspirujące właściwości i stan niewymownego, świętego uniesienia”.

Wiemy, kim są członkowie różnych towarzystw teozoficznych i jak niezachwiana jest ich wiara w istnienie Agharti, Szambali i Króla Świata; czy ten opis nie mógł zatem stać się dla mnie kolejną jasną wskazówką, że ktoś jeszcze podziela moje przekonania?

Czytelnik chyba zgodzi się z tym, że opisane fakty wskazują na duże prawdopodobieństwo, iż serce podziemnego świata Agharti leży bezpośrednio pod obszarem Tybetu. Należy jedynie żałować, że dopóki kraj ten nie otworzy się bardziej dla gości z Zachodu, ani ja, ani nikt inny nie będzie mógł zweryfikować tej teorii.

Jednak nawet gdyby to było możliwe, pozostanie wiele nie wyjaśnionych kwestii. Przede wszystkim tunele, zbiegające się w królestwie Agharti. Czy jest możliwe, że istoty ludzkie używały

tych przejść w celu pokonania ogromnych odległości – a jeśli tak, to przy użyciu jakich środków lokomocji? A także, co ważniejsze – kim mogą być ci ludzie oraz jakie są dowody ich ewentualnego istnienia? Wreszcie zaś – kim jest tajemniczy władca królestwa, znany jedynie pod imieniem Król Świata?

Oto tematy, które zamierzam zbadać w ostatnim rozdziale niniejszej książki.

## 13.

### Państwo Króla Świata

W ciągu wielu lat, które spędziłem na zbieraniu materiałów do tej książki, natykałem się wielokrotnie na wzmianki o podziemnych korytarzach, mające związek z Agharti, a dotyczące miejsc oddalonych od opisaney w poprzednim rozdziale trasy przebiegu tuneli. Najprościej byłoby zignorować takie opowieści zakładając, że nie mają one nic wspólnego z badanym tematem. Czułem jednak, że postępując tak dopuściłbym się nieuczciwości. Umieściłem więc te strzępy informacji w kartotece, postanawiając, że wrócę do nich, kiedy będę już bliski sformułowania ostatecznych wniosków wynikających z moich poszukiwań.

Teraz, kiedy przyjrzałem się bliżej wzmiankom dotyczącym położonych „nie po drodze” podziemnych tuneli, wysnułem dość niezwykły, ale prawdopodobny wniosek – mianowicie, że system tuneli prowadzących do Agharti może mieć kilka odgałęzień, umożliwiających dostęp do jeszcze większych obszarów Ziemi. Wydaje się możliwe, że odgałęzienia te zbudowano po to, aby połączyć większą liczbę krajów położonych na najważniejszych kontynentach świata ze „złotą drogą” (nazwą tą określa główny system tuneli Agharti jedna z południowoamerykańskich legend). Nie widzę zatem powodów, dla których Wielka Brytania i jej europejscy sąsiedzi – Francja i Niemcy – nie miałyby być połączone z podziemnym królestwem przez tajemniczy szlak. Z pewnością dałoby się trafić na potwierdzenie tego przypuszczenia, jak choćby moje niezwykle przeżycie, które opisałem na samym początku książki. Przyjrzyjmy się zatem kilku przesłankom.

Ta, która jako pierwsza przykuła moją uwagę, znaj duje się w książce pod tytułem *The Mysterious Unknown* („Tajemnicze Nieznane”) francuskiego archeologa i dziennikarza Roberta Charroux, wydanej w roku 1969. Dzieło zawiera mnóstwo fascynujących i tajemniczych faktów, znanych podobno tylko wtajemniczonym; autor twierdzi ponadto, że człowiek zamieszkuje Ziemię znacznie dłużej, niż dotychczas przypuszczano, a nawet, że nasza rasa jest ostatnią z licznych ludzkich ras, które zamieszkiwały planetę przed nią.

Charroux poświęca jeden rozdział swej książki tajemnicy Agharti i Szambali; w rozdziale tym pisze:

„Agartha jest tajemniczym podziemnym królestwem, o którym mówi się, że leży pod powierzchnią Himalajów, a żyją w nim do dziś wielcy Wtajemniczeni i Mistrzowie obecnego cyklu. Agartha jest zatem ośrodkiem wtajemniczenia, funkcjonującym na tej samej zasadzie, co piramidy: Himalaje stanowią jego zewnętrzną monumentalną obudowę, której komorą wewnętrzną jest podziemne królestwo położone z dala od negatywnych wpływów ziemskich i kosmicznych. Jak jednak wyższe siły duchowe, intensywność myśli i medytacji, mogą się rozwijać w odseparowanym od wszystkiego wnętrzu Ziemi? Ostatecznie wydaje się, że olbrzymie potencjalne możliwości ludzkiego i nadludzkiego ego manifestują się wyraźniej w izolacji niż na zewnątrz, gdzie są narażone na zakłócenia płynące z otoczenia. Z drugiej strony można też argumentować, że doskonałość nie musi się przecież dalej rozwijać”.

Charroux podaje jeszcze jedną interesującą informację:

„Według przekazów istnieją cztery wejścia do Agartha: jedno pomiędzy łapami Sfinksa w Gizeh, drugie na Górze Świętego Michała, trzecie w szczelinie ziemnej w Lesie Broceliande, a brama główna – w okolicach samego podziemnego miasta Szambala w Tybecie”.

W twierdzeniu tym uderzyło mnie najbardziej, że choć znane mi były dwa z tych wejść, leżące zresztą tysiące kilometrów od siebie, w Egipcie i w Tybecie, to pozostałe dwa z nich miały się znajdować w rodzinnym kraju autora, we Francji. Ponieważ on sam nie próbował w żaden sposób dowieść tego faktu, postanowiłem zbadać go samodzielnie.

W obu przypadkach doznałem niestety zawodu. Na potwierdzenie istnienia podziemnych tuneli pod przepiękną Górą Świętego Michała i w pełnym tajemnic lesie Broceliande, które mogłyby stanowić dodatkowy element systemu Agharti, nie udało mi się odnaleźć nic poza ustnymi przekazami. Uważam jednak, iż chociażby ze względu na prawdziwą naturę zagadki Agharti fakt ten nie musi wcale znaczyć, że tunele takie nie istnieją.

Udało mi się odnaleźć bardziej konkretne dowody istnienia we Francji ogromnych tuneli w klasycznym dziele Sabine Baring-Gould *The Cliff Castles and Cave Dwellings of Europe*. Oto jak Baring-Gould opisuje zawalenie się kościoła w miejscowości Gapennes w Pikardii, „jednej z najstarszych prowincji Francji”, w nocy 13 lutego 1834 roku:

„Na początku przypuszczano, że stało się to na skutek trzęsienia ziemi, po jakimś czasie odkryto jednak prawdziwą przyczynę wydarzenia. Kościół wybudowano mianowicie nad olbrzymią siecią podziemnych przejść i tuneli, stropy zaś niektórych z nich w końcu nie wytrzymały. Wypadek doprowadził do odkrycia tych tuneli, po czym sporządzono plan możliwie największego obszaru podziemnego świata.

Gapennes nie jest jednak jedynym miejscem na terenie prowincji, gdzie występują takie przejścia. Odnaleziono ich już około setki, przy czym do już odkrytych wciąż dołączają nowe. Można doprawdy powiedzieć, że pomiędzy Arras i Amiens, pomiędzy Roye i morzem oraz pomiędzy biegami rzek Sommy i Authie, w mało której wiosce nie ma takich podziemnych tuneli. Wszystkie są do siebie podobne. Z jakich czasów, z jakiego okresu pochodzą? Niektóre z nich są niewątpliwie bardzo stare”.

Już przede mną niektórzy badacze sugerowali, że te podziemne korytarze mogą mieć coś wspólnego ze starożytną legendą o Agharti. (Istnieje ponadto inna francuska legenda, według której z głębokich jaskiń w pobliżu Marsylii słychać niekiedy dziwne odgłosy. Oto opis historyka: „Opowiadają, że ziemia trzęsie się i dziwnie porusza, i że z wnętrza jaskiń słychać okropne odgłosy”. Sugerowano, że może to mieć powiązanie z legendą o Agharti, ponieważ odgłosy przypominają hałas wywoływany przez „maszynę udarową”, w okolicy zaś widać czasami błyski zielonego światła; obydwoma tymi elementami jeszcze się tu zajmiemy.)

Inna z kolei książka zwróciła moją uwagę na możliwość istnienia podobnych tuneli także w Niemczech. Książką tą jest *The Inner Earth* („Wnętrze Ziemi”), napisana przez doktora M. Doreala i wydana nakładem autora w USA w roku 1946. Trafiłem w niej na ślad „Zagadki Shavera”, o której wspominałem wcześniej. Dr Doreal twierdzi, że istnieje wiele wejść do podziemnego świata, między innymi w Tybecie, na obszarze pustyni Gobi, w Ameryce Południowej (Półwysep Jukatan), Ameryce Północnej (Kalifornia), Kanadzie oraz w Górach Harcu w Niemczech.

W owym podziemnym królestwie, oświadcza autor, żyją pozostałości „dobrej rasy, która zamieszkiwała Ziemię, zanim jeszcze potomkowie Adama stali się istotami z krwi i kości”. Wierzy, że ludzie ci są wysokiego wzrostu, przystojni i nadzwyczaj długowieczni: „Nie opuścili oni Ziemi całkowicie, lecz żyją wciąż jeszcze w wielu ośrodkach podziemnych, chronionych przez »zagięcia« przestrzeni”.

Pomysł kojarzący istnienie niezwyklej rasy ludzkiej z Górami Harcu jest nadzwyczaj ciekawy, jako że góry te od wieków uważane są za tradycyjne miejsce wielkich sabatów czarownic. Zgodnie z legendą wszystkie czarownice i czarnoksiężnicy Europy zlatują się tutaj o określonej porze roku,

aby w nocy odprawiać szatańskie orgie. Cały obszar gór Harcu wywołuje do dziś zabobonny lęk u miejscowych, a wszystkie niezwykle wydarzenia przypisuje się działaniu owych czarownic. Symptomatyczne jest, że czarownice muszą dokonywać wielu obrzędów w jaskiniach, z dala od oczu ciekawskich; nie sądzę jednak, żeby te legendy miały cokolwiek wspólnego z istnieniem podziemnego królestwa. Posiadane przeze mnie informacje o Agharti wykluczają raczej, żeby akurat w tym jednym miejscu przedstawiciele tego narodu działali tak dziwnie, że przypominało to formę kultu diabła.

Tak więc tajemnica systemu tuneli podziemnych pod Górami Harcu pozostaje nie rozwiązana [Możliwe, że do jej rozwiązania przyczyni się opowieść przekazana nam przez doktora George'a Hartwiga w książce *The Subterranean World* („Świat podziemny”, 1871), przytaczam ją więc tutaj bez komentarza: „W roku 1848 pewien amerykański dżentelmen zdołał nakłonić jednego z przewodników po Jaskini Baumanna w Górach Harcu do oprowadzenia go po tych jej częściach, jakich nie dotknęła dotychczas stopa ludzka. Z trudem czołgali się przez śliskie skały i głębokie szczeliny, na dnie których ziała czarna otchłań; a jednak ciekawość i duch przygody wciąż popychały śmiałków naprzód, od przejścia do przejścia i od zagłębienia do zagłębienia, dopóki nie zaczęło im przygasać oświetlenie. Stłuczenie szkła kompasu skłoniło ich w końcu do zawrócenia z drogi. Po dwudziestoczterogodzinnej wędrówce w labiryncie podziemi, z dala od światła dnia, z radością powitali widok zielonego urwiska nad tym tajemniczym pałacem gnomów. Franz Baumann, pierwszy odkrywca tej jaskini, miał o wiele mniej szczęścia. Liczne i trudne zakręty zmyliły tego znakomitego i niez mordowanego znawcę gór tak, że zabłądził w głębinach groty. Kiedy na próżno poszukiwał wyjścia, skończyło mu się paliwo w lampie. Przez trzy dni posuwał się po omacku, dopóki wreszcie, kompletnie wyczerpany, cudownym przypadkiem nie natrafił na wejście do jaskini. Przed śmiercią zdołał jeszcze zebrać siły, żeby pokrótce zdać sprawę z niezwykłych wrażeń, jakie odniósł w trakcie swej fatalnej ekspedycji”]., mimo iż Sabine Baring-Gould podaje jeszcze więcej pozytywnych sygnałów co do Niemiec. W swej książce *The Cliff Castles and Cave Dwellings of Europe* oznajmia, że istnieją wystarczające dowody na istnienie długich podziemnych przejść pod miejscowościami Adersbach i Wickelsdorf, w pobliżu byłych granic Czech i Śląska:

„W roku 1866 armia pruska wdarła się do Czech; żołnierze stwierdzili wtedy, że mieszkańcy jednego z tamtejszych dystryktów znikli bez śladu wraz ze swym bydłem i majątkiem, pozostawiając puste domostwa i obejścia. To samo wydarzyło się już wcześniej podczas Wojny Trzydziestoletniej i podczas Wojny Siedmioletniej; nadchodzący najeźdźcy nie zastawali po przybyciu na te ziemie żywej duszy i musieli zadowolić się zniszczeniem pól oraz spaleniem wsi i gospodarstw. Dokąd udali się mieszkańcy? Do wnętrza podziemnych labiryntów Adersbachu i Wickelsdorfu, dostępnych jedynie poprzez nieliczne szczeliny w ziemi. Istnienie tych labiryntów do roku 1824 znane było tylko tamtejszym wieśniakom”.

Baring-Gould wyjaśnia, że nie dało się zbadać zasięgu tuneli oraz prześledzić ich biegu, ale według miejscowego przekazu jeden z nich nosi nazwę „Południowej Syberii”, ponieważ „można nim iść tak długo, aż osiągnie się ten pokryty śniegami rejon ziemi”.

Autor książki „Wieczna Ziemia”, Piotr Kołosimow, wymienia również wiele tuneli, które uważa za podobne do znajdujących się w Ameryce Południowej. Oto jego komentarz:

„Dziwne jest, że tunele tego rodzaju można znaleźć w prawie każdej części świata. Poza Ameryką Południową występują one w Kalifornii, w Wirginii, na Hawajach (gdzie najwyraźniej stanowią połączenie między poszczególnymi wyspami tego archipelagu), w Azji i Oceanii oraz w Szwecji, Czechosłowacji, na Balearach i na Malcie. Jeden olbrzymi tunel, zbadany na przestrzeni około pięćdziesięciu kilometrów, przebiega pod Hiszpanią i Marokiem; wielu wierzy, że tędy właśnie dotarły do Gibraltaru „małpy berberyjskie”, nieznane gdzie indziej w Europie. Sugerowano nawet, że te zbudowane przez Cyklopów galerie tworzą sieć łączącą ze sobą najbardziej odległe zakątki naszej planety”.

Czas, odległość oraz brak dokładnych szczegółów nie pozwoliły mi dotychczas na zbadanie prawdziwości przytaczanych przez Kołosimowa danych; wiadomo jedynie, że opowieści na ten temat przekazywane są wciąż na zasadzie tradycji ustnej. Wszystkie one, jak sądzę, dodają wagi argumentowi, że główny system tuneli Agharti ma liczne „odgałęzienia”.

Wracając wreszcie do Wielkiej Brytanii stwierdziłem, że w całym kraju krążą opowieści o systemach tuneli, z których najsłynniejsze są być może te w obrębie jaskiń Chislehurst w hrabstwie Kent. Chociaż ich pełny zasięg wciąż pozostaje nie zbadany – dotychczas poznano około pięćdziesięciu kilometrów wydrążenia – to uważam, że trudno będzie podtrzymać tezę ich przynależności do systemu Agharti. Mimo to tunele te otacza nimb tajemnicy, zgodnie z wydaną przed kilku laty opinią W. J. Nicholasa, prezydenta Brytyjskiego Towarzystwa Archeologicznego:

„Najbardziej chyba interesującymi elementami tych jaskiń są galerie skrzyżowane pod kątem prostym i zawierające około trzydziestu lub więcej komór o półkolistym kształcie; w niektórych komorach znaleziono wykute w wapieniu ołtarze ofiarne. Może to być przypadek, fakt jednak pozostaje faktem, teorię zaś kultowego przeznaczenia zdaje się potwierdzać odkrycie przylegającej do nich komory, przeznaczonej prawdopodobnie dla odprawiającego rytuały kapłana. Całe to miejsce jest przesycone aurą wielkiej tajemnicy; dziesiątki przesłanek zdają się wskazywać na to, że mamy tu do czynienia z podziemnym Stonehenge. Odczuwamy zdumienie, a nawet lęk na widok tak niezwykłego dzieła rąk ludzkich”.

Harold Bayley, autor książki *Archaic England*, w rozdziale zatytułowanym „Na dole” donosi również o istnieniu wielu podziemnych przejść w Anglii, szczególnie w hrabstwie Kent. „Hrabstwo to – pisze Bayley – odznacza się zdumiewającym bogactwem jaskiń, od tajemniczej, pojedynczej Dene Hole po zadziwiający kompleks grot, zamieniający wnętrza ziemi pod miejscowościami Chislehurst i Blackneath w istne sito”. Jeszcze ciekawszą wydała mi się wzmianka Bayleya o długich tunelach i grotach w hrabstwie Yorkshire, „kojarzonych zazwyczaj z rasą ludzką zamieszkującą podziemia”. Niektóre opowieści ludowe mówią, że żyją tam elfy, ale starsze przekazy utrzymują, że to „przodkowie całego rodzaju ludzkiego; czyż bowiem wszystkie mitologie świata nie wspominają o jaskiniach i grotach, odgrywających główną rolę w narodzinach ludzkości?” Bayley pewnie przeżywał rozterkę, za którą z wersji ma się opowiedzieć; będąc jednak raczej archeologiem niż badaczem mitów, zdecydował się na pozostawienie tej sprawy i zajęcie się innymi tematami.

Mnie natomiast te informacje pozwoliły nadać nowe znaczenie własnym przeżyciom w pamiętnym tunelu w hrabstwie Yorkshire. Tak wtedy, jak i dziś nie jestem pewien, czy otarłem się tam o Agharti, czy też nie. Twierdzenie Charroux, wyrażone w książce *The Mysterious Unknown*, sprawiło jednak, że sprawa ta pozostaje dla mnie otwarta. „Ośrodek wtajemniczenia znajduje się w Szambali, w Himalajach – pisze Charroux – jest też jednak pewne miejsce w Anglii, nienaruszalne, chociaż nie otaczają go żadne ściany”.

Te właśnie wydarzenia tamtego letniego dnia, zapoczątkowały moje poszukiwania tajemniczego „utraconego świata” i pozwoliły skoncentrować się na pytaniu: czy jest możliwe, że Agharti i jego mieszkańcy – niezależnie od tego, kim mogliby być – żyją po dziś dzień, czy też należą tylko do pokrytej pyłem zapomnienia legendy?

Dość szybko zdecydowałem, że moje zainteresowanie ożywiło głównie dziwne, zielonkawe światło, które zapamiętałem bardzo wyraźnie.

W zbieranych przeze mnie informacjach o podziemnym świecie regularnie natykałem się na twierdzenie, że tunele są oświetlane dziwnym, niespotykanym światłem, zawsze zielonym. Zarówno Ferdynand Ossendowski, jak i Mikołaj Roerich, który przywiózł z podróży do Azji pierwsze szczegółowe dane dotyczące Agharti, wspominali o tym dziwnym zjawisku.

To właśnie Roerich twierdził, że mieszkańcy podziemnego świata używają zamiast światła słonecznego jakiejś nieznannej energii, od powiedniej dla ich środowiska. To zielonkawe światło nie tylko rozjaśnia ich świat, lecz także stymuluje rozwój roślin oraz przedłuża życie. Także Eric

Norman w jednej ze swych nowszych prac potwierdza tę teorię: „Lamowie tybetańscy zapewniają, że tajemne tunele i jaskinne miasta są oświetlane niezwykłym zielonym światłem, korzystnym dla rozwoju roślinności, przedłużającym życie i wzmacniający zdrowie”.

O takim samym zielonym, fosforyzującym blasku wspomina się po drugiej stronie świata, w Ameryce Południowej. Harold Wilkins relacjonuje, że widuje się je w okolicach kopalni i tuneli; miejscowi określają je często jako *la luz del dinero*, „światło pieniądza”. „Te tajemnicze światła pojawiają się często o zmroku lub w ciemności, przewijając się niekiedy po podłożu jak węże i wydzielając zielonkawy blask albo dziwaczną, białawą poświatę. Niekiedy znowu są nieruchome i przypominają kolumny w jakiejś starożytnej inkaskiej świątyni słońca”. Chociaż Wilkins tak jak i ja spotkał się z sugestiami, że światło to może pochodzić z wydzielanych przez glebę gazów – jak to, co u nas nazywają „błędym ogniem” – woli on jednak sądzić, że jego źródłem jest „jakiś rodzaj występującego pod ziemią złoża metalu”. Dr Raymond Bernard i Robert Dickhoff, jak pisałem w rozdziale dotyczącym Brazylii, sądzą ze swej strony, że zielony blask to używany w królestwie Agharti sposób oświetlenia.

Natrafiałem także na inny opis przeżycia związanego z tajemniczym światłem; zdaje się ono potwierdzać wszystkie pozostałe opowieści na ten temat. Opisał je Piotr Kołosimow w książce „Wieczna Ziemia”:

„Mówi się, że pewien badacz dżungli amazońskiej odnalazł drogę do podziemnego labiryntu, »oświetlonego jakby przez szmaragdowe światło«. Musiał cofnąć się w pośpiechu, aby uniknąć ukąszenia przez monstrualnych rozmiarów pająka, przedtem jednak zdążył ujrzeć »coś jakby cienie ludzkie« poruszające się w dalekim krańcu jednego z przejść”.

Podobną historię przeżyła też pewna Angielka, wydarzyło się to jednak w podziemnej piwnicy; opisuje to W. T. Stead w swej książce *Real Ghost Stories* („Prawdziwe historie o duchach”, 1897). Wydarzenie miało miejsce u schyłku dziewiętnastego stulecia; przytaczam je tutaj bez komentarza, opisano je już bowiem w magazynie *Man, Myth and Magic* („Człowiek, mit i magia”) jako typowy przykład „wierzenia, że istoty podziemne niższego rzędu pojawiają się niekiedy w formie ciał astralnych na powierzchni Ziemi”. Kobieta powiedziała Steadowi:

„Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu zobaczyłam nagle, mniej więcej dwa metry od siebie, szczególnego rodzaju światło. Zaraz potem ujrzałam, jak światło to przybiera kształt głowy, a następnie twarzy, nad którą widać było szopę rozczochranych włosów. Twarz była bardzo duża i szeroka, z całą pewnością większa od naszych twarzy, miała wielkie zielone oczy, które nie wyodrębniały się wyraźnie od reszty i zdawały się stapiać z zielenią policzków; w dolnej partii twarzy nie było zarostu, pod nią zaś nie widziałam nic więcej. Twarz miała diabolicznie złośliwy wyraz, a kiedy zaczęła mi się przyglądać, moje przerażenie dorównało intensywności zdumieniu. Czułam, że coś tak okropnego musi być dziełem szatana, wpatrując się więc uparcie w zjawę, powiedziałam: »W imię Chrystusa, odejdz«, po czym złowroga twarz znikła”.

Badania pomogły mi też ustalić, że o dziwnych, huczących odgłosach, słyszanych przeze mnie w tunelu w hrabstwie Yorkshire, jest też mowa w innych relacjach dotyczących podziemnego świata. I tak na przykład w Kanadzie trafiłem na opowieści eskimoskie o „tajemniczych, dudniących odgłosach”, dobywających się z głębokich, nie zbadanych jaskiń. Również w Meksyku krąży wiele takich opowieści; William Hickling Prescott, autor doskonałego studium *History and Conquest of Mexico* („Historia i podbój Meksyku”, 1843), pisze, że krajowcy mówili mu o „głośnych hałasach wstrząsających ziemią”, które słyszeli w okolicach starych sieci tuneli w Palenque oraz w innych miejscach.



Płaskorzeźba kamienna z Palenque w Meksyku, przedstawiająca rzekomo Króla Świata w jednym z przejść prowadzących do jego królestwa.

Także Harold Wilkins natknął się w Meksyku na opowieści o podobnych dźwiękach, słyszanych w zrujnowanych miastach na granicy stanu Tehuantepec:

„Tu właśnie słyhać Oohah, czyli tajemniczy bębnienie, dochodzące z dala poprzez okoliczne dżungle i pasma górskie. Jedno z takich wymarłych miast znajduje się na płaskim wzniesieniu otoczonym urwiskami. Cały rejon pokryty jest zrujnowanymi piramidami, do których prowadzą starożytne drogi zbudowane z masywnych, wygładzonych bloków kamiennych. W rozpadlinach tego umarłego miasta znajdują się, według Indian ze stanu Chiapas, ukryte i strzeżone przez duchy kapłanów-władców Majów »księgi«, napisane na złotych kartach, a zawierające historię starożytnych przedmiotów i ras z czasów przedpotopowych oraz z późniejszego okresu cywilizacji Majów. Aby rozwiązać tę zagadkę, konieczne będzie oczywiście przeprowadzenie kompetentnych badań”.

Wilkins przytacza także inny ciekawy przypadek, dotyczący kamiennego miasta położonego dalej na południe, w dziczy górskiej południowo-zachodniego Darien:



„Stare legendy mówią, że w tym kamiennym mieście (zwanym DaHyba) istnieje tajemna podziemna świątynia na dnie jaskini; celebrowano tam niegdyś prastare rytuały podziemnego świata. W legendach tajemniczej Ameryki przeważnie nie ma dymu bez ognia. Krajowcy w Darien opowiadają szeptem, że ani rytuały, ani podziemne istoty, nie należą dziś bynajmniej do przeszłości”.

Również odgłosy słyszane w okolicach starożytnych kamiennych budowli Peru uważane są za oznaki „rytuałów celebrowanych przez mieszkańców podziemnego świata” – zgodnie z wiadomościami zdobytymi przez geografa, doktora Johna Jamesa von Tschudi, w trakcie prac badawczych prowadzonych przez niego w tym kraju, a zapisanych w jego książce *Peruvian Antiquities* („Starożytności peruwiańskie”, 1854). Inny badacz, Niemiec von Humboldt, który sam słyszał podobne dźwięki w okolicy „wymarłego miasta” położonego blisko Trujillo w północnym Peru w roku 1820, wyraził przypuszczenie, że odgłosy te – przypominające tętent koni – mogą być wywołane zmianami temperatury wód podziemnych. Jego przekonanie nie zostało jednak potwierdzone przez późniejsze badania; i tak tajemnica wciąż oczekuje na rozwiązanie.

Jak zauważa Ossendowski, w Azji wierzy się, że tajemnicze odgłosy niesione niekiedy wiatrem przy akompaniamencie wstrząsów ziemi, świadczą o działaniach Króla Świata. Zarówno ludzie, jak i zwierzęta słysząc je zamierają w bezruchu.

Istnieją inne przykłady i opisy dźwięków słyszanych w okolicach sieci podziemnych tuneli w Afryce, Indiach i pewnych rejonach Rosji, nie chciałbym jednak zajmować się dalej tym tematem. Uważam, że udało się w pełni potwierdzić fakt pojawiania się w podziemnych przejściach zielonego światła i tajemniczych odgłosów. Nie dowodzi to jednak bynajmniej, że istnienie niezwykle długich tuneli, o jakich tu mowa, jest rzeczywiście możliwe. Kiedy uzmysłowimy sobie olbrzymie trudności, jakich nastęrczałaby budowa takich przejść nawet dziś, kiedy mamy do dyspozycji najnowocześniejsze urządzenia, wydaje się niemal niepojęte, że mogli tego dokonać ludzie wcześniejszych epok z ich wyposażeniem i umiejętnościami. Mimo to niektórzy eksperci uważają, że tak było.

Nie ma, jak się zdaje, specjalnych wątpliwości co od tego, że system taki trzeba by było budować wykorzystując naturalne wydrążenie w skałach pod powierzchnią Ziemi; nauka udowodniła zaś bezspornie, że wydrążenia takie istnieją. (Dla potwierdzenia tej tezy przytoczę po prostu fragment klasycznego studium doktora George'a Hartwiga, *The Subterranean World* na temat podziemnych tuneli: „Wiele z nich to zwyczajne pęknięcia czy szczeliny w poddanych działaniu różnych sił skałach; inne to szerokie komory, nierzadko o wymiarach wielkich hal czy katedr, lub też długie, wąskie przejścia z mnóstwem odgałęzień. Często jedna i ta sama jaskinia przybiera postać to obszernych komór, to znów wąskich tuneli i galerii. Ściany wielu z nich są gładkie i niemal równoległe do siebie, innych nieregularne i szorstkie. Wiele z nich zaczyna się od wąskiego wejścia, jednak przybiera głębiej majestatyczne rozmiary, aby zwęzić się ponownie w miarę dalszego zagłębiania się w strukturę skały”.)

Jak już wspominałem, Ziemia składa się z płynnego jądra i dwóch głównych warstw ponad nim. Warstwa bliższa środka Ziemi podlega wysokim temperaturom i ciśnieniu, które upłynniają skały, podczas kiedy w warstwie zewnętrznej, chłodniejszej, ma miejsce zjawisko „tarcia”.

Możliwość występowania takich właśnie podziemnych jam jest tematem badań profesora Franka D. Adamsa z Montrealu, który wykazał eksperymentalnie, że mogą one istnieć nawet wewnątrz mas granitowych do głębokości około osiemnastu kilometrów. Twierdzenia Adamsa poparł matematyk Louis V. King, który obliczył, że w normalnej temperaturze wydrążenia w skałach mogą występować do głębokości dwudziestu siedmiu i pół, a nawet trzydziestu trzech i pół kilometra.

Te jamy i szczeliny tektoniczne, pomiędzy którymi można się było przemieszczać, spełniły zatem pierwszy warunek konieczny dla starożytnych budowniczych tuneli. Jaką technologią posługiwali się oni jednak przy budowie?

Sądzę, że ważną przesłankę dla rozwiązania tego problemu odnalazł Charroux; opowiada on mianowicie o Eufalinosie, który w starożytności wybudował tunel na wyspie Samos:

„Prace rozpoczęto jednocześnie z obu stron. Tunel ma około dziewięćset metrów długości, przebiega zupełnie prosto, tak więc obie ekipy spotkały się dokładnie zgodnie z planem. Francuscy i włoscy inżynierowie drążący tunel pod Mont Blanc mieli do dyspozycji elektroniczne urządzenia pomiarowe, radar, detektory pola magnetycznego i urządzenia rejestrujące ultradźwięki. O ile wiemy, Eufalinos nie znał nawet kompasu”.

Gdybyśmy jednak dalej wątpili w niebywałe osiągnięcia starożytnej inżynierii, Charroux przypomina nam o następującym fakcie:

„Podobnie zdumiewające z technicznego punktu widzenia są bazaltowe rzeźby z nieznanego wieku, odkryte w 1939 roku w sercu meksykańskiej dżungli – pięć olbrzymich głów, przypominających dobrze znane posągi z Wyspy Wielkanocnej, a także inne niesamowite dzieła sztuki rzeźbiarskiej, znajdujące w Andach, w Azji i Oceanii”.

Niez mordowany Erich von Däniken, który, jak wspominałem, badał kiedyś system tuneli podziemnych w Ekwadorze, nie ma wątpiwości co do sposobu budowania takich konstrukcji. Opisując swe doświadczenia w książce „Złoto bogów” (1972), rozwijającej jego teorię, że Ziemię zamieszkiwały niegdyś istoty pozaziemskie, von Däniken twierdzi, że tunele drążono za pomocą pewnego rodzaju wiertła termicznego. Oto główne argumenty, jakie wysuwa na poparcie swojej teorii:

„Gdy tylko przybyli, astronauta udali się pod ziemię. Tutaj stworzyli sobie siedzibę, przeprowadzili trasy komunikacyjne biegnące przez wielkie przestrzenie i zbudowali głęboko pod powierzchnią umocnienia, zapewniające im bezpieczeństwo i umożliwiające wydostawanie się na powierzchnię, aby mogli uprawiać pola swojej nowej ojczyzny i przeprowadzać dokładnie obmyślane plany budowy infrastruktury. Potrafię odeprzeć zarzut, jakoby budowniczy »wpadli w zastawioną przez samych siebie pułapkę«, jaką stanowiły olbrzymie masy odpadów, wydobytych w trakcie budowania tuneli. Ponieważ jestem pewny, że dysponowali zaawansowaną technologią, przypuszczam, że stosowali oni wiertło termiczne, na przykład takie, jakie opisano w *Der Spiegel* z dnia 3 kwietnia 1972, nazywając je najnowszym odkryciem”.

Von Däniken opisuje następnie, jak udoskonalano to wiertło w Laboratorium Badań Atomowych USA w Los Alamos. Urządzenie to jest wykonane z wolframu i rozgrzewane do wysokiej temperatury przez grafitowy element grzejny. Nie pozostawia odpadów, ponieważ topi skały, przez które się przewierca, odkładając je na bokach wydrążonego przejścia; tutaj stygną do normalnej temperatury. Däniken uważa też, że budowniczy tuneli mieli do dyspozycji generator promieniowania rentgenowskiego; dodaje także:

„Do spekulacji tych skłonił mnie system tuneli znajdujący się w Ekwadorze. Juan Moricz (mój przewodnik) uważa, że te długie, proste korytarze mają ściany pokryte warstwą stopionej skały i że duże komory zostały utworzone za pomocą materiałów wybuchowych. Precyzyjnie detonowane warstwy skał widać wyraźnie u wejścia do tunelu. Czworokątna brama również powstała na skutek wybuchu. O technicznej precyzji, z jaką zaplanowano tunel, świadczą umieszczone w regularnych odstępach szyby wentylacyjne. Są one dokładnie wygładzone i mają następujące rozmiary: długość 177,8 – 304,8 centymetrów, szerokość 78,74 centymetrów... To tutaj, na ogromnych głębokościach, »bogowie« zdecydowali się stworzyć ludzi »na swój obraz i podobieństwo« – wiele lat później, gdy nie obawiali się już, że mogą zostać odkryci”.

Czy przyjmiemy za prawdziwe twierdzenie, że system tuneli został zbudowany przez przybyszów z kosmosu, czy też nie, umiejętności budowniczych nie podlegają kwestii. Piotr Kołosimow, również zafascynowany problemem pochodzenia tuneli, oświadcza, że jeden z zapytanych o nie lamów tybetańskich odpowiedział: „Tak, tunele istnieją; zostały zbudowane przez

olbrzymów, którzy obdarzyli nas swoją wspaniałą wiedzą, kiedy świat był jeszcze młody”.

Istnieje wiele teorii na temat tego, kim byli pierwsi twórcy tuneli, a co za tym idzie – także królestwa Agharti; wszystkie one godne są oddzielnego omówienia.

Najwcześniejsi z teoretyków, Louis Jacolliot, markiz Saint-Yves d'Alveydre i madame Bławatska byli – jak wiemy – przekonani, że mieszkańcy utraconego świata są pozostałymi przy życiu przedstawicielami jednej z pierwotnych „praras” ludzkich. Przebywają oni w swym tajemnym królestwie ukryci przed wzrokiem późniejszych pokoleń, zadowolając się okazjonalnymi kontaktami z mieszkańcami powierzchni ziemi. Wraz ze zniszczeniem Atlantydy sieć ich podziemnych tuneli została przerwana, więc używano ich już znacznie rzadziej niż przedtem.

Ferdynand Ossendowski i Mikołaj Roerich skłaniają się ku wschodniej wersji opowieści o Agharti; według niej królestwo to założył przed sześćdziesięcioma tysiącami lat pewien święty człowiek wraz ze swoim ludem. Znikli oni pod ziemią, gdzie stworzyli następnie system tuneli umożliwiającą dostęp do różnych miejsc na Ziemi. Ossendowski tak pisze o tym królestwie:

„Wszyscy przebywający w nim ludzie są chronieni przed Złem; nie istnieją tam zbrodnie. Tantejsza nauka rozwinęła się w pokojowy sposób i nic nie jest zagrożone zniszczeniem. Mieszkańcy podziemnego świata dostąpili najwyższego stopnia wiedzy. Teraz są wielkim królestwem, liczącym miliony ludzi, z Królem Świata jako swoim władcą. Zna on wszystkie moce świata i czyta w duszach przedstawicieli rodzaju ludzkiego oraz w wielkiej księdze ich przeznaczenia”.

Dr Lewis Spence, Harold Wilkins i im współcześni, którzy poświęcili tak wiele czasu legendzie Atlantydy, są przekonani, że tunele zostały zbudowane przez Atlantyjczyków i wykorzystane przez nich do ucieczki przed kataklizmem, który zniszczył ich kontynent. Ci, którzy przetrwali katastrofę, osiedlili się następnie w różnych miejscach świata, chociaż część z nich zdecydowała się pozostać pod ziemią i stworzyć tajemne podziemne państwo, gdzie mogli się czuć bezpieczni od przyszłych zagrożeń. [Amerykański autor prac z dziedziny prehistorii, Brad Steiger, stwierdził ostatnio, iż wyjaśnienie to zostało przyjęte przez większość okultystów. W artykule zatytułowanym „Bóstwo Dymu, Decowie i inni mieszkańcy wnętrza ziemi” (czasopismo *Strange Magazine*, t. 1, nr 3 z 1971 r.) pisze on: „Okultyści widzą Agharti jako kontynuację cywilizacji Atlantydy; jego mieszkańcy są podobno zadowoleni, że mogą mieszkać w tunelach, z dala od ziemskich niepokojów, jedynie od czasu do czasu odwiedzając świat zewnętrzny”.]

Teorie prezentowane przez współczesnych autorów są jeszcze bardziej niezwykle. Buddysta Robert Dickhoff twierdzi kategorycznie:

„Pierwsi budowniczy tych tuneli nie pochodzili z Ziemi, lecz byli kolonizatorami z planety zwanej obecnie Marsem. Ci obcy osadnicy przewidywali, że czeka ich konkurencja i walka o posiadanie Ziemi, zbudowali więc system tuneli obronnych oraz podziemne ośrodki czy miasta zborcze, między innymi także Agharti”.

Dickhoff wyjaśnia też w książce *Agharta*, jak zbudowano te tunele.

„Jak wiadomo, linia prosta jest najkrótszym możliwym dystansem pomiędzy dwoma punktami; owi starożytni budowniczowie na pewno zdawali sobie sprawę z tej uniwersalnej reguły, wiercili zatem proste tunele od kontynentu do kontynentu, tworząc w ten sposób sprawne linie komunikacyjne i transportowe. Przy okazji eksploatowali złoża szlachetnych metali oraz poszukiwali surowca nadającego się do produkcji paliwa dla statków kosmicznych, branych przez starożytne ludy Ziemi za plujące ogniem smoki, które przyniosły ze sobą obce istoty z innego świata”.

Dickhoff wierzy też, że budowniczy tuneli byli ludźmi olbrzymiego wzrostu, i że to do nich

odnoszą się słowa biblijnej *Księgi Rodzaju*: „A byli w owych czasach na ziemi giganci”.

„*Księga Rodzaju*, jeżeli przyjrzeć się jej oryginalnemu tekstowi, mówi nam, że giganci byli w ziemi, nie zaś na ziemi. Musi to świadczyć o tym, że to właśnie oni wydrążyli tunele, żyjąc z konieczności we wnętrzu planety niczym krety. Skamieniałe szczątki takich olbrzymów znaleziono na Jawie: są to najdawniejsze wykopaliska istot ludzkich, żyjących około pół miliona lat temu”.

Ponadto Dickhoff twierdzi, że również Marsjanie zeszli na stałe pod ziemię po zatonięciu Atlantydy; tutaj, pod ziemią, powstawał dopiero rodzaj ludzki:

„Syntetyczne istoty stworzone przez swych ojców-naukowców z Marsa, krzyżowały się z osobnikami powstałymi w procesie ewolucji, i tak rasa ludzka wkroczyła w dalszy etap swojego rozwoju... Ludzka rasa – niższa i wyższa – istnieje na Ziemi o wiele dawniej, niż bylibyśmy skłonni uwierzyć”.

Robert Charroux wyraził nawet przypuszczenie, że budowniczości tuneli byli przybyszami z Wenus. Nie jest to, jak twierdzi, jego własna teoria, lecz wniosek wysnuty z indyjskich *Wed* i tybetańskiej *Księgi Umarłych*. Wenusjanie przybyli najwyraźniej na Ziemię w roku 701.969 po erze Lucyfera – imię to jest użyte w jego dosłownym znaczeniu jako „Nosiciel Światła” – i oni to właśnie stworzyli ośrodek wtajemniczenia pod nazwą Szambala. Charroux cytuje następnie Paula Gregora, którego uważa za eksperta od zagadnień podziemnego ludu:

„Z niejasnych powodów postanowili wybudować olbrzymie ołtarze i wykopać szyby, przez które mogli schodzić do wnętrza Ziemi, do jej jądra, gdzie ma swe źródło wszelki ogień i wszelka woda Ziemi, skąd wydobywa się na powierzchnię lawa wszystkich wulkanów. Tam w dole, w mrocznych fundamentach Świata, osiedlili się podobno ludzie zwani Tajemniczymi Budowniczymi”.

Charroux pisze dalej, że także teozofowie przychylają się do teorii wenusjańskiej:

„Nauczyciele teozofii utrzymują, że władcy Wenus utworzyli tę Wielką Lożę Wtajemniczenia, gdy tylko dotarli do Ziemi; ich obecna siedziba wciąż nazywana jest prastarym słowem Szambala... Legenda o podziemnym królestwie, bezpiecznym schronieniu Mistrzów i tajnych archiwów świata, jest wspaniałą rzeczywistością. Dr Raymond Bernard podziela bardziej przyziemne teorie Ossendowskiego i Roericha, którzy twierdzą, że podziemne królestwo zostało założone przez »Atlantyjczyka Noego«. Bernard pisze: »Większość populacji Agharti różni się od istot wyższego rzędu pochodzących z Hyperborei, Lemurii i Atlantydy; składa się z hinduskich jogów i tybetańskich lamów, którzy uzyskali tam wstęp dzięki ćwiczeniom wytrwałości uprawianym przez całe życie»”.

W książce *The Subterranean World* dr Bernard przytacza „niektóre pogłoski krążące w Brazylii”. Podobno wielu mieszkańców tego kraju opowiadało mu, że podziemne królestwo jest czymś w rodzaju Ogrodów Edenu, oświetlonych dziwnym blaskiem; mężczyźni, kobiety i dzieci odżywiają się tam prawie wyłącznie owocami. Ludzie ci cieszą się doskonałym zdrowiem, prowadzą życie wolne od trosk i zbrodni. „Zachowują doskonałą wstrzemięźliwość, nie znając małżeństwa. Kobiety nie tylko żyją z dala od mężczyzn, lecz także rodzą dzieci bez zapłodnienia. Ludzie ci stanowią wyższą rasę, której członkowie nie starzeją się ani nie umierają, trwając tysiące lat w wieku młodzieńczym”.

Bernard przytacza dwie usłyszane przez siebie relacje:

„Pojawił się u nas człowiek, który oznajmił, że dostał się do podziemnego miasta niedaleko

Paranagua w południowej Brazylii. Miasto było oświetlone i rosło w nim wiele gatunków owoców – olbrzymie kiście winogron, jakiś dziwny owoc, nie znany na powierzchni, jabłka i inne płody, które składają się na całą dietę tutejszych ludzi. Człowiek ten wsiadł następnie do podziemnego pojazdu, który zdawał się napędzany przez siłę myśli; zaniósł go on do wydrążonego wnętrza Ziemi, gdzie znajdowało się wewnętrzne słońce i przebywały podobne bogom istoty (Atlantyjczycy). Po odwiedzinach w tym »Nowym Świecie« człowiek ten powrócił do domu. Później odbył tunelem podróż do innego podziemnego miasta, oddalonego o mniej więcej sto pięćdziesiąt kilometrów od pierwszego. Wejście do tunelu było zamaskowane wodospadem. Było to w pobliżu Iguassu Falls na granicy z Paragwajem”.

Inny Brazylijczyk opisuje swą trwającą trzy dni, po dwadzieścia godzin dziennie, podróż „gładko wydrążonym, oświetlonym tunelem”; w końcu trafił na olbrzymią, również oświetloną grootę, gdzie zobaczył budynki, sad owocowy – i mieszkańców. „Każdy z tych ludzi był zupełnie taki sam jak pozostali; nie było tu miejsca na żadną indywidualizację wyglądu. Obie płcie żyły osobno, kobiety zaś wyglądały tak, jak gdyby nie przekroczyły jeszcze dwudziestego roku życia, pomimo, że niektóre z nich miały po kilkaset lat. Kobiety wydawały na świat dzieci przez partenogenezę; wszystkie były matkami-dziewicami”. Brazylijczyk powrócił następnie na powierzchnię innym tunelem, nie doznawszy żadnej przykrości przy swym dziwnym spotkaniu.

Dr Bernard przyznaje, że nie posiada dowodów prawdziwości tych opowieści, opowiadający bowiem „w większości przypadków kierowali się motywami finansowymi”. Jednak, pisze dalej badacz, „zgadzają się one ze sobą co do tego, że podziemne miasta są (1) oświetlone, (2) zamieszkałe przez wyższą rasę ludzką i (3) połączone ze sobą siecią tuneli”.

Charles A. Marcoux, dyrektor Centrum Badań Podziemnych w Phoenix, Arizona, który zajmuje się legendą o Agharti od dwudziestu lat, wierzy także, że mieszkańcy tego królestwa są pochodzenia atlantyjskiego, mają jasną skórę, niebieskie oczy i blond włosy. Chociaż mieszkają pod ziemią, panuje tam klimat subtropikalny, dopływ zaś powietrza do ich siedzib zapewnia system tuneli oraz zamaskowanych szybów wentylacyjnych. Marcoux twierdzi też, że istnieją tam maszyny oczyszczające atmosferę, które przypominają kształtem obrotowe radary i pozbawiają powietrze wszelkich zanieczyszczeń.

„Jest to »radiator oczyszczający«, który dosłownie »zamiata« atmosferę, uwalniając ją od wszelkich elementów radioaktywnych. Większość tych urządzeń jest ruchoma i wyposażona w antenę o kształcie wachlarza; są one zbudowane na zasadzie pajęczyny, wychwytyującej cząstki radioaktywne z powietrza i przepuszczającej je przez filtry, które usuwają wszystkie substancje szkodliwe dla życia”.

Marcoux twierdzi, że maszyny te nie tylko usuwają z powietrza trucizny, lecz dodają do niego substancje zdrowotne, wywierające dobroczynny wpływ na życie zarówno roślin, jak ludzi. Mieszkańcy podziemi odżywiają się przeważnie owocami, a niektóre z nich nie są znane na powierzchni Ziemi. „Powszechnie uprawiają białe i czerwone winogrona, uważając je za lepszy gatunek niż granatowe. Mięsz melonów przerabiają na sok stymulujący siły umysłu i czyniący gospodarniejszym na dobroczynne prądy. Kąpią się w wodach tamtejszych naturalnych strumieni”.

Twierdzenia tego oryginalnego amerykańskiego badacza, które według jego własnych słów opierają się wyłącznie na odebranych przezeń „prześlaniach myślowych”, zdają się doskonale zgadzać z naszą teorią utopijnego, wegetariańskiego społeczeństwa, uczulonego na wszelkie zagrożenia radioaktywne i zanieczyszczenia atmosferyczne.

Najciekawsze twierdzenie Marcoux wiąże się z metodą, dzięki której mieszkańcy podziemi poruszają się po tunelach. Zgodnie z jego teorią są oni twórcami maszyn, które my nazywamy zazwyczaj Niezidentyfikowanymi Obiektami Latającymi lub latającymi talerzami. Tych tajemniczych wehikułów używają do podróży nie tylko wewnątrz sieci tuneli – od czasu do czasu pojawiają się one także na niebie. Jeżeli teoria ta jest słuszna – a popierają ją także inni – oznaczałoby to rozwiązanie zagadki latających talerzy, która od lat intryguje ludzkość.

Wyjaśniałoby to także dziwne wzmianki Ossendowskiego o „pojazdach nie znanych ludom Zachodu”, które przemykają po świecie podziemi, oraz „sferoidalną formę o lśniącej powłoce” Roericha, ujrzaną przez podróżnika na niebie nad Mongolią, jak również wspierało przekonanie pisarzy w rodzaju Ericha von Dänikena, twierdzących, że twórcy Agharti przybyli z kosmosu.

Latające talerze są rzeczywiście jedną z najdziwniejszych i najtrudniejszych do rozwiązania tajemnic dwudziestego wieku, chociaż wiadomo już, że opowieści o obserwowanych na niebie dziwnych „światłach” i „kształtach”, podobne do współczesnych opisów, znane były już w czasach starożytnych Greków. Dotychczas przyjmowano jednak zawsze, że obiekty te są pochodzenia pozaziemskiego, a przysyłają je na Ziemię z misją wywiadowczą cywilizacje z innych obszarów Galaktyki.

W fascynującym, opublikowanym niedawno artykule „UFO a tajemnica Agharti”, *Prediction*, styczeń 1979, Nadine Smith zajęła się tą kwestią, pisząc:

„Pozaziemskie wyjaśnienie zjawiska UFO kwestionowane jest dziś przez wielu badaczy przedmiotu, szczególnie ze względu na to, że sondy kosmiczne wysłane ku naszym najbliższym sąsiadom w przestrzeni gwiazdnej, nie potwierdziły możliwości istnienia tam życia w naszym rozumieniu. Coraz częściej eksperci w kwestiach UFO zastanawiają się nad psychicznym raczej niż fizycznym ich wyjaśnieniem. Sugerują oni, że UFO przybywają nie z innych planet, lecz z innego wymiaru, niewidzialnego świata powiązanego z naszą Ziemią, jak wyraził się marszałek sił powietrznych, sir Victor Goddard. Wnętrze Ziemi? Czy mowa o Agharti i Szambali? Czyżby legendy o wnętrzu Ziemi, o ukrytym świecie itd. były jedynie próbą wyrażenia jakichś bytów parapsychicznych? Odpowiadałoby to relacjom o Szambali, leżącej w centrum pustyni Gobi, dostępnej jedynie wtajemniczonym i niewidocznej dla innych ludzi. Czyżby obie nie wyjaśnione sprawy – Agharti i UFO były w rzeczywistości tylko jedną tajemnicą? Czy istnieje zarówno Agharti materialne, jak i niematerialne? I czy jego mieszkańcy są życzliwi, czy niesympatyczni a może jedno i drugie? Wszystkie te pytania łatwo można potraktować jako wytwory czystej fantazji, z drugiej strony jednak mogą one być ważniejsze, niż sądzimy”.

Pogląd, że obiekty te mogą przybywać ze znacznie bliższych okolic – mianowicie z planety Ziemia – pierwszy wyraził Brazylijczyk, profesor doktor Henrique Jose de Souza.

Profesor de Souza, który mieszkał kiedyś w Sao Lourenço i był prezesem Brazylijskiego Towarzystwa Teozoficznego, wraz ze swym przyjacielem, komandorem brazylijskiej marynarki wojennej Paolo Straussem rozwinął pewną teorię. Wnioski obu badaczy opublikowano po raz pierwszy w czasopiśmie brazylijskim *O Cruzeiro* w lutym 1955 roku. W trzech kolejnych numerach czasopisma profesor de Souza i komandor Strauss przybliżali czytelnikom teorię, że UFO nie zostało skonstruowane przez żadne z ziemskich państw – a już na pewno nie przez Rosjan ani Amerykanów, bo nie omieszkaliby się tym pochwalić w celach propagandowych. Tak samo jest nie do pomyślenia, że takie obiekty mogłyby przebyć odległości dzielące Ziemię od odległych planet; w dodatku do tej pory nie potwierdzono istnienia życia na tych planetach. Pozostaje jedyny rozsądny wniosek – że UFO pochodzą z Ziemi, i w dodatku, według de Souzy i Straussa, z wnętrza Ziemi.

Stojąc na czele Brazylijskiego Towarzystwa Teozoficznego, profesor de Souza od lat interesował się legendą o Agharti. Im więcej przemyślał o podziemnym królestwie i przynależnych do niego tunelach, tym bardziej był przekonany, że nie można było korzystać z tych tuneli bez specjalnych środków transportu; stąd był już tylko krok do konkluzji, że latające talerze stanowią rozwiązanie tego dylematu. Nie ulegało dłań wątpliwości, że mieszkańcy podziemi muszą dysponować zaawansowaną techniką; jeżeli potrafili oni żyć i doskonale dawać sobie radę pod ziemią, musieli także umieć stworzyć środek lokomocji najbardziej wymyślny z wszystkich znanych na Ziemi. Sam kształt, łatwość manewrowania i prędkość tych pojazdów sprawiały, że nadawały się świetnie do przemierzania sieci tuneli prowadzących do Agharti.

W roku 1957 teorie de Souzy i Straussa zostały dokładnie przeanalizowane przez O. C.

Huguenina w jego książce zatytułowanej *From The Subterranean World To The Sky: The Flying Saucers* („Ze świata podziemi ku niebu: latające talerze”). Oświadczyny, że „hipoteza pozaziemskiego pochodzenia UFO nie wydaje się możliwa do przyjęcia”, Huguenin pisze:

„Musimy się zastanowić nad najnowszą i zarazem nader interesującą teorią dotyczącą pochodzenia latających talerzy – mówiącą o istnieniu wielkiego Podziemnego Świata i jego niezliczonych miast zamieszkałych przez miliony mieszkańców. Ten rodzaj ludzki miał osiągnąć wysoki poziom cywilizacyjny, ekonomiczny, społeczny, kulturalny i duchowy, jednocześnie z niezwykle postępowymi naukami; w porównaniu z nimi ludy żyjące na powierzchni ziemi trzeba właściwie uznać za barbarzyńskie. Według informacji, udostępnionych przez komandora Paolo Straussa, Podziemny Świat nie ogranicza się do jaskiń. Jego ekspansja ogarnęła ogromne jamy w skorupie ziemskiej, tak wielkie, że mieszczą się w nich całe miasta i pola uprawne. Żyją tam istoty ludzkie i zwierzęta o budowie fizycznej przypominającej ich odpowiedniki na powierzchni ziemi”.

Huguenin opisuje też, w jaki sposób mieszkańcy świata podziemi, tak bardzo przewyższający ludzkość w badaniach naukowych, skonstruowali maszyny zwane *Vimanami*, które „latają w powietrzu i wewnątrz tuneli niczym samoloty, używając jakiejś formy energii, uzyskiwanej bezpośrednio z atmosfery”. Maszyny te są według autora „dokładnie takie same jak te, które znamy pod nazwą latających talerzy”. A oto dalsze poglądy Huguenina:

„Przed nastąpieniem katastrofy, która zniszczyła Atlantyde, mieszkańcy tego kontynentu znaleźli schronienie w Podziemnym Świecie, do którego udali się w swych *Vimanach*, czyli latających talerzach... Od tamtego czasu latające talerze pozostają we wnętrzu Ziemi i są używane jako środek lokomocji i transportu”.

Od roku 1957 teoria ta stawała się wielokrotnie przedmiotem dyskusji; przychylił się do niej przede wszystkim Amerykanin Ray Palmer, który w roku 1959 oświadczył, że „jest ogromnie wiele dowodów na to, że pod ziemią istnieją puste miejsca o nieznanym położeniu i wielkich rozmiarach. Stamtąd mogą pochodzić latające talerze i prawdopodobnie rzeczywiście pochodzą”. Dr Raymond Bernard uważa, że UFO z królestwa Agharti mogą być napędzane mocą *Vril*:

„Tragiczna śmierć i zniknięcie kapitana Mandella, który ścigał jeden taki latający talerz tak długo, aż tamten stracił cierpliwość i zniszczył prześladowcę rozbijając go na poszczególne atomy, wskazywałyby na to, że tajemnicza rasa dysponuje wyższą formą energii, którą Bulwer Lytton nazwał *Vril*; jest to siła napędzająca podziemne pojazdy, w razie potrzeby używana do niszczenia napastnika”.

John A. Keel uczynił ciekawe spostrzeżenie, że w wielu przypadkach pojawieniu się UFO towarzyszy obecność dziwnych istot o orientalnym wyglądzie. Może to stanowić jeszcze jedną przesłankę do przypisania tych zjawisk istnieniu ośrodka Agharti pod górami Tybetu. Co ciekawsze, wszyscy wspomniani tutaj autorzy uważają, że UFO mają do spełnienia „misję” polegającą na uchronieniu świata przed zniszczeniem w katastrofie nuklearnej.

Jak już wspominałem, teoria ta może pomóc w wyjaśnieniu pewnych fragmentów dzieł Ferdynanda Ossendowskiego i Mikołaja Roericha. W swej książce „Przez kraj zwierząt, ludzi i bogów”, wydanej w roku 1923, a więc na długo zanim utworzono terminy „UFO” lub „latające talerze”, Ossendowski opisuje, że mieszkańcy Agharti „przemykają przez wąskie przesmyki we wnętrzu naszej planety w dziwnych, nie znanym nam pojazdach”. Czymże innym, jak nie latającymi talerzami, mogłyby być te pojazdy – takie pytanie stawiało wielu ekspertów. Ci sami znawcy przytaczają cytat z książki Roericha *Heart of Asia* („Serce Azji”, 1928):

„Zauważamy coś świecącego, przelatującego na bardzo dużej wysokości z północnego

wschodu ku południowi. Przynosimy szybko z namiotów trzy mocne lornetki i obserwujemy olbrzymi sferoidalny przedmiot, odbijający promienie słońca i wyraźnie widoczny na tle błękitu nieba, poruszający się z bardzo dużą prędkością. Widzimy następnie, jak obiekt zmienia kierunek z południowego na południowo-zachodni i znika za pokrytym śniegami pasmem Humboldta. Cały obóz śledzi wzrokiem tę niezwykłą zjawę, lamowie zaś szepczą: »Znak Szambali«.

Czytelnik powinien sobie uzmysłwić, że samoloty o zbliżonych rozmiarach, osiągające podobną prędkość i zwrotność, skonstruowano dopiero w roku 1928.

Te wszystkie elementy – dziwne zielone światła, huczące odgłosy, możliwość istnienia pod powierzchnią ziemi nadających się do zamieszkania przestrzeni, co pozwalałoby na realizację olbrzymich projektów budowy tuneli, rozwój nauki umożliwiający zarządzanie podziemnym światem – w zestawieniu z występującymi powszechnie legendami i opowieściami, które przytoczyłem – przekonują mnie, że królestwo Agharti jest rzeczywistością. Że gdzieś pod powierzchnią płaskowyżu Tybetu leży serce podziemnego państwa, istnieje wyższa rasa wspaniałych ludzi, prowadzących odizolowane życie. W rozwiązaniu tej tajemnicy – podobnie jak wielu innych tajemnic naszego świata – przeszkadza jedynie brak odpowiedniej wiedzy.

Wciąż jednak stawiam sobie pytanie, kim są owi ludzie. Niech czytelnik sam rozstrzygnie, czy są oni potomkami zaginionej cywilizacji Atlantydy, pozostałością społeczeństwa przedpotopowego, czy też istotami przybyłymi na Ziemię z jakiejś innej galaktyki. Natomiast raczej nie ulega wątpliwości istnienie olbrzymiego systemu tuneli przebiegających wewnątrz skorupy ziemskiej, stanowiącego dowód niebywałych umiejętności konstruktorskich tej rasy. Wprawdzie większa część tego labiryntu jest niedostępna dla badań, jestem jednak zdania, że to, co już odkryto, wystarczy, aby potwierdzić hipotezę przedstawioną na kartach niniejszej książki.

Jednym z aspektów historii Agharti, wciąż oczekującym na potwierdzenie, jest osoba potężnego Króla Świata, władającego tym podziemnym państwem. Ossendowski, Roerich i wielu innych pisało o tej tajemniczej postaci, przy czym każdy z autorów niezależnie od innych opisywał Króla Świata jako „przewodnie światło Ziemi”; żyje on w pełnej harmonii z Bogiem i ludzkością i jest zdolny do kierowania życiem ludzi oraz pobudzania uczuć religijnych na świecie. Twierdzenia te wydają się dość trudne do przyjęcia; chociaż zatem nie chciałbym wykluczać możliwości istnienia takiego władcy podziemnego królestwa, skłaniam się jednak ku przekonaniu, że opisy jego potęgi są przesadne. Jeżeli władca ten naprawdę istnieje, to podejrzewam, że jest on arcykapłanem bardzo wysokiego stopnia, kultuwującym od najdawniejszych czasów tradycje swego ludu. Uważam tak głównie dlatego, że istniejące opisy Króla Świata są przeważnie niejasne i wyraźnie przesadzone. Najłatwiejszy do przyjęcia jest chyba opis podany przez Ossendowskiego w jego książce „Przez kraj zwierząt, ludzi i bogów”. Autor tej książki zdaje sprawę ze swej rozmowy ze starym tybetańskim lamą, który opowiedział mu o wizycie Króla Świata w jednym z klasztorów Lhasy:

„Pewnej nocy do klasztoru przybyło kilku jeźdźców, nakazując wszystkim lamom, aby zebrali się w komnacie tronowej. Jeden z przybyszów zasiadł wtedy na tronie, po czym zdjął swój baszyk, czyli podobne do kaptura nakrycie głowy. Lamowie upadli na kolana, rozpoznawszy człowieka, którego dawno temu opisano w świętych pismach Dalajlamy, Taszi Lamy i Bogdochana. Był to ten, do którego należy cały świat i który posiadał wszelkie sekrety Natury. Zaintonował krótką tybetańską modlitwę, pobłogosławił obecnych i wygłosił przepowiednie na temat następnej połowy stulecia. Wydarzyło się to trzydzieści lat temu, wszystkie zaś wypowiedziane wtedy proroctwa dotyczące tego okresu już się spełniły.

Podczas gdy człowiek ten odprawiał modły w niewielkim sanktuarium, ogromne czerwone wrota otworzyły się samorzutnie, świece i lampy na ołtarzu same się zapaliły, święte zaś pojemniki na kadzidła, dotychczas puste, zaczęły wydzielać wonne dymy, które wypełniły całe pomieszczenie. Następnie, bez ostrzeżenia, Król Świata i jego towarzysze znikli spomiędzy nas. Nie pozostały po nich żadne ślady, z wyjątkiem załamań na jedwabnym obiciu tronu, które jednak szybko się wygładziły, jak gdyby nikt tam nie siedział”.



W opisie tym zaintrygowały mnie szczególnie dwie rzeczy. Po pierwsze prorocтва, które się spełniły; po drugie wzmianka o bramie, w której znikł Król Świata. Czy mogła to być brama prowadząca do Agharti?

Dotychczasowe badania pozwoliły mi dojść do wniosku, że było tak rzeczywiście, i że brama ta wciąż istnieje w pałacu Potala – w siedzibie Dalajlamy, zbudowanej na szczycie niewielkiego wzniesienia w Lhasie, otoczonej przez klasztory i świątynie. Moje przekonanie umocniło cytowane w dziełach Roericha enigmatyczne stwierdzenie jednego z lamów:

„Stolica Agharti otoczona jest miastami zamieszkałymi przez świętych kapłanów i uczonych. Może to być w Lhasie, w miejscu, gdzie znajduje się pałac Dalajlamy, na szczycie góry usianej klasztorami i świątyniami. Wszystkie one są ze sobą połączone pod względem tak duchowym, jak i fizycznym”.

Uważam, że trudno się oprzeć podobieństwu obu opisów. Kiedy udało mi się zdobyć ilustrację przedstawiającą wielkie czerwone wrota w komnacie tronowej Potali – zamieszczam ją w tej książce – stwierdziłem, że jej opis dokładnie zgadza się z opisem podanym przez Ossendowskiego; tutaj więc musi znajdować się wejście do jednego z tuneli prowadzących do Agharti. Może nadejdzie kiedyś dzień, kiedy albo ja, albo inna uparta dusza, przeniknie za zamknięte granice Tybetu i będzie miała szansę sprawdzenia tej teorii, co otworzy wreszcie drogę do tajemniczego podziemnego świata.



Potala (pałac Dalajlamy) w Lhasie.



Czerwone Wrota w Potola w Lhasie, prowadzące rzekomo do Agharti.

Zastanawiająca możliwość, że Król Świata wygłaszał przepowiednie, które następnie się spełniły, spowodowała, że rozpocząłem poszukiwania oryginalnej wersji jego wypowiedzi. Kiedy ją w końcu odnalazłem, okazało się, że przytoczone przez Ossendowskiego twierdzenie starego lamy niewiele mija się z prawdą. Zgodnie z tybetańskim duchownym, Król Świata miał wygłosić te przepowiednie „trzydzieści lat temu”, czyli około trzydziestu lat przed wydaniem książki Ossendowskiego w roku 1922.

Podając treść tych prorocत्व, wygłoszonych przez Króla Świata koło roku 1890, pozostawiam czytelnikowi ich interpretację. Mamy tu wizję światowej wojny, upadku monarchów, triumfu (i ostatecznego upadku!) systemu komunistycznego oraz nieuniknionej degeneracji rodzaju ludzkiego. Jeden fragment nadaje się chyba doskonale na ostatnie słowa książki takiej jak ta: sugestia, że to mieszkańcy Agharti powinni stać się głosicielami zbawienia dla naszego skazanego na zniszczenie świata. Są tacy, którzy wierzą, że właśnie w tym królestwie jego lud czeka ukryty od wieków, aby wypełnić tę misję...

„Coraz więcej ludzi zapomni o sprawach duszy, zwracając się wyłącznie ku ciału. Największe

grzechy i zepsucie rządzić będą na Ziemi. Ludzie staną się drapieżnymi zwierzętami, pragnącymi krwi i śmierci swych braci. »Wschodzący Księżyc« zblednie, a wyznawcy jego upadną, prowadząc wieczne wojny i chodząc o żebraczym kiju. Zdobywcy zostaną dotknięci przez słońce, ale nie zdołają wspiąć się ku górze; dwa razy nawiedzi ich najcięższe nieszczęście, które skończy się hańbą w oczach innych ludów. Korony królów wielkich i małych spadną... jedna, druga, trzecia, czwarta, piąta, szоста, siódma, ósma... Nastąpią straszliwe bitwy między ludźmi. Zacerwienią się oceany... Ziemia i dna mórz będą usłane kośćmi... Królestwa rozsypią się w pył... Wyginą całe narody... przyjdą głód, choroby i zbrodnie, nie spisane w kodeksach prawa, nigdy wcześniej nie widziane na świecie.

Nadejdą wrogowie Boga i Ducha Bożego w człowieku. Zginą ci, którzy podają rękę drugiemu. Zapomniani i prześladowani powstaną, zwracając na siebie uwagę całego świata. Nadejdą mgły i sztormy. Nagie zbocza górskie pokryją się nagle lasem, a ziemia się zatrzęsie... Dla milionów nastaną czasy niewoli i poniżenia w głodzie, chorobie i śmierci. Starożytne szlaki pokryją się tłumami wędrowców. Największe, najpiękniejsze miasta strawi ogień... jedno, drugie, trzecie... Ojciec powstanie przeciwko synowi, brat przeciwko bratu i matka przeciw córce... W występku błędzić będą ludzie, i przyjdzie zniszczenie na ciało i duszę... Rozproszone zostaną rodziny, a prawda i miłość znikną.

Wtedy ja wyślę ludzi jeszcze nie znanych, którzy wyrwą chwast szaleństwa i występku silną ręką i poprowadzą wiernych do walki ze Złym. Znajdą nowe życie na Ziemi oczyszczonej śmiercią narodów. W pięćdziesiątym roku objawią się tylko trzy królestwa, które istnieć będą szczęśliwie przez siedemdziesiąt jeden lat. Potem przyjdzie osiemnaście lat wojen i zniszczenia, a wtedy lud Agharti wyjdzie z jaskiń na Ziemię”.